



ZŁOTO

WIDZĄCA

księga pierwsza

UCIECZKA

AUTORKA BESTSELLERÓW *NEW YORK TIMES*A

RAE CARSON

UCIECZKA

RAE CARSON

ZŁOTO

WIDZĄCA

księga pierwsza

UCIECZKA

Tłumaczenie: Ewa Spirydowicz



Tytuł oryginału: *Walk on Earth a Stranger*

Redakcja: Marta Chmarzyńska

Korekta: Karolina Wąsowska

Skład i łamanie: Ekart

Typografia na polskiej okładce: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Zdjęcia na okładce:

Copyright © Petruk Viktor

Copyright © Benoit Daoust

Copyright © agsandrew

Copyright © Olena Zaskochenko

Copyright © 2015 by Rae Carson

Map copyright © 2015 by John Hendrix

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-585-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Postacie występujące w powieści

Mapa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Od Autorki

Przypisy

DLA MARTHY MIHALICK,
EDYTORKI NADZWYCZAJNEJ

Postacie występujące w powieści

W DAHLONEGA, w stanie GEORGIA

Rodzina Westfallów

Reuben „Szczęściarz” Westfall,
poszukiwacz złota

Elizabeth Westfall, jego żona

Leah „Lee” Westfall, ich piętnastoletnia córka

Hiram Westfall, brat Reubena

McCauleyowie

Pan McCauley, Irlandczyk, poszukiwacz złota

Jefferson McCauley, jego szesnastoletni syn

Państwo Smith

Sędzia Smith, sędzia w hrabstwie Lumpkin
i właściciel ziemski

Pani Smith, jego żona

Annabelle Smith, ich szesnastoletnia córka

Jeannie Smith, ich niewolnica

James „Wolny Jim” Boisclair, właściciel sklepu

Abel Topper, bezrobotny, dawny nadzorca
kopalni

W drodze do INDEPENDENCE,
MISSOURI

Przekłęci Bracia

Zeke Tackett

Emmett Tackett

Ronnie Tackett

Załoga barki

Kapitan Rodney Chisholm

Skrzypek Joe

Rudy Jack

Rodzina Joynerów

Andrew Joyner, dżentelmen

Rebekah Joyner, jego żona

Olive Joyner, ich sześciolatka córka

Andrew Joyner Jr., ich czteroletni synek

Matilda „Ciotka Tildy” Dudley, kucharka

TABOR

Z Missouri

Frank Dilley, przywódca kompanii dwudziestu wozów z Missouri

Jonas Waters, zastępca Franka Dilleya

Z Arkansas

Major Wally Craven, przewodnik taboru

Josiah Bledsoe, hodowca owiec, właściciel dziesięciu wozów

Hampton, niewolnik Bledsoe’a

Studenci z Illinois

Jasper Clapp, student medycyny

Thomas Bigler, student prawa

Henry Meek, student literatury

Z doliny Ottawy

Charles Robichaud, kowboj

Lucie Robichaud, jego żona

Jeremy i Samuel, pięcioletni bliźniacy

Z Kentucky

Wielebny Ernest Lowrey, pastor,
prezbiterianin

Mary Lowrey, jego żona

Z Ohio

Herman Hoffman, rolnik z Niemiec

Helma Hoffman, jego żona

Therese, ich piętnastoletnia córka

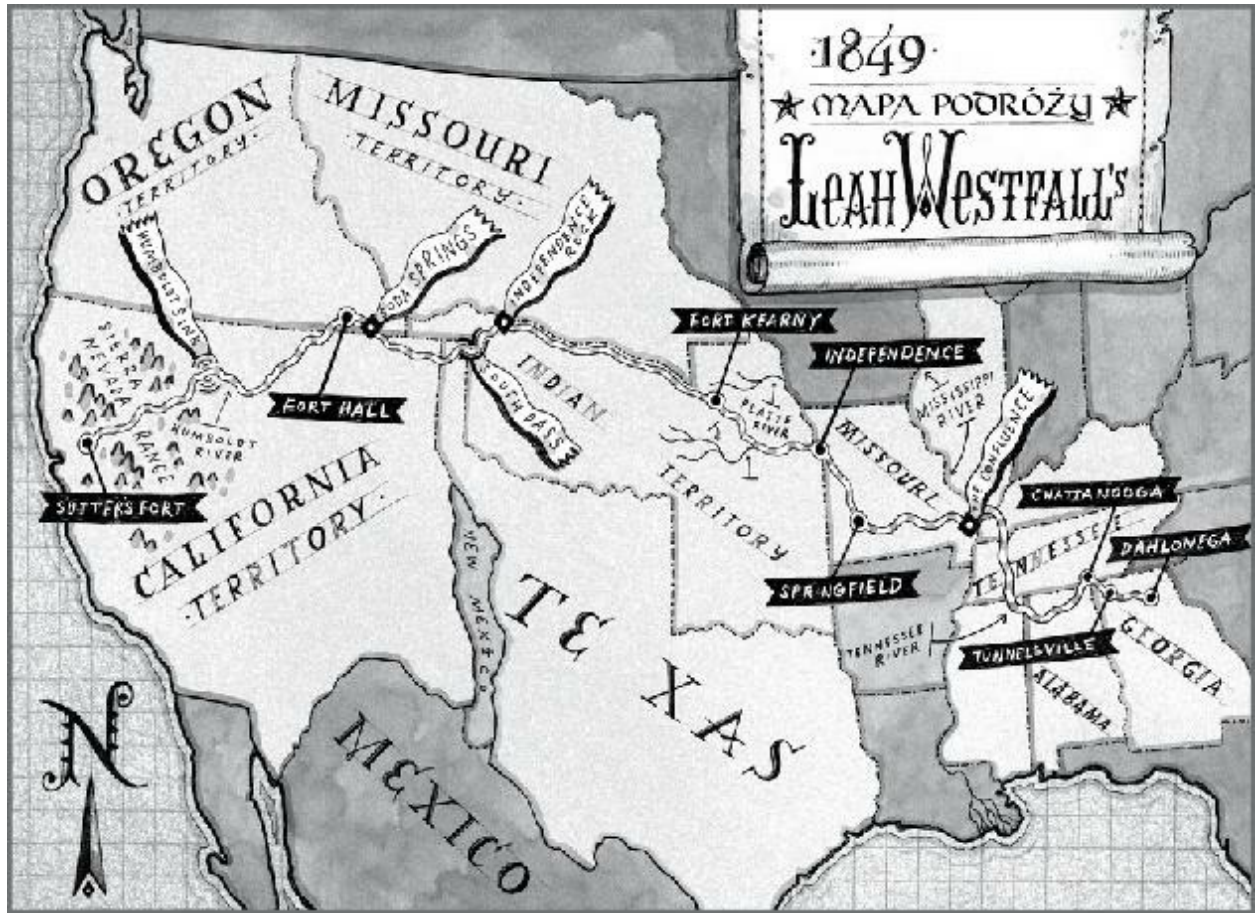
Martin, ich trzynastoletni syn

Luther, ich dwunastoletni syn

Otto, ich dziewięcioletni syn

Carl, ich ośmioletni syn

Doreen, ich pięcioletnia córka



Rozdział 1

Najpierw jelenia słyszę, dopiero później go widzę, choć przecież robi mniej hałasu niż wiewiórka – ot, ledwie słyszalny chrzęst śniegu, nadeptana gałązka, cichy oddech, gdy szuka pyskiem uschłej trawy. Nie mogę uwierzyć w takie szczęście.

Cicho jak padający śnieg unoszę starą strzelbę hawken tatka do barku i mrużę oko, celując. Płatanina gałęzi ogranicza mi widoczność. Muszę poczekać, aż jeleni wejdzie w pole mojego wzroku, ale to nie szkodzi. Jestem cierpliwa. Jestem jak duch.

Zaszyłam się w wykrocie, pozostałości po starym uschniętym dębie chylącym się nade mną. Śnieg wypełnia szczeliny między gałęziami, stanowi ochronę przed wiatrem. Niewiele widzę, ale jest mi prawie ciepło. Śnieg ze wszystkich stron pobrzękuje jak dzwoneczki, topniejąc w porannym słońcu. Moja spódnica i halka są u dołu brudne i mokre. Gdyby dziewczęta ze szkoły mnie teraz zobaczyły, żartom i drwinom nie byłoby końca, ale to nieważne. Musimy coś jeść.

A to oznacza, że nie mogę spudłować. Fajnie byłoby móc wyczarować świeżą dziczyznę, ilekroć nie mamy co do garnka włożyć, to dopiero byłaby przydatna magia.

W końcu w zasięgu mojego wzroku zjawia się brązowa klatka piersiowa i białe podgardle. Pochyla ciemny nos nisko do ziemi i przez chwilę widzę długie, kręcone rogi – co najmniej po trzy odgałęzienia z każdej strony. Długa, smukła szyja, okolona zimową sierścią. Jest tak blisko, że niemal widzę żyłę pulsującą na szyi. Piękny okaz.

Odciągam spust – powoli, równomiernym naciskiem, tak jak uczył mnie tatko. Dźwięk jest ledwo słyszalny, a jednak jeleni unosi głowę. Wstrzymuję oddech.

Jestem cierpliwa. Jestem duchem.

Robi jeden taneczny krok. Nozdrza drgają, węszy. Ale jestem ustawiona pod wiatr i po chwili ponownie zajmuje się jedzeniem. Przesuwam palec na spust. Zwalone drzewo zasłania mi jego łeb, więc celuję w płuca.

Teraz wystarczy już tylko minimalny nacisk, energia wydechu.

Rozlega się kościelny dzwon. Jelen porusza się niespokojnie i jednocześnie pada mój strzał. Potyka się, osuwa na śnieg, ale zaraz wstaje i ucieka, wysoko zadzierając ogon.

– Niech to szlag!

Wyrywam stempel z lufy, gramoląc się z wykrotu. W sprzyjających warunkach jestem w stanie nabić broń i wystrzelić ponownie w niecałe pół minuty. Mimo zdrętwiałych z zimna palców jeszcze mam szansę go dopaść, jeśli się pospieszę.

Oczywiście gdybym nie polowała sama, gdyby był ze mną ktoś z drugą bronią, nie musiałabym teraz ponownie nabijać strzelby. Samemu zawsze trudniej.

Sięgam do paska, po woreczek z prochem, gdy dostrzegam plamę krwi, jasnoczerwoną, mokrą, ciepłą na śniegu. Płynęła z jego rany, gdy upadł, i dalej znaczy śnieg linią kropli. Dobrze go trafiłam.

Ruszam szybkim krokiem i jednocześnie nabijam broń – najpierw podsypuję prochu, potem kula owinięta w papier, to wszystko upchnięte wyciorem. Nie zmarnuję kolejnego strzału na jelenia, ale po okolicznych górach grasuje wielka puma, a w tak łagodną zimę zapach świeżej krwi może nawet zwabić niedźwiedzia. To jeszcze nie czas głodu, gdy wychudzony drapieżnik, właściwie tylko futro, kły i wystające żebra, zaatakuje niemal dorosłą kobietę, ale wolę nie ryzykować.

Krwawy trop ostro skręca w prawo. Mijam czerwoną plamę na śniegu, miejsce, gdzie pod jeleniem zapewne znowu nie wytrzymały nogi. Zatrzymuję się, ładuję i ostrożnie odciągam cyngiel, a potem zadzieram spódnicę drugą ręką i biegnę – co sił w nogach. Muszę dopaść jelenia, zanim dobierze się do niego inne zwierzę. Nie przynos do domu niczego, co ruszył inny drapieżnik, powtarza zawsze tatko.

Krwawy trop prowadzi w dół, po stromym zboczu parowu porośniętym młodymi brzoziakami. Na ich białej korze widzę ślady krwi. Ranny jelen zbiega na ziemię McCauleyów, tam gdzie mieszka Jefferson z ojcem ladaco. Nie ma sensu do nich zachodzić po polowaniu, bo i tak na pewno nie ma ich w domu. Ojciec Jeffa co niedziela chodzi do kościoła, choćby się waliło i paliło, w błędnym przekonaniu, że siedzenie na kościelnej ławce robi z niego porządnego człowieka.

Na dnie parowu płynie płytki, ale bystry strumień. Woda połyskuje lodem, ale pośrodku nurt jest żwawy i bystry. Mam porządnie natłuszczone buty. Jeśli

się pospieszę, uda mi się pokonać strumień, zanim przemokną aż do pończoch. Zadzieram spódnicę i halki jeszcze wyżej i wchodzę do wody.

W połowie drogi zastygam w bezruchu.

Złotowidzenie chwytą mnie za gardło, ostro, gwałtownie, spływa niżej, do klatki piersiowej, i rozlewa się równomiernym drżeniem, jak stado szarańczy. Żołądek podchodzi mi do gardła, ale zwalczam mdłości. Nie mamy w spizarni tyle jedzenia, żebym je tak głupio marnowała.

Czekam, aż mój żołądek się uspokoi, przyzwyczajai do nowego doznania. Niech ta fala przejdzie, niech mnie obmyje, niech się poczuje jak u siebie, jak stary znajomy.

Tak silnie odbieram to tylko za pierwszym razem, w pobliżu czegoś dużego. Zazwyczaj to grudka, ale zdarza się też spora żyła. Odruchowo zamykam oczy, koncentruję się, obracam w koło, żeby ustalić, z której strony płyną najsilniejsze doznania. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, poczuję jakby pociągnięcie w piersi, jakby ssanie... Jest. Otwieram oczy. Po drugiej stronie potoku, za młodym bezlistnym klonem. Krwawy trop prowadzi w tym samym kierunku.

Nagle dygoczę na całym ciele. Stopy drętwieją mi z zimna. Brnę przez strumień, wspinam się na przeciwległy brzeg, śliski od topniejącego śniegu. Jak długo stałam w wodzie? Wydaje się, że zaledwie krótkie chwile. Ruszam palcami w przemoczonych pończochach. Oby się nie okazało, że bezpowrotnie zniszczyłam buty. Obecnie nie stać nas na nową parę. Dobrze przynajmniej, że założyłam starą sukienkę na polowania. Spódnica i tak jest w opłakanym stanie i włóczenie się po potokach już jej nie zaszkodzi.

Nad strumieniem oglądam uważnie karabin. Chyba suchy. Miałam przynajmniej dość oleju w głowie, by go nie zamoczyć. Obchodzę zwalony klon i czuję, jak złoto mnie przyzywa, ale w tej chwili ignoruję ten zew, bo jeleni leży w płytkim zagłębieniu, na zakrwawionym śniegu.

Usiłuje wstać, wspina się na przednie nogi, odwraca rogaty łeb w drugą stronę. Chwytam za strzelbę, na wszelki wypadek, ale z powrotem osuwa się na śnieg. Dyszy ciężko.

Opieram hawkena o drzewo, wydaję nóż zza pasa.

– Przepraszam – szepczę. Ostrożnie podchodzę coraz bliżej. Nerki czy serce? Będzie walczył aż do śmierci, do ostatniej chwili. Zawsze tak jest. Ja na jego miejscu robiłabym to samo.

Jego rogi nadal stanowią na tyle poważne zagrożenie, że nie zaryzykuję

przecięcia tętnicy. Miota się bezradnie, gdy się zbliżam, nerwowo rzuca łbem. To musi być szybki, starannie wymierzony cios. Unoszę ostrze.

Ręka mi drży. Złoto do mnie krzyczy, jest bezlitosne, czuję je w całym ciele. To niemal rozkosz, jak wygrzewanie się w słońcu. Czyli złoto znajduje się w zasięgu ręki.

Najpierw jelen, potem złoto.

Wbijam nóż w lewą nerkę. Jeleń piszczy raz, potem nieruchomieje. Przez krótką chwilę krew bucha z rany żywym strumieniem, potem sączy się wątlą smugą. Paruje na zimnym powietrzu, wypełnia mi nozdrza i usta ostrym zapachem. Muszę działać szybko; jeśli puma jest w pobliżu, zjawi się tu lada chwila.

Jest zbyt duży, nie dam rady go zanieść, muszę go tu na miejscu oprawić i zabrać tylko najlepsze kaski. Dziki kot może sobie wziąć resztę, proszę bardzo.

Przykładam czubek noża do białego, miękkiego podbrzusza. Złotowidzenie eksploduje we mnie, o wiele cieplejsze, bardziej wyraziste niż zapach świeżej krwi. Nie jestem w stanie nad tym zapanować; upuszczam nóż i gorączkowo rozkopuję śnieg, na którym klęczę. Kopię i kopię, aż docieram do warstwy jesiennej ściółki. Gnijące liście kleją mi się do palców, ale szukam dalej, aż coś do mnie mruga. Słońce w błocie. Lato w zimie.

Bryłka z łatwością daje się wyjąć z błotnistej kryjówki; w tym samym czasie w zeszłym roku musiałabym siłą wydzierać ją z zamarznętej ziemi. Skrajem rękawa ścieram z niej błoto. Jest wielkości sporego orzecha włoskiego, bardziej okrągła niż większość grudek, które widziałam, za wyjątkiem dziwnego wybrzuszenia po jednej stronie. Pewnie potok ją wypłukał podczas zeszłorocznej powodzi. Zdaję się na mój złoty zmysł, szacuję, ile w niej złota. Jeśli się nie mylę, blisko dziewięćdziesiąt procent.

Warta co najmniej sto dolarów. Za tyle pieniędzy można spokojnie kupić mięso na zimę.

Siadam na piętach, zaciskam dłoń z bryłką, patrzę na zwierzę, które dopiero co zabiłam. W tej chwili już go nie potrzebuję. Kto nie marnuje, ten nie głoduje, powtarza zawsze mama. A Bóg jeden wie, jak bardzo papie przyda się gulasz ze świeżej dziczyzny.

Od dawna nie miałam tyle szczęścia. Wsuwam bryłkę do kieszeni spódnicy, chwytam za nóż i biorę się do pracy.

* * *

Słońce wschodzi już nad górami, gdy w końcu ciągnę dziczyznę po schodkach na ganek od kuchni. Wszystko, co dałam radę udźwignąć, owinęłam w jelenią skórę i owiązałam sznurkiem. Ramiona mnie boją, bo niosłam zawiniątko przez ponad milę i choć starałam się wszystko starannie zapakować, poplamiałam sobie kurtkę i spódnicę.

– Mamo! – wołam. – Potrzebuję pomocy.

Staje w drzwiach ze ścierką w dłoniach. Z ciasnego koka wymknęło się kilka ciemnych kosmyków. Zmarszczki wokół oczu zdradzają i śmiech, i zmartwienie.

– Tato nie czuje się najlepiej, co? – pytam.

Wędruje wzrokiem od tobołka w moich ramionach do strzelby opartej o pakunek.

– Niech ci Bóg błogosławi, Leah – mówi. Chowa ścierkę do kieszeni fartucha i wyciąga ręce. – Daj mi to. Nastawię gulasz, a ty oczyść strzelbę i nakarm kury.

Robię to posłusznie i wyrzucam z siebie:

– To nie wszystko, mamo. Znalazłam coś.

Zastyga w bezruchu i podbiegam do niej, żeby pakunek z mięsem nie upadł na ziemię.

– Dawno nic nie było. Myślałam, że może z tego wyrosłaś – mówi po dłuższej chwili.

– Najwyraźniej nie – zauważam, rozczarowana jej rozczarowaniem.

– Najwyraźniej nie – powtarza. – Cóż, zajmij się swoimi sprawami, a kiedy skończysz, powiemy o tym papie.

– Tak, mamo.

Znika w kuchni. Zarzucam hawkena na ramię i idę do kurnika. Tuż za nim rośnie mniej drzew. Pilnujemy tego, bo chodzi o to, żeby żaden drapieznik nie mógł niepostrzeżenie zakraść się do kurnika. To prawie sto jardów pustej przestrzeni, aż do starej sosny, przy której czyszczę broń. Zdejmuję muszkiet z ramienia, przykładam kolbę do barku. Północny wiatr przybiera na sile, więc celuję odrobinę bardziej w prawo. „W życiu nie widziałem lepszego celu u takiej drobnej dziewczuszki”, powiedział kiedyś ojciec Jeffersona; był to jedyny raz, kiedy usłyszałam komplement z jego ust.

Tyłny spust, oddech, cyngiel. Huk. Odpryski drewna wypełniają powietrze,

gdy kula trafia do celu. Kury gdaczą głośniej, ale zaraz się uspokajają. Są do mnie przyzwyczajone.

Opieram karabin o ścianę kurnika. Oczyszczę lufę przy stole podczas rozmowy z rodzicami i tym sposobem nie będę musiała patrzeć w ich zmartwione oczy.

– Głodne? – pytam i słyszę, jak moje kurki, wcale nie takie głupie, za jakie się je uważa, biegną do drzwi na śniadanie.

Odsuwam zasuwkę i wybiegam na zewnątrz, gdaczą i dziobią czubki moich butów, jakby tym sposobem śniadanie miało pojawić się szybciej. I zaraz zapominają o mnie zupełnie – gdy tylko rozsypię ziarno na ziemi. Za wyjątkiem mojej ulubienicy, Isabelli, która wskakuje mi na kolana, gdy kucam. Głaszczę jej lśniące czarne pióra, a ona zdziobuje ziarenka z mojej dłoni. Trochę to boli, ale wytrzymam.

Wiodę dziwne życie, wiem o tym doskonale. Mamy wielki kawał ziemi i mało rąk do pracy, więc ja, dziewczyna, poluję, uprawiam ziemię i szukam złota, bo mój tatko nie ma ani jednego syna. Jestem wiecznie zmęczona, mam szorstkie, popękane ręce, moje sukienki drą się w niespotykanym tempie. Dziewczyny z miasteczka drwią ze mnie, przezywają Prostaczką Lee, a to przez moje silne dłonie i mocno zarysowaną szczękę. Nie przeszkadza mi to tak bardzo, bo lepsze to niż żeby poznały całą prawdę – że znajduję złoto tak, jak różdżkarz wodę.

Ale w moim życiu jest też mnóstwo rzeczy, które sprawiają, że i tak je lubię: słońce schodzące nad ośnieżonymi szczytami, mama i tatko, którzy wiedzą, jaka jestem naprawdę, rozkosz, gdy czuję w dłoni złotą bryłkę. I moje kurki. Uwielbiam moje głupie kurki.

Dzisiaj tylko cztery jajka. Zbieram je szybko, strzepuję siano z jeszcze ciepłych skorupki i wsuwam je delikatnie do kieszeni. A potem biorę strzelbę i wracam do domu, żeby zmierzyć się z konsekwencjami wyczarowania kolejnej bryłki złota.

Rozdział 2

Tatko zawsze powtarza, że urodziłam się z grudką złota w lewej dłoni i z kilofem w prawej. Dlatego mama tak długo mnie rodziła; musiała wycisnąć z brzucha o wiele więcej niż tylko małą dziewczynkę. Pierwszy raz gdy to usłyszałam, oddałam szmacianą lalkę naszej suce, Orphie, i oznajmiłam, że ja nigdy nie będę mieć dzieci.

Stosunkowo szybko się zorientowałam, że to sprytniutkie kłamstwo, tak samo jak to, że Święty Mikołaj przynosi prezenty na Boże Narodzenie, czy przekonanie, że jeśli obejdiesz ogród trzy razy tyłem, mszyce nie zjedzą ci dyni. Ale taki już jest ten mój tatko, zawsze opowiada bajki.

Nie mam nic przeciwko temu. Uwielbiam jego opowieści, a najlepsze są te potajemne, w dużej części prawdziwe, opowiadane szeptem przy ciepłym kominku, dla małej grupy słuchaczy – tylko mamy i mnie. Zawsze dotyczą złota. I mnie.

Ściągam buty, otrzepuję je o poręcz werandy, żeby opadło błoto, wchodzę do środka i widzę tatka w fotelu na biegunach. Trzyma wielkie stopy w skarpetach jak najbliżej ognia na kominku. Chce coś powiedzieć, ale tylko zanosi się kaszlem. Zasłania sobie usta chusteczką. Kaszel wstrząsa całym jego ciałem. Niemal słyszę, jak grzechoczącą mu kości. Odsuwa chusteczkę od ust, zaciska w pięści, żebym niczego nie widziała. Myśli, że nie wiem, co wykasłuje.

Na ramionach ma kołdrę, na stoliku z pnia stoi kubek parującej kawy. Dom przepięknie pachnie palącym drewnem sosnowym i świeżo pokrojonej rzepy.

– Mama wspominała, że znalazłaś dzisiaj złoto – mówi tatko spokojnie, kiedy ustawiam buty przy kominku, żeby wyschły.

– Tak jest. – Podchodzę do stołu, sięgam do kieszeni, wydaję podebrane kurom jajka i układam koło rondli mamy.

Tatko upija łyk kawy. Przęłyka. Wdycha.

– Opowiadałem ci kiedyś o grudce spod bluszczy? – rzuca. A potem zgina się w pół, targany kaszlem, a ja łudzę się, że nie jest tak źle, jak było wczoraj.

– Opowiedz – proszę, choć słyszałam to już ze sto razy.

Mama odnajduje mój wzrok nad kuchnią i uśmiechamy się do siebie

porozumiewawczo.

– Opowiedz – powtarza. Przysuwam sobie krzesło, kładę strzelbę na stole i powoli rozkładam ją na części.

– No, skoro obie nalegacie. Działo się to wiosną 1835 roku – zaczyna. – W tamtym czasie już dawno wybierano to, co dawało się łatwo znaleźć, miałem za sobą ciężki dzień, a wracałem do domu z pustymi rękami. Szedłem wzdłuż strumienia, starałem się zdążyć przed nadciągającą burzą. I wtedy natknąłem się na porośnięty mchem pień pod potężnym dębem. Zerwał się wiatr, rozwiął zasłonę z bluszczu i wtedy ją zobaczyłem, jaśniejącą, piękną, rozpromienioną, większą niż moja pięść. Tak po prostu tam sobie leżała.

Nigdy w życiu nie widziałam tak wielkiej grudki. Słyszałam o nich opowieści, ale sama nie wiem, czy dawać im wiarę. W każdym razie kiwam głową, jakbym wierzyła w każde słowo.

A tatko opowiada dalej.

– I co było potem? – pytam, bo tego ode mnie oczekuje.

Odstawia kubek, kołysząc się w fotelu. Oczy błyszczą mu od gorączki.

– Kiedy następnego ranka wstałem z łóżka, co widzę? Moja śliczna, pulchna córeczka z grudką w małej łapce, wali nią o podłogę i śmieje się na całe gardło, macha nóżkami, jakby znalazła najwspanialszą zabawkę na świecie.

Mama wzdycha, nie wiem, do wspomnień czy może z żalu, że wtedy po raz pierwszy wyczułam złoto. Miałam dwa latka.

– Więc ukryłem ją ponownie – ciągnie tatko. – Tym razem w spiżarni.

– A ja znowu ją znalazłam, tak? – Owijam wycior czystą ściereczką i wsuwam do lufy. Wychodzi lekko wilgotny, co oznacza, że gdybym oddała kolejny strzał, musiałabym się liczyć z nieprzyjemnym odrzutem.

– I tak za każdym razem. Znalazła ją pod materacem, ukrytą w bucie, nawet zakopaną w ogrodzie. I wtedy wiedziałem na pewno, że moja córeczka jest wyjątkowa. Ba, czarodziejska.

Mama nie może dłużej wytrzymać.

– Mamy ciężkie czasy – mruczy i wrzuca kawałek dyni do garnka. Ma cichy, miękki głos, a jednak taka w nim siła, że uspokoi nawet burzę. Przy czym ta burza to najczęściej tatko. – Są tacy, którzy oddaliby wszystko za wieść o dziewczynie, która wyczuwa złoto.

– To prawda – przyznaje tatko. – Zwłaszcza że w tych górach już prawie go nie ma.

I właśnie dlatego nie jesteśmy i nigdy nie będziemy bogaci. Jasne, dzięki

tamtej grudce spod hiszpańskiego mchu mamy okna, wóz i tylną werandę. Ale tu, w Georgii, gorączka złota opadła już dawno temu i jak się okazuje, nawet taka złotowidząca jak ja nie znajdzie złota tam, gdzie go nie ma, nie wycisnie go z ziemi siłą woli. Harowaliśmy ciężko, żeby wydobyć tę odrobinę, którą wyczułam, a każdego roku jest tego mniej. Zeszłego lata odwróciliśmy bieg strumienia i rozkopaliśmy całe dno, aż nie pozostał kamień na kamieniu. W tym roku kuliśmy skałę oskardami, aż tatko się rozchorował.

Głęboko pod ziemią jest więcej złota, czuję to, ale we dwójkę mamy ograniczone możliwości. Tatko nie chce kupować niewolników; wychował się jako metodysta, w czasach, gdy ten kościół sprzeciwiał się niewolnictwu.

Dzisiejsza grudka to pierwsze spore znalezisko od ponad roku.

Bóg jeden wie, że bardzo potrzebujemy pieniędzy. Co jest o tyle dziwne, że mamy spory woreczek czystego, złotego piasku pod deskami podłogi. Tatko mówi, że to na czarną godzinę.

A mama tłumaczy, że chowamy je, bo gdybyśmy zanieśli tyle złota naraz, wzbudzilibyśmy podejrzenia. I ma rację. Ilekroć przynosimy więcej niż szczyptę złotego piasku, zaczynają się plotki i na naszej ziemi zjawiają się obcy, łążą jak mrówki na pikniku i szukają złotodajnej żyły. Tatko dzięki mnie zdobył przezwisko. Nazywają go Reuben „Szczęściarz” Westfall. Tylko my troje znamy prawdę i przysięgliśmy, że tak zostanie.

A tymczasem dach szopy zaczął przeciekać, półki w piwnicy zieją pustkami, a najgorsze jeszcze przed nami, co więcej, nie zapłaciliśmy Wolnemu Jimowi za tegoroczną pszenicę. Jedna grudka tej wielkości załatwiłaby wszystkie nasze problemy, tak. Takie znalezisko to łut szczęścia, jasne, ale nie tak wielki jak cały worek złotego piasku wyrwanego z już przesianej ziemi.

– Posłuchaj, Leah – zaczyna tatko, a ja podnoszę głowę znad lufy karabinu. Nigdy tak do mnie nie mówi, zawsze „Lee” albo „groszku”.

– Tak, papo?

– Gdzie konkretnie znalazłaś tę grudkę?

– Na zachód od sadu, przy potoku.

– Słyszałem strzał. Miałem wrażenie, że padł daleko stąd.

– A jakże. A jelenia dogoniłam jeszcze dalej. Trafiłam go i mi uciekł. Szłam jego tropem, w dół wzgórza, przez potok, aż... Och.

Weszłam na ziemię McCauleya.

Papowy fotel na biegunach nieruchomieje.

– Nie jest nasza – mówi cicho.

– Ale musimy... – zaczynam i urywam w pół zdania. Jefferson i jego ojciec są w równie opłakanej sytuacji jak my, jeśli nie gorszej.

– Nie jesteśmy złodziejami – podkreśla tatko.

– Znalazłam ją uczciwie!

Kręci przecząco głową.

– To bez znaczenia. Gdyby pan McCauley tak niechcący przechodził obok i znalazł buszel brzoskwiń w naszym sadzie, czy to byłoby w porządku?

Marszczy brwi.

– Powinna go odłożyć tam, gdzie go znalazła – decyduje mama.

– Nie! – Sprzeciwiam się, aż tatko posyła mi spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Słuchaj matki, bo inaczej porozmawiamy”. Z trudem przełykam ślinę i staram się mówić ciszej, ale nigdy nie nauczyłam się mówić spokojnie i zarazem zdecydowanie, jak mama. Ja z tych, co to albo krzyczą, albo milczą.

– To znaczy, jeśli nie my, niech go dostaną McCauleyowie. Ich chata jest w fatalnym stanie, zeszłej zimy zdechła im krowa mleczna i... Dobrze, odniosę. Oddam ojcu Jeffersona.

Mama podchodzi z garnkiem do kominka i stawia na palenisku.

– I co mu niby powiesz? – pyta i szybko miesza gulasz.

– Prawdę. Że polowałam, że szłam tropem rannego jelenia, weszłam na jego teren i tam znalazłam grudkę złota.

Mama marszczy brwi.

– Znając pana McCauleya, dzień nie minie, a całe miasteczko usłyszy tę historię.

– No i co z tego? Nikt nie musi wiedzieć, że znalazłam ją dzięki czarom.

Energicznie zamyka pojemnik, odwraca się, grozi mi drewnianą chochlą.

– Leah Elizabeth Westfall, nie chcę słyszeć tego słowa pod moim dachem.

– To nie jest brzydkie słowo.

– Gdyby ktokolwiek to usłyszał, pomyślałby sobie nie wiadomo co. Zdaję sobie sprawę, że żyjemy w nowoczesnych czasach, ale ludzie i tak nie lubią... tego słowa. Tego się nie wybacza. Żadne tłumaczenia tu nie pomogą. Aż za dobrze o tym wiem.

Mama czasami to robi. Robi aluzje do czegoś, co spotkało ją przed laty, gdy była młodą dziewczyną, czegoś straszego. A ja wiem, że nie ma co dopominać się o szczegóły, bo jedynym skutkiem takiej ciekawości będzie dodatkowa porcja prac domowych do wykonania albo przedwczesne odesłanie do łóżka.

– I nie chcę przypominać całemu miastu, że w dzień pański wysłaliśmy piętnastoletnią córkę na polowanie – ciągnie, cały czas wymachując chochlą. – To jest nasz wybór i nasza decyzja, nie ma sensu wymachiwać nią innym przed oczyma.

– Odniosę grudkę – proponuje tatko. – Powiem mu, że to ja polowałem.

– Reuben, ty ledwo chodzisz – zauważa mama. – Nikt ci nie uwierzy.

– Odczekamy kilka dni. Aż kaszel przejdzie. Wtedy pójdę. A zaraz potem pojadę do Charlotte.

Tatko codziennie to powtarza. Że kiedy kaszel mu przejdzie, wyruszy w drogę z woreczkiem złota. Sprzeda je w kopalni w Charlotte w Karolinie Północnej, gdzie nikt nas nie zna i nikt nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań.

– Oczywiście, tatku. – Nie śmiem spojrzeć mamie w oczy, nie chcę mierzyć się z lękiem narastającym w naszych sercach.

Wstaję zza stołu i powoli podchodzę do tatka. Wyjmuję grudkę złota z kieszeni i kładę w jego otwartej dłoni. Złotowidzenie traci na sile, ledwie kruszec znika z mojej dłoni, i przez ułamek sekundy czuję pustkę, jakbym straciła przyjaciela.

– A niech mnie – szepcze bez tchu, odwraca ją w dłoniach, aż mieni się w promieniach porannego słońca, które zalewa okna. – Ależ piękność.

– Prawda – przytakuję. Ale ważniejsze jest co innego niż uroda. Ta grudka złota oznacza jedzenie, dach nad głową, ciepło. I życie.

Tatko ściąga krzaczaste brwi i patrzy mi prosto w oczy.

– Lee, ta grudka nic nie znaczy. Nic. Nawet twój dar nic nie znaczy. Jesteś dobrą dziewczyną i najlepszą córką. I to, właśnie to się liczy.

Nie mogę na niego patrzeć.

– Tak, papo.

Wracam do stołu i ponownie zabieram się za czyszczenie karabinu. Odpowiedni moment na chwilę zadumy, więc myślę szybko, intensywnie. Jeśli mama nie zgodzi się na sprzedaż złotego piasku, a tatko nie pozwoli mi zachować grudki, muszę znaleźć inny sposób, żebyśmy związali koniec z końcem.

Waham się przez chwilę. Dłoń ze ściereczką nieruchomieje na drewnianej rękojęści.

– Ja mogłabym to zrobić – mówię w końcu.

– Ale co, groszku? – dziwi się tatko.

– Mogłabym zawieźć nasze złoto do Karoliny Północnej, żeby je wycenili. Wezmę Siwka i Akację, konie będą zadowolone, że...

– Nie ma mowy – ucina mama.

– Miło z twojej strony, że to proponujesz – mówi tatko łagodniejszym tonem. – Ale taka wyprawa to nie jest przedsięwzięcie dla samotnej młodej dziewczyny.

– Na pewno cię napadną – tłumaczy mama. – Albo jeszcze gorzej.

Wzdycham. Musiałam spróbować.

Wzrok mamy łagodnieje.

– Leah, bardzo nam pomagasz i bardzo cię za to kocham, ale gdybym ci na to pozwoliła, tego byłoby już za wiele.

– Wiesz co? – rzuca tatko. – Kiedy kaszel mi przejdzie, może mama pozwoli ci pojechać ze mną.

– Może – przyznaje mama bez przekonania.

– Byłoby wspaniale – mówię.

Kiedy kaszel przejdzie, kiedy kaszel przejdzie, kiedy kaszel przejdzie... Tyle razy już to słyszałam, że te słowa rozbrzmiewają mi w głowie jak piosenka.

Może nastawię pułapki. Może znowu przyjdzie powódź i dzięki temu będziemy mieli pretekst, żeby twierdzić, że znaleźliśmy sporo złota. Może zboża udadzą się bardziej, niż mi się wydaje. Może po prostu ucieknę do Charlotte z woreczkiem złota, a później będę błagała o przebaczenie.

Może zostanę prawdziwą czarownicą, która umie rzucać zaklęcia i sprawi, że w naszej szopie będzie sucho, a w piwnicy pełno.

Rozdział 3

Rano powietrze ociepliło się na tyle, że między moimi górami ścieli się gruba, niebieska mgła. Ze względu na wczorajszy myśliwski sukces tatko zgadza się, żebym zaprzęła Peonię do wozu i pojechała do szkoły.

Kiedy tylko zajeżdżam pod szkołę, widzę, że coś się dzieje. Maluchy, zamiast obrzucać się śnieżkami albo bawić w berka, stoją zbite w ciasną gromadkę, ściskają w łapkach pojemniki z jedzeniem i rozprawiają o czymś ściszonymi głosami. Może umarł ktoś ważny. Gubernator. Albo nawet prezydent. Ale nie, flaga jest wysoko na maszcie.

Pętam nogi Peonii i rozglądam się po szkolnym dziedzińcu w poszukiwaniu Jeffersona. Zawsze wie o wszystkim, co się wokół dzieje, jeśli ktoś powie mi prawdę, to na pewno on.

Pierwsza podchodzi do mnie córka sędziego, Annabelle Smith.

– A niech mię, toż to nasza Szara Lee! – woła. – Zajeżdża pod szkołę powozem jak prawdziwy chłopak, którym chyba jest! – Dziewczyny w mniej więcej moim wieku tłoczą się wokół niej i chichoczą, kiedy do nich podchodzę.

– Widziałyście Jeffersona? – pytam.

– Nie powinnaś być teraz na polowaniu? – Kiedy się uśmiecha, ma na policzkach cudowne dołeczki. Bóg musi mieć dziwaczne poczucie humoru, skoro obdarzył osobę o anielskim wyglądzie iście diabelskim charakterem. – Albo grzebać się w strumieniu?

– Proszę cię, Annabelle – mówię znużona. – Nie dzisiaj. Chciałabym tylko porozmawiać z przyjacielem.

Poważnieje, wskazuje kierunek ruchem głowy.

– Chyba chce ci coś pokazać.

Nie wiem, co ma na myśli, ale dziękuję jej skinieniem i idę w stronę wychodka.

A za nim jest Jefferson, w otoczeniu warkoczy i sukni, co dziwne, bo dziewczyny z miasta, nawet te młodsze, zazwyczaj go unikają. Przewyższa je wszystkie co najmniej o głowę. Jest wysoki, tak wysoki, że nogawki spodni odsłaniają stopy – znowu bosa, nawet w zimie, czyli znów wyrósł z butów.

Ma grube czarne włosy i prosty wąski nos po mamie z plemienia Cherokee. Na policzku ciemnieje stary siniak.

Widzi mnie i macha kartką papieru. Przeciska się przez grupkę dziewcząt, podbiega do mnie w połowie drogi, przy wejściu do małego białego budyneczku, w którym mieści się nasza szkoła. Dziewczyny przyglądają mi się uważnie, ale do nas nie podchodzą.

– Złoto, Lee! – krzyczy, zanim zdążę o cokolwiek zapytać. – Odkryli złoto w Kalifornii.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Jesteś pewien?

Podaje mi wycinek z gazety, niewyraźny, bo dotykało go wiele dłoni, i stary – z 5 grudnia 1848 roku, ponad miesiąc temu.

– Prezydent Polk powiedział to w Kongresie, więc to musi być prawda.

Myśli i emocje kłębią się szybko, gwałtownie, aż nie jestem w stanie ich nazwać. Osuwam się na ubłocone stopnie, nie przejmuję się, że ubrudzę prawie najlepszą spódnicę. Nerwowo pocieram podbródek. Złoto jest wszędzie, w każdym razie w małych ilościach. Ile musi go być, żeby prezydent ogłaszał to w Kongresie?

– Lee? – pyta. – Co ty na to? – Jego poważne zazwyczaj oczy płoną. Aż za dobrze znam ten ogień. Być może jest także w moim spojrzeniu.

– Ja na to, że pewnie wyruszysz na zachód, podobnie jak całe miasto. – Więc stąd ta powaga. Dahlonga powstała wskutek gorączki złota i każde dziecko w promieniu wielu mil zrozumie, że nadchodzi zmiana, czy tego chce, czy nie.

Siada koło mnie, opiera łokcie na kościstych kolanach, które niemal sięgają mu uszu.

– Mówią, że tyle tam złota, że można je zbierać z ziemi. Ktoś taki jak ja mógłby...

Cisza między nami się przeciąga. Nie znosi mówić o tym, co boli go najbardziej: nawet ze mną właściwie o tym nie rozmawia. Jefferson jest synem wrednego Irlandczyka, poszukiwacza złota, i słodkiej mamy z plemienia Cherokee, która uciekła za braćmi przed dziesięć laty, gdy Indian wysłano do Oklahoma. W całym Dahlonga nikt nie miał jej tego za złe, choć zostawiła syna z nicponiem za ojca.

Więc kiedy Jefferson mówi „ktoś taki jak ja”, ma na myśli „głupiego Indianca bez matki”, bo to jedno z gorszych wyzwisk, którymi obrzucają

go ludzie, bez sensu, moim zdaniem, bo nie znam mądrzejszego chłopaka od niego.

– Tato będzie chciał pojechać – mówię w końcu. I ja też, szczerze mówiąc. Złoto mam we krwi, w oddechu, nawet w oczach, kocham je tak samo, jak ojciec Jeffersona swój samogon.

Ale na Boga, jestem zmęczona. Zmęczona staraniem, by zastąpić papie trzech synów, zmęczona pracowaniem jak dorosły mężczyzna, zmęczona kpinami innych dziewcząt. Zmęczona wiecznymi zmartwieniami, zmęczona obawą, co złego może się stać, gdy ktoś dowie się o moim złotowidzeniu. Gdybyśmy pojechali na zachód, do miejsca, w którym jeszcze jest złoto, wszystko zaczęłoby się od nowa, jeszcze ciężiej, jeszcze trudniej.

Jednak z drugiej strony, może akurat w Kalifornii taka dziewczyna jak ja nie musi się tłumaczyć, jakim cudem znalazła tyle złota. Może tam wreszcie będziemy mogli się wzbogacić.

– Mój ojciec będzie chciał pojechać – mówi Jefferson. – Ale nie stać nas na ekwipunek. Popatrz na to.

Rozkłada gazetę. Na samym dole artykułu jest lista rzeczy, które musi zabrać ze sobą rodzina wybierająca się na zachód: osiem wołów, wóz, muł, strzelby, pistolety, pięć baryłek mąki, czterysta funtów bekonu...

– To ponad sześćset dolarów – mówię.

– Dla rodziny trzyosobowej, jak wasza. Ale nawet dla jednej osoby potrzeba co najmniej ze dwieście. – Kręci głową. – Musi być jakiś sposób.

Wiem po jego głosie, tak samo jak wiem, że w medalionie mamy nie ma ani krzty mosiądzu, że najbardziej na świecie chce jechać na zachód.

– Uciekniesz – mówię.

– Może. Sam nie wiem. – Uderza bosą stopą w schodek, aż błoto przelewa się przez skraj. – Mógłbym wziąć karą kłacz, polować w drodze. Albo zatrudnić się u kogoś, pilnować bydła. Tylko że... Tylko...

– Jeff? – Przyglądam się uważnie, chcę go zrozumieć. Ma szerokie usta, które błyskawicznie rozciągają się w uśmiechu, ale w tej chwili nic nie rozjaśnia jego twarzy.

– Pamiętasz tamten rok, kiedy potok wysechł i w resztkach złapaliśmy pięćdziesiąt kijanek? – pyta cicho.

– Jasne – odpowiadam, choć nie mam pojęcia, czemu to przypomina. – Pamiętam, jak wrzuciłeś mi je za bluzkę.

– A ty piszcziałaś jak małe dziecko.

Szturcham go w ramię.

Odskakuje, przygląda mi się z komiczną dezaprobatą.

– Dawniej twoje ciosy tak bardzo nie bolały.

– Ćwiczenie czyni mistrza.

Patrzy gdzieś w dal. Machinalnie drapie się w ramię i mówi:

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Lee.

– Wiem o tym.

– Jesteśmy już za starzy na szkołę. Przychodzę tu tylko ze względu na ciebie.

– Wiem o tym.

Nagle odwraca się, zamyka moje dłonie w rękawiczkach w swoich, gołych.

– Jedź ze mną na zachód – wyrzuca z siebie.

Otwieram usta, ale nie pada z nich żadne słowo.

– Wyjdź za mnie. Albo... To znaczy... moglibyśmy mówić wszystkim wokół, że jesteśmy małżeństwem. Albo może rodzeństwem, jak tam sobie chcesz. Ale jesteś taka jak ja. Twój tatko jest chory i wiem, że tak naprawdę ty pracujesz w polu, tak samo jak ja na ziemi mojego ojca. Wiem, że wszystko, co jest na waszej ziemi, to zasługa twoich rąk. – Ścisną moje dłonie tak bardzo, że to niemal nie do zniesienia. – To nasza szansa, by zacząć nowe życie. Mamy prawo, żeby... Dlaczego kręcisz głową?

Jego słowa niosły nadzieję, tak czystą i szybką jak cios ostrogą w bok. Ale teraz oczy zachodzą mi gorącymi łzami. Jefferson częściowo ma rację: to dzięki mnie wiążemy koniec z końcem. Ale niezupełnie wie, do jakiego stopnia.

– Leah?

Wzdycham ciężko.

– I tu się różnimy. Bo ja kocham moich rodziców. Nie zostawię ich. I owszem, to moje dzieło, ale i ich. Jestem dumna z tego, co osiągnęliśmy. Nie mogę tego zostawić.

Puszczają moje ręce. Razem patrzymy na zaśnieżony dziedziniec. Inni obserwują nas z daleka. Na pewno widzieli, że trzymaliśmy się za ręce, na pewno. Ale nie zwracamy na nich uwagi. Nigdy nie zwracamy na nich uwagi.

– Może się okazać, że nie masz wyboru – zauważa. – Jeśli twój tatko zechce jechać do Kalifornii...

I znowu ukłucie nadziei.

– Mama wybije mu to z głowy. Jest za bardzo chory.

– Ale gdybyś pojechała...

Rozlega się dzwonek, wzywa nas do środka.

– Później pogadamy – mówię i cieszę się, że to koniec tej rozmowy. Muszę sporo przemyśleć. Szczerze mówiąc, mam tyle do przemyślenia, że nie bardzo mi idzie pomaganie maluchom w dodawaniu, a kiedy pan Anders bierze mnie do tablicy i karze wymienić prezydentów, myślę Madisona i Monroego.

Zaraz po lekcjach jadę do domu, nie zawracam sobie głowy pożegnaniem z Jeffersonem, ale macham mu z daleka. Muszę jak najszybciej znaleźć się na otwartej przestrzeni, zrobić miejsce dla myśli o Kalifornii, złocie i zachodzie, że już nie wspomnę o zadziwiającym, niezaprzeczalnym fakcie, że Jefferson mi się oświadczył.

Jeśli chodzi o oświadczyzny, nie o takich marzy dziewczyna, gładząc pościel w kufunku z posagiem. Nie wiem nawet, czy mówił poważnie, tak gwałtownie wyrzucił to z siebie.

Myślałam o małżeństwie, oczywiście, ale chyba nikomu nie wpadłam w oko. Powszechnie wiadomo, że całymi dniami kucam nad potokiem, rozbijam skały oskardem albo wyrzucam gnój z szopy, że mam sokole oko i pewną rękę i przynoszę z lasu więcej dziczyzny niż tatko, i to w najlepszych okresach. Może gdybym była ładna, wybaczonoby mi brak ogłady, ale nie jestem. Owszem, mam niebrzydkie oczy, takie złotobrazowe, jak mama. Ale patrzę na ludzi takim wzrokiem, że robi im się nieswojo, tak przynajmniej twierdzi Jefferson, ale zawsze mówi to z uśmiechem, jakby to był komplement.

Tylko jeden, jedyny raz poskarżyłam się papie na brak perspektyw. Wzruszył wtedy ramionami, powiedział:

– Silny podbródek, silne serce – i pocałował mnie w czoło. Nigdy więcej nie narzekałam. Mój tatko wie, ile jestem warta.

Jefferson chyba też i serce mi pęka na myśl, że on odjedzie, a ja zostanę. Ale prawda jest taka, że nigdy nie myślałam o nim w kategoriach małżeństwa. A po tym, jak kiepsko mi się oświadczył, sam Jefferson chyba też nie jest zachwycony tym pomysłem.

Nad wzgórzami pada strzał, cichy, odległy. Minutę później jeszcze jeden. Ktoś pewnie poluje. Życzę mu szczęścia.

Kiedy moim oczom ukazuje się strumyk o oblodzonych brzegach i wąska dróżka, która prowadzi do domu, dochodzę do wniosku, że nie ma wyjścia, muszę o wszystkim porozmawiać z mamą i tatkiem. Ukrywamy różne rzeczy przed obcymi, ale nie przed sobą.

Peonia rzuca łbem, jakby wyczuwała moje myśli. Nie, to zagajnik działa jej na nerwy, jest za cichy, za nieruchomy.

– Wszystko będzie dobrze, kochana – mówię. Mój głos niesie się pustym echem.

Pomiędzy bezlistnymi drzewami widać już naszą ziemię. Już zawracam Peonię do szopy, kiedy coś przykuwa moją uwagę.

Męski but. Znoszony, pomarszczony, sam jeden, ciśnięty na śnieżną zaspę przy ganku.

– Tatko? – szepczę i nieruchomieję na dwa uderzenia serca.

Zeskakuję z ławki, moja spódnica zahacza o szprychy, wyrywam ją, biegnę do domu. Ale już wkrótce osuwam się na kolana, zginam wpool, oddycham z trudem.

Bo tatko leży na wznak na schodach na werandzie, z szeroko rozrzuconymi nogami, bosy. Pod jego głową widnieje czerwona kałuża, krew spływa na stopnie. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w niebo, a nad nimi, na czole bielszym niż śnieg, widnieje, jak trzecie oko, ciemna dziura po kuli.

– Mama! – krzyczę raz za razem. Nie mogę oderwać wzroku od twarzy tatka. Wydaje się zaskoczony. I żywy, nie licząc tego nieruchomego spojrzenia.

Co robić? Odciągnąć go na bok, zanim zniszczy całą werandę? Może. Albo założyć mu buty. Dlaczego wyszedł na zewnątrz bez butów?

Ręce mi drżą. Muszę coś zrobić. Coś naprawić. Wzrokiem przeszukuję schodki, werandę, stojące otworem drzwi, ale widzę tylko ten jeden but w śnieżnej zaspie.

– Mamo? Gdzie są buty tatka? – Mój głos niesie się piskliwie w zimowym powietrzu.

Chwytam się poręczy i z trudem wstaję. Znajdę ten nieszczęsny but i wszystko będzie dobrze. Dlaczego mama nie odpowiada?

Nagle świat znowu się porusza. Osuwam się na poręcz.

Dwa strzały. Słyszałam dwa strzały.

– Mama – szepczę.

Biegnę. Biegnę przez salonik, pokój rodziców, kuchnię, w której jeszcze panuje bałagan po kolacji. Na piętro, tam gdzie sypiam, i z powrotem na dół. Słońce przebiło się przez chmury, zalewa okna światłem. Wszędzie widzę oznaki matczynej miłości – błękitne zasłanki w moim pokoju, sosnowe gałęzie oplatające surową poręcz, kwiaty z papieru pakowego w wazonie na kominku. Wczorajszy gulasz z dziczyzny, jeszcze ciepły na piecu.

Ale mamy nigdzie nie ma, a dom jest tak pusty, że ściska mi się serce.

Cały czas wołam ją po imieniu. Wybiegam na zewnątrz, walę w drzwi wychodka, zaglądam do szopy, biegnę przez nasz malutki strumyk, wbiegam do brzoskwiniowego sadu.

Pod drzewami zatrzymuję się gwałtownie. Świat jest nagle pusty i cichy. Za cichy, jakby nawet drzewa musiały na chwilę ucichnąć i posmutnieć. Może to i dobrze; powinnam przestać panikować i zacząć myśleć. „Mądra z ciebie dziewczyna, Lee”, powtarza zawsze tatko, zwłaszcza kiedy głowię się nad algebrą. „Dasz radę”.

Zimowy chłód przenika przez buty, które jeszcze nie do końca wyschły po wczorajszym polowaniu. Otulam się ramionami dla ochrony przed zimnem i strachem. W oddali prychnie Peonia. Zostawiłam biedaczkę zaprzęzoną do wozu. Musi jeszcze poczekać. Zamykam oczy, koncentruję się, obracam wkoło, jak igła kompasu.

Złoto wzywa mnie od północy, za sadem, z miejsca, w którym zaczęliśmy z papą pracować, zanim spadł śnieg. O wiele cichszy, jakby z oddali, jest głos, którego szukam; hymn czystości, gula słodczy w moim gardle. Grudka albo, taką mam nadzieję, medalion mamy.

Od strony szopy. Ale przecież już tam byłam. Czego nie zauważyłam?

Gula słodczy każe mi wracać między drzewami brzoskwiniowymi o nagich gałęziach, przez lodowaty strumyk. Wrażenie nabiera intensywności, w miarę jak jestem coraz bliżej. Nie płynie z wnętrza szopy, tylko zza budynku, zza kurnika, od strony sterty drewna.

Ziemia przy kurniku jest zasłana piórami; coś tak bardzo przeraziło biedne ptaki, że aż ich pióra wydstały się przez otwory w ścianach. Słodczyk w moim gardle przeradza się w gorycz. Z trudem robię kolejne kroki.

I tam ją znajduję; siedzi oparta o stertę drewna, z nogami wyciągniętymi przed siebie, ze spódnicą zadartą tak wysoko, że widzę skraj szarej pończochy nad cholewką buta. Medalion, który mnie do niej doprowadził, spoczywa na jej piersi powyżej serca, mieni się w słońcu. Krew spływa aż poniżej talii. Dostała w brzuch.

Trzepocze powiekami, kiedy podchodzę bliżej, i wyciąga do mnie rękę.

– Leah – szepcze. – Moja śliczna dziewczynka.

Podbiegam do niej, chwytam za rękę.

– Pojadę po doktora – mówię. – Trzymaj się. – Chcę się odsunąć, ale trzyma mnie mocno, choć wzrok ma tak mętny, że wydaje się, że koncentruje

się na mnie nie dłużej, niż trwa dotyk motyla.

– Moja silna dziewczynka. Silna, doskonała...

– Kto ci to zrobił? – Łzy palą mnie w oczy.

Głowa opada jej w moją stronę, jakby ten ruch pozwolił jej patrzeć tam, gdzie uciekają oczy.

– Zaufaj komuś. Nie można być tak samotnym, jak my byliśmy. Nie mieliśmy z tatkiem racji... – Mówi coraz ciszej.

– Mama?

– Uciekaj, Lee. Uciekaj...

Podbródek opada jej na piersi, nie mówi już nic więcej.

Rozdział 4

Potrzebuję pomocy. Powinnam pojechać po szeryfa. Albo po sędziego Smitha.

Wiem o tym.

Ale mogę tylko kucać i patrzeć. I tak nie ma znaczenia, co teraz zrobię. Nic, absolutnie nic nie sprawi, że mama i tatko okażą się mniej martwi. A kiedy wstanę i odejdę, wszystko będzie inaczej. Chcę, żeby ta chwila, ten moment zawieszenia, kiedy nie jestem jeszcze sierotą, nie jestem jeszcze całkiem sama, trwała chwilę dłużej.

Ma na sobie zimową suknię, tę z czarnej wełny. Dotyka podbródkiem koronki wysokiego kołnierzyka. Staram się nie patrzeć na jej brzuch, wędruję wzrokiem po ubłoconym skraju sukni. Chciała uciekać.

Delikatnie poprawiam suknię tak, że zakrywa jej pończochy, wsuwam pod kostki, żeby wiatr jej nie zadarł. Lśniący brązowy kok przechyła się na jedną stronę. Podnoszę ręce, żeby poprawić szpilki, ale drżącymi dłońmi tylko wszystko psuję.

Z trudem przełykam ślinę. Mama miała piękne włosy. Lśniące, jasnobrązowe, ze złotymi połyskami. Rozpuszczone spływały poniżej talii.

Medalion mruga do mnie, błyszczy na czarnej wełnie. Chciałaby, żebym go miała. Ale jeśli go zdejmę, to będzie takie ostateczne.

Trzaska gałązka. Podrywam się na równe nogi. Odgłos dobiegł z zagajnika za szopą. Może to szop albo i jelen, ale i tak wyobrażam sobie wzrok mordercy, gdy na szyi mamy szukam zapięcia. Z trudem to wszystko ogarniam. Cała zamieniam się w słuch, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Złoto łaskocze mnie w opuszki palców, gdy mocuję się z zapięciem. W końcu ustępuje. W ostatniej chwili chwytam medalion, zanim zsunie się z łańcuszka. Wpycham jedno i drugie do kieszeni.

– Tak mi przykro, mamó – szepczę. – Muszę iść.

Tylko dokąd? Wszystko spowija dziwna mgła. Jedno wiem na pewno – mama kazała mi uciekać.

Nie mogę jej tutaj tak zostawić, to nie w porządku. Potrzebuję pomocy, potrzebuję...

Jefferson! Będzie wiedział, co robić. Dotrę do McCauleyów w dwadzieścia

minut i jeszcze zdążę wrócić.

Lepiej, żebym miała broń.

Biegnę do domu, gwałtownie otwieram drzwi. Nad kominkiem jest półka na naszą broń palną. Mamy trzy sztuki – stary muszkiet z bagnetem, nowszego hawkena, z którym zawsze chodzę na polowania, i rewolwer. Muszkiet i hawken pozwalają dokładnie wymierzyć, ale trudno się je ładuje na końskim grzbiecie, zwłaszcza tak drżącymi rękami jak moje. Czyli zostaje rewolwer.

Zdejmuję go z półki, dotykam rękojeści z kości słoniowej. Coś nie daje mi spokoju, kiedy na niego patrzę, coś gryzie jak komar. Myślę o papie w kałuży własnej krwi. Żółć podchodzi mi do gardła. Przełykam ją z trudem.

Dziura na jego czole. Malutka, idealnie okrągła. Tył jego czaszki jest pewnie w strzępach, ale poza tą małą dziurką czoło jest równie gładkie jak alabastrowa waza pani Smith.

Karabin zostawia inne ślady. Do tatka strzelono z rewolweru, takiego jak ten, który trzymam w dłoni. Albo może z jeszcze mniejszego, jak te nowe colty. Czy znam kogoś, kto ma taką broń?

Myślę intensywnie, ale znowu spowija mnie mgła i za całe złoto tego świata nie mogę się skupić.

Jefferson. Potrzebuję Jeffersona.

Rzucam się do drzwi, zostawiam je otwarte. Kołyszą się na wietrze. Przeskakuję schody i ciało tatka. Wyprzęgam Peonię, zadzieram spódnicę, wchodzę na koło wozu i wdrapuję się na jej grzbiet.

* * *

Ziemia McCauleyów znajduje się w mrocznej dolinie między dwoma wzgórzami porośniętymi brzoza. Jefferson wykarczował drzewa z jednego zbocza i zasiał tam kukurydzę, teraz zbrązowiała i wyschnięta, bo jest zima. Ale reszta ziemi jest dzika, porośnięta tak gęstą roślinnością, że słońce niemal nigdy nie dociera do ziemi. To ponury, ciemny zakątek, stworzony do ukrywania różnych tajemnic, od destylarni księżycówki po złamane serce.

Pokonujemy z Peonią potok o oblodzonych brzegach, mijamy gnijącą, zapomnianą śluzę. Ściągam jej lejce dopiero koło domu. Jest to mała chata z bali, z tarninowym dachem. Nad kominem unosi się dym, wiatr gwizdże w pękniętej tafli jedyne okna.

– Jefferson! – Zsuwam się z grzbietu Peonii. Biegnę po uschłych chwastach

do drzwi, pokonuję skokiem zapadnięte schody, walę pięścią w drzwi. – Jefferson!

Nugget, jego suka, szczeka z wnętrza domu. Słyszę zbliżające się kroki. Drzwi otwierają się gwałtownie i w progu staje ojciec Jeffersona, niski mężczyzna o zmierzwionych siwych włosach, w pogniecionym ubraniu, z wielkim, czerwonym nosem.

Poprawia szelki na ramieniu, mruga na widok bladego światła, choć na dworze panuje prawdziwa jasność w porównaniu z wnętrzem chaty.

– Panienska Lee – bełkocze.

Ze środka dociera kwaśny, ciepły zapach, jak chleba z zakalcem.

– Muszę porozmawiać z Jeffersonem – mówię.

– Nie mam pojęcia, gdzie się włóczy ten nicpoń. – Nugget wygląda zza jego nóg. Ciekawie nadstawia złote uszy.

– A nie wie pan, gdzie...

– Mówię, że nie wiem.

– Wrócił do domu po szkole?

– Może i tak.

Coś we mnie pęka.

– Więc niech pan przez minutę pomyśli, do cholery! Bardzo cierpię i muszę z nim porozmawiać.

Pan McCauley się krzywi.

– Zważaj na słowa, dziewczyno.

Zaciskam pięści, mam ochotę rozkwasić mu ten błyszczący, czerwony nochal. Niech o moim dobrym charakterze świadczy to, że odwracam się i oddalam biegiem. Sama znajdę Jeffersona.

Drzwi zamykają się za mną z trzaskiem, więc ze zdumieniem czuję w dłoni wilgotny nos Nugget. Idę w stronę wychodka.

Zatrzymuję się przy drzwiach. Nie wypada, żebyśmy zaczęła w nie walić, jeśli Jefferson jest w środku. Ale nie mam innego wyjścia. Podnoszę rękę i wtedy słyszę świst siekiery.

Z ulgą zgarniam halkę i biegnę w stronę rudery, która miała być szopą, ale nigdy jej nie dokończyli i teraz służy jako drewnutnia.

Jefferson jest z tyłu, zakasał rękawy koszuli i rąbie drewno na opał na grubym pieńku. Na mój widok marszczy brwi i opuszcza siekiere.

– Lee?

I nagle oplatam się ramionami, słowa płyną strumieniem, sama nie wiem,

co mówię, poza tym, że słowo „martwi” zawisa w powietrzu, ostrzejsze, bardziej nieodwracalne niż trzask siekiery o pień.

Obejmuje mnie, przyciąga do siebie. Pachnie znajomo, bezpiecznie, świeżym drewnem i ziemią i w końcu płaczę – szlocham głośno, moczę mu koszulę.

– Dobrze, Lee – mówi w końcu. – Spokojnie. Zaczynaj od początku i wszystko mi opowiedz. Wszystko po kolei.

I tak właśnie robię. Kiedy mówię, widzę jego poważną minę. Choć jedzenie co chwila podchodzi mi do gardła i mówię bezładnie, Jefferson zachowuje spokój, jakby był co najmniej dwukrotnie starszy, niż jest.

– Może to bandyci – mówi, choć widzę, że sam nie bardzo w to wierzy.

– Niczego nie zabrali. Nie było tylko jednego buta tatka.

– Jak myślisz, kiedy ich zastrzelono?

– Słyszałam strzały w drodze do domu. Mama jeszcze żyła, kiedy ją znalazłam. A tatko... Krew nie zastygła. Jeff, wybiegł z domu z butami w dłoni. Dlaczego?

Jeff dotyka nasady moich pleców, delikatnie pcha mnie w stronę domu. Potykam się, usiłując za nim nadążyć.

– Dokąd...

– Idę po strzelbę – wyjaśnia. – Może twój tatko usłyszał strzał i wybiegł na dwór.

Nugget truchta koło nas.

– Ale czy w takiej sytuacji sam nie chwyciłbyś za strzelbę? A on po prostu wybiegł na dwór. Jakby... jakby...

Jefferson zatrzymuje się w pół kroku. Mało brakowało, a wpadłabym na niego.

– Jakby znał intruza. Jakby bardzo się ucieszył na jego widok.

Podnoszę głowę.

– Ale kto to mógł być? Tatko... – Jedna myśl nie daje mi spokoju. – Zanim mama... kazała mi uciekać.

– Obawiała się, że morderca nadal jest w pobliżu.

Przyglądamy się sobie uważnie.

– Jest źle, co? – mówię.

– Dojdziemy do sedna tej sprawy, obiecuję cię. Masz broń?

– Rewolwer. Naładowany po drodze. Pięć naboju.

– Dobrze. Nugget, zostań z Lee. Zaraz wracam. – Otwiera drzwi, znika

w mrocznym wnętrzu.

Jefferson nigdy nie wpuszcza mnie do środka. Nie chce, żebym wiedziała, jak źle układają się stosunki między nim a jego ojcem, a nie wie, że już dawno się domyśliłam, że pan McCauley pędzi w domu księżycówkę. Są rzeczy, których nawet najlepsi przyjaciele sobie nie mówią.

Nugget opiera się o moją nogę, pochylam się, żeby podrapać ją po szyi. Zawsze się lubiliśmy.

W chacie rozlega się głucho uderzenie, a potem pan McCauley krzyczy coś gniewnie. Jefferson wychodzi po chwili ze strzelbą. Idzie do zagrody z kozami. Razem z Nugget depczemy mu po piętach.

Chwyta karą klacz – nigdy nie nadali biedaczce imienia, zawsze jest tylko „karą klaczą”. Nie mają porządnej szopy, więc trzymają ją w zagrodzie z kozami. Jefferson wsiada, ja wspinam się na płot i dopiero wtedy ląduję na grzbiecie Peonii, i ruszamy. Jefferson prowadzi na południe, w stronę mojego domu.

– Wracamy tam? – Myślałam, że pojedziemy po pomoc.

– Doktor im już i tak nie pomoże – zauważa łagodnie. – A żaden morderca z odrobiną oleju w głowie nie zostałby na miejscu zbrodni. Wiesz, co mam na myśli, Lee? – tłumaczy. – Złoto Szczęściarza Westfalla to tutejsza legenda. Ledwie rozejdzie się wieść, że twoi rodzice są już u Świętego Piotra, całe miasteczko się zjedzie. Wszyscy sądzą, że twój tatko ukrył...

– Och. – Znowu mam łzy w oczach. Już to sobie wyobrażam. Annabelle Smith i jej matka, które przyjadą z plackiem brzoskwiniowym i wyrazami współczucia, i rozbieganym wzrokiem. Szeryf Weber, szukający na naszej ziemi śladów, zaglądnący do szafek, pod bele siana, może nawet pod podłogę.

– Muszę się ukryć... Póki wszystko nie ucichnie. – Przy tych słowach czuję się okrutna i zimna. Potrzeba to surowa nauczycielka, mawiała mama. Pewnie nie podejrzewała, że okoliczności zmuszą mnie do szukania naszego złota, jeszcze zanim wyprawię jej porządny pochówek.

– To wszystko prawda, tak? – pyta Jefferson z nagłym smutkiem w głosie.

– To prawda – szepczę.

– No dobrze. – Kiwa głową, jakby do siebie. – Musimy działać szybko i ostrożnie. Na wypadek gdyby się okazało, że twoja mama miała rację i ten, kto to zrobił, został gdzieś w okolicy.

– Dobrze, że Nugget jest z nami.

– Ostrzeże nas, gdy kogoś wyczuje.

Przechodzimy obok wąwozu, w którym zaczęliśmy z papą pracę nad nową żyłą, a potem wchodzę na malutki cmentarzyk, na którym są tylko dwa nagrobki – naszego psa Orphy’ego i mojego malutkiego braciszka, który żył tylko trzy dni. Tato sam je wyrzeźbił. Wkrótce staną tu dwa kolejne. Nie wiem, kto je wyryje.

Przez sad jedziemy jeszcze wolniej. Jefferson siedzi dumnie wyprostowany na swojej kłaczy, wyczulony na cokolwiek innego niż zwykle. Mijamy kurnik, wewnętrzny głos zabrania mi patrzeć, ale nie mogę się powstrzymać i zerkam w tamtym kierunku. Sterta drewna zasłania mi widok, ale i tak dostrzegam nogi mamy. Nadal ma zadartą spódnicę.

Nad naszymi głowami przesuwają się cienie. Pochylam się odruchowo. Po chwili zdaję sobie sprawę, że to ogromny myszołów. Pierwszy z padlinożerców, który rzuca się na to, co moje.

– Wejźmy od tyłu – mówię. Niedługo i tak będę musiała spojrzeć na ciało tatka. Ale jeszcze nie teraz.

Jefferson prowadzi nasze konie przez ogród, do tylnej werandy. Rzuca mi lejce karej kłaczy, kładzie palec na ustach i szepcze:

– Sprawdź w domu. Poczekał tutaj. – Sięga po strzelbę i wchodzi do środka.

Nie wraca bardzo długo, a ja stoję w zimnym słońcu, z sępami nad głową, czując na plecach ciche spojrzenie lasu. Świat jest pusty i cichy. Za pusty.

Wstrzymuję oddech.

Nasze złoto.

Wyczuwam coś – ledwie zauważalny cień słodczy. Pewnie tylko wczorajsza grudka, wołająca do mnie z miejsca, w którym ukrył ją tato. Ale codzienne, wszechobecne pulsowanie, które odczuwam, ilekroć jestem w pobliżu naszego worka złota, znikło zupełnie.

Dziwne, jak pewnych rzeczy się nie zauważa, póki ich nie stracisz.

Rozdział 5

W końcu Jefferson wystawia głowę przez drzwi i mówi:

– Chyba nikogo tu nie ma.

Zsuwam się z Peonii, przywiązuję oba konie do poręczy werandy.

– Załatwmy to – mówię. Cięży mi świadomość tego, czego nie znajduję.

Jefferson każe Nugget zostać na zewnątrz. Skamle, gdy zamykają się za nami drzwi, ale lepiej mi, gdy pomyślę, że pilnuje wszystkiego na zewnątrz.

– Tędy – mówię do niego i prowadzę do kuchni. Sosnowy stolik, na którym wczoraj czyściłam hawkena, stoi krzywo, dywanik pod nim jest zagięty. Jedno z czterech krzeseł leży przewrócone.

Jefferson pomaga mi unieść stół. Klękam, odsuwam dywanik, odsłaniam deski podłogi, z których dwie nieznacznie różnią się od pozostałych.

– To nie jest najlepsza kryjówka – mówi Jefferson za moimi plecami.

Łzy płyną mi z oczu. Naciskam koniec desek tak, że drugi kraniec unosi się i mogę je wyjąć.

– Pewnie nigdy nie przypuszczaliśmy, że ktoś naprawdę nas napadnie. – Wsuwam rękę do skrytki.

– I co?

– Nic – odpowiadam martwym głosem. Wyjmuję pusty worek po mące. Mieliśmy zacząć go napełniać. Nadal jest starannie złożony w kostkę.

– Co zniknęło?

– Trzyfuntowy worek po mące.

– Pełen złota?

– Tak.

– Taki sam jak ten tutaj? Tylko że pełen?

– Mówię, że tak.

– Na Boga, Lee... trzy funty mąki... to przecież...

– Prawie sześć funtów złotego piasku – dopowiadam. Kucam, splatam ręce na kolanach, żeby nie drżały. – Ten woreczek był wart grubo ponad tysiąc dolarów.

Spokojnie wystarczyłoby na wyjazd do Kalifornii dla całej rodziny.

– Gdzie żeście to wszystko znaleźli? – W głosie Jeffersona jest bezbrzeżne

zdumienie i może odrobina gniewu.

– Tu i tam – odpowiadam. Unikam jego wzroku. Kłamstwo ciąży mi na sercu. – Mieliśmy szczęście.

– A teraz wszystko zniknęło.

Ocieram oczy, wstaję szybko.

– Mam coś dla ciebie.

– Co?

Zamykam oczy, odwracam się w miejscu.

– Tylko muszę sobie przypomnieć... – Tam. Na półce nad piecem, tam gdzie mamine kwiaty z żółtego papieru pakowego stoją w prostym drewnianym wazoniku. Podchodzę bliżej, odwracam wazonik do góry dnem. Grudka wpada w moją dłoń. Podaję mu ją. – Jest twoja. Ja... Znalazłam ją na waszej ziemi, kiedy polowałam na jelenia.

Zaciska dłoń na bryłce złota i milczy. Cały czas patrzy na pusty worek po mące, tuż obok skrytki. Jest na nim napis: CULBERT & SYNOWIE, młynarze.

– Musieliśmy sprowadzać worki z Anglii – mówię. – Żeby były małe. Tatko miał nadzieję, że ludzie w pierwszej chwili pomyślą, że naprawdę jest w nich mąka.

Podnosi głowę i wpatruje się teraz we mnie.

– Proszę, Jeff, powiedz coś. Tatko miał je zabrać do kopalni w Charlotte, gdzie nikt nas nie zna, ale zachorował. Czekają tu od ponad roku i... Cóż, mama mówiła, że ludzie nas znienawidzą, jeśli wzbogacimy się za bardzo, za szybko. Nie zniosłabym, gdybyś był jednym z nich.

– Nie o to chodzi. – Jeff kręci głową. W końcu chowa grudkę, którą mu dałam, do kieszeni. Myślałam, że o niej zapomniał.

– Więc o co?

Kuca przy pustym worku, muska go palcem. Ma ogień w oczach. Wyobraża go sobie ze złotem, ze słodkim, czystym złotem. I nagle cofa rękę, jakby użądliła go pszczoła.

– Chodźmy po szeryfa Webera – mówi. Podchodzimy do drzwi. Nugget wita nas radosnym piśnięciem.

– Nie mów mu! – proszę. Zatrzymuje się w pół kroku. – No wiesz, o złocie. Bo jeszcze ludzie pomyślą, że jest go więcej, i ktoś...

Widzę, jak jego ramiona wznoszą się i opadają w rytm oddechu.

– Skoro tak twierdzisz. – Zanim wsiaądzie na karą klacz, odwraca się

do mnie i mówi: – Ale wiesz co, Lee? Mnie mogłaś zaufać.

Kiwam głową, wstyd pali mnie w gardle. Tak wielu rzeczy jeszcze nie wie. Tylu nie mogę mu powiedzieć.

– Spakujmy twoje rzeczy. Na pewno ktoś w miasteczku cię przygarnie, póki... – zaczyna.

– Nie.

– Lee...

– Jadę po pomoc i zaraz tu wracam. Tutaj jest mój dom, Jeff.

Marszczy brwi.

– Obiecaj mi, że zawsze będziesz miała broń pod ręką. Będę do ciebie zaglądał, kiedy tylko to będzie możliwe.

– Dziękuję.

Jedziemy w stronę miasteczka. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś nas obserwuje. Może to skutek przeciągającej się śmiertelnej ciszy lasu, może widok wiecznie nastawionych uszu Nugget, która tak blisko trzyma się Peonii, że cudem nie ginie pod jej kopytami.

Choć to i tak bez znaczenia. Ten, kto nas obserwuje, tylko marnuje czas. I tak straciłam już wszystko.

* * *

Wieść o morderstwie obiega błyskawicznie całą Dahlenega. Kolejne dni mijają mi nie wiadomo kiedy, co chwila mam gości, przez co z jednej strony czuję się bardziej bezpieczna, z drugiej – głowa pęka mi z bólu. Z kondolencji przebija nuta ekscytacji, a kiedy pan Cooper, dyrektor kopalni rządowej, oddaje swoich ludzi do dyspozycji szeryfa Webera, żeby mógł przeczesać lasy w poszukiwaniu zabójcy, wygląda to wszystko na jedno wielkie święto.

Mama kazała uciekać, ale nie mam dokąd. Tu jest mój dom. Pracowałam równie ciężko jak rodzice i nie pozwolę się stąd wyrzucić. Tak więc godzinami siedzę w domu, udaję, że jestem wdzięczna za towarzystwo, i czekam na wieści, które nie nadchodzą. Cały czas mam pod ręką rewolwer, łamię zasadę, w myśl której w domu nie ma naładowanej broni. Liczę, że usłyszę, że bandyci buszowali w górach, że nie tylko nas zaatakowali, bo to oznaczałoby, że już jestem bezpieczna. Że mama nie miała nikogo konkretnego na myśli.

Przeczesywanie okolicy nie daje rezultatów. Szeryf Weber wypytuje

w hotelu pani Choice i w sklepie Wolnego Jima, bo podobno od tygodnia przewija się tam mnóstwo obcych w drodze na złotodajne pola Kalifornii. W końcu dochodzi do wniosku, że zbrodni dokonali bandyci, którym zamarzył się legendarny skarb Szczęściarza – choć zapewniam go, że coś takiego nigdy nie istniało – i że pewnie są już hen, na zachodzie, podobnie jak cała reszta nicponi.

Nie jestem pewna, czy ma rację, i robi mi się niedobrze na myśl, że zabójstwo moich rodziców ujdzie komuś płazem. Ale, niech mi Bóg wybaczy, odczuwam też coś na kształt ulgi. Nie wiem, co dalej, nie wiem, jak sama poprowadzę gospodarstwo. Może po pogrzebie będę w końcu miała czas i miejsce, żeby to wszystko przemyśleć, z dala od wścibskich spojrzeń i załamanych rąk.

Wszyscy delikatnie wypytyują o krewnych, jakby tym sposobem chcieli wyczarować rodzinę, której jak powszechnie wiadomo, nie mam. Rodzina mamy wyrzekła się jej, kiedy wyszła za tatka, i mama nie wspominała o niej ani słowem, odkąd wyjechała z Bostonu. Tatko ma tylko jednego brata, Hiram, eleganckiego prawnika, hen, w stolicy stanu, Milledgeville. W miejscu, w którym więzi rodzinne plenią się jak bluszcz na drzewach, jestem całkiem sama.

Może nie całkiem. Jest ktoś, kogo mogę prosić o pomoc.

Pewnego popołudnia Jefferson i kilku innych chłopców ze szkoły kopie groby dla moich rodziców. Ustaliłam, że za nagrobki musiałabym zapłacić dwadzieścia dolarów i może przy odrobinie czasu udałoby mi się znaleźć dość złotego piasku, ale to wzbudziłoby wiele pytań, więc na razie proszę tylko Jeffersona, żeby mi zrobił dwa drewniane krzyże.

W dzień pogrzebu jest o świcie przeraźliwie zimno. Topniejący śnieg zamarzył w ciągu nocy i wszędzie, na drzewach, na okapie szopy, nawet na kurniku, błyszczą malutkie sople. Cały świat lśni tak bardzo w zimowym słońcu, że aż trudno mi na to patrzeć.

Rano robię w obejściu to, co zawsze, myję się i zakładam najlepszą sukienkę – z brązowej wełny, z koronkowymi mankietami, z wcięciem w tali i ładnym żółtym wykończeniem. Skończyłyśmy ją z mamą zaledwie w zeszłym tygodniu.

Sama nie mogę mocno zasznurować gorsetu, ale i tak z łatwością zapinam sukienkę. Jeszcze nigdy nie miałam tak szerokiej spódnicy. Pamiętam, jak kręciłam się w kółko podczas ostatniej przymiarki i patrzyłam, jak się unosi,

mimo ciężkiego materiału. Mama zganiła mnie, że pokazuję halkę.

Staję przed naszym malutkim lusterkiem, żeby założyć medalion, i widzę jej twarz patrzącą na mnie z odbicia. Wszyscy mówią, że mam jej oczy – szeroko rozstawione, brązowe, trochę za głęboko osadzone. Ale dzisiaj jestem do niej podobna bardziej niż kiedykolwiek. Wydaję się starsza, mam zapadnięte policzki i oczy. Ostatnio bardzo mało jadłam.

Zapinam łańcuszek na szyi. Podnoszę koronkowy kołnierzyk, żeby nie było go widać. Medalion spoczywa na mojej piersi, tuż nad sercem. Zmysł złota przynosi ulgę. Być może już nigdy go nie zdejmę.

Ktoś puka do tylnych drzwi. Zerkam na stół, żeby się upewnić, że rewolwer jest na miejscu. Od kilku dni cały czas mam go pod ręką, bo morderca rodziców jest uzbrojony, ma co najmniej jednego colta. Jeśli odwiedzający mnie ludzie dziwili się, że jestem uzbrojona, nie komentowali tego.

Chwytam rewolwer i idę do drzwi, i nagle robi mi się wstyd: na schodach na ganek nadal widnieje krwawa plama, choć szorowałam i szorowałam, i szorowałam. Plama jest teraz brązowo-czarna, zupełnie nie przypomina krwi, ale jeśli wkrótce nie wymienię tych desek, zawsze, ilekroć będę wychodziła na dwór, będę widziała w tym miejscu ciało tatka. Może Jefferson mi pomoże.

Jakbym przywołała go myślami – otwieram drzwi i oto on, ze spuszczoneym wzrokiem i pomiętym kapeluszem w dłoniach. Nugget siedzi u jego stóp i radośnie macha ogonem.

– Jadę na zachód, Lee – wyrzuca z siebie.

Jak cios w brzuch.

– Co? Kiedy?

W końcu podnosi wzrok, a ja głośno nabieram tchu, bo na prawym policzku ma siniak koloru fiołków, a oko zapuchło tak, że nie może go otworzyć.

– Teraz – odpowiada.

– Boże, Jeff, co się stało? Czy to twój ojciec? Zabiję go, jeśli...

– Jedź ze mną.

Kara klacz stoi przy schodkach. Sakwy przy siodle, długa strzelba Jeffersona w kaburze od strony zadu.

– Ta grudka, którą mi dałaś. Powinienem ci ją oddać, ale... Właśnie wracam ze sklepu Wolnego Jima. Kupił ją ode mnie. Zapłacił tyle, że starczy na miejsce na wozie.

– Nigdy nie była moja. Mogłeś z nią zrobić, co tylko chciałeś.

– Więc jedź ze mną do Kalifornii. Choćby dzisiaj mogłabyś sprzedać ziemię

panu Gilmore'owi.

Zamykam oczy i widzę przejrzyste górskie potoki pełne złotych płatków, grudki czekające wśród sosnowych igieł, tyle zwierzyny, że wystarczy wyjść na ganek i polować. Dla dziewczyny takiej jak ja Kalifornia to ziemia obiecana.

– Posłuchaj, Leah, gdybyś to zrobiła, mielibyśmy dość pieniędzy, żeby zapłacić za podróż i...

– Sama nie wiem. – O to chodziło w jego oświadczeniach? Chce mieć pomocnika w drodze na zachód?

– Pan Gilmore od lat miał waszą ziemię na oku – obstaje przy swoim.

Kręcę przecząco głową.

– To i tak bez znaczenia. Jestem tylko dziewczyną, nie mogę niczego sprzedać, póki nie znajdę testamentu tatka na dowód, że to wszystko jest moje.

– Nie bardzo wiem, jak to zrobić. To wujek Hiram przed laty spisał jego testament. – Jeff, tu jest mój dom. Harowałam w pocie czoła, żeby powstało tu coś ładnego. Nie wiem, co ze mną będzie, jak sobie sama poradzę, ale...

Podchodzi bliżej, aż wypełnia sobą całą framugę. Kiedy właściwie Jefferson tak urósł?

– Więc po prostu jedźmy.

Na miłość boską! Czuję, jak w moim sercu znowu otwiera się bolesna rana, taka sama jak ta, która zjawiała się, gdy zobaczyłam but tatka na śniegu.

– Muszę być na pogrzebie, muszę przejrzeć rzeczy rodziców, no i są moje kury i...

Zakłada kapelusz na głowę.

– Znam cię i wiem, że tego chcesz. Jeśli zmienisz zdanie, szukaj mnie w Independence, w stanie Missouri. Poczekam na ciebie. I tak na zachód nie ruszę, póki na prerii nie będzie świeżej trawy, bo inaczej kara klacz mi padnie. Ale dłużej nie mogę czekać, bo inaczej zima zastanie mnie w górach. – Zaciska usta w wąską linię. – Będę czekał w Independence tak długo, jak się da.

Odprowadzam go wzrokiem, a rana staje się coraz głębsza i bardziej bolesna. Słońce pada mu na ramiona, oświetla jak pochodnię i przez chwilę nie mogę oddychać.

Zatrzymuje się. Odwraca. Ze smutkiem w oczach mówi:

– Wygląda na to, że całe życie czekałem na twoją decyzję, Lee. Ale mężczyzna nie może czekać bez końca i dalej być mężczyzną.

Rozdział 6

Ledwie za Jeffersonem zamknęły się drzwi, rozległo się kolejne pu kanie. Wygładzam fałdy sukni i sprawdzam spinki we włosach, zanim je otworzę. Pani Smith, żona sędziego i matka Annabelle.

– Leah, moja droga, już się bałam, że coś ci się stało. – Wysuwa chudą dłoń w rękawiczce z futrzanej mufki i gładzi mnie po policzku, ale wzrokiem wędruje dalej, przeczesuje wnętrze domu. Szuka bałaganu, żeby później o nim plotkować, albo liczy, że jakimś cudem na kuchennym stole pojawią się wielkie worki złota.

– Wszyscy czekają przy grobie – mówi w końcu.

Ma na sobie czarną suknię z aksamitnymi wyłogami, odpowiednią na pogrzeb, ale moją uwagę przykuwa jej medalion, sprawia, że gardło mi wibruje. Złoty, jak medalion mamy, z wygrawerowanymi splecionymi sercami. Są w nich fotografie jej męża i Annabelle, zrobione podczas letniej wizyty w Charlestonie. Wiem, bo Annabelle opowiadała wszystkim po powrocie.

Mama nigdy w życiu nie pozwoliłaby na takie wydatki. W medalionie, który mam na szyi, jest kosmyk włosów mojego malutkiego braciszka.

– Idziesz, skarbie?

Czy pani Smith zdaje sobie sprawę, jaka z niej szczęściara, że ma całą, pełną rodzinę?

– Tak – mówię do medalionu. – Ja po prostu... Chciałam przez chwilę побыć sama.

– Oczywiście. – Wyczuwam w jej tonie nutę dezaprobaty. – Pójdę z tobą.

– Dziękuję.

Chwyta mnie za rękę, ciągnie na zewnątrz. Sędzia Smith czeka w progu. Na schodach uchyla kapelusza.

– Dzień dobry, panienko Leah.

Mruczę coś pod nosem. Smithowie biorą mnie między siebie. Oboje są wysocy i szczupli, idą niezachwianym, zdecydowanym krokiem, pewni swojej roli na tym świecie. Górują nade mną. Przytłaczają. Zamykają.

Słowa Jeffersona brzmią mi w uszach jak kościelny dzwon. „Będę na ciebie

czekał w Independence”.

Docieramy na miejsce. Inni żałobnicy stoją już przy przyprószonych śniegiem pagórkach – grobach moich rodziców. Powietrze przesycę zapach niedawno wzruszonej ziemi. Niemal wszyscy mają na sobie czarne ubrania. Stoją zbici w grupki, kulą się na zimnie, ich oddechy unoszą się białymi obłoczkami. Więcej osób niż chciałabym w tej chwili oglądać, mniej niż powinno się stawić na pogrzebie moich rodziców.

Annabelle Smith nawet w żałobnej czerni wygląda jak z żurnala. Ma podbitą króliczym futerkiem pelerynę i czepek z kwiatami z niebieskiego jedwabiu i długimi wstążkami. Jeannie, jej młodziutka niewolnica, stoi za nią i dygoce z zimna w muslinowej sukience. Wielebny Wilson ustawił się już między dwoma drewnianymi krzyżami. W jednej ręce ma opasłą Biblię, z drugiej strony – opasłą żonę.

Dziwię się, widząc ojca Jeffersona. Założył skórzaną kurtkę, żeby ukryć poplamione spodnie, i przygląda mi się ze smutkiem w przekrwionych oczach. Wie już, że Jefferson uciekł?

Za nim stoi Wolny Jim Boisclair, najbogatszy czarny w hrabstwie Lumpkin i dobry przyjaciel tatka. Ściszoną głosem rozmawia z innymi, których rozpoznaję z naszych rzadkich wizyt w kościele metodystów. Ma coś w ręku. Ulotkę, ale z tej odległości nie widzę, co na niej napisano. Kilka innych osób też ściska je w dłoniach. W powietrzu wyczuwa się oczekiwanie i energię, jak po kazaniu nowego pastora. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że największą atrakcją tego dnia jest ulotka, a pogrzeb to tylko pretekst do spotkania.

Na mój widok wielebny chrząka znacząco. Rozmowy cichną. Rumienię się, czując na sobie tyle spojrzeń, i oddycham z ulgą, kiedy zaczyna się mowa pogrzebowa.

Z niesmakiem stwierdzam, że wielebny robi z niej kazanie. Opowiada o trudach ziemskiego żywota, o tym, jak czasami ciężki los sprawia, że chcemy uciekać na koniec świata, zamiast dzielnie dźwigać brzemię, które wyznacza nam Pan. Że umiłowanie złota to źródło wszelkiego zła i że powinniśmy raczej starać się zapewnić sobie kapitał niebieski.

Mam łzy w oczach. Nikt nie miałby mi za złe, gdybym się rozplakała, ale powstrzymuję je, bo nie chcę płakać z wściekłości – rodzice zasłużyli na żal. A wielebny nie ma prawa wykorzystywać ich śmierci jako okazji, żeby nas wszystkich upomnieć.

Jestem oszołomiona i wdzięczna, kiedy Annabelle Smith, która trwa

w błędnym przekonaniu, że ma anielski głos, i zawsze w kościele śpiewa najgłośniej – katuje wszystkie sześć zwrotek „Amazing Grace”. Aż wreszcie wszyscy po kolei podchodzą do mnie, ściskają za ręce, zapewniają, że im bardzo przykro, że Bóg będzie nade mną czuwał, i pytają, czy mogą mi jakoś pomóc.

Pan McCauley zwleka. Z jego twarzy znikła wściekłość. Gniecie kapelusz w dłoniach, rozgląda się nerwowo, jakby kogoś szukał. W końcu do mnie podchodzi.

– Widziałaś Jeffersona? – pyta.

Odpowiadam mu jego własnymi słowami:

– Nie mam pojęcia, gdzie się włóczy ten nicpoń.

Nie zauważa złośliwości.

– Nie ma karej klaczy. I mojej strzelby. A przy jego łóżku było to. – Podsuwa mi ulotkę. – Psa też nie ma.

Wyrywam świstek z jego dłoni. Reklama Towarzystwa Statków Parowych Pacyfiku – propozycja podróży do Kalifornii, na wiosnę, za dwieście dolarów. Więc dlatego wszyscy są tacy podekscytowani. Dlatego protestował wielebny.

– Myślisz, że tam pojechał? – pyta pan McCauley.

Przewiercam go wzrokiem. Wierci się niespokojnie.

Robi mi się go żal, wtedy jednak przypominam sobie śliwę pod okiem Jeffersona.

– Pewnie jest już w połowie drogi do Savannah – mówię. – Jeśli pan teraz wyruszy, jeszcze go pan dogoni. – Zachowuję ulotkę i odwracam się od niego.

Następnie podchodzi do mnie Annabelle Smith. Bierze mnie za rękę.

– Bardzo mi przykro, Lee. Żałuję... Chciałabym... Przykro mi. – Nie patrzy mi w oczy, ale mówi chyba szczerze.

– Bardzo dziękuję, że przysłałaś – odpowiadam automatycznie. I nagle to prawda. Odprowadzam ją wzrokiem, zastanawiam się, jakie to uczucie przyjaźnić się z dziewczyną.

Teraz kolej na Wolnego Jima. Jego ciemna dłoń zamyka się na mojej, białej, za mocno, za serdecznie.

– Spłacę długi tatki, panie Boisclair, przysięgam, muszę tylko najpierw...

– Nie trzeba, panienko Leah – odpowiada łagodnie. – Dzisiaj rano wszystko zostało uregulowane.

– Co? Jak to?

– Twój wuj Hiram. – Marszczy brwi. – Najwyraźniej dobrze mu idzie w Milledgeville.

Żołądek ściska mi się boleśnie. Jakim cudem dotarł tu tak szybko? Skąd wiedział?

– To urodzony polityk – ciągnie Wolny Jim i nie jest to w jego ustach komplement. – W każdym razie codziennie modłę się w twojej intencji. Twój tatko to był porządny człowiek; jeden z najporządniejszych, jakich znałem. Ziemia dzisiaj straciła dobrego człowieka, za to niebo go zyskało.

– Tak, proszę pana. – Przełykam łzy. – Dziękuję, proszę pana.

Wolny Jim i tatko przyjaźnili się od lat, odkąd w tych okolicach po raz pierwszy odkryto złoto. Tatko zawsze uważał go za przyjaciela; niejedną zimę przetrwaliśmy tylko dzięki jego hojności i korzystnych warunkach, na jaki udzielał nam kredytu. Bylibyśmy u niego zadłużeni jeszcze bardziej, gdyby zażądał rynkowej ceny za pszenicę.

– Myślałem, że twój wuj tu będzie – zauważa i rozgląda się wokół. – Mówił, że ma coś do załatwienia, później miał... O, jest! Panie Westfall!

Czuję, jak serce bije mi coraz szybciej, gdy go woła. Odwracam się powoli.

Rozmowy wokół nas cichną, gdy wuj Hiram podchodzi do naszej małej grupki. Kroczy między bezlistnymi drzewami, jakby był ich panem. Tuż za nim drepcze Abel Topper, z twarzą płaską jak łopata i bystrymi oczkami. Był nadzorcą w kopalni, zanim skończyły się złoża i ją zamknięto.

Hiram wita się z Wolnym Jimem, który następnie uchyla kapelusza i żegna się ze mną. Oddala się z Ablem. Wuj Hiram odwraca się w moją stronę.

Zbiera mi się na mdłości, sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że jest bardzo podobny do tatki, choć szczerze mówiąc, jest od niego o wiele przystojniejszy. Gęste rzęsy nad bystrymi piwnymi oczami, bujne bokobrody na silnej szczęce. Kobieta załamałaby się, mając jego nos, ale do niego pasuje, taki potężny i wyraźny. Ma na sobie wełniany garnitur ze srebrnymi guzikami, na lewej piersi kołysze się łańcuszek od zegarka schowanego w kieszonce. Na głowie nosi elegancki cylinder. Rozpiął długi do kolan płaszcz, odsłaniając kaburę z czarnej skóry z białymi przeszyciami. Wystaje z niej rękojeść rewolweru. Wykładana kością słoniową, mała, nowiutka.

Colt.

Jestem tego pewna.

To jeszcze nic nie znaczy. Ostatnimi czasy mnóstwo ludzi kupuje colty. Mimo tego odruchowo sięgam do wyimaginowanej kabury, zaraz jednak

przypominam sobie, że mam na sobie elegancki pogrzebowy strój, a pistolet leży smętnie na stole.

Rozglądam się. Wszyscy wychodzą, zostaje tylko pani Smith. Podchodzę do niej.

– Witaj, groszku – mówi Hiram z rozwlekłym akcentem Milledgeville.

W jego ustach zdrobnienie tatka brzmi nieprawdziwie, sztucznie, jak szczekanie z kociego pyska.

– Po co przyjechałeś?

W jego uśmiechu jest idealnie odmierzona dawka smutku.

– Sędzia Smith przekazał mi straszną nowinę. Przyjechałem od razu, żeby uporządkować sprawy Reubena.

Wuj Hiram nie wydaje się specjalnie przejęty straszną nowiną. Kiedy umarł mój mały braciszek, myślałam, że nigdy nie otrząsnę się z rozpacz, choć znałam go zaledwie kilka dni.

– Chciałbym ci pomóc, ale... – zaczyna.

– Nie potrzebuję żadnej pomocy. – Ostatnio nas odwiedził, gdy miałam osiem lat.

– Chyba nie rozumiesz. Jestem teraz twoim prawnym opiekunem.

– Och. – Mrugam szybko.

Nadal mu się przyglądam. Nagle wyciąga tę swoją wypiełgnowaną rękę dzentelmena i głaszcze mnie po policzku.

Złotowidzenie wzbiera we mnie, tak nagle i szybko, że oczy zachodzą mi łzami. Odskakuję od niego, z trudem powstrzymuję mdłości.

– Spokojnie, groszku – mówi, jak do narowistego konia. – Przyzwyczajmy się do siebie. Wszystko w swoim czasie, zobaczysz.

Mam dreszcze. Nic nie jest i nie będzie w porządku. Dlaczego? Dlatego, że mój wuj ma u boku nowego colta. I cały jest w złotym pyłe.

Oczywiście na pewno się z niego otrzepał. Wytarł ręce. Bo przecież nie widzę złota na jego kłykciach, pod paznokciami, może nawet na połach płaszcz. Ale je wyczuwam. Zawsze je wyczuwam.

– Leah?

Smutek zalewa mnie duszącą falą. Jeff miał rację; tatko wybiegł komuś na spotkanie. Komuś, czyj widok sprawił mu wielką radość.

A wuj go zabił. Zabił własnego brata.

– Płacz, dziecino – mówi do mnie.

Zaciskam pięści, przelykam łyzy i wyobrażam sobie, jak z chrzęstem łamię

mu nos pięścią. Ale gniew gaśnie. Mam ochotę uciekać. Czy mnie też zabije? Kto mi pomoże? Przecież nie pani Smith, która nawet w tej chwili wpatruje się w wuja Hiram, jakby sam George Washington zmartwychwstał w Dahlonega. Nigdy mi nie uwierzy. Ani ona, ani nikt inny.

– Znajdzie się w szopie miejsce dla mojego konia? – pyta i dopiero teraz zauważam wielkiego czarnego wałacha za jego plecami, w zagajniku. Znowu prószy śnieg i już zdążył przysypać mu grzbiet. – Biedakowi przyda się czuła opieka.

W jego twarzy nie ma nawet śladu żalu czy wstydu. W głosie – nawet cienia obawy, że go zdemaskuję. I może dzięki temu na razie jestem bezpieczna. Nie mogę się zdradzić, że wiem, co zrobił.

Zmuszam się do doskonałej obojętności w głosie.

– Mamy puste boksy. Wprowadź go do tego przy drzwiach, bo inaczej Peonia nie da mu spokoju.

– Niedługo jeszcze porozmawiamy – rzuca. – Przyjdę później złożyć kondolencje. – Uchyła kapelusza przed panią Smith, która stoi jak zaklęta u mego boku, i wraca do wałacha.

– Nie wyjadę do Milledgeville! – wołam za nim.

Odwraca się przez ramię. Na jego ustach nadal czai się ten uśmieszek, a w nim – cały świat rzeczy, których nie rozumiem.

– Ależ skądże – mówi.

„Dlaczego to zrobiłeś?”, mam ochotę krzyknąć do jego pleców.

– Bardzo dystyngowany dżentelmen z twojego wuja – mówi pani Smith.

– Prawie go nie znam – mamroczę, odprowadzając go wzrokiem.

– Cóż, to szczęście, że go masz.

Milczę. Pani Smith zna mnie całe moje życie, ale nawet nie mrugnie okiem, gdy opiekę nade mną przejmuje ktoś obcy, choć dzieje się tak tylko dlatego, że ja jestem młodą dziewczyną, a on eleganckim dżentelmenem.

Nie mam żadnych dowodów, że Hiram zamordował moich rodziców – chyba że ujawnię wszystkim moją tajemnicę, ale przecież przysięgam rodzicom, że nigdy tego nie zrobię. Mam związane ręce.

No, może nie do końca.

Będę na ciebie czekał w Independence.

* * *

Wracam do domu, a tam czeka mnóstwo jedzenia – żałobnicy podrzucili mi zapasy, zanim rozeszli się do domów. Widzę trzy słoiki konfitur, dwa koszyki bułeczek, placek z mięsem, pieczoną szynkę, ziemniaki. Więcej niż zdołam zjeść. Ze zdumieniem czuję, jak robi mi się ciepło na sercu. Mieszkańcy Dahlonega to rozplotkowane, wścibskie towarzystwo, ale zawsze troszczą się o swoich.

Na zewnątrz słychać ciężkie kroki. Szmaciany chodniczek maskujący kryjówkę zagiął się na rogu. Szybko jak wąż wysuwam stopę i odginam zagięty róg, i chce mi się z siebie śmiać. Hiram już i tak ukradł nasze złoto. Ale zachowanie tajemnicy to odruch.

Nawet nie puka, zamasztywym ruchem otwiera drzwi i wchodzi do środka, jakby dom tylko na niego czekał. Ściąga rękawice, otrzepuje je o udo, aż śnieżny pył opada na podłogę.

Nawet nie staram się zamaskować wrogości w spojrzeniu.

– Powieś płaszcz i kapelusz na haku przy drzwiach. – Wskazuję żelazne haki w ścianie.

– Jakież to kulinarne wspaniałości sprawią, że ślinka napłynie mi do ust?

Jeśli sili się na wdzięk dżentelmena z południa, kiepsko mu to wychodzi.

– Nie wiem, takie, jakie nam przynieśli żałobnicy.

– Czuję pieczoną szynkę – mówi, zdejmując płaszcz. – Przygotuj mi coś.

Chcę wybiec, trzaskając drzwiami, ale wychowanie nie daje o sobie zapomnieć. Mając gościa w domu, trzeba poczęstować go posiłkiem. Biorę czysty talerz, kroję kawałek szynki, nakładam ziemniaki i pieczywo. Oby się udławił pierwszym kęsem.

Hiram czuje się jak u siebie w domu. Ma cięższy krok i szybsze ruchy niż tatko. Zapach tytoniu nabrzmiewa, wypełnia wszystko, sprawia, że powietrze w moim domu wydaje się obce i dziwne. Wuj siada na fotelu tatka przy zimnym piecu, a ja stawiam talerz na bocznym stoliku.

– Pomóż mi ściągnąć buty – rzuca.

Robi mi się niedobrze, gdy podchodzę, czujna jak kot. Klękam u jego stóp, wsuwam palce w zaschłe błoto i ciągnę. Buty schodzą tak łatwo, że mógłby zrobić to sam. Opada do tyłu, wzdycha jak człowiek głęboko usatysfakcjonowany.

– Dziękuję, groszku.

Ignoruję go. Odstawiam buty przy drzwiach. Wycieram ręce w ścierkę, prostuję się, zadzieram głowę, ale moja twarz jest jak wzgórze pod śniegiem,

bez emocji, kiedy zadaję pytanie, które nie daje mi spokoju:

– Jak długo zostaniesz?

Wyjmuje fajkę z kieszonki kamizelki. Zdobią ją rzeźbione liście winorośli. Słodko-mdłący zapach tabaki przybiera na sile, choć ciągle jej nie zapalił. Przygląda jej się przez długą chwilę z uśmiechem na ustach, a potem z powrotem chowa do kieszeni.

– Na zawsze, Leah – odpowiada w końcu. – Teraz tu jest mój dom.

– Nieprawda, jest mój. Tatko zapisał mi go w testamencie. – Znowu zaciskam pięści. – Wiesz o tym. Sam spisałeś jego ostatnią wolę.

– Zapisał posiadłość i wszystko, co miał, mnie – mówi.

Otwieram usta, zamykam, próbuję jeszcze raz. Wyglądam pewnie jak pstrąg, rozpaczliwie chwytający powietrze na brzegu.

– Chcesz mieć dowód, rozumiem – dodaje łagodniejszym głosem. Kładzie nogi na podnóżku tatka, odchyła się do tyłu. – Wkrótce będzie tu mój czarnuch z moimi rzeczami. Zaraz po jego przyjeździe rozpakuję najpierw dokumenty i pokażę ci testament z własnoręcznym podpisem Reubena.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że mówiąc „czarnuch”, ma na myśli niewolnika. Gdyby tatko wiedział, że jego brat ma niewolników...

Oczy znowu zachodzą mi łzami. Nie rozplączę się przy nim. Nie.

– Bądź rozsądna, groszku. Taki testament i tak byłby nieważny. Prawo, w całej swej mądrości, chroni słabszą płęć przed trudami i pułapkami związanymi z posiadaniem nieruchomości.

– Nie jestem słaba.

– Oczywiście, że nie. Jesteś jedną z Westfallów. – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Ale jesteś też młodą damą, która dopiero co poniosła niepowetowaną stratę, ni mniej, ni więcej. Dobrze się składa, że przyjechałem akurat teraz.

– Niby dlaczego? Żebyś mógł... – już mam na końcu języka: „i mnie też zabić” – ...zabrać to, co do ciebie nie należy? – dokańczam głupio.

– Ależ owszem, należy, moralnie i prawnie. Podobnie jak ty, groszku. Moja mała podopieczna. – Jego wzrok łagodnieje. Tak samo patrzył na mnie tatko, kiedy mówił, że mam mocne serce. Teraz przeszywa mnie dreszcz.

– Zdaję sobie sprawę, że przechodzisz trudne chwile – ciągnie. – Ale widzisz, ty i ja jesteśmy bardzo podobni, tak mi się przynajmniej wydaje. Doskonale się dogadamy. – Nie spuszczaając mnie z oczu, przysuwa sobie talerz, nabija kawałek szyki na widelec i unosi wielki kęs do ust.

Nie zwracam na niego uwagi, naciągam swoje buty – donoszę je po tatku – i idę do drzwi. Muszę sobie sporo przemyśleć.

– Dokąd idziesz?

Odwracam się gwałtownie i czuję na sobie wzrok wuja Hirama. Nagle wydaje się zdenerwowany. Cieszę się, że zbiłam go z tropu, choć nie wiem, jak to zrobiłam.

– Idę wyrzucić gnój ze stajni.

– To robota dla mężczyzny.

– Z tego, co widzę, nie ma tu mężczyzny chętnego do pracy.

Marszczy brwi.

– W życiu nie widziałem tak czystej stajni.

– Bo nie migam się od codziennych obowiązków.

Mierzymy się wzrokiem, oboje uparcie zaciskamy usta i pewna myśl wierci się w mojej głowie jak robak: może naprawdę jesteśmy podobni. Tak trochę.

– Jesteś zbyt cenna, by harować na farmie, Leah – mówi w końcu. – Wiem, co potrafisz. I chcę, żebyś dalej to robiła.

Kiepsko mi wychodzi ukrywanie zdumienia na twarzy. Tatko mu powiedział. Hiram wie o mnie. Kolana się pode mną uginają. Muszę jak najszybciej uciec do stajni, zanim zupełnie się rozsypię.

– Kiedy mój człowiek tu dotrze, zrobię z ciebie młodą damę. Reuben i Elizabeth pozwalali ci brykać jak źrebakowi, ale z tym koniec.

– Jak sobie chcesz.

– Zależy mi na tobie, Leah Westfall. Bardziej niż ci się wydaje. Zadbam, żebyś miała wszystko co najlepsze. Najpiękniejsze sukienki, najlepszą opiekę, najlepsze...

Wychodzę i trzaskam za sobą drzwiami.

Wuj Hiram oszukał mojego papę, to pewne. Spisał testament i tatko podpisał go bez wahania. Hiram to jedyny człowiek, którego kochał i któremu ufał na tyle, że przestał mieć się na baczności.

„Zaufaj komuś”, powiedziała mama. Cały czas miałam w uszach jej ostatnie słowa. Ale myliła się. Kiedy w grę wchodzi złoto, nie można ufać nikomu. Ani żywej duszy.

Śnieg gromadzi się przy drzwiach do szopy. Odgarniam go, otwieram jedno skrzydło drzwi. Dopiero kiedy otrzepuję zaśnieżone dłonie o spódnicę, zdaję sobie sprawę, że nadal mam na sobie najlepszą sukienkę.

Peonia wita mnie prychnięciem. Macha łbem. Wsuwam medalion

za sukienkę, żeby przypadkiem nie zerwała łańcuszka, wchodzę do boksu, obejmuję ją za szyję i w końcu pozwalam popłynąć łzom.

– Pojedziesz ze mną na zachód, dziewczyno? – szepczę w jej grzywę.

Napięcie opuszcza moje barki, rozluźnia się też ściśnięta szczęka, kiedy klacz obwąchuje mi włosy i szyję. Zanim tatko zbudował nasz dom, przez dwa lata mieszkaliśmy w szopie.

– Zwierzęta przede wszystkim – powtarzał zawsze. – Dzięki nim mamy co jeść i za co żyć.

Nie pamiętam tamtych czasów, byłam wtedy za mała, ale zawsze czułam się tu jak w domu, zwłaszcza z Peonią. Byłam tu bezpieczna.

Nasz wóz nadal stoi pośrodku szopy, pod ścianami mieszczą się boksy: w jednym jest Peonia, w dwóch innych – dwie krowy mleczne, w kolejnym – czarny wałach wuja Hirama. Na drewnianych kołkach przy wejściu do każdego boksu wisi uprząż. Pod tylną ścianą i na stryszku mamy siano. Nie starczy na całą zimę, nie teraz, gdy doszedł koń Hirama.

Staram się wyczuć złoto, ale nie ma go tutaj. Założę się o całe nasze siano, że Hiram już je zabrał do skupu i za uzyskane pieniądze spłacił nasz dług u Wolnego Jima, a resztę wpłacił do banku. Nie mam szans, by je odzyskać.

– Co powiesz na jazdę pod siodłem? – pytam Peonię. Od lat narzucałam na nią tylko lekką derkę; zawsze kierowałam nią kolanami. Ale podróż przez cały kontynent będzie o wiele trudniejsza dla nas obu i muszę siedzieć pewniej i bardziej nad nią panować.

Kusi mnie, żeby wziąć wóz; mogłabym zabrać więcej, a Peonia przywykła do wędzidła i uprzęży. Ale jeśli Hiram wie, co potrafię, będzie mnie ścigał, to pewne. A konno pojedę o wiele szybciej.

Nagle nogi się pode mną uginają, kurczowo chwytam się Peonii. Teraz to rozumiem: to przeze mnie zginęli moi rodzice. Zależy mu na mnie. A dokładnie na moim złotowidzeniu.

Powinam uciekać. Już, teraz. Nie, wieczorem, kiedy Hiram zaśnie. Może jeszcze dogonię Jeffersona. Czuję ukłucie w sercu na tę myśl. W przeciągu tygodnia straciłam rodziców, dom i najlepszego przyjaciela. Ale jeśli dogonię Jeffa, odzyskam przynajmniej jego.

Tatko gdzieś tutaj ma sakwy podróżne. I końską derkę na zimę. Sąsiedzi przynieśli mi tyle jedzenia, że na początku nie umrę z głodu. Zabiorę ubrania na zmianę, menażkę, stary tinderbox mamy...

Wystarczy myśl o mamie i zaraz słyszę w głowie jej głos: „Nikt cię tak nie

spowalnia, jak nadmierny pośpiech”, mawiała, kiedy widziała, jak szybko, nerwowo szyję.

Odsuwam się od Peonii, głęboko nabieram powietrza w płuca. Muszę postępować rozsądnie, nie pochopnie, a nie mam najmniejszych szans dotrzeć do Kalifornii tylko z koniem, strzelbą i odrobiną jedzenia. Jefferson może się przynajmniej nająć do ochrony albo jako myśliwy. Każdy chętnie go zatrudni. Ale ja jestem tylko dziewczyną. Czyli potrzebuję pieniędzy. I to tyle, żeby kupić zapasy na prawie rok. Powinnam też znaleźć sobie przyzwoitkę, inaczej nie zabierze mnie żadna kawalkada wozów. Muszę wyglądać schludnie i grzecznie. Muszę...

Muszę stać się chłopcem. Serce wali mi jak młot. Czy to możliwe? Jestem silna. Strzelam lepiej niż niejeden mężczyzna z Dahlonega. Może gdybym ścięła włosy, owinęła piersi bandażem... Potrzebuję jednego czy dwóch dni, żeby przerobić ubrania tatka, tak by były na mnie dobre. Mam ładne oczy, owszem, ale chłopcy też takie mają. Po prostu będę naciągała kapelusz tatka głęboko na czoło. Kiedy znajdę Jeffersona, będzie udawał, że jestem jego młodszym bratem, choć nie jesteśmy ani odrobinę podobni.

Annabelle Smith nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby wiedziała, o czym myślę. Ale to moja jedyna szansa, wiem to. Kiedy ucieknę, wuj Hiram będzie szukał dziewczyny, a gdy stanę się chłopakiem, nikt nie zwróci uwagi, że jadę po męsku czy poluję na jelenie. Nie będę musiała być grzeczna i układna. Będę mogła podróżować sama i nikomu nie wyda się to podejrzanym.

Nawet jako chłopak muszę mieć pieniądze. Odruchowo dotykam medalionu na piersi. Nie, medalion nie. Ale mama miała ładną bransoletkę. A Hiram nie zauważył braku kilku kur.

Moje kury. Kto się nimi zaopiekuje?

Wtedy to do mnie dociera, jakby mnie muł kopnął: odchodzę z domu. A kiedy odejdę, już nigdy słońce nie obudzi mnie o poranku w moim pokoiku na piętrze. Już nigdy nie upiekę placka z brzoskwiniami z naszego sadu. Rodzice już nigdy nie dostaną nagrobków z prawdziwego zdarzenia.

Muszę więc sprawić, żeby to było tego warte. Znaleźć własną drogę. Może w Kalifornii kobieta może mieć własną ziemię, własne życie.

Czekam na ciebie w Independence.

Jadę do ciebie, Jeff.

Rozdział 7

Od dwóch dni zachowuję się znośnie wobec wuja. Nie jestem przesadnie miła, żeby było jasne, ale obojętnie uprzejma, na tyle, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Co rano robię mu śniadanie, co wieczór pomagam ściągać buty, pozwalam spać w pokoju rodziców i nawet okiem nie mrugnę. Ukradkiem przerabiam ubrania taty, żeby na mnie pasowały, i padam z nóg, bo siedzę po nocach, wpatrzona w drobne szwy przy świetle jednej świeczki.

Jest trzeci dzień po pogrzebie. Dzisiaj wyjadę. Nadal nie mam pieniędzy, ale ukryłam kilka drobiazgów na sprzedaż. Rozważam, czy spieniężyć je w sklepie Wolnego Jima, czy kiedy już ruszę w drogę.

Wuj Hiram siedzi naprzeciwko mnie, je śniadanie, które mu przygotowałam. Zbiera z talerza resztki żółtka kawałkiem chleba, podnosi głowę i mówi:

– Na wiosnę pošlę cię do szkoły z internatem.

Siedzę spokojnie, z dłońmi na kolanach, z opuszczonym wzrokiem, żeby nie zdradziło mnie spojrzenie. Właściwie nie ma znaczenia, co mówi, skoro i tak ucieknę, ale jego decyzja sprawia, że czuję się jak kot głaskany pod włos.

– Szkoła w miasteczku wystarczy. Wszyscy bardzo lubią pana Andersa.

– Dobrze na początek – mówi z pełnymi ustami. – Ale nie na zakończenie edukacji. Dobrze, że umiesz rachować i czytać, i pisać, to się nam przyda, ale musisz nabrać ogłady.

Nie wiem, co ma na myśli, mówiąc, że „to się nam przyda”, ale tylko kiwam głową i mówię:

– Skoro tak uważasz.

– Co nie znaczy, że w domu będziesz się nudziła, kiedy akurat tu przyjedziesz. Na pewno jest tu jeszcze sporo złota.

Wyciera ręce w ścierkę i wsuwa dłonie do kieszeni. Wyjmuje je po chwili – zaciśnięte. Wyciąga je w moją stronę i mówi:

– W jednej mam złotą pięciodolarówkę; w której? – Błysk w jego oku tak bardzo przypomina papę, że serce mi się ściska.

Moneta przyzywa mnie czystym głosem z jego lewej dłoni. Wskazuję prawą. Uśmiecha się.

– Leah, nie możesz mieć przede mną żadnych tajemnic.

Z westchnieniem wskazuję lewą.

– Dobra dziewczynka. – Rozchyła dłoń i prosię bardzo, jest, lśniąca złotym blaskiem. – Prosię. Weź sobie.

Chwytam ją z jego ręki. Chwilę później chcę mu ją oddać. Hiram właśnie upewnił się, że wyczuwam złoto. Kazał mi to zrobić i go posłuchałam, bez wahania. Ale w tym momencie nie pogardzę pięcioma złotymi dolarami, choćby pochodziły od samego diabła.

Przychodzi mi do głowy przerażająca myśl.

– Chcesz, żebyśmy pojechali na zachód? – Jeszcze tylko tego mi brakowało – jechać tam, gdzie wybierał się od samego początku.

– Tak – mruży. – Ale najwcześniej za rok. Niech inni zgarną złoto z powierzchni, ja mam większe plany, ale najpierw musimy nauczyć cię ogłady.

Nie mam pojęcia, co to może znaczyć. I może lepiej, żebym nie wiedziała. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc wstaję od stołu.

– Obowiązki czekają.

– A ja mam sprawy do załatwienia. – Wyjmuje srebrny zegarek z kieszonki na piersi, otwiera, sprawdza godzinę, chowa z powrotem. – Czarny będzie tu pod koniec tygodnia z moimi rzeczami, musisz zrobić miejsce w szopie. Sprzedaj dwa konie.

Gapię się na niego i nie wierzę własnemu szczęściu.

Rozumie to zupełnie inaczej.

– Wiem, że jesteś do nich przywiązana – zauważa łagodnie. – Ale nie chcę płacić za paszę dla koni, których nie potrzebujemy, a moje są o wiele lepsze.

– Nie Peonię – prosię.

– Możemy z nią poczekać. Abel Topper o nią pytał. Myślał, że tanio ją dostanie, skoro Reuben nie żyje.

Wbijam paznokcie w dłonie.

Może sobie to tylko wyobrażam, ale wydaje mi się, że na jego twarzy dostrzegam cień współczucia.

– Na razie zabierz dwa pozostałe. Tyle ludzi wybiera się na zachód, że Wolny Jim sprzeda je bez trudu. Już z nim rozmawiałem. Oczekuje cię.

Wuj Hiram całkiem nieświadomie sfinansował mi podróż do Kalifornii.

– Tak jest. – Uśmiech ciśnie mi się na usta, ale zachowuję powagę.

– Przynieś, ile ci da. Pójdzie na twoją edukację.

– Tak jest.

Zabieram się za sprzątanie, a on wstaje zza stołu. Nie podnoszę wzroku, gdy zapina płaszcz i sięga po kapelusz. Idź już, idź, idź, idź, powtarzam w głowie jak modlitwę, ale on się nie spieszy. W końcu drzwi się zamykają, a ja uśmiecham się od ucha do ucha.

Ściągam fartuch, wieszam go przy zlewie. Biegnę na górę, do siebie, i wyciągam spod łóżka stare buty tatka, te, które zakładałam na polowanie i do sprzątanego stajni. Wypchałam już czubki starymi pończochami, ale założę je na dobre dopiero po tym, jak sprzedam konie. Wiążę własne trzewiki i wyjmuję ulotkę spod siennika. Jest pognieciona, wilgotna, naddarta w jednym miejscu, bo tyle razy ją wyciągałam. Mama mawiała, że Atlantyckie Ciągnięcie się ciągnie – aż na koniec świata. Chciałabym to kiedyś zobaczyć, a jakże, ale Jefferson zmierza do Independence, więc i ja tam pojedę.

Kładę ulotkę na ziemi. Czubkiem buta wsuwam pod łóżko, żeby to wyglądało naturalnie, jakbym zostawiła ją tam przez przypadek. Przy odrobinie szczęścia Hiram ją znajdzie i pomyśli, że wybieram się do Kalifornii drogą morską.

Od dwóch dni bez słów żegnałam się z naszym domem – z piecem, starym stołem, przy którym zjedliśmy tyle wspólnych posiłków, z gankiem, na którym spędzałyśmy z mamą letnie wieczory, i przede wszystkim z moim pokojem ze ślicznym oknem. Ale patchworkową kołdrę zabieram ze sobą. Już czeka w sakwie, ukrytej na stryszku.

Podobnie jak nowe, jak dla mnie, spodnie i koszula, a także część zapasów i krawieckie nożyce mamy. To wszystko musi poczekać jeszcze tylko kilka godzin.

* * *

Wjeżdżam na główny plac miasteczka wozem zaprzężonym w młode konie, Siwka i Akację, i widzę tłum. Nie ma szans, żebym przejechała przez tak liczne zgromadzenie, zwłaszcza bez Peonii, która trzymałaby w szachu żrebacki, więc jadę naokoło, za sądem i sklepem. Co prawda strasznie dużo tam błota, ale więcej spokoju. Hamuję, przytrzymuję spódnicę i zeskakuję z wozu.

Klepię Akację po nozdrzach, przywiązuję lejce do tylnej werandy sklepu i idę w stronę placu wąską uliczką między sklepem i sądem.

Na placu stoją setki mężczyzn – górnicy, sadząc po żyłastych, bladych twarzach, które nie widziały słońca, i kilku niewolników. Słuchają kogoś, kto

przemawia ze stopni gmachu sądu. Im jestem bliżej, tym wyraźniej słyszę jego słowa:

– Po co jechać do Kalifornii? W tym paśmie jest więcej złota, niż sobie wyobrażacie! Tu są miliony!

Chce mi się śmiać. To głos pana Stephensona; dobrze go znam. Jest z mennicy, wielokrotnie sprawdzał nasze złoto.

Przez tłum przechodzi pomruk. Niektórzy kiwają głowami, ale innych, tak jak mnie, denerwuje, że pan Stephenson uważa to za ważny argument. Oczywiście w Finley Ridge jest jeszcze mnóstwo złota; nie trzeba być mną, żeby o tym wiedzieć. Ale całe to złoto należy do kopalni i pan Stephenson niepotrzebnie strzępi sobie język. Ci mężczyźni pojedą na zachód, to pewne. A tam będą harować równie ciężko jak tutaj i prędzej czy później wszystkich będzie dręczył ból w plecach i niekończący się kaszel, i odciski na dłoniach – ale przynajmniej zachowają znalezione złoto.

Dobrze, że dzisiaj wyjeżdżam. Większość z zebranych przez kilka miesięcy będzie zbierała oszczędności i sprzedawała wszystko, co ma, ale już wkrótce z miasteczka nic nie zostanie. Mijam tłum i wchodzę do sklepu Wolnego Jima.

– Leah Westfall – wita mnie od progu. Stoi za jasnoniebieską ladą. Za jego plecami widzę słoje cukierków, większą wagę do ważenia towarów, mniejszą – do złota i – to coś nowego – pół tuzina oskardów. Na półkach stoją buty, stare i nowe. – Co cię do mnie sprowadza? – pyta.

Złoto łaskocze mnie w gardle. Gdzieś tutaj ma złoty pył, nie tylko monety z mennicy.

– Witaj, Wolny Jimie. Wuj Hiram kazał mi sprzedać dwa konie. Parę. Znasz kogoś, kogo zainteresują?

– Żrebaki, tak? Te, które Reuben ujeżdżał?

– Tak jest.

– A wuj chce się ich pozbyć.

– Tak jest.

Przygląda mi się uważnie, w zadumie pociera podbródek. W końcu mówi cicho:

– Ten Hiram Westfall jest teraz twoim panem, co?

Robi mi się niedobrze, kiedy to słyszę. Nieco za głośno rzucam:

– Wygląda na to, że całe miasteczko wybiera się na zachód.

– W rzeczy samej. Im szybciej dotrzesz na złotodajne pola, tym lepiej na tym wyjdiesz. Tutejsi mieszkańcy dobrze o tym wiedzą.

Wolny Jim rozgląda się po sklepie. Jesteśmy sami. Wszyscy stoją na zewnątrz i słuchają przemowy.

– Stary McCauley pytał o swojego chłopaka – mówi. – Wygląda na to, że dzieciak uciekł do Savannah, w nadziei, że załapie się na statek i opłynie pół świata. Ale ty pewnie nic o tym nie wiesz.

Udaję, że go nie rozumiem.

– Rozmawiałam z panem McCauleyem na pogrzebie, mówił to samo.

– Może Jefferson niepotrzebnie wyjechał.

Podchodzę bliżej, tak, że patrzę mu prosto w twarz.

– Wiesz przecież, że miał powody, żeby wyruszyć.

– Nie to miałem na myśli. – Pojednawczo rozkłada ręce.

– A co?

Zastanawia się przez chwilę, jakby musiał podjąć decyzję.

Wolny Jim sięga pod ladę i wyjmując stary almanach farmera, taki, jaki tatko zawsze miał pod ręką, na wszelki wypadek, gdyby chciał coś sprawdzić. Otwiera go i nagle widzę kartkę papieru wsuniętą pod okładkę. Rozkłada ją na ladzie.

Mapa Mitchella, wydanie z 1846 roku, z wkładką o Teksasie, Kalifornii i Oregonie.

– Aha? – Zerkam na nią.

– Jesteśmy tutaj. – Wielki, tępo zakończony palec łąduje na plamie podpisanej: „Georgia”. Kontury każdego stanu są wyraźnie zaznaczone grubą czarną linią, każdy jest barwną plamą na mapie. Wolny Jim ścisza głos do szeptu:

– Bo widzisz, gdyby ktoś wyjechał z Georgii i nie chciał, żeby go odnaleziono...

Urywa. Przełykam gulę w gardle.

– Jak na przykład Jefferson.

– Tak, jak na przykład Jefferson. – Przesuwa palcem z Georgii na ocean. – Założmy, że plotki są prawdziwe i Jefferson naprawdę zmierza do Savannah. Czyli chce się dostać do Kalifornii za jednym zamachem. Kuszące, nie ukrywam. Ale będzie musiał tam czekać na okazję, a czekanie to ryzyko, że go złapią. I nawet jeśli w końcu załapie się na statek, na każdej jednostce są spisy pasażerów, do których każdy może zajrzeć.

– Więc co powinien zrobić? – pytam nieśmiało. – Jechać do Independence?

– Oczywiście. – Mapa nie chce leżeć spokojnie. Wolny Jim bierze but

z półki i stawia na ladzie, żeby ją przytrzymać. – Jeśli Jefferson ma trochę oleju w głowie, a pewnie ma, powinien podzielić sobie podróż na odcinki. Pierwszy etap to dotrzeć do Chattanooga. Prowadzi tam tylko ta jedna droga przez góry. No i teraz założmy, że ktoś go szuka.

– Na przykład...

– Na przykład jego ojciec. Ale ktoś może go rozpoznać w każdym sklepie, w każdym zajeździe, w którym się zatrzyma. Więc lepiej, żeby nocował pod gołym niebem. Tylko że miejscowi poszukiwacze zbiegów znają wszystkie dobre kryjówki, a więc im szybciej stąd wyjedzie, tym dla niego lepiej. – Urywa, pochyła się. – Najbardziej niebezpieczna część podróży to odcinek najbliższej domu.

Tatko zawsze powtarzał, że poszukiwacze zbiegłych niewolników są niewiele lepsi niż bandyci. Za odpowiednią cenę wyruszą w pościg za każdym i wuj Hiram nie zawaha się, by wysłać ich za mną. Pochyliam się nad mapą, zapamiętuję miasta między Dahlonga a Chattanooga – Prince Edward, Ellijay, Dalton.

Jim przesuwając palec na zachód, w stronę gór.

– Powiedzmy, że Jefferson dotrze do Chattanooga. Stamtąd ma dwie drogi do wyboru: może jechać lądem, przez Kentucky i rzekę Ohio. Albo wsiąść na barkę lub parowiec i pożeglować w dół rzeki Tennessee.

– A co lepsze?

– Moim zdaniem powinien jechać lądem. Dzięki temu może być w ciągłym ruchu, nie utknie w miejscu, gdzie ktoś może go dogonić. Z łodzi trudno uciekać, chyba że umie się chodzić po wodzie, jak nasz pan.

Tłumię śmiech.

Wolny Jim odpowiada spokojnym uśmiechem, ale zaraz poważnieje, wskazując na mapie krętą niebieską linię, która przecina mapę na pół.

– Missisipi? – pytam. Wydaje się ogromna. Nawet na papierze.

– A jakże. Każdy, kto wybiera się na zachód, musi prędzej czy później przekroczyć Missisipi. Parowcem albo promem.

– Czy to... bardzo drogie?

Potwierdza ruchem głowy.

– A już na pewno parowiec. I co miesiąc będzie drożej. A za rok o tej porze będzie co najmniej dwa razy drożej niż teraz. Ale jak się pokona rzekę, Independence jest już w sąsiednim stanie.

Wpatruję się w drogi z Chattanooga, ale zbyt wiele nazw, by je wszystkie

zapamiętać. Nie szkodzi, muszę tylko kierować się na północny zachód i trafię na miejsce.

Jim kładzie dłonie na mapie, jeden kciuk na Dahlonega, drugi na Independence.

– Jeśli Jefferson odbywa tę część drogi sam, musi bardzo uważać, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Ale jeśli uda mu się dotrzeć do Independence i dołączyć do konwoju osadników, przewodnicy zaprowadzą go dalej.

– Czyli przejazd konwojem to już prosta sprawa – mówię.

– Tego bym nie powiedział. – Wzrusza ramionami.

Zwieszam ramiona. To o wiele dalej, niż sądziłam, i będę potrzebowała więcej pieniędzy, niż mi się zdawało.

Rozdział 8

Rozlega się dzwonek nad drzwiami. Wolny Jim szybko składa mapę, chowa w almanachu, wsuwa książkę pod kontuar. Nieznajomy wchodzi do sklepu i od razu podchodzi do oskardów i innych narzędzi do wydobywania złota.

– Dorzucę też wóz – mówię, jakbyśmy cały czas próbowali dobić targu. – Hiram chce się wszystkiego pozbyć, żeby zrobić miejsce na swój sprzęt.

– Chcesz powiedzieć, że to dla mnie złoty interes.

– Chcę powiedzieć, że możemy ustalić uczciwą cenę.

– Chętnie je od ciebie odkupię – mówi. – Ale póki nie znajdę kupca, muszę zapłacić za ich stajnię, więc mogę ci dać najwyżej po siedemdziesiąt pięć od łba. Dziewięćdziesiąt, jeśli dodasz wóz.

– To ułożona para do wozu i do tego oba są przyzwyczajone do jazdy pod wierzchem! – Mężczyzna oglądający sprzęt poszukiwaczy złota zerka w naszą stronę. Staram się ściszyć głos. – Warte co najmniej dwieście czterdzieści za parę.

Wolny Jim pochyla się, opiera łokcie na ladzie. Mówi tak cicho, że z trudem go słyszę:

– Nie mam tyle gotówki. Ktoś taki jak ja nie ma gdzie jej trzymać.

Chwilę trwa, zanim do mnie dociera, że ma na myśli bank. Nie otworzą rachunku czarnemu.

– I dlatego obracam towarami i godzę się na barter, rozumiesz? Jeśli chcesz poczuć w kieszeni złote monety, a myślę, że chcesz, kupię od ciebie cały towar za sto osiemdziesiąt dolarów i zrobię to przez pamięć twojego ojca.

– Och.

Wzrok mu łagodnieje.

– Wiesz co? Dorzucę kilka męskich koszul.

– Męskich koszul?

– Wujowi pewnie się przydadzą. – A szeptem dodaje: – Są lekkie. Łatwe do transportu. I w odpowiedniej chwili okażą się warte co najmniej dziesięć dolarów za sztukę.

– Rozumiem.

Nieznajomy wybiera sito, obraca je w blasku słońca, jakby się zastanawiał,

jak coś takiego może się przydać w poszukiwaniu złota.

– Słyszałaś kiedyś drozda? – pyta Wolny Jim.

Nie bardzo wiem, do czego zmierza.

– W zeszłym roku. Śpiewał zupełnie tak samo jak kacyk. Mama bardzo się cieszyła, ale potem rozglądała się wszędzie i nigdzie go nie widziała.

– A więc rozumiesz, o co mi chodzi. Kiedy ktoś szuka kacyka, nie zwraca uwagi na drozda. – Milknie na chwilę. – Na wszelki wypadek dorzucę kilka męskich koszul. Wujowi na pewno się przydadzą.

Głośno przełykam ślinę.

– Bardzo dziękuję.

– No więc... ktoś może tu do mnie zajrzeć i pytać o... Jeffersona. Co mam im mówić? Że jaką drogę wybrał?

– Morską, jestem tego pewna. Morską.

– A więc dobrze. – Nie bardzo wiem, czemu Wolny Jim tak bardzo chce mi pomóc. Może dlatego, że przyjaźnił się z papą. Może dlatego, że ma swoje podejrzenia wobec wuja Hiram. W każdym razie muszę szybko uciekać, zanim nie tylko Wolny Jim domyśli się, co planuję.

Zapisuje sumę na kartce.

– Musisz się tu podpisać – mówi. – Pokażę to Hiramowi Westfallowi, kiedy przyjdzie pytać o konie.

Na rachunku nie ma mowy o koszulach. Podpisuję.

Jim odlicza mnóstwo monet. Sto siedemdziesiąt dolarów, które sprytnie owija w cztery wełniane koszule z długim rękawem w taki sposób, że wcale nie brzęczą, ani odrobinę. Dziesięć dolarów rozmienia na drobne i podaje mi garść monet.

Chowam je do kieszeni, a on mówi:

– Powodzenia, Leah Westfall. Z bożą pomocą niedługo znowu się zobaczymy.

Gwałtownie podnoszę wzrok. Mruga znacząco.

A więc Wolny Jim też wybiera się na zachód. Uśmiecham się, chyba po raz pierwszy szczerze do drugiego człowieka od kilku dni.

– Mam taką nadzieję, proszę pana. – A więc mam jeszcze co najmniej jednego przyjaciela oprócz Jeffersona, a to już coś.

* * *

Nigdy nie przepadałam za Siwkiem i Akacją, a i tak serce mi pęka, gdy się z nimi żegnam. Wymuszam na Wolnym Jimie obietnicę, że zaraz się nimi zajmie, zostawiam je za sklepem i przeciskam się przez tłum. Kiedy tylko znajduję się poza zasięgiem wzroku mieszkańców miasteczka, biorę pakunek z nowymi koszulami pod pachę, zadzieram spódnicę drugą ręką i biegnę co sił w nogach. Biegnę całe trzy mile do domu.

W stodole zamykam za sobą drzwi, opieram się o nie i staram się uspokoić oddech. Wuj mówił, że ma sprawy do załatwienia, ale nie bardzo wiem, ile to potrwa i jak długo go nie będzie.

Wchodzę na stryszek, odsuwam bele siana, aż widzę ukryte ubrania i zapasy. Nerwowo, niezdarnie rozpinam guziki sukienki. Zmuszam się, by zwolnić. Dobrze, że mam na sobie starą sukienkę z guzikami od frontu.

Ściągam ją, rozsznurowuję gorset. Składam wszystko, wsuwam do jednej z sakw. Dygocząc na całym ciele, owijam sobie piersi starym bawełnianym szalem mamy, najmocniej jak potrafię, i wiążę krańce. Nie jest to zbyt wygodne, ale skutecznie spłaszcza moje i tak niewielkie piersi. Mam nadzieję, że z czasem pójdzie mi to lepiej. Liczę też na to, że piersi mi nie bardzo urosną.

Naciągam koszulę i spodnie, które przerobiłam, zakładam szelki na ramiona. Buty tatka są na mnie zdecydowanie za duże. Pracowałam w nich w ogrodzie, wynosiłam gnój ze stajni, nawet trochę polowałam, ale to co innego niż cały dzień w siodle i sporo chodzenia. No trudno, muszę się przyzwycząić.

Zostało jeszcze tylko jedno. Sięgam po nożyce mamy.

Zawsze mi się podobały moje włosy. Długie, grube, złotobrazowe, jak moje oczy. Pamiętam, jaka byłam dumna tamtego dnia, gdy mama pozwoliła mi je upiąć; wiedziałam, że będą mienić się w słońcu. Dzisiaj nie zawracałam sobie głowy upinaniem. Nie zastanawiam się dłużej, chwytam warkocz i zaczynam ciąć.

Włosy są uparte. Mija sporo czasu, zanim przecinam ostatnie pasmo. Od razu czuję lekkość na głowie. Przypominam sobie, jak mama strzygła papę, i przycinam też kosmyki z boku i na czubku, żeby wszystkie były krótkie. Bez lustra pewnie fatalnie to wygląda, ale kapelusz większość zakryje.

Zarzucam sobie sakwy na ramię. Z warkoczem w dłoni jestem już przy drabinie, ale wtedy moją uwagę zwracają kosmyki złotobrazowych włosów. Prawie nikną w sianie, ale nie do końca. Nie mogę ich tu zostawić, żeby Hiram je znalazł. Zbieram je jak najszybciej. Ukryję je w jednym z boksów.

Nie, to za ryzykowne. Lepiej wyrzucę gdzieś w lesie, tak samo jak kobiece ubrania.

Sakwy pękają w szwach, ale i tak zabieram lśniące pasma, a potem rozsypuję siano na podłodze, tak, żeby zamaskować pojedyncze włosy. Rzucam sakwy na ziemię i sama schodzę w ślad za nimi.

Ciskam sakwy na ziemię koło Peonii, zdejmuję wędzidło z haka przy boksie.

Charakterystyczny odgłos kopyt przy wejściu do szopy.

Wchodzę do boksu Peonii i zamykam drzwi. Kucam w rogu. Drzwi do szopy otwierają się, wewnątrz zalewa światło i powiew świeżego, lodowatego powietrza.

Skrzypnięcie siodła, gdy jeździec zsiada z konia. Brzęk wędzidła.

– No dobrze już, dobrze – mówi Hiram. – Spokojnie.

Zdziwi się, nie widząc wozu, choć przecież nie kazał mi go sprzedawać? Czy zauważy, że na kołku nie ma wędzidła Peonii?

Nadstawiam ucha i jednocześnie staram się nie oddychać. Zdejmuje siodło z Wichra, o ile dobrze słyszę. Teraz wyjmuje mu wędzidło z pyska. Wicher tupie, Hiram chichocze.

– Chciałbyś, co? – mruczy. – Dobrze, zaraz cię wyczeseję.

Nie, nie, nie.

Peonia prychnie i rzuci łbem. Kroki wuja są coraz bliżej.

– Cześć, śliczna – mówi.

Nie patrz w dół, nie patrz w dół.

Nad moją głową pojawia się potężne ramię w czarnym wełnianym rękawie. Peonia daje pogłaskać się po pysku, ale cały czas ma rozdęte nozdrza.

– Przyzwyczaisz się do nas – zapewnia Hiram. – I twoja pani też, zobaczycie.

Ręka znika, kroki się oddalają. Czekam cichutko jak mysz pod miotłą, serce stoi mi w gardle, a wuj czesze swojego wałacha. Ile czasu mu to zajmuje? Dwadzieścia minut? Godzinę?

W końcu, w końcu odkłada zgrzebło na półkę i zamyka boks Wichra, a po chwili znika w drzwiach stodoły. Zostaję sama, w błogosławionym półmroku. Wyrывa mi się jęk ulgi.

Nie ruszam się, czekam, aż znajdzie się na tyle daleko, że niczego nie usłyszy. Kiedy nie mogę już dłużej wytrzymać, zrywam się na równe nogi, zarzucam Peonii derkę na grzbiet, a potem siodło i sakwy. Przypinam kaburę

ze strzelbą i szepczę jej do ucha:

– Musimy uciekać, szybko i cicho, kochana. Najdalej za godzinę zacnie się zastanawiać, gdzie jestem. – No i prędzej czy później zrozumie, co oznacza brak wozu.

Nie protestuje, czując siodło na grzbiecie. Chwalę ją, całuję w pysk, zaciągam popręg, biorę lejce i wyprowadzam ją z boksu. Powoli, cichutko uchylam drzwi stodoły i wyglądam na zewnątrz. Ślady Hiram, doskonale widoczne na świeżym śniegu, prowadzą do domu. Zaczął padać śnieg.

Wejście do stodoły jest widoczne tylko z jednego punktu domu – z tylnej werandy, więc pewnie mam kilka minut, żeby się wydostać, zamknąć drzwi i zniknąć pod osłoną lasu. Już mam wyprowadzić Peonię na zewnątrz, kiedy coś jeszcze przychodzi mi do głowy.

Siodło Wichra leży na ścianie dzielącej dwa puste boksy. Wyciągam nóż zza pasa i przepiłowuję popręg. Zajmuje mi to więcej czasu, niżbym chciała, ale warto go poświęcić, o ile Hiram nie jeździ dobrze na oklep.

Chwytam lejce Peonii i wyprowadzam ją na zewnątrz. Drzwi skrzypią, kiedy je zamykam. Wskakuję na klacz. Tańczy pode mną i mam nadzieję, że to z ekscytacji, a nie ze zdenerwowania nieznanym siodłem. Upewniam się, że hawken tatka tkwi w kaburze przy siodle, i leciutko ściskam jej boki. Peonia zrywa się do biegu, ale powstrzymuję ją i ruszamy powoli, cicho.

Świat spowija miękka biel. Cały czas pada. Odwracam się za siebie, żeby się upewnić, że płatki zasypują ślady Peonii. Nie słychać żadnych ptaków, w krzakach nie myszkują żadne gryzonie, wiatr nie hula wśród nagich gałęzi. Świat, zastygły w zimowej ciszy, wstrzymuje oddech i czeka, że zdradzę się niepotrzebnym hałasem.

Kieruję Peonię za stodołę, do lasu. Pochylam się nisko nad jej szyją, żeby nie smagały mnie niskie gałęzie, gdy wędrujemy przez labirynt kasztanów, dębów i sosen. Zbyt szybko drzewa rzadnieją i przed nami rozciąga się biała wstążka drogi. Ściągam lejce.

Na drodze ryzykuję, że ktoś mnie rozpozna. W lesie nie mam szans uciec Hiramowi.

– Hiyah! – krzyczę i spinam klacz do galopu. Nie odwracam się za siebie.

Rozdział 9

Mkniemy z Peonią wzdłuż drogi. Wiatr zwiewa mi kapelusz z głowy, trzepocze mi na plecach jak żagiel, rzemień dusi pod szyją. Lodowaty wiatr wyciska łyżę z oczu. A może to dlatego, że co siłą w nogach uciekam z rodzinnego domu.

Dojeżdżamy do rozstajów. Peonia zwalnia, dyszy ciężko. Skręca w prawo, na znajomą drogę do Dahlonga. Szarpię w lewo, do Ellijay, a ona uparcie zawraca na starą trasę.

Proszę cię, nie dzisiaj.

Kiedy po raz drugi czuje wodze na szyi, ulega mi.

Opieram się pokusie i nie zmuszam jej do galopu. Choć właściwie codziennie zaprzęgam ją do wozu, dawno nie jeździłam na niej wierzchem. Muszę na nią uważać, jeśli zdrowa i cała ma dotrzeć do Kalifornii.

Ale akurat teraz każda chwila jest bezcenna; to jedyny moment, kiedy mogę jak najbardziej oddalić się od Hirma, zanim się zorientuje, że uciekam. A to oznacza, że kiedy Peonia odpocznie, znowu pogalopujemy. Musimy.

Najbardziej niebezpieczna część podróży jest najbliżej domu.

– Jeśli się pospieszymy, przed wieczorem dotrzemy do Prince Edward – tłumaczę jej i słucham mojego głosu w zimowym lesie. – Tatko tam był.

Mój plan jest prosty: trzymać się głównej drogi, póki nie dojadę do jeszcze większego gościńca, a ilekroć zobaczę kogoś znajomego, uciekać w las. Jeśli mam szczęście – sporo szczęścia – zebranie przed gmachem sądu potrwa jeszcze trochę i droga będzie pusta.

Mija godzina. Znowu ruszamy galopem. Tym razem Peonia zwalnia jeszcze szybciej. Zsiadam, idę koło niej, chcę, żeby odsapnęła.

Teraz, na ziemi, czuję się jeszcze mniejsza, bardziej samotna, bardziej przemarznięta. Drzewa po obu stronach. Co pewien czas przecinają je drogi, zawsze takie same – mroczne tunele w bezlistnych lasach, niewiele szersze niż leśne dróżki. A jeśli minęłam ważny skręt? Obym szła we właściwym kierunku.

Każdy kierunek jest lepszy niż powrót, powtarzam sobie stanowczo. Już wkrótce, gdy słońce będzie nisko na niebie, a ja nie wrócę, Hiram zrozumie,

że uciekłam. Być może już teraz mnie szuka. Robiłam, co w mojej mocy, by pomyślał, że wybrałam drogę morską, ale jeśli to nie wystarczy? Nawet w tej chwili ktoś może mnie szukać, łowcy zbiegłych niewolników albo byli górnicy. Może już szykują na mnie zasadzkę, może zaraz zastąpią mi drogę, wyjadą z jednej z tych cichych, ponurych ścieżek.

Nic na to nie poradzę; wskakuję na siodło i ruszam przed siebie. Peonia macha łbem na znak protestu.

– To tylko kilka dni ostrej jazdy, kiedy wyjedziemy z Georgii, trochę zwolnimy. – Klepię ją po szyi. Nawet teraz, w mdłym świetle zmierzchu, jest piękna, ma lśniąca złocistą maść i jasną grzywę i ogon.

– Peonia – szepczę, ściągam wodze i znowu zsiadam. – Mamy problem.

Wszyscy w promieniu wielu mil znają palomino Szcęściarza Westfalla. Jest bardziej charakterystyczna niż ja, z tą jasną maścią, błyszczącą nawet w tak słabym świetle. Ściągam rękawice, chowam je do kieszeni i gołymi rękami rozgarniam mokry śnieg, nabieram błota. Unoszę je do szyi Peonii. Odwraca łeb.

– Przykro mi, kochana, ale każdy rozpozna twoją barwę.

Działam szybko, rozmazuję błoto na jej szyi. Ostrzegawczo skubie mnie w ucho. Bo taka jest Peonia – słodka przez większość czasu, ale jeśli zrobisz coś, co jej się nie podoba, zaraz da ci to do zrozumienia. Tatko mawiał, że tak dobrze się rozumiemy, bo pod wieloma względami jesteśmy bardzo podobne.

– Spokojnie! – Rozcieram błoto na jej zadzie. Cały czas pilnując, czy nie chce mnie kopnąć. Kiedy zsuwam dłonie na nogi, nerwowo macha ogonem.

Puszczam jej wodze, odsuwam się o kilka kroków, ciekawa, jak wygląda.

– A niech to.

To dopiero mój pierwszy dzień w drodze, a już zrobiłam poważny błąd. Jest dokładnie tym samym koniem co przedtem, stoi dumnie, zwraca uwagę jedwabistą grzywą i pięknym ogonem, który niemal sięga ziemi. Tylko że teraz jest umazana błotem, co jeszcze bardziej budzi zainteresowanie. Niepotrzebnie zmarnowałam cenny czas.

Już mam wrócić na siodło, ale nieruchomieję ze stopą w strzemieniu. Jest jeszcze coś, co powinnam załatwić, skoro się zatrzymałyśmy. Opóźnienie może się okazać wielkim błędem, ale zaniechanie tego, co mam zrobić, jeszcze większym.

W tej chwili każda podejmowana decyzja wydaje mi się błędna. Muszę po prostu działać szybko.

Pętam klacz, wyjmuję z sakwy sukienkę i warkocz. To spory pakunek, choć ciasno je zwinęłam, ale to jednak gorset, suknia i halki. Pewnie całkiem sporo warte i po raz setny rozważam, czy tego nie sprzedać. I po raz setny dochodzę do tego samego wniosku; każdemu wyda się dziwne, że młody chłopak sprzedaje kobiece ubrania. Zapewne uznają go za złodzieja i zechcą się dokładniej przyjrzeć – i wtedy może się okazać, że to wcale nie jest chłopiec.

Rozkopuję ziemię obcasami butów i małym patykiem, docieram do błota i gnijących liści. Nie mam czasu kopać głęboko, wystarcza mi mały dołek. Ukrywam w nim paczkę z włosami i odzieżą.

Zbyt długo na nią patrzę. Dziwnie się czuję. Z tobołka wysuwa się skraj sukni, warkocz zdaje się do mnie mrugać. Jakbym chowała połowę dziewczyny.

Prychnięcie Peonii ściąga mnie na ziemię. Zakrywam tobołek, najlepiej jak potrafię, błotem, liśćmi i kamieniami. Powinny wytrzymać nawet sporą ulewę. Sakwy są teraz o wiele lżejsze. Wskakuję na Peonię i ruszamy w drogę, ale czuję łaskotanie w plecach, jakby zakopany węzełek odprowadzał wzrokiem mnie i moje źle dopasowane spodnie.

Błoto na Peonii zasycha, śwędzi ją jak ukąszenia gzów. Okazuje zdenerwowanie na tysiąc małych sposobów, od gryzienia wędzidła po nerwowe machanie ogonem.

– To był głupi pomysł, bardzo cię przepraszam. Kiedy tylko to będzie możliwe, starannie cię wyczyszczę, obiecuję.

Macha głową, jakby chciała wyrwać mi wodze z ręki.

– Przestań! – warczę. – Staram się, jak mogę, ty niewdzięczna, mułopodobna... – Milknę równie nagle, jak zaczęłam krzyczeć. Obrażanie jedynej towarzyszki podróży nie zda się na wiele.

Zapada noc. Nie śmiem galopować po ciemku, ale nie śmiem też się zatrzymać. Przynajmniej w tym świetle Peonia wydaje się zwyczajnie szara. Teraz nikt jej nie rozpozna.

Odrobinę nadziei gasi odgłos kopyt. Ktoś nadjeżdża.

Mam ochotę skrócić w las i tam się ukryć, ale prędzej czy później będę musiała zmierzyć się z ludźmi. Naciągam kapelusz na oczy, prostuję się i liczę, że blask księżyca ukryje co nieco.

Zza zakrętu wynurza się postać. Jedzie w naszą stronę spokojnym tempem. Na szczęście to nikt znajomy. Starszy, siwy mężczyzna z bujnymi bokobrodami. Pochyliła się nad grzbietem wiekowej klaczy. Ma w kapeluszu

dziurę pospiesznie zaszytą białą nicią.

– Bry. – Dotyka runda kapelusza.

– Bry. – Powtarzam jego gest. Jedno malutkie słowo, a serce wali mi jak oszalałe, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Mijamy się. Patrzę przed siebie, jakby nie trafiły mnie żadne zmartwienia, jakbym miała święte prawo być na tej drodze. Spodziewam się, że zawoła za mną: „A co taka młoda dama robi sama po nocy? I czemu twój koń jest cały umazany błotem?”.

Nic podobnego. Odgłos kopyt niknie w oddali, ale mija sporo czasu, zanim znowu mogę spokojnie oddychać.

– Udało się – szepczę w końcu. – Chyba niczego nie podejrzewał.

Jedziemy dalej. Powietrze jest lodowate. Równy krok Peonii niesie się echem wokół nas. Poza mężczyznę w cerowanym kapeluszu nie spotykamy nikogo, a to dziwne, nawet zimą. Zaczynam się już martwić, że źle pojechałam, gdy dociera do mnie ostry zapach płonącej sośniny. Tak jest, jeszcze jeden zakręt i przed nami Prince Edward.

Domki na zachodnim zboczu, dym unoszący się z kominów, lampy i świece w oknach. Niżej – biały drewniany kościółek, sklep, dwupiętrowy zajazd. Lampy podwieszane na werandzie oświetlają wejście, podwójne drzwi i drewniane okna. Jest tam wszystko, czego mi potrzeba, owies dla Peonii i kolacja dla mnie. Ale nie śmiem wejść do środka.

Wychodzi stamtąd grupa mężczyzn, stają w progu, zakładają kapelusze, wyciągają fajki. Żar w główkach fajek rozjaśnia mrok, słodki zapach tytoniu wypełnia powietrze. Szybko prowadzę Peonię inną drogą. Okrążymy miasteczko, trzymając się w ciemności, a potem poszukamy miejsca na nocne obozowisko.

Za późno.

– Ej, chłopcze! – woła jeden z nich.

Udaję, że go nie słyszę, ale włosy na karku stają mi dęba. Zaciskam dłonie na wodzach. Peonia drobi niespokojnie.

– Ej, chłopcze, do ciebie mówię! Jak się nazywasz?

Znam ten głos – to Abel Topper, ten z pogrzebu. Ten, który, jak widziałam, rozmawiał z wujem Hiramem.

Utrzymuję Peonię w spokojnym, równym tempie i jednocześnie myślę gorączkowo. Topper był nadzorcą w jednej z kopalń, zanim złożyła się wyczerpały. Jego ludzie, rozpaczliwie szukający pracy – zapewne są razem

z nim. A co, jeśli wuj ich zatrudnił i wysłał w pościg za mną? Dlaczego zmarnowałam tyle czasu na idiotyczny pomysł z błotem?

– Daj dzieciakowi spokój – mówi ktoś inny.

Słowa Toppera płyną w moim kierunku:

– To mi wygląda na klacz Szczęściarza Westfalla, rozumiesz? A Hiram obiecał, że mi ją sprzeda.

– Topper, jesteś tak pijany, że klaczy od kozy nie odróżnisz.

– Nie aż tak. Co ona tu robi? Mówię wam...

Jego głos niknie w oddali, ale cały czas czuję na plecach jego spojrzenie. Mogę zrobić tylko jedno – dalej jechać spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Mijamy stajnię, kościół, sklep, małe domki. Kiedy znikamy im z oczu, kopię boki Peonii, zmuszam ją do szybszego kroku, i jeszcze szybszego.

Po minucie czy dwóch Peonia staje na znak protestu. Nie sprzeciwiam się. Zsiadam, obejmuję jej spoconą szyję drżącymi rękami.

– Nie oddam mu cię – szlocham. – Nie wrócisz do wuja Hiram, nigdy.

Najbardziej niebezpieczna część podróży to odcinek najbliższej domu.

Las wokół drogi jest ciemny, gęsty. Zagłębiamy się w nim z Peonią. Musi odpocząć po galopie. Idziemy aż do potoku; w nocy wygląda jak atramentowa rana na ziemi. Niemal po omacku karmię Peonię resztkami owsa, wycieram ją, oglądam. Głupio zrobiłam, po ciemku zmuszając ją do galopu; mamy szczęście, że nic się jej nie stało.

Nie spieszę się, starannie wyczesuję nawet najmniejszą drobinę tego głupiego błota. Kiedy lekko trąca mnie łbem, wiem, że w końcu mi wybaczyła i chce odpocząć. Dygocąc z zimna, pętam ją pod drzewami.

Dobrze, że tatko nauczył mnie rozpalać ogień po ciemku. Wykopuję płytką jamę w ziemi, szukam jak najbardziej suchego drewna, wydaję krzesiwo i rozpalam ogień. Kulę się nad płomieniem, aż w końcu przestaję dygotać.

Do jedzenia mam tylko zapasy w sakwach, ale na razie nie chcę ich napocząć. Być może muszą mi jeszcze na długo wystarczyć. Tacy jak Abel Topper są pewnie w każdym zajeździe, każdym sklepie i pensjonacie stąd aż do Independence.

„Co ona tu robi?“, rzucił Abel Topper. Nie spodziewał się zobaczyć Peonii. Czyli wuj nie wysłał go w pościg za mną. Nie, bardziej prawdopodobne, że Topper był tu już wiele godzin temu, może nawet od wczoraj, na pewno przede mną.

Ta myśl poprawia mi humor na tyle, że sięgam po suchar i zmuszam się

do jedzenia. Żuję i żuję, a myślami wracam do Jeffersona, który wyruszył, mając jeszcze mniej niż ja. Mam nadzieję, że wystarczy mu zapasów i że kara kłacz dobrze się sprawuje. Mam nadzieję, że jest bezpieczny i też siedzi przy ognisku. I szczerze mówiąc, mam nadzieję, że gryzą go wyrzuty sumienia, że wyjechał beze mnie i zostawił samą, na pastwę losu.

Prawda, nie mógł inaczej. Był w gorszej sytuacji niż ja, a jak mieć takiego ojca jak on, lepiej nie mieć go w ogóle. To nie była wina Jeffersona. Wcale nie.

Z suchara w moich ustach robi się papka, a żołądek fika salto na znak protestu. Okazuje się, że nie ma w nim miejsca już na nic, poza zmartwieniami, gniewem i łzami, którym nie dawałam ujścia.

Nie wywołuj wilka z lasu – ledwie pomyślałam o łzach, zaraz podeszły mi do oczu. Mrugam gwałtownie, staram się je powstrzymać, bo to chyba łyzy gniewu, a nie rozpacz.

No dobra, wreszcie to powiedziałam.

Jestem wściekła na rodziców, że ich tu ze mną nie ma, wściekła na Jeffersona, że wyjechał beze mnie, wściekła na siebie, że nie wyruszyłam z nim, kiedy mi to proponował. Jestem wściekła na wszystkich w miasteczku, że przeszli do porządku dziennego nad morderstwem rodziców, wściekła, że z pogrzebu zrobili spotkanie towarzyskie. A przede wszystkim jestem wściekła na wuja Hirama, że jest podstępny, wrednym draniem, i za to, że odebrał mi wszystko, co kiedykolwiek kochałam. Jestem przerażona i wściekła i dlatego bardzo długo nie mogę zasnąć.

Przed świtem budzi mnie chłód. Ogień zgaś. Szczękam zębami, dygoczę na całym ciele, koc pokrył się rosą.

W brzuchu wreszcie mam pusto, łyzy obeschły; koniec z płaczem. Żuję kawałek suchara i siodłam Peonię.

Jedyna droga prowadzi do przodu.

– Jedziemy – mówię. – Musimy ruszać.

Rozdział 10

Słońce jest jeszcze tak nisko na niebie, że muska wierzchołki gór, gdy na poboczu dostrzegam kobietę. Podbiera kurom jajka w kurniku. Trzymam się przeciwległego skraju drogi i staram się nie zwracać na siebie uwagi.

– Chcesz może kupić trochę jajek? – woła do mnie.

Serce staje mi w gardle, a w brzuchu burczy. Z oporami, ale i z ochotą zawracam Peonię i podjeżdżam do niej.

Trzyma jajka w fartuszku. Jasne jak siano włosy wysuwają się spod czepka, który i tak nie uchronił jej przed piegami na policzkach.

– Ile chcesz? – pyta.

– Dam pani dziesięć centów za tuzin – mówię i od razu wiem, że zaproponowałam za dużo.

Mruży oczy. Powstrzymuję odruch, żeby się upewnić, czy szal wystarczająco mocno opina mi piersi, i jeszcze głębiej naciągnąć kapelusz na oczy.

– Nie mam dzisiaj aż tylu – mówi. – Ale mogę ci sprzedać pół tuzina za trzy pensy. – I to jest uczciwa cena.

Wczoraj prawie nic nie jadłam, porządny posiłek dobrze mi zrobi.

– Ma pani może patelnię, na której mógłbym je usmażyć?

– Chodź, sama ci usmażę. Narąb trochę drewna i przynieś. – Wskazuje mi stertę przy szopie. Obok leży siekiera.

Nie podoba mi się perspektywa kolejnego opóźnienia. Ani myśl o wejściu do przytulnej chaty, gdzie ktoś mógłby mi się zbyt badawczo przyjrzeć. Z drugiej strony, nie mogę sobie pozwolić na rezygnację z porządnego posiłku.

Zsiadam, przywiązuję Peonię do poręczy koło poidła. Poruszam się szybko, energicznie, co chwila zerkając na drogę. Z wysiłku rozluźniają się spięte barki i ustępuje skurcz w nogach. Nie kończę, gdy mam już tyle, ile chciała, ramię więcej, z wdzięczności.

Niosę naręcze drewna do domu i widzę otwarte drzwi. W kołysce bawi się ładniutki dzieciaczek, nie ma jeszcze roku. Na patelni skwierczy bekon, na stole czeka na mnie talerz parującej jajecznicy i miseczka gorącej owsianki.

Kobieta przypomina mi mamę, ma tak samo niesforne włosy i wiecznie

ubrudzony skraj sukni. Jej mąż pewnie jest w pracy, może szuka złota w strumieniu albo kuje ściany w jednej z mniejszych kopalń.

– Połóż drewno w koszyku – mówi, kiedy mnie widzi w progu. – I siadaj. Zrobiłam więcej, bo chyba jesteś głodny.

– Dziękuję pani. – Uchylam róna kapelusza i myślę sobie, że powinnam go zdjąć, skoro jestem pod dachem.

Kobieta patrzy na moje postrzępione włosy i nagle czuję się jak królik gotowy do ucieczki, ale po chwili nakłada mi bekon na talerz.

– Jedz.

Ślinka napływa mi do ust. Siadam i sięgam po widelec.

– Wcześniej wyruszyłeś w drogę – zauważa. – Zimno jeszcze, choć twoja piękna klacz ma grubą sierść.

Popełniłam błąd, robiąc ten postój. Kobieta na pewno zapamięta Peonię, gdyby ktoś o nas pytał.

– Zawsze dobrze się sprawowała na zimę – mówię z pełnymi ustami, przełykam i dodaję: – Jadę do rodziny, do Dalton. Chcę tam jak najszybciej dotrzeć.

– Och, myślałam, że ruszasz na zachód, po złoto. Nie spiesz się tak bardzo. I tak dzisiaj nie dotrzesz do Dalton, nieważne, jak rano wyruszysz i jak długo będziesz jechał.

– Tak, psze pani.

Jem tak szybko, że aż boli nie brzuch. Wymieniamy kilka zdawkowych uwag, o pogodzie, o drogach, bardzo grzecznie. Żadna z nas nie mówi nic o sobie. Chwalę porządek w domu i grubiutkie dziecko, bo to zawsze bezpieczny temat, a ona odpowiada, że Peonia to silna klacz. Zjadam wszystko, do ostatniego okruszka, i podrywam się z miejsca, żeby umyć talerz, jak w domu. Kobieta jest zaskoczona.

– Tak mnie mama wychowała – mówię.

– Cóż, kiedy znowu ją zobaczysz, powiedz jej, że dobrze cię wychowała.

Waham się odrobinę za długo.

– Tak jest, psze pani – odpowiadam cicho.

Otwiera usta, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Pakuje trochę jedzenia w chusteczkę, podaje mi i dorzuca kilka pomarszczonych zimowych jabłek.

– Dla twojej klaczki – mówi.

– Ile za to wszystko? – pytam i sięgam do kieszeni.

- Trzy pensy za jajka.
- Ale...
- Zasłużyłeś. Narąbałeś mi drewna na cały tydzień.
- Niech i tak będzie.

Chcę jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę. Przynajmniej mam pełny brzuch i wypoczętego konia.

W miarę upływu czasu spotykam coraz więcej podróżnych i za każdym razem jest łatwiej. Większość chce się zatrzymać na krótką pogawędkę, jednak staram się ograniczyć ją do krótkich pozdrowień. Dwukrotnie, kiedy droga jest pusta, spinam Peonię do galopu.

Po południu zrównuję się z mężczyzną prowadzącym wóz załadowany drewnem na opał. Obok niego jedzie wierzchem farmer. Z sakw niemal wysypują się czerwone rajskie jabłuszka. Przyglądam się mężczyznom odruchowo, szukam znajomych rysów, i oddycham z ulgą, gdy nie rozpoznaję żadnego.

- Dzień dobry, synku – mówi farmer.
- Jedziesz może z hrabstwa Lumpkin? – pyta ten prowadzący konia. – Słyszałeś, że zamordowali Szczęściarza Westfalla?

Słowa stają mi w gardle.

- Ja... nie, proszę pana. Nic a nic.

Drwał zwraca się do farmera:

- Zamordowali i jego żonę. Może to ci sami bandyci, którzy zabili tych Indian pod Dalton.

- Westfall był Indiancem? – dopytuje farmer.

- Nie, ale i on, i czerwoni szukali złota.

Czekam, aż doda: „Westfallowie mieli też córkę. Przepadła bez śladu”. Rozmowa jednak zbacza na temat tajemniczych morderstw sprzed dziesięciu lat, potem wdają się w rozważania, czy zabójstwo Indianina to naprawdę zbrodnia, a potem mężczyźni spekulują na temat cen pszenicy. Jadę równo z nimi, bo w okolicy miasta to przyjęty zwyczaj, ale milczę cały czas, tylko tak mocno ściskam lejce Peonii, że czuję rzemień przez rękawice.

Przed zmierzchem docieramy do Ellijay. W miasteczku jest kilkanaście krzywych ulic, biały kościółek i dwupiętrowy zajazd, to wszystko przy sporym skrzyżowaniu. Pośrodku miasta zbiega się pięć dróg – i na żadnej nie ma drogowskazu, dokąd prowadzi. Zbieram się na odwagę i pytam drwala, którą dojadę do Dalton.

– Najbliższe miasto to Spring Place – mówi. – A to dzień drogi. Chodź z nami do zajazdu, przenocuj tutaj.

– Nie! To znaczy, mam gdzie się zatrzymać.

Wzrusza ramionami, wskazuje kierunek. Oddalam się.

Pokonujemy z Peonią jeszcze kilka mil. Zarośla po obu stronach drogi są tak gęste, bezlistne gałęzie tak splątane, że jest już prawie ciemno, kiedy sprowadzam ją z traktu. Po zimnej, wilgotnej nocy i kilku kęsach suszonej jeleniny na śniadanie przejeżdżamy przez miasteczko Spring Place. Dalej na drodze panuje jeszcze większy ruch. Pozdrawianie tyłu podróżnych działa mi na nerwy. Powtarzam sobie, że w takim tłumie łatwiej się zgubić.

Niedaleko Dalton budzi się we mnie złotowidzenie. Chwyta mnie za gardło, zasnuwa oczy mgłą. Ściągam Peonii lejce, czekam, aż poczuję w ustach słodycz kruszcu. Trwa to dłużej niż zazwyczaj, może dlatego, że złoto jest w ruchu. A może dlatego, że odkąd Hiram ukradł mi rodzinny skarb, nie miałam na czym ćwiczyć.

Peonia tańczy pode mną, ściąga mnie z powrotem do rzeczywistości. Mam nadzieję że nie zmarnowałam znowu dużo czasu. Rozglądam się, żeby zobaczyć, czy narobiłam sobie dużo wstydu, ale chyba nikogo nie obchodzi, że stanęłam jak wryta na środku traktu. Może minęło tylko kilka sekund.

Poganiam klacz i jednocześnie rozglądam się za źródłem złota. Zbliża się starszy mężczyzna, prowadzi wóz załadowany świeżym drewnem do tartaku. Ma łaty na kolanach, ale jestem przekonana, że to u niego wyczułam złoto.

Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej błyszczący złoty zegarek, otwiera, sprawdza godzinę. Gdzieś w pobliżu jest więcej szlachetnego kruszcu, może ma kilka pięciodolarówek? Skoro go stać na taki zegarek i monety, mógłby sobie sprawić porządne ubranie. Ale pewnie nie każdy jest tym, na kogo wygląda, i właściwie teraz już nie powinno mnie to dziwić.

Szczerzy w uśmiechu zęby poplamione tytoniem.

– Już prawie czas! – woła.

– Na co?

– Zobaczysz.

Niecałą minutę później rozlega się przeraźliwy gwizd i nad drzewami wznosi się słup czarnego dymu. Zbliża się, rozpędza, aż ciągnie się po niebie jak wodze za uciekającym koniem.

– To pociąg? – domyślam się.

– No chyba nie parowiec. – Mruga znacząco. – Będzie na stacji, kiedy

dotrzesz do miasta. Musisz zobaczyć.

– Tak jest, proszę pana.

– Kiedy zbudują ten tunel, wszystko się zmieni – zapewnia.

– Mój tatko też tak mówi. – Tak mówił. Mój tatko też tak mówił.

I rzeczywiście, godzinę później wjeżdżam na Peonii do Dalton i widzę, że największą atrakcją miasteczka jest pociąg.

Otwieram usta z wrażenia. To metalowy potwór, większy niż jakakolwiek maszyna, jaką byłam w stanie sobie wyobrazić. Przez chwilę cieszę się, że nie jestem żelazowidzącą, jeśli ktoś taki w ogóle istnieje, bo gdybym coś takiego wyczuła, straciłabym przytomność na co najmniej cały dzień.

Kiedy pociąg odjeżdża, wyruszamy z Peonią w drogę do Chattanooga, która prowadzi wzdłuż pustych już torów. Myślę sobie, jak szybko dotarłybyśmy do Kalifornii, gdyby można się tam było dostać pociągiem. Być może trwałoby to tylko kilka tygodni, a nie całe miesiące. Choć szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy bezpiecznie jest jechać czymś tak wielkim i szybkim.

Mniej więcej milę na północ od miasta słyszę za plecami tętent kopyt. Poruszam się szybko, mijałam wielu podróżnych, ale nikt mnie nie wyprzedził. Odwracam się szybko i widzę trzech jeźdźców – są to brodaci mężczyźni w spłowiałych płaszczach i kapeluszach nisko nasuniętych na oczy.

Otoczają mnie powoli. Jeden podjeżdża od prawej strony, uprzejmie kiwa głową. Drugi towarzyszy mi od lewej. Trzeci zostaje z tyłu.

Peonia kładzie uszy po sobie.

Wyglądają na obieżyświatów, mają ogorzałe twarze i zmierzwione włosy. Za to strzelby – nowe i błyszczące.

Ten koło mnie uśmiecha się i nagle czuję się jak jeleń na muszce karabinu.

– Bry – rzuca.

– Bry – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.

– Widzieliśmy cię na stacji w Dalton. Taki pociąg to jest coś, nie?

– W życiu czegoś takiego nie widziałem – mówię, bo wydaje mi się, że to bezpieczny komentarz.

– A widziałeś parowce na Missisipi?

– Nigdy nie byłem w Missisipi.

Gwiżdże pod nosem.

– To też nie lada widok, wypuszczają kłęby dymu i mkną po wodzie jak tysiąc koni. Jedziemy tam, co roku w zimie jedziemy nad Missisipi. A ty dokąd?

– Na północ, odwiedzić kuzynów.
– Gdzie dokładnie? Jeśli gdzieś tutaj, znamy chyba wszystkich, ja i moi bracia.
– Nie sądzę. Mieszkają blisko Chattanooga.
Mruży oczy.
– W tamtych okolicach też wszystkich znamy, czyż nie tak, Ronnie?
– Wiesz, że tak, Emmett – odzywa się ten za moimi plecami i przeszywa mnie dreszcz.
– Chyba cię tu nigdy nie widzieliśmy – zauważa ten pierwszy, Emmett.
– Raczej nie – przyznaję. – Moja rodzina jest z Ellijay.
Mężczyzna uśmiecha się jak kot do myszy. Nie wiem, co powiedziałam nie tak, ale natychmiast tego żałuję. Myślę gorączkowo, staram się rozważyć wszystkie opcje.
– Ejże, Ellijay nie jest tak daleko, co, chłopcy?
– Ja tam nigdy tam nie byłem – mówi Ronnie za moimi plecami.
– Ani ja – dodaje ten koło mnie. – Ale podobno całkiem tam ładnie.
– Czyli, panowie, dobrze znacie tę okolicę? – rzucam. Nie wiadomo dlaczego, uważam, że powinnam nakłonić ich do mówienia.
– Znamy ją jak własną kieszeń, od Dalton po Missisipi – zapewnia Emmett.
– Więc może mi pomożecie. Ktoś na stacji powiedział mi, że najbliższe miasteczko to Tunnelsville, niecały dzień jazdy. Myślałem, że już tam dotrę.
– To jeszcze dobre czternaście, piętnaście mil – odpowiada Emmett.
– Co najmniej – uściśla Ronnie.
– A niech to – mruczę. – Czyli dzisiaj tam nie dojadę?
– Nie ma szans.
Bez słowa ostrzeżenia zawracam Peonię. Koń Ronniego rży głośno, ale nam ustępuje. Przyspieszam kroku. Mężczyźni zatrzymują się i odprowadzają mnie wzrokiem.
– Bardzo mi panowie pomogliście – zapewniam. – Za to facet na stacji chciał chyba zagrać mi na nosie. Jeśli się pospieszę, może zdążę do Dalton na kolację.
– Może i tak. – Emmett marszczy brwi.
– Wyrządziliście mi przysługę i bardzo wam za to dziękuję – mówię.
Kopnięciem zmuszam Peonię, by przyspieszyła, ale nie słyszę ich za sobą, a opieram się pokusie, by zerknąć za siebie. Odważam się dopiero w połowie drogi do Dalton. Droga jest pusta. I dopiero wtedy zaczynają drzeć mi ręce.

Zsuwam się z grzbietu Peonii, prowadzę ją pod górę, do lasu. Znajduję zagajnik, z którego dobrze widać drogę, ale nie mnie. Siadam, podciągam kolana pod brodę, wpatruję się w krętą wstążkę gościńca, a Peonia chciwie chwyta wargami bezlistne gałązki.

Do zmroku nikt się nie pojawia. Mam nadzieję, że bracia pojechali dalej, tam, dokąd zmierzali. Jeśli nocują gdzieś w pobliżu, być może jutro znowu się na nich natknę. Może zanim do tego dojdzie, spotkam innych towarzyszy podróży.

Prowadzę Peonię dalej w las. Znajdujemy zaciszny zakątek nad strumieniem. Tu, na górze, wszędzie leży śnieg, jest coraz zimniej, mój oddech unosi się jak biały obłoczek. Rozbijam obcasem warstewkę lodu, żeby Peonia mogła ugasić pragnienie. Przywiązuję ją do drzewa, ale jej nie pętam, na wypadek gdybyśmy musiały szybko brać nogi za pas.

Drewno jest wilgotne, ognisko bardzo dymi, więc rozpalam tylko mały płomień i modlę się, żeby słup dymu nie był za bardzo widoczny na niebie, jak na mój gust zbyt jasnym od blasku księżyca. Nabijam hawkena tatka i kładę koło siebie. Nie podoba mi się, że leży na gołej ziemi, ale nie bardzo wiem, jak inaczej to rozwiązać. I tak małe ognisko gaśnie, zanim zapadam w sen.

Budzi mnie prychnięcie Peonii.

Gałęzie pękają pod ciężkimi butami...

Sięgam po hawkena – nie ma go.

Chcę się zerwać, ale wtedy czuję na czole zimną lufę strzelby. Nie muszę otwierać oczu, by wiedzieć, że to moja broń. Nabita.

– Trzeba było wrócić do Dalton na noc – mówi Emmett.

– Wiesz co – rzuca Ronnie, posępny cień po mojej lewej stronie. Stoi tak, że nie mogę uciec. – Trzeba było zostać w Ellijay.

Rozdział 11

Jeśli braci wynajął wuj Hiram, żeby mnie odnaleźli, jestem w tarapatach. Ale jeśli tego nie zrobił, jestem w jeszcze większych.

Mama ostrzegała mnie przed takimi jak oni. Poznała im podobnych, gdy gorączka złota ogarnęła Georgię, w ciężkich czasach, gdy była jedną z nielicznych kobiet w Dahlonga. Wiem więc, że obrabują mnie ze wszystkiego – co najmniej. Jeśli nie nasłał ich Hiram, będzie jeszcze gorzej.

– Zeke – odzywa się Emmett. – Ogień gaśnie. Przynieś drewna.

– Niech on to zrobi. – Zeke wskazuje mnie.

On. Czyli to nie są ludzie Hirama.

– Zamknij się i rób, co ci każe – warczy Emmett. Jego brat oddala się naburmuszony. – Siadaj – rzuca do mnie.

Spełniam polecenie, powoli, ze wzrokiem wbitym w hawkena.

– Podaj mi koc. – Ronnie zrywa mi go z ramion, owija się i odsuwa. Tkwiąc jak w pułapce między nim i Emmettem.

– Jak mnie znaleźliście? – pytam, żeby grać na zwłokę.

– Poczuliśmy dym – odpowiada Emmett. – Ronnie wypatrzył, gdzie odbiłeś od gościńca. Niezły z niego tropiciel, co?

Zostawiłam ślady i rozpaliłam ogień z wiatrem.

Wraca Zeke.

– Czemu w ogóle marnujemy tu czas? – burczy i ciska kilka gałęzi koło ogniska.

– Nie ma pośpiechu – tłumaczy Emmett. – Równie dobrze możemy tu spędzić noc.

Kuca przy ognisku z hawkenem na kolanach. Lufa cały czas jest skierowana w moją stronę. W każdej chwili może pociągnąć za spust. Drugą ręką rozgrzebuje żar, podsycy płomienie.

– Ronnie, masz flaszkę?

Ronnie wyjmuje manierkę z sakwy. Wódka kukurydziana, jeśli się nie mylę. Wyjmuje zatyczkę, upija łyk, podaje Emmettowi. Ten robi to samo i przekazuje ją Zeke'owi.

Sakwa leży na ziemi, służyła mi za poduszkę. Ronnie podnosi ją i wsuwa rękę do środka.

– Nie! – krzyczę odruchowo, zamiast ugryźć się w język.

Ronnie tylko się uśmiecha. Patrząc mi w oczy, powoli, z namysłem buszuje w sakwie. Wyjmuje zwinięte koszule od Wolnego Jima.

– Proszę, proszę, po koszuli dla każdego... a niech mnie...

Złote monety lecą na ziemię z brzękiem, a potem w ciszy toczą się po martwym listowiu. Ronie upuszcza koszule i rzuca się na pieniądze. Zeke rusza mu na pomoc. Emmett zostaje na miejscu, wpatruje się we mnie jak w grzechotnika.

Jestem gorsza niż grzechotnik. Jestem cierpliwa. Jestem duchem.

– Tu jest z sześćdziesiąt, siedemdziesiąt dolarów – ocenia Zeke.

– Więcej! – sapie Ronnie.

– Ile? – pyta mnie Emmett.

– Nie liczyłem.

– Myślicie, że to złoto Szczęściarza Westfalla? – zastanawia się Ronnie.

Emmett pytająco unosi brew.

– A jeśli nawet, to co? – Zaciskam pięści, żeby dłonie mi nie drżały. Skoro wszyscy wiedzą o śmierci tatka, to tylko kwestia czasu, zanim usłyszą też o jego zaginionej córce.

Zeke jest na czworakach, buszuje w suchych liściach. Ronnie obraca sakwę do góry dnem i wytrząsa wszystkie moje drobiazgi. Na ziemię sypie się owies dla Peonii. Dzięki Bogu, że pozbyłam się kobiecych ubrań.

– Przypominają się stare dobre czasy, co? – Emmett nie spuszcza mnie z oczu.

– Ten mały wcale nie wygląda na Cherokee – zauważa Ronnie.

– No tak, ale my, w nocy, w lesie, szukając głupka. – Śmieje się okrutnie. – Pamiętacie tego pierwszego?

– Nie miał przy sobie nic poza niedźwiedzią skórą – wspomina Zeke.

– I strzelbą, nie zapominaj. Służyła ci przez trzy lata.

– Nie znosiłem jej, nigdy mi dobrze nie strzelała.

– Bo za wielu Indianców waliłeś kolbą po łbach – komentuje Ronnie.

– Może my też powinniśmy wyruszyć na zachód, jak wszyscy – mruczy Zeke. – Nigdzie nie znajdziemy tylu głupków, co po drodze do Kalifornii.

Udają, że nie zwracają na mnie uwagi, ale wiem, o co im chodzi. Widziałam to dziesiątki razy w wykonaniu ojca Jeffersona, jak od niechcenia

go prowokował, aż zrobił coś głupiego, a potem stary McCauley miał pretekst, żeby na niego nakrzyczeć. A jeśli byli sami, na krzykach się nie kończyło. Obserwuję ich więc uważnie i czekam na okazję, żeby uciec. Nie dam im żadnego pretekstu.

Ogień bucha mocnym płomieniem. Bracia przysuwają się bliżej, manierka znowu idzie w ruch. Ronnie znalazł większość monet, układa je przy ognisku, liczy raz za razem. Ze złości niewiele widzę. Uciekłam od jednego złodzieja, żeby wpaść w łapy kolejnych i zaraz się okaże, że mam równie mało, jak przedtem.

– Szczęściarze z nas dzisiaj – stwierdza Emmett.

– No – potakuje Zeke.

– Ale pomyślcie tylko o tych barkach na rzece Ohio – rozmarza się Ronnie.
– Jak pieniądze na ziemi, tylko czekają, żeby je podnieść, i są o wiele bliżej niż w Kalifornii.

– Hm. – Zeke upija kolejny łyk.

– Co ty na to? – Ronnie zerka na mnie. Teraz chce mnie wyprowadzić z równowagi, czuję to. – Masz talent do rabunku, to pewne. Może też do zabójstwa, jeśli to ty załatwiłeś Westfalla. Jedziesz z nami do Memphis, w dół Missisipi?

Zeke prostuje się nagle.

– Ejże, nie chcę dzielić zysków na czterech.

Ronnie, naburmuszony, grzebie patykiem w ognisku, aż iskry lecą. Ogarnia mnie ciepło. Jestem gotowa.

– Wydawało mi się, że w tym roku nie chcesz z nami jechać, Zeke – mruczy Emmett.

– Oj, tak tylko marudziłem – przyznaje Zeke.

Emmett odwraca się do mnie plecami.

– A co powiecie na to? Wszyscy ci farmerzy z Ohio, Indiany, Pensylwanii – narzekają na niewolnictwo, plują na Południe, pouczają nas, że powinniśmy się zmienić. Ale co roku na początku zimy biją swoje świniaki, napełniają beczki wieprzowiną i spływają Missisipi, i po drodze sprzedają towar na każdej plantacji, aż do samego Nowego Orleanu. A potem wracają do domów, z kieszeniami wypchanymi południowymi pieniędzmi. Banda hipokrytów.

– Bóg nienawidzi hipokrytów – zauważa Ronnie.

– Amen – mruczy Zeke.

Emmett się uśmiecha.

– Tak więc widzisz, że my tylko wymierzamy boską sprawiedliwość. Chcesz też być jej narzędziem?

Milczę.

– Wielu z tych przeklętych hipokrytów z północy lubi sobie zagrać w karty w drodze do domu – ciągnie Emmett. – Ukradkiem, żeby rodziny o tym nie wiedziały. A moi bracia i ja lubimy uczciwą partyjkę, jak wszyscy mężczyźni.

– Niekoniecznie uczciwą – uściśla Ronnie.

– Nic nie szkodzi, jeśli trochę ich ogramy – zapewnia Emmett. – Niech pieniądze zostają na Południu, gdzie ich miejsce.

– Niektórzy lubią też sobie popić – dorzuca Ronnie. Bierze manierkę od Zeke'a i podnosi do ust.

– To prawda – przyznaje Emmett. – Tak jak my, i doborowa z nas kompania. Ale ci z północy nie umieją pić i czasem się zdarza, że upadają i rozbijają sobie głowę...

– Albo wpadają do rzeki – dodaje Ronnie.

– I wtedy naszym obywatelskim obowiązkiem jest opróżnić ich kieszenie i zabrać pieniądze, żeby przekazać ich rodzinom.

– Jeśli je kiedykolwiek spotkamy – precyzuje Ronnie.

Zmuszam się, by oddychać powoli, bo inaczej zacznę wrzeszczeć. To nie są zwykli rabusie, to mordercy. Piraci, jak banda Pułkownika Pluga na rzece Ohio i banda Masona w Cave-In-Rock.

Emmett bierze butelkę od Ronniego i odchyła głowę. Peonia szamocze się tak bardzo, że kołyszą się gałęzie młodej brzoźki, do której ją przywiązałam. Jej też się to wszystko nie podoba.

– Trzeba przyznać, że tu na północy nie wiadomo dlaczego wszyscy odnoszą się podejrzliwie do mnie i moich braci, a to przez ich hipokryzję i głębokie uprzedzenia – wyznaje Emmett. – Ale ty? Istne niewiniątko, z tymi wielkimi, dziewczęcymi oczami. Możesz się nam przydać.

Odprężają się powoli, widzę to w ich barkach, w rozluźnieniu, gdy ochoczo sięgają po alkohol. Jeszcze kilka łyków, chłopcy.

– Z drugiej strony, nie obrażamy się, jeśli nie chcesz jechać z nami jako nasz cudem odnaleziony kuzyn Tackett z Ellijay. Weźmiemy tylko to, czego nam trzeba, i zostawimy cię w lesie.

Zostawią moje zwłoki, to chciał powiedzieć. Zeke cały czas trzyma rękę na rękojeści wielkiego noża za pasem. Ronnie patrzy w dal, Emmett ciągle

celuje do mnie z hawkena. Robi mi się niedobrze na myśl, że po tym wszystkim zginę od kuli ze strzelby tatka.

Emmett podaje mi manierkę, proponuje alkohol.

– No to jak będzie?

Mam ich błagać, żeby zabrali mnie ze sobą. Jeśli to zrobię, będą się ze mnie nabijać, a potem i tak mnie zabiją. A jeśli nie, to będzie dla nich pretekst, żeby się nade mną znęcać.

Butelka zawisa w powietrzu, podobnie jak pytanie Emmetta. Wiem, że i tak już po mnie, bez względu na to, co odpowiem. Uciekam się do sztuczki, której się nauczyłam, obserwując, jak Jefferson radzi sobie z ojcem; zmieniam temat.

– Moja klacz. Chyba się zaplątała.

Słyszając mój głos, Peonia rzy i szamocze się jeszcze bardziej. Błogosławię ją w duszy.

– Szybko się płoszy – dodaję. – Jeśli jej nie wypłaczymy, coś sobie zrobi, a potem będzie do niczego, ani na niej jechać, ani ją sprzedać.

Ronnie marszczy brwi. Emmett przysuwa się bliżej ognia, chce mi się lepiej przyjrzeć. Kładzie palec na spuście. Patrzy mi prosto w oczy i mówi:

– Zeke, odwiąż konia.

– Dlaczego ja?

– Bo ja tak mówię.

Zeke idzie w stronę Peonii i klnie pod nosem. Wyjmuje nóż z za pasa i przecina jej pęta.

– Zadowolony? – pyta.

Peonia odwdzięcza się, gryząc go w policzek.

Zeke wrzeszczy, Peonia wspina się na tylne nogi, Emmett i Ronnie rzucają się za nią, bo jest warta nawet więcej niż te monety. Żaden z nich już we mnie nie celuje.

Zrywam się na równe nogi i kopię w ognisko. Żar pryska na wszystkie strony, parzy plecy Ronniego i Emmetta. Emmett upuszcza dzbanek, alkohol wylewa się na ogień, który bucha silniejszym płomieniem.

Odwracam się na pięcie i rzucając do ucieczki. Strzał z hawkena przecina powietrze, z drzewa obok mnie pryskają odłamki kory. Nie wiem, dokąd biegnę, i nic mnie to nie obchodzi. Potykam się, upadam na kolana, ale zaraz wstaję i biegnę dalej.

Instynkt podpowiada, by uciekać w ciemność, tam gdzie nie dociera światło księżycy, więc rzucając się w dół z boku. Pewnie zostawiam ślady w ściółce,

ale teraz nie będę się tym zamartwiać. Znowu się potykam, tym razem o wielki pień, i upadam. Ciężko osuwam się na ziemię, ostry ból przeszywa mi bark i szyję. Staczam się ze zbocza, coraz szybciej i szybciej, aż z cichym młaśnięciem ląduję w stercie wilgotnych liści.

Leżę nieruchomo, z ustami pełnymi ściółki. Jak dawno temu padł strzał? Trzydzieści sekund? Czterdzieści? Każdy prawdziwy mężczyzna zdążyłby już ponownie załadować.

Ich głosy niosą się echem między drzewami, ale mam nadzieję, że są ode mnie coraz dalej. Widzę na zboczu nad sobą pomarańczową łunę ogniska między drzewami, ale porządnie je kopnęłam i powoli gaśnie.

Jest za ciemno, żeby próbować się wymknąć; teraz na pewno wpadłabym na braci. Lepiej zostać w jednym miejscu. Zwierzyna i łowca to właściwie jedno i to samo. Oboje muszą być cisi i nieruchomi jak śmierć.

Otacza mnie zapach pleśni, gdy naciągam na siebie liście, aż otulają mnie jak koc. Teraz nie pozostaje mi już nic innego jak tylko czekać. W głowie mam gonitwę myśli. Muszę się tu ukryć co najmniej do rana. Biedna Peonia. Oby udało jej się uciec. Jeśli nie, mogą zrobić jej krzywdę, z zemsty.

– Tędy biegł.

Szept Ronniego zaskakuje mnie, drgnęłam i liście zaszeleściły.

– Słyszałem trzask i plaskanie błota. Widzisz to miejsce, gdzie się poślizgnął?

Bądź cierpliwa. Bądź jak duch.

– Mam nadzieję, że rozwalił sobie łeb i umarł – mówi Zeke. – Powinien zapłacić za to, co zrobił ten jego koń.

– To twoja wina, durniu – prycha Emmett. On też ma obolały głos; mam nadzieję, że ogień mocno dał mu się we znaki. – Po coś rozpętał tego konia?

– Kazałeś odwiązać, to żem odwiązał.

– Zamknijcie się obaj – warczy Ronnie. – Coś słyszałem.

Kroki wśród zarośli, tuż nade mną. Któryś z nich staje na pień, trzeszczy głośno, obsypuje mnie błotem i liśćmi.

– Gdzieś tutaj. – Ronnie nie daje za wygraną. Ktoś zsuwa się w dół parowu.

– Nic nie widać, za ciemno – woła Zeke. Jest blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Mamy jego złoto – mówi Emmett. – Wracajmy do Dalton, niech lekarz opatrzy mi ramię.

– Chyba raczej moją twarz!

– Też.

Buty tuż koło mojej twarzy. Jeśli na mnie wejdzie, już po mnie. Chyba że jestem tak szybka, że zdołam złapać go za nogę, powalić na ziemię i przydusić, zanim bąknie „bry”.

Wstrzymuję oddech, przekonana, że to jakiś podstęp, ale buty odchodzą, krzaki trzeszczą głośno, gdy Zeke wdrapuje się na górę. Siedzę cichutko jak zając w norze, gdy lis czai się nieopodal, i zostaję tak jeszcze długo po tym, jak ich kroki milkną. Rozpaczliwie wsłuchuję się w ciszę.

Nie tyle widzę, co wyczuwam ruch skrzydeł, gdy puszczyk zrywa się z drzewa i siada niedaleko mojej twarzy. Odwraca łeppek i krzyczy jak dziecko. Ma wielkie, złote oczy – jak ja.

Po chwili ponownie wzbija się w niebo. Trochę mi smutno, że się oddala, jakbym straciła jedyną piękną rzecz tej nocy.

Nie ruszyłyby się z drzewa, gdyby bracia nadal byli w pobliżu, jednak na wszelki wypadek leżę w mojej stercie liści, póki wraz z pierwszymi promieniami słońca nie zjawi się nowy dzień.

Rozdział 12

Wypełzam spod liści, wspinam się na wzgórze, zatrzymuję na skraju obozowiska. Niewykluczone, że obserwują to miejsce, że na mnie czekają. Ale było tu wszystko, co mam na tym świecie, i muszę sprawdzić, czy czegoś nie uda się uratować.

Rozglądam się w poszukiwaniu Peonii, jakby bracia mogli nie zabrać takiej pięknej kłaczy. Mam łzy w oczach. Ocalała mi życie swoimi humorami. Nie wiem, jak sobie bez niej poradzę.

Gdyby mama tu ze mną była, przypomniaby, że zawsze może być gorzej. I miałyby rację. To była zimna noc i bardzo się bałam, więc miałam na sobie wszystkie ubrania, buty tatki też. Zachowałam więc całą odzież, choć teraz jest brudna po nocy wśród gnijących liści. Nadal mam na szyi medalion mamy i prawie dziesięć dolarów w kieszeni, więc w najbliższym czasie nie umrę z głodu.

Ale oddałabym to wszystko za pewność, że Peonii udało się uciec. Mam nadzieję, że jest już w połowie drogi do domu, do Dahlonega.

W obozowisku panuje chaos – rozgrzebane ognisko, wszędzie kawałki stłuczonej butelki. Moje sakwy zniknęły, a wraz z nimi mój nóż, zapasowe koszule, kapelusz, jedzenie i broń.

Gardło mi się ściska na myśl o hawkenie. Kochałam tę strzelbę.

Przecięty rzemień z wodzów Peonii nadal zwisa z brzoźki. Odwiązuję go i zwijam. Przynajmniej tyle odzyskałam.

Rozglądam się uważnie po polanie, rozgrzebuję czubkiem buta zeschnięte liście i błoto. Moje posłanie ocalało, choć jest zdeptane. Zwijam je i wtedy czeka mnie najwspanialsza niespodzianka – rewolwer, śliczny jak nowy. Ledwie zdążę się nim nacieszyć, a czuję swędzenie w gardle. To uczucie uspokaja skołatane nerwy.

Złoto.

Osuwam się na kolana, pełzam wśród liści, rozgarniam wystygły popiół i nadpalone gałązki, idę za głosem złota. I znajduję je pod małym pieńkiem. W sumie cztery monety: dwie dziesiątki i dwie piątki. Trzydzieści dolarów. Pewnie potoczyły się na bok w zamieszaniu.

Serce wali mi jak młot. Czy dotrę do Kalifornii, mając trzydzieści dolarów całego majątku? Może, przy odrobinie szczęścia – w końcu jestem córką Szczęściarza Westfalla. Jeśli komuś może się to udać, to właśnie mnie.

Chowam monety do kieszeni i dalej krążę wśród drzew. Krzyczę cicho. Moje siodło leży u stóp wzgórza. Przecięli popręg i wyrzucili je. Nagle żałuję, że to samo zrobiłam z siodłem Hirama. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, powtarzał zawsze tatko.

Ześlizguję się, podnoszę siodło, zarzucam je sobie na ramię. Dziwne, że go nie zabrali. Jest piękne i sporo warte, z wzorem wytłoczonym na porządnie natłuszczonej skórze. Tatko zawsze dbał o swoje narzędzia i powtarzał, że mądry człowiek kupuje to, co najlepsze, i otacza to opieką. Siodło Peonii było w jego oczach także narzędziem i nie żałował na nie złota.

Powrót do obozowiska z ciężkim siodłem prawie przerasta moje możliwości. Stopy mi się ślizgają, za duże buty tatka fundują mi bolesny pęcherz na prawej pięcie. Ból jednak znika wraz z nagłym olśnieniem: nie zostawiliby siodła, gdyby złapali Peonię.

Już otwieram usta, żeby ją zawołać, zaraz jednak je zamykam. Może bracia są gdzieś w pobliżu. Z drugiej strony, siodło, pistolet i monety zostały tam, gdzie je porzucili. A to oznacza, że chcieli jak najszybciej dotrzeć do lekarza. Gdybym lubiła hazard, a nie lubię, postawiłbym sporą sumkę na to, że wrócą tu, gdy tylko medyk opatrzy ich rany.

Nabieram więc powietrza w płuca i wołam, aż odpowiada mi echo znad wzgórz:

– Peonia!

Nie spodziewam się, że przybiegnie do mnie jak pies, ale... Właściwie sama nie wiem, czego się spodziewam.

Jeszcze kilka razy wołam ją po imieniu i wspinam się na wzgórze. Przy odrobinie szczęścia trafi do dobrych ludzi, takich, którzy będą ją rozpieszczać, szczotkować i podsuwać smakołyki. Którzy zrozumieją, że czasami nawet narowisty koń jest najwspanialszy na świecie.

Wchodzę na szczyt. Peonia jest tam, nerwowo strzyże uszami i macha ogonem, zła, że tyle musiała na mnie czekać. Upuszczam siodło, obejmuję ją za szyję. Macha łbem, jakby nie pojmowała, o co tyle zamieszania.

Oglądam ją od stóp do głów, sprawdzam nawet kopyta. Jedna podkova się oblużowała, inne są w porządku. Cały czas zwlekam, rozczesuję jej grzywę palcami, całuję w nozdrza.

Obwąchuje mi kieszeń, liczy na smakołyk. Biedaczka jest pewnie wygłodzona, więc kombinuję, jakby tu ją osiodłać i stąd uciekać. Rozważam, czy nie zrobić prowizorycznego popręgu z uratowanych lejców, ale bez derki dla osłony obtarłabym ją do krwi. Pojadę na oklep, z siodłem na kolanach.

Podchodzę do pnia, wskakuję na jej grzbiet. Z wielkim siodłem siedzi się niewygodnie, ale Peonia nie protestuje. Na swój sposób okazuje, że ucieszyła się na mój widok tak samo, jak ja na jej.

Wracamy na trakt. Zatrzymuję się.

Patrzę na Dalton i rozważam, czy nie zawrócić do miasteczka. Opowiedziałabym szeryfowi o braciach. Nie, to bez sensu. Nie mogę sobie pozwolić na kolejne opóźnienie. Zresztą Emmett twierdził, że znają wszystkich w okolicy. Komu uwierzą: nieznanemu czy im?

Nawet jeśli ktoś mnie wysłucha, zaraz zaczną się pytania: o rodzinę, o rodziców, o cel podróży. I znowu musiałabym kłamać. A gdyby zorientowali się, że jestem dziewczyną, zaraz odesłaliby mnie do Dahlonega, ani się obejrzą, do wuja grzechotnika, bo to przecież mój prawny opiekun i bardzo elegancki dżentelmen.

Zawracam na północ, w kierunku Tunnelsville i Chattanooga. Trzymam się skraju drogi, żeby móc w każdej chwili czmychnąć w las.

* * *

Tunnelsville przywarło do zbocza góry, całe miasteczko, które powstało tylko po to, żeby wyryć dziurę. Domy są skromne, sklecone byle jak, nawet niebielone, niewiele lepsze niż szałas. Tory kolejowe, wzdłuż których jechałam, kończą się nagle przy wielkim, mrocznym tunelu. Stąd w górę prowadzi stroma droga, na której roi się od ludzi, koni i juczych mułów.

W miasteczku jest tylko jeden rymarz. Ma zeza, cienką bródkę i odciski na dłoniach. Ślęczy nad płatem skóry. Pytam, ile mu zajmie zreperowanie siodła Peonii. Mamrocze coś o kilku dniach, bo ma pełne ręce roboty.

– Nie! To znaczy, wielkie dzięki. Może mi pan polecić kogoś innego?

– Najbliższy rymarz jest w Dalton, to ponad dzień drogi... – Urywa nagle, bo w końcu podnosi głowę i widzi siodło tatka.

Wyjmuje mi je z rąk, ogląda z bliska, obraca na wszystkie strony. A potem obrzuca wzrokiem mnie i mój pozałowania godny wygląd.

– Słuchaj, synu – mówi. – Dam ci za to siodło inne, dobre.

Waham się. Zdejmuje siodło z drewnianego kozła i podaje mi.

Jest mniejsze niż siodło tatki, zużyte, mniej zdobione. Ale rzemienie są nowe i wydaje się solidne.

– Zawiezie cię aż do Kalifornii, bez dwóch zdań – zapewnia. Kulę się w sobie. Skąd wie? Ale nie, gorączka złota jest w powietrzu i pewnie mówi ogólnie.

– Cóż, ja...

– Wiesz co? Powiedz mi, jak się nazywasz, i jeśli będziesz tędy wracał, znowu się zamienimy, ale wtedy doliczę ci koszt mojej pracy i materiałów.

– Uczciwa propozycja. – Nie żebym się spodziewała, że będę tędy wracać, ale świadomość, że mogę to zrobić, wiele ułatwia. – Nazywam się Lee...

– Lee... – Wpisuje moje imię do wielkiej księgi.

Do głowy przychodzi mi tylko jedno nazwisko – Jeffersona.

– Lee McCauley.

– Dobrze, panie McCauley, a więc mamy umowę.

Nie muszę wydawać ani centa. Dla mnie to doskonała sytuacja. Mimo tego czuję pustkę w sercu, gdy podaję mu siodło. Najpierw hawken tatki, teraz to.

– Proszę pana – zaczynam, bo przypomina mi się coś jeszcze. Bardzo szybko wydam resztki moich pieniędzy.

– Tak, synu?

– Ma pan może sakwy na sprzedaż? Chociaż jakieś małe?

Znowu przygląda mi się uważnie i nagle cieszę się, że jestem tak niemiłosiernie brudna. Mam nadzieję, że dzięki temu wyglądam raczej jak żebrak niż jak dziewczyna, która uciekła z domu.

Szuka czegoś w stercie skór.

– Masz. – Podaje mi sakwę. – Miałem ją pociąć na rzemienie, ale równie dobrze może ci jeszcze posłużyć.

Przełykam ślinę, wzruszona jego dobrocią. Sakwa jest zniszczona, skóra popękana, ale jak ją dobrze natłuścić, jeszcze trochę wytrzyma. Rymarz zdejmuje kapelusz z haka i wsadza mi na głowę. Rondo jest naddarte, ale to nie szkodzi.

– No, to masz już wszystko – orzeka. – Powodzenia, gdziekolwiek zmierzasz.

– Dziękuję – szepczę i wybiegam na zewnątrz.

Peonia łypie podejrzliwie na nowe siodło. Czekam, aż je porządnie obwącha, i nie protestuje, kiedy zaciskam popręg.

Droga pod górę jest stroma, skalista i bardzo podstępna, bo na całym zboczu nie ma żadnych drzew, wszystko jest zdeptane. I tylu wędrowców, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, co mi akurat odpowiada. Objuczone muły idą powoli i dopiero kilka godzin później mijamy szczyt i zaczynamy mozolną wędrówkę w dół.

W połowie drogi Peonia się potyka i zaczyna utykać.

Zeskakuję na ziemię. Ci za mną mamrocą gniewnie, ale milkną, kiedy oglądam jej nogi i widzę, że zgubiła lewą przednią podkowę, tę samą, która jak mi się wydawało, obluzowała się podczas zamieszania z braćmi.

Starannie oglądam kopyto. Nie widzę pęknięć ani ukruszeń, ale i tak w najbliższym czasie nie będziemy galopować, choćbym nawet zobaczyła za sobą Hirama we własnej osobie.

Serce wali mi jak oszalałe, kiedy prowadzę ją niewygodną, skalistą drogą, każdy krok to męka i wielkie ryzyko dla Peonii. Na dole czeka kolejne zatłoczone miasteczko. Tory kolejowe są i tutaj. Włóczę się po osadzie, szukam kowala, ale jest tu tylko mały pensjonat, zajazd i kilkanaście domów.

Choć oddałabym wiele za wygodne łóżko i nieprzeciekający dach nad głową w zajeździe, nie śmiem pokazać się w miasteczku, nie chcę też wydawać cennych monet, więc urządzam sobie obozowisko wśród bezlistnych drzew. Tym razem przez godzinę szukam suchego drewna; nie chcę ryzykować, że dym zdradzi mnie po raz drugi. Oglądam kopyta Peonii, usuwam błoto z tego bez podkowy. W końcu jest mi ciepło i ogarnia mnie senność. Mimo tego długo leżę z otwartymi oczami.

Wyobrażam sobie pogniecioną mapę na kontuarze w sklepie Wolnego Jima. Od początku było jasne, że najtrudniej będzie wydostać się z Georgii, powtarzam sobie. Ale to już prawie za mną. Przypominam sobie kolorowe kwadraciki poszczególnych hrabstw, aż do Missisipi. Może po drodze będę rąbać drwa, pracować w zamian za wyżywienie, jak tamtego ranka kilka dni temu. Musi być jakiś sposób.

Słyszę tętent kopyt i urywki rozmów, a raz echo niesie dźwięczne uderzenia młotków o gwoździe. Poszukiwacze złota, handlarze, pracownicy kolejowi, całe rodziny – ludzie tacy jak ja – są w pobliżu, ale wydaje mi się, że dzielą mnie od nich całe mile.

* * *

Późnym popołudniem następnego dnia przekraczamy granicę stanu Tennessee i wjeżdżamy do Chattanooga. Piękne miasto, szeroka rzeka wiję się wśród falujących wzgórz, uparcie zielonych, nawet w zimie. Przypomina mi się Jefferson, który zawsze docenia piękny widok. Mam nadzieję, że podążam jego śladem, że jechał właśnie tędy, patrzył na to samo zakole rzeki. Miał nade mną tylko trzy dni przewagi. Może tutaj go spotkam.

Nie ma sensu wzbudzać w sobie nadziei. To wielkie hrabstwo, a zgubiona podkowa Peonii znowu mnie spowolni.

Chattanooga to pierwsze miasto mogące się równać z Dahlonę. Na tyle duże, że ludzie nawet nie zaszczycają mnie spojrzeniem, gdy ich mijamy; są zajęci własnymi sprawami. Znajduję kowala, widzę podkowę nad drzwiami. Wprowadzam Peonię na podwórze i pytam młodego mężczyznę w fartuchu terminatora, czy da się ją podkuć.

– Śliczna klaczka – ocenia, oglądając ją dokładnie. – Za dolara dostaniesz dwie nowe podkowy, żeby przednie kopyta miały takie samo obciążenie.

W stajni jest już pięć innych koni, też czekają na kucie.

– Spiesz mi się. Zapłacę dwa dolary, jeśli zrobisz mi to od razu. – Nie stać mnie na taką sumę, ale też nie stać mnie na kolejne opóźnienie.

– Umowa stoi. Przyjdź po nią koło kolacji.

Okropnie się czuję, zostawiając ją wśród obcych, nawet na kilka godzin, ale kiedy będzie pokuta, wyjedziemy stąd galopem do Kentucky, tak jak radził Wolny Jim. A tymczasem odważę się iść do sklepu po zapasy.

Najpierw nabywam paszę. Z sercem w gardle kupuję mały worek ziarna, ale wszystko idzie tak gładko, że kiedy dochodzę do sklepu, jestem już spokojna. Tym razem pamiętam nawet, żeby zdjąć kapelusz.

Wchodzę do środka, podchodzę do stojaka z rondlami. Kupię małą patelnię i trochę mąki – będę sobie smażyć podpłomyki. Zanim przekłęci bracia nie ukradli hawkena, liczyłam, że będę też polować. Dobrze, że został mi rewolwer, ale nie bardzo umiem z niego strzelać i musiałabym liczyć na nie lada szczęście, żeby ustrzelić choćby królika czy wiewiórkę. A więc podpłomyki. Mąka jest co prawda ciężka, ale tania, a będę poruszać się szybciej, jeśli nie będę musiała zatrzymywać się po zapasy.

Do lady podchodzi kolejny klient – przystojny, wysoki mężczyzna o imponujących bokobrodach, w eleganckim surducie. Pyka cygaro i czeka, aż sprzedawca przestudiuje listę, którą mu podał.

Sklepikarz marszczy brwi.

– Ależ panie Andrew, to są zapasy na długą podróż. Nie chce pan mi chyba powiedzieć, że także stracił rozum i wyrusza po złoto.

– Przecież złoto leży tam na ziemi. – Dżentelmen nie wyjmuje cygara z ust. – I czeka na zdecydowanego śmiałka, który po nie przyjedzie. Trzeba się jednak spieszyć, bo inaczej będzie za późno. Tak samo, jak było z gorączką złota w Georgii.

Podchodzę bliżej, nadstawiam ucha jak kot.

– Zabiera pan całą rodzinę? Panią Joyner i dzieci też?

Skinienie głową.

– Planuję tam zostać. W Kalifornii człowiek zamożny może żyć jak król.

Jeśli jest wystarczająco zamożny, wszędzie może żyć jak król. W tych okolicach kolej stworzy wiele możliwości dla kogoś z głową na karku.

– Ktoś z głową na karku znajdzie okazję wszędzie.

Sklepikarz poddaje się z uśmiechem. Dyskutują o kilku pozycjach na liście, o łopatach, patelniach i kawie.

– Przepraszam bardzo! Panowie! – rozlega się znajomy głos. Zasycha mi w ustach.

Kątem oka widzę Abła Toppera – z postrzępionym kapeluszem w garści, z jedną pękniętą szelką zwisającą smętnie – wtapiam się w ciemny róg.

– Czym mogę służyć? – rzuca sprzedawca zirytowany.

Topper stoi między mną a drzwiami. Gdybym teraz chciała się wymknąć, na pewno mnie zauważy. Stoję do niego tyłem i udaję, że oglądam sztukę płótna.

– Szukam konia. Czy raczej koniokrada. Spodziewam się, że...

– Przepraszam bardzo. – Dżentelmen nie daje mu dokończyć. – My tutaj dobijamy targu.

– To ja przepraszam, tylko że liczy się każda chwila i...

– Zapewniam pana, że w Chattanooga nie ma żadnych koniokradów. Trzymają się z dala od miasta.

– Tak, ale...

– Stawiam, że twój koniokrad czmychnął na północ, do Kentucky, to najkrótsza droga na bezdroża, gdzie tacy jak on czują się jak ryba w wodzie. A teraz daj nam dalej dobijać targu.

– Na północ do Kentucky, tak? – upewnia się Topper.

– Co ty za jeden, szeryf? – interesuje się sklepikarz. – Czy co?

– Nie tam, po prostu chciałbym się przysłużyć właścicielowi konia, jeśli

wiecie, co mam na myśli.

– Nie wiemy – ucina dżentelmen.

– Masz pan plakat? – pyta sklepikarz. – Mogę go powiesić na drzewach.

Serce bije mi jak tysiiąc galopujących kopyt.

– Nie tam, nawet mu się dobrze nie przyjrzałem.

Skoro nie wie, że to ja zabrałam Peonię, wyruszył na własną rękę. Wuj go nie wysłał. Ale moja ulga trwa tylko chwilę: Abel Topper każdemu opisze mojego konia, to jasne jak słońce.

Dżentelmen chrząka głośno.

– No dobrze, już dobrze – warczy Topper. – Już wychodzę. – Tupie głośno i mamrocze coś pod nosem o zarozumiałych bogaczach.

– Co za prostak – komentuje sklepikarz.

– Nie ufam mężczyźnie bez połowy zębów – dodaje dżentelmen.

Dalej omawiają listę zakupów, ale już nie zwracam na nich uwagi. Muszę się stąd wyrwać, muszę zabrać Peonię od kowala i uciekać, zanim Abel Topper ją zobaczy. I może lepiej nie jechać na północ, jak planowałam, nie, jeśli tam skieruje się Topper.

– Z kim płyniecie? – pyta sklepikarz.

– Z Rodneyem Chisholmem.

– Podobno w jego załodze są też Skrzypek Joe i Rudy Jack.

– Nie znam dżentelmenów o takich przezwiskach, być może poznałem ich bardziej chrześcijańskie imiona?

– Być może – przyznaje sklepikarz. – Ale ja ich nie słyszałem. Dobrzy z nich muzycy, jeden przygrywa na gitarze, drugi na skrzypkach.

– Dzięki Bogu, że na gitarze – obawiałem się, że będę musiał znosić dźwięki banjo.

– Jak tam pan sobie chce. To już wszystko?

– Tak. Zapisz wszystko na rachunek mojego ojca i niech twoi niewolnicy zanoszą to nad rzekę.

– Na kiedy to wszystko potrzebne?

– Na już. Poziom rzeki jest wysoki, łatwo będzie pokonać bystrze.

Co prawda Wolny Jim uprzedzał, żeby nie płynąć barką, ale w moim wypadku to może się okazać najlepszym wyjściem. Skoro ten cały Andrew Joyner z rodziną wyrusza na zachód, może podążę jego śladem. Albo jeszcze lepiej, razem z nimi. Tak będzie o wiele bezpieczniej; przekłęci bracia nie okradliby mnie, gdybym była w grupie, zresztą to ostatnie, czego wuj Hiram

się spodziewa.

Ktoś musi mnie przedstawić; nie wypada, żebym zrobiła to sama.

Chwileczkę; nie wypadało, kiedy byłam dziewczyną. Może powinnam po prostu do niego podejść i wyciągnąć rękę. Już robię pierwszy krok, ale przypominam sobie, jak zareagował na Abła Toppera, i zatrzymuję się nagle. Skoro Topper nie przypadł mu do gustu, na pewno nie poświęci mi ani chwili – mam fatalnie ostrzyżone włosy, ubłoconą koszulę i niedopasowane spodnie. Udamę, że oglądam kapelusze, i jednocześnie myślę gorączkowo, co robić.

– Proszę pozdrowić ode mnie kapitana Chisholma – mówi sklepikarz.

– Oczywiście – zapewnia pan Joyner.

Kapitan Chisholm. Z nim muszę porozmawiać. Wybiegam ze sklepu, rozglądam się na boki, żeby się upewnić, że Toppera nie ma w pobliżu. Kapitan Chisholm, kapitan Chisholm, powtarzam w myślach.

Od kuźni dzieli mnie tylko kilka przecznic. Idę szybko, ale nie za szybko, w nisko opuszczonym kapeluszu, z rękami w kieszeniach. Rozglądam się jeszcze jeden raz i wchodzę do kuźni – i mało brakowało, a potknęłabym się o własne nogi, bo Abel Topper jest po drugiej stronie ulicy. Zerwana szelka kołyszze mu się u boku. Z duszą na ramieniu patrzę, jak znika za drzwiami zajazdu.

To moja szansa. Zmywamy się stąd, nawet jeśli Peonia jeszcze niepodkuta.

– Masz szczęście, synu – mówi pomocnik kowala. – Właśnie z nią skończyłem.

Kamień spada mi z serca. Z trudem trzymam się na nogach.

– Tak szybko!

– Za to mi płacisz. – Wzrusza ramionami.

Odliczam dwa dolary i podaję mu.

– Dziękuję.

– Na zachód, jak wszyscy? – domyśla się.

Już mam zaprzeczyć, ale wpadam na lepszy pomysł.

– A jakże. Jutro wyruszam do Kentucky.

– No to powodzenia.

Peonia prycha na powitanie. Wyprowadzam ją ze stajni.

– Którędy na nabrzeże? – pytam mijanego przechodnia.

– A jeszcze go nie czujesz? – warczy i oddala się.

Wciągam powietrze nosem; ma rację. Podążam za rybnym, gnilnym smrodem stojącej wody, idę nad rzekę i widzę je od razu. I w pierwszej

chwili otwieram usta z wrażenia.

Przy nabrzeżu cumują niezliczone barki. Proste jak tratwy, ale długie na osiemdziesiąt albo i sto stóp, z niskim dachem. Na jednej stoi stado bydła, na innej sarta beczek, a robotnicy wtaczają kolejne. Mała skalista wysepka pośrodku rzeki to miejsce postoju promu linowego. Wzdłuż nabrzeża ciągnie się długa kolejka ludzi czekających na przeprawę.

– Gdzie znajdę kapitana Chisholma? – pytam jednego z robotników toczących beczki.

Ociera pot z czoła wierzchem rękawicy i wskazuje barkę lekko kołyszącą się na wodzie, bo nie ma niej żadnego towaru.

Patrzę na nią i nagle się waham. Mama pewnie przewraca się w grobie, widząc, jak zaraz podejść do grupy nieznanym mężczyzną i poproszę o przysługę. Ale teraz nazywam się Lee McCauley i jestem chłopcem, upominam się. To nic wielkiego.

Przywiązuję Peonię do słupa, poprawiam szelki, jak setki razy widziałam to u Jeffersona, i zbliżam się do nich, jakbym miała do tego pełne prawo.

– Kapitanie! – Staję na skraju nabrzeża i drę się na całe gardło. – Halo, kapitanie!

Z kabiny wygląda niski mężczyzna z nosem spalonym słońcem i włosami koloru marchewki.

– A kto pyta? – rzuca.

– Ja.

– A ty kto?

– A ty kto?

Uśmiecha się.

– Rudy Jack.

– Płyniecie do Kalifornii, panie Jack?

Wychodzi na dwór. Jest boso, brzuch wylewa się nad paskiem spodni. Szelki z trudem utrzymują je na miejscu.

– A skądże, tylko do Missisipi.

– Ale zabieracie pasażerów na zachód?

– Znasz Joynerów, synu?

– Nie, proszę pana, ale słyszałem, że zabieracie pasażerów na zachód, a chciałbym się tam dostać.

Rudy Jack przygląda mi się, przeczesuje włosy, jakby chciał okiełznać myśli.

– Zabieramy rodzinę pana Joynera do Missouri. Dalej muszą radzić sobie sami.

– Ile za przeprawę do Missouri?

– To zależy do kapitana, a jego tu teraz nie ma. – Mierzy mnie wzrokiem, widzi wszystko – upaprane błotem ubranie, kapelusz z drugiej albo i z trzeciej ręki. – Ale musisz wiedzieć, że Joynerowie wynajęli całą barkę dla siebie, więc jeśli nie podróżujesz z nimi...

Załamana, zwieszam ramiona.

– No dobrze – mówię, patrząc na rzekę, na inne barki. Czeka mnie strasznie dużo rozmów, ale na pewno znajdę kogoś, kto zabierze nas na pokład.

– Ejże, nie spuszczaaj nosa na kwintę – mówi.

Ktoś jeszcze wygląda z kajuty. Mężczyzna tak wysoki, że może się wyprostować dopiero po wyjściu na pokład. Jest pomarszczony i brązowy na twarzy jak kora drzewa, jego chude palce przypominają gałązki. Widzi mnie i uśmiecha się tak serdecznie, że odpowiadam tym samym.

– Pan tu jest kapitanem? – pytam.

– Nie, jestem Joe.

Skrzypek Joe. Odwraca się, rozpala ogień pod małą kuchenką na skraju barki. Cały czas plecami do mnie pyta:

– Lubisz kawę z cykorii?

W tej chwili marzę o czymkolwiek gorącym.

– Tak, proszę pana.

– To wskakuj na pokład.

Zerkam na Peonię, żeby się upewnić, że cały czas mam ją w zasięgu wzroku, i wchodzę na pokład. Z brzegu wydaje się stabilny, ale teraz czuję, że cały czas się rusza. Staram się utrzymać równowagę. Joe podaje mi cynowy kubek parującej kawy. Gorąca, aż parzy mi język, ale jeszcze nigdy gorzki napój nie smakował tak słodko.

Rudy Jack wraca, niesie trzy małe krzeselka i stolik i ustawia je na pokładzie.

– No, nie stójże jak bezpański pies, siadaj do kolacji – burczy.

Nie wierzę własnemu szczęściu. Przysuwam sobie krzesło, a Joe nakłada na talerze owsiankę i jajka. Mężczyźni biorą się do jedzenia. Ja jeszcze się waham.

– Co ty taki nieśmiały, synu – zwraca się do mnie Joe. – Jajka i owsianka równie dobrze nadają się na kolację, jak i na śniadanie.

„Synu” mnie przekonuje. Pałaszuję jak wygłodniały szczeniak. Joe nie żałuje soli, sypie jej więcej niż mama, ale wcale mi to nie przeszkadza.

– Dziękuję – mówię z pełnymi ustami.

– A więc mały argonauta, tak? – pyta czerwony Jack. – Do Kalifornii, jak wszyscy?

Przełykam resztkę jedzenia i tłumaczę:

– Mam przyjaciela, prawie brata, który ruszył na zachód, i umówiliśmy się w Independence. Czytaliśmy o tym w gazecie.

Joe kiwa głową ze zrozumieniem.

– Mnóstwo ludzi się tam poumawiało. Ale tylko pan Joyner może zdecydować, kogo zabiera na pokład.

Marszczę czoło. Chyba jednak muszę zebrać się na odwagę i przedstawić temu eleganckiemu dżentelmenowi. Może warto najpierw zainwestować w pucybuta. I fryzjera, żeby wyrównał mi włosy. Jeśli się na to zdobęde.

Nie, każda chwila w miasteczku naraża mnie i Peonię na zdemaskowanie.

– Ale nie ma nic do powiedzenia, jeśli chodzi o załogę – odzywa się ktoś za moimi plecami.

Zerkam za siebie. Sprawia wrażenie najgroźniejszego z nich, ma kwadratową szczękę, nierówny zarost, wygląda, jakby golił się łyżką, ma przekrwione oczy, ze zmęczenia albo od alkoholu. Joe nakłada owsianki na talerz i oddaje mu swoje krzesło.

– Nie mam zielonego pojęcia o pracy na barce – odpowiadam, przyglądając mu się czujnie. Za bardzo przypomina braci z tymi swoimi niesfornymi włosami i w podartej koszuli. – Szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu jestem na rzece.

Nowo przybyły sący kawę.

– Jeśli chcesz wynająć barcę, żeby dotrzeć do Missisipi, mogę ci kilka polecić.

– Chcę się tam dostać, nieważne jak. Do tej pory podróżowałem lądem. – Ale już tego nie chcę; ton mojego głosu zdradza to wyraźnie.

– Na rzece jest przyjemniej i szybciej. Prąd załatwia całą robotę – wtrąca się Rudy Jack.

Szybciej. Najważniejsze.

– Nie całą robotę – zauważa nowo przybyły. – Ja też się przydaję, choć wy dwaj, darmozjady, tylko brzdąkacie na strunach i płoszycie ryby.

– Chyba raczej śpiewamy im kołysanki, żeby łatwiej dawały się złowić –

poprawia Rudy Jack.

– Przydałby się nam pomocnik na pokładzie – rzuca oprych. – Ktoś do czarnej roboty.

– Na miłość boską, tylko mu nie mów, że śpiewasz – mamrocze Czerwony Jack.

– Ja wcale nie śpiewam, proszę pana – zapewniam. Szczerze mówiąc, uwielbiam śpiewać, ale głos zdradziłby, że jestem dziewczyną, szybciej, niż rozbrzmiałyby pierwsze nuty.

– A to fatalnie – mruczy oprych. – Czyli jeśli damy ci wikt i dach nad głową...

– Dla mnie i mojego konia?

– Dla ciebie i twojego konia, zrobisz wszystko, co będzie trzeba na pokładzie.

Nie wiem, co to za czarna robota, i nic mnie to nie obchodzi. Nie ma szans, żeby wuj Hiram, Abel Topper czy ci przekłęci bracia ścigali mnie na rzece. I choć nie umiem chodzić po wodzie, jak żartował Wolny Jim, i ja, i Peonia pływamy bardzo dobrze, dziękuję.

– Dobry pomysł, proszę pana. Porozmawiam z kapitanem.

Rudy Jack i Joe chichoczą pod nosem. Joe zbiera puste talerze i lituje się nade mną.

– Właśnie z nim rozmawiasz – wyjaśnia mi cicho.

Czuję, że się rumienię.

– Rodney Chisholm – przedstawia się kapitan.

– Lee – odpowiadam. – Lee McCauley.

– Bardzo nam miło. Witaj na pokładzie, McCauley. – Wstaje. – Zostajesz na próbę, synu. Jeśli za tydzień okaże się, że się nie nadajesz, wysadzimy cię na brzeg.

– Tak jest, proszę pana.

– Stół i krzesła przechowujemy w tamtym kącie.

Mija chwila, zanim to do mnie dociera.

– Tak jest, proszę pana. – Zrywam się z miejsca.

Chcę wziąć wszystkie trzy za jednym zamachem, ale wysuwają mi się z rąk i z łoskotem upadają na pokład, więc biorę dwa, odnoszę i wracam po trzecie.

Członkowie załogi stoją na rufie i pykają fajkę.

– Błagam, powiedzcie, że nigdy nie był ze mnie aż taki żółtodziób – prycha Joe.

– Nie daj się nabrać, chłopcze – uspokaja mnie kapitan. – Jego też zatrudniłem jako niewykwalifikowaną siłę roboczą.

– Miałem trzydzieści cztery lata, kiedy po raz pierwszy wszedłem na barcę – potakuje Joe. – Skoro taki stary dziad może się nauczyć, ty też sobie poradzisz.

Rumienię się pod ich wzrokiem, gdy ustawiam ostatnie krzesło. Pod zadaszeniem znajdują się przepierzenia: w niektórych wiszą hamaki i leżą sienniki, w innych – wiązki siana. To taka wielka stodoła – na wodzie! – więc czuję się jak w domu. I pewnie dla części z nich to naprawdę dom. Pewnie członkowie załogi spędzają tu okrągły rok.

Niczego o mnie nie wiedzą, a jednak przyjęli mnie pod swój dach. Owszem, będę pracować na swoje utrzymanie, ale to i tak akt dobroci, którego tak rozpaczliwie potrzebowałam. Drugi w przeciągu tyluż dni. Nie wszyscy są tacy jak wuj Hiram czy Emmett i jego bracia. Muszę to sobie zapamiętać.

Rozdział 13

Barka jest długa, wąska i ciemna. Trochę trwa, zanim Peonia daje się namówić na wejście na pokład. Tańczy niespokojnie, gdy pokład się kołysze, ale kiedy widzi swój boks, uspokaja się. Jest w nim sucho, ma siano i dużo ziarna, a to chyba najważniejsze.

Znika mi z oczu, zajęta jedzeniem, a mnie kamień spada z serca i oddycham z ulgą po raz pierwszy od kilku dni.

Niewolnik ze sklepu mniej więcej godzinę później przywozi zapasy. Pomagam mu rozładować wóz i przenieść wszystko na barcę, do pustych boksów. Nie pojmuję, co niektóre rzeczy mają wspólnego z poszukiwaniem złota – jak na przykład dwie spore butelki laudanum czy też balsam Oldridge’a do włosów i bokobrodów, ale może pan Joyner wie coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Późnym popołudniem, gdy powierzchnia rzeki mieni się złoto-czerwono od zachodzącego słońca, dwóch mężczyzn prowadzi ogromny wóz. Wpatruję się w niego z niedowierzaniem, usiłując sobie wyobrazić, jakim cudem to wszystko ma się zmieścić na barce. Wóz pęka w szwach: są na nim worki z mąką, ziarnem, beczułki solonej wieprzowiny i cała sterta eleganckich mebli. Piękny stół i cztery krzesła z wysokimi oparciami. Rama łóżka, puchowy materac, toaletka z połączonym lustrem... Co prawda pan Joyner mówił, że przeprowadza się z całym dobytkiem, ale nie sądziłam, że ma na myśli calusieńki dom.

Rozpakowujemy wóz i dziękuję Bogu, że rano z całej siły owinęłam się szalem mamy, bo ociekam potem i koszula przykleja mi się do skóry.

Kiedy wreszcie kończymy, wydaje mi się, że moje biedne plecy nie zniosą już żadnego obciążenia, i właśnie wtedy kapitan każe nam rozmontować wóz. Nie śmiem narzekać ani nawet okazać słabości, więc biorę się do pracy, jakbym jeszcze miała mnóstwo sił.

Rozmontowujemy go i wciągamy kołyskę na pokład, a potem składujemy w niej wszystkie części: koła, osie, plandekę. Następnie wprowadzamy woły, jest ich osiem, dużo jak na jeden wóz, ale kiedy zabiera się całe gospodarstwo domowe, mniej się pewnie nie da. Bestiom nie podobają się boksy. Mają w tej

sprawie sporo do powiedzenia. Ale kiedy podsypujemy im siana, godzą się ze swoim losem.

– A gdzie reszta? – pyta kapitan Chisholm, gdy i wóz, i woły są już na barce.

– Jest tego więcej? – pytam z niedowierzaniem.

– Masz z tym problem, synu?

– Skądże.

Uśmiecha się.

Nagle mój pomysł, by wyruszyć do Kalifornii tylko z Peonią i sakwami, wydaje mi się dziecinnie głupi.

* * *

Przed wieczorem docierają kolejne zapasy i zwierzęta, w tym para pięknych koni i pies myśliwski w białe łaty, ze zwisającymi uszami, który liże mnie po rękach i twarzy, jakbyśmy byli starym przyjaciółmi. Drapię go za uszami i po zadku i myślę o Nugget. Mam nadzieję, że Jefferson czerpie z niej otuchę w podróży, tak jak ja z Peonii.

– Coney, do nogi, bo skórę ci wygarbuję.

Pan Joyner, w eleganckim czarnym garniturze z żółtym jedwabnym krawatem. Obok niego stoi skromnie ładna blondynka w niebieskiej sukni, z koronkowym szalem na ramionach. W jednej dłoni ścisza podróżną torbę, wypchaną jak nie wiem co, druga spoczywa na ramieniu dziewczynki z jasnymi warkoczykami, mniej więcej sześćioletniej. Czteroletni chłopiec chowa się za jej suknią, ale przygląda mi się ciekawie. Mrugam do niego znacząco. Odwraca się, ukrywa buzię w fałdach matczynej spódnicy.

Nawet maluchy dźwigają torby podróżne. Przed rodziną stoi wielki kufer, który wniesiemy na pokład chyba we czwórkę, inaczej nie damy rady. Pies Coney obwąchuje go z przejęciem.

Rudy Jack posyła mi rozbawione spojrzenie i chwyta dwa worki.

– Piękny fotel na biegunach – komentuje mebel, który przed chwilą wniesiliśmy na pokład.

Pan Joyner poważnie kiwa głową.

– Inną barką płynie cały nasz dom – objaśnia, a my pracujemy dalej. – W Nowym Orleanie przeładują go na statek, stamtąd popłynie do Panamy, wozami pokona odcinek lądu, a potem znowu statkiem pożegluje aż

do Kalifornii. Zanim dotrzemy do San Francisco, będzie na nas czekał nasz własny dom, nasze ściany i wszystko. Teraz zabraliśmy tylko to, co niezbędne w podróży.

Nie miałam pojęcia, że da się rozmontować i przewieźć cały dom – ani że ktoś może uważać toaletkę za niezbędną.

– Czemu nie wybraliście się państwo tą samą drogą? – pytam.

Jest chyba zaskoczony, że śmiem się do niego odezwać, ale mimo wszystko udziela mi odpowiedzi.

– Miałbym narażać moją żonę i dzieci na okrutny klimat i bezwzględnych pogan w Panamie? Na wzburzone fale Pacyfiku? Nigdy w życiu. Poza tym podróż lądowa to przygoda, coś, co zapamiętają na całe życie, prawda, Andy? – Mierzwi niemal białe włosy chłopczyka.

– Tak, pa – odpowiada posłusznie, ale szeroko otwartymi oczami chłonie wszystko, co dzieje się wokół niego. Barka kołysze się niespokojnie. Wsuwa rączkę w dłoń matki.

Pani Joyner stoi sztywno u boku męża. Przypomina mi czaplę, gdy tak stoi, blada, nieruchoma, wyczulona na wszystko wokół, ale być może gotowa w każdej chwili rozwinąć skrzydła. Ścisną małą dłoń synka i odpowiada:

– Bóg chce, żeby Ameryka sięgała od oceanu do oceanu. – Ma delikatny głos, wznoszący się jakby w pytaniu. – Będziemy częścią czegoś wielkiego, zaniemiemy cywilizację na rubieże.

– Święte słowa, moja droga – wtóruje jej mąż.

Wyobrażam sobie cywilizację jako worek nasion, które będzie rozsypywała po drodze. Jak Johnny Appleseed. Uśmiecham się do tej myśli, ale łypie na mnie, jakbym zrobiła coś złego.

– Chodźcie, dzieci – mówi i celowo odwraca się do mnie plecami.

– Tak, ma – odpowiadają razem. Prowadzi je na pokład. Odprowadzam je wzrokiem. Cały czas mam w uszach „ma” i „pa”. W życiu nie słyszałam, żeby ktoś się tak zwracał do rodziców.

– Dzień dobry – odzywa się ktoś za moimi plecami. Odwracam się gwałtownie. Siwowłosa pani w praktycznej granatowej wełence, słomkowym kapeluszu, z połataną torbą.

– Matilda Dudley – przedstawia się. – Kucharka państwa Joyner. Ale wszyscy nazywają mnie ciocia Tildy.

Uchyłam kapelusza.

– Bardzo mi miło. Jestem Lee.

Rozmawia ze mną, a ja ładuję towar na barkę, opowiada, że od lat pracuje dla rodziny Joynerów, że robi wszystko, uprawia ogródek ziołowy i opiekuje się dziećmi.

Nie przerywam jej, ale jej ciągła paplanina działa mi na nerwy, bo barka, jeszcze niedawno taka duża, nagle się kurczy. Nie mam pojęcia, jak na tym pływającym domu zdołam zachować mój sekret, skoro będziemy tu stłoczeni jak owce w zagrodzie. Gdzie tu szukać odrobiny prywatności? A jeśli będę chciała uprać sobie koszulę?

– Dość już, ciociu Tildy – ucina pan Joyner. – Nie musisz zanudzać panów naszą historią.

– Dobrze, psze pana – odpowiada radośnie i papla dalej: – Ależ to przygoda zobaczyć pogranicze! Mówią, że w Kalifornii trwa wieczne lato.

Gdyby pączek ożył, stałby się właśnie ciocią Tildy. Nawet jej siwizna wygląda jak cukier puder. Kiedy wdaje się z Joem w dyskusję, które z nich będzie gotować, nabieram nadziei, że nie jesteśmy skazani na przesoloną jajecznicę.

Pan Joyner patrzy na kapitana.

– Wszystko już na pokładzie. Czemu nie ruszamy? Kalifornia do nas nie przypłynie, kiedy tu zwlekamy.

– Wszystko w swoim czasie, sir – zapewnia Chisholm.

Zwołuje załogę i mówi nam cicho:

– Odbijemy od brzegu i spłyniemy kilka mil, do zmroku, żeby pasażerowie byli zadowoleni.

Ja też się cieszę. Kiedy ruszymy w drogę, Hiramowi trudniej będzie mnie znaleźć, czy to celowo, czy przypadkiem. Na pokładzie barki są niemal wszyscy z Chattanooga, którzy mogli zapamiętać mnie – albo Peonię.

– Ale nie będziemy dzisiaj przeprowiać się przez bystrze? – upewnia się Rudy Jack.

– Za żadne skarby świata. – Kapitan odwraca się na pięcie i jego głos narasta, jakby z wystrzału z pistoletu robił się armatni huk: – Odbijamy!

Rudy Jack i Joe odwiązują cumy trzymające nas przy brzegu. Zwierzęta, stłoczone w rozkołysanej oborze, ryczą i kopią. Coney wskakuje na dach i szczeka bez celu. Pani Joyner prowadzi dzieci na rufę i opowiada coś o początku wspaniałej przygody.

Rozglądam się dokoła. Czuję się jak piąte koło u wozu.

– Co mam robić? – pytam.

– Bierz drąg i odpychaj – mówi Joe. Unosi swój wysoko, dwiema rękami, żeby mi pokazać. Czerwony Jack i kapitan już działają. Ustawiają się w równej odległości wzdłuż barki.

Widzę, gdzie leżą zapasowe drągi i chwytam jeden z nich. Jest ciężki i co najmniej dwukrotnie ode mnie większy. Ciągnę go po pokładzie, wchodzę na dach, cały czas z drągiem w ręku. Manewruję nim i przy okazji walę Joego w kolano.

– Au!

– Przepraszam!

Łypie na mnie gniewnie. Opieram koniec o brzeg i pcham.

– Źle trzymasz – poucza Joe.

Drąg utkwił. Barka odpływa, a on ani drgnie. Szarpię i ciągnę. Wysuwa mi się z rąk. Pochyliam się coraz niżej, zawisam nad wodą.

– Joe! – wołam.

Podbiega do mnie i chwytam mnie za pasek spodni.

– Puść drąg!

– Stracę go!

– Albo drąg, albo ty.

Puszczam. Drąg jeszcze przez chwilę sterczy, wbity w muł, a potem powoli opada na wodę.

– Niezły początek, chłopcze – prychna Rudy Jack i każe mi uciekać na dach kabiny, bo tam niczego nie popsuję.

Kapitan mierzy mnie surowym spojrzeniem.

– Bardzo przepraszam – mówię.

– Potrąciłbym ci koszt drąga z pensji, tylko że nic ci nie płacę – zauważa. – Kiedy wieczorem przybijemy do brzegu, wyniesz mi nowy drąg.

– Tylko taki, żebyś dał sobie z nim radę – zaznacza Rudy Jack. W jego głosie nie ma złości, to dobra rada.

Nie mam pojęcia, jak z powykręcanych rachitycznych drzewek nad rzeką wystrugać masywny drąg.

– Tak jest, psze pana.

* * *

Dryfujemy z prądem aż do zmroku, więc tego dnia nie wysadza mnie na brzeg. Ciotka Tildy po raz ostatni pozwala Joemu przygotować kolację.

Zaklina się, że od jutra ona zajmie się jedzeniem, i nikt nie ma nic przeciwko temu. Po posiłku Joe wyciąga swoje skrzypki, Rudy Jack – gitarę. Siadają na dachu i grają, a kapitan śpiewa zadziwiająco czystym tenorem. Joe tańczy i gra jednocześnie, wystukuje obcasami rytm na grubych belkach dachu. Pani Joyner tuli do siebie dzieci, nie klaszcze, nawet się nie uśmiecha, ale kiedy maluchy i ciotka Tildy klaszczą do taktu, nie protestuje.

Choć nie jest to najpiękniejsza muzyka, jaką w życiu słyszałam, wypełnia zimną noc energią i ciepłem. Patrzę w gwiazdy, odnajduję konstelację Plejad. Wzruszenie ściska mnie za gardło, gdy wracają wspomnienia: Jefferson i ja na naszym stryszku na siano zeszłej zimy, ze źdźbłami w ustach, pod oknem otwartym tak, że widzimy kryształowe niebo. Indianie Cherokee nie nazywają ich Plejadami, ale Ani'tsutsa, co oznacza Siedmiu Braci, powiedział wtedy Jefferson. Znał tę legendę od matki, opowieść o ośmiu chłopcach, którzy tak bardzo zdenerwowali się na mamę, że postanowili uciec, ale kiedy wskakiwali na nieboskłon, złapała ostatniego za nogę i ściągnęła z powrotem na ziemię, a siedmiu pozostałych do dzisiaj świeci na niebie.

Jefferson wyobrażał sobie, że jest ósmym bratem, tym, który został. To ważne, aby zostać, powtarzał. Przemawiała też do niego myśl, że gdzieś na świecie ma braci, którzy być może mają go na oku. Później strasznie się tego wstydził i wymusił na mnie obietnicę, że nikomu nie powiem, że myśli o takich głupotach. Przełknęłam wtedy gulę w gardle i zapewniłam, że mieć brata to wspaniała sprawa.

Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku; wolę nie myśleć, co się mogło stać, jeśli też trafił na braci albo im podobnych. Z jednej strony chciałabym go dogonić, z drugiej – mam nadzieję, że nadal ma nade mną przewagę trzech dni. Bo każdy, kto wyruszył w pościg za mną, rozpozna i jego bez trudu. Przy odrobinie szczęścia może być już prawie w Independence.

Rozbrzmiewa ostatnia nuta ze skrzypek Joego, niesie się powoli, słodko nad wodą. Wiatr od rzeki jest lodowaty, zimniejszy niż na lądzie, więc wszyscy wstają i udają się na spoczynek. Nikt mi nie powiedział, gdzie mam spać, więc idę do boksu Peonii i moszczę się w kącie. Mam za sobą ciężki, pracowity dzień. Po raz pierwszy, odkąd uciekałam z domu, śpię pod dachem. Choć mi zimno, od dawna nie czułam się tak bezpieczna i do tego najedzona. Zamykam oczy.

Budzę się gwałtownie. Skrzypek Joe. Wiesza na ścianie boksu koc i odchodzi bez słowa. Ściągam go. Stary, przetarty, ale dla mnie, która straciła

wszystko, cenniejszy niż złoto.

* * *

Ranek na rzece jest piękny jak rzadko, złociste słońce odbija się od wody gładkiej jak lustro. Czerwony Jack wychyla głowę chwilę po mnie. Ziewa, przeciąga się, rozwiązuje spodnie, żeby opróżnić pęcherz, i wtedy mnie widzi.

– A niech mnie. – Kiwa głową. – Wcześniej wstałeś. Siedziałeś tak całą noc?

Czerwienię się jak dziewczyna, którą przecież jestem.

– Ranny ze mnie ptaszek – odpowiadam i odwracam się, żeby go nie peszyć.

Nieco później z posłania zwleka się Joe i powietrze wypełnia zapach smażonego bekonu. Podczas posiłku chcę mu oddać koc.

– E tam. – Macha ręką. – Każdy powinien mieć własny koc.

Słowa podziękowania z trudem przechodzą mi przez ściśnięte gardło. Znowu mam koc. I nawet nie musiałam za niego płacić.

Joynerowie wstają późno. Siadają do śniadania, a ja przekonuję się na własnej skórze, co kapitan miał na myśli, mówiąc o czarnej robocie. Sprzątam boksy – zupełnie jak w domu. To przynajmniej robię pewnie.

– Za burtę – rzuca kapitan. – Prąd i tak wszystko zniesie. – Robię, jak każe, choć niedobrze mi na myśl, że z tej samej rzeki bierzemy wodę pitną.

Woda delikatnie obmywa barkę. Ruszamy w drogę, nad brzegami unosi się poranna mgła, wielkie białe czaple kołują nad rzeką, wypatrują ryb. Nic dziwnego, że niektórzy spędzają tu całe życie. Jest tak, jak powiedział Joe: to świetna forma komunikacji, a rzeka wykonuje większość roboty.

Czy może mówił tak tylko na zachętę, bo wkrótce Joe, Jack i kapitan zaciskają usta w wąskie linie. Są spięci jak grzechotnik przed atakiem. Mniej więcej dziesięć mil za Chattanooga już wiem dlaczego.

Dopływamy do wąskiego przesmyku. Po obu stronach wznoszą się strome skały, a woda, biała, spieniona, mknie szybko, jak pod kołem młyńskim. Wiatr przybiera na sile, szarpie moimi krótkimi włosami, wodna mgła zalewa mi ubranie. Dygoczę z zimna. Ściany wąwozu przemykają coraz szybciej.

Kapitan każe Joynerom wejść do środka. Pani Joyner robi to natychmiast, jej mąż odwraca się w progu.

– Przypominam, Chisholm, że umówiliśmy się na bezpieczny spływ do Missouri – woła. – Jeśli coś się nam stanie, nie dostaniesz ani centa.

– Włos panu z głowy nie spadnie, sir – zapewnia kapitan.

Ale kiedy pan Joyner niknie za drzwiami, kapitan Chisholm i Skrzypek Joe wymieniają ponure spojrzenia. Kapitan staje za sterami, Joe i Czerwony chwytają długie drągi i ustawiają się po obu stronach barki.

Nadal nie mam swojego drąga. Rozglądam się wokół, szukam czegoś w zastępstwie, ale nagle barka opada gwałtownie i tracę równowagę. Ciężko upadam na pokład, ból przeszywa moją kość ogonową. Kolejna fala. Kurczowo chwytam się krawędzi barki.

Kapitan stoi na dachu, wykrzykuje ostrzeżenia, radzi sobie z falami jak kaczką na stawie, a ja ledwie utrzymuję się na pokładzie. Skręcamy w lewo, w stronę skał. Kamienna ściana wznosi się nade mną, zbliża się coraz bardziej. Jest mokra od wąskich strumyków i upstrzona kępami roślinności kurczowo czepiającej się opornego podłoża. Gdybym chciała, wystarczy wyciągnąć rękę i jej dotknąć.

Kapitan szarpie koło steru, ale nie zmieniamy kursu. A co, jeśli uderzymy w skałę. Wyobrażam sobie barkę w kawałkach, nagłą eksplozję wody i drewna. Peonia pływa jak ryba. Mam nadzieję, że Joynerowie też.

Rudy Jack wbija drąg w dno, napina wszystkie mięśnie, aż widzę je, wyraźne jak postronki na jego szyi. Woda pieni się między barką a skałami, tryska, zalewa mnie. Wstrzymuję oddech.

Barka obraca się powoli.

Ruszamy, barka mknie przez wąwóz jak strzała. Rudy Jack krzyczy radośnie.

Wąwóz się rozszerza, skały ustępują miejsca łagodnym wzgórzom. Barka zwalnia, aż sunie leniwie, jak bryczka w niedzielę.

– Wszystko w porządku? – woła kapitan.

– Ani razu nie uderzyliśmy o skały! – odkrzykuje Joe. – Ani razu!

– Dobra robota, panowie – orzeka kapitan i patrzy też na mnie, choć moje osiągnięcie to chyba tylko to, że nie spadłam z pokładu.

Rudy Jack odkłada drąg i pomaga mi wstać.

– No i jak ci się podobała pierwsza przeprawa przez wir?

Chwilę trwa, zanim odzyskuję głos, a potem sama się sobie dziwię, gdy odpowiadam:

– Bardzo, proszę pana!

Uśmiecha się szeroko i klepie mnie po plecach.

Najwyraźniej jednak nikt nie podziela moich zachwyków nad bystrzem, bo choć woda jest już spokojna, woły cały czas porykują niepewnie. Coś

uderza w ścianę kabiny, a potem słyszę przeciągły jęk.

Ciotka Tildy wybiega na zewnątrz, blada jak ściana, roztrzęsiona.

– O nie, Boże, Boże, nie, nie zostanę tu ani chwili dłużej. Wysadźcie mnie na brzeg! I to natychmiast, bo inaczej poskarżę się pańskiej matce.

Pozostali członkowie rodziny wychodzą za nią na pokład.

Pan Joyner ma krzywo zawiązany krawat. Ociera czoło chusteczką. Dzieci czepiają się spódnicy matki, równie bladej i przerażonej jak Tildy.

– Nie, ciociu – zaklina pani Joyner. – Kto nakarmi dzieci?

– Skrzypek Joe pomoże. – Ciotka Tildy macha ręką. – Albo sama się pani nauczy, mnie to już nie obchodzi, bo na miłość boską, nie nadaję się do tego środka transportu.

Kapitan Chisholm zeskakuje z dachu.

– Proszę się nie obawiać, szanowna pani – zapewnia. – Większość rzeki jest spokojna jak śpiący dzieciaczek. Najgorsze już za nami.

Ciotka Tildy przecząco kręci głową.

– Przy pierwszej okazji schodzę na brzeg i wracam do domu, choćby i na piechotę.

– Trzeba było zabrać niewolników – pani Joyner zwraca się do męża. – Polly albo może Sukey. Twój ojciec chyba dałby nam Sukey? Zejdę tu na ląd razem z dziećmi i poczekamy, a ty po nią pojedziesz.

Serce staje mi w gardle. Wiele dni oczekiwania na brzegu? Ostatnie, na co mam ochotę. Zaledwie jeden dzień dzieli mnie od Chattanooga, a tam widziałam Abła Toppera. Mam nadzieję, ale nie pewność, że wyruszył do Kentucky.

– Bzdura – ucina pan Joyner. – Czytałem o pionierach, to dzielni, twardzi ludzie, którzy radzą sobie ze wszystkimi problemami. I my jesteśmy tacy sami.

– Najdroższy, wiesz przecież, że nie umiem gotować! Jestem matką twoich dzieci, a nie jakąś... jakąś...

– To naprawdę nic trudnego, szanowna pani – wtrąca Joe.

Pani Joyner wodzi wzrokiem od męża do Joego i z powrotem. Na jej twarzy panika ustępuje przerażeniu.

– A więc ustalone – ucina pan Joyner. – Wysadzimy ciotkę Tildy na brzeg, jeśli tego sobie życzy, a ty przez resztę podróży rzeką będziesz doskonaliła umiejętności kulinarne, żebyś była gotowa na wyprawę na zachód.

Zapada długa cisza.

– Jeśli tak sobie życzysz – szepcze pani Joyner. Prawie mi jej żal. Prawie.

W życiu nie słyszałam, by ktoś w ogóle nie umiał gotować. Nawet tatko umiał zaparzyć kawę i usmażyć bekon czy nadziać królika na rożen.

W najbliższej osadzie, po łzawym pożegnaniu, ciotka Tildy schodzi na brzeg. Trzymam się na uboczu, bo to nie moja sprawa, ale odprowadzam ją wzrokiem. Jako jedyna z Joynerów okazywała mi dobroć, a teraz już jej nie ma.

Rozdział 14

Przez kilka dni spływamy w dół rzeki Tennessee, najpierw przez Alabamę, i dziwnie mi na sercu, że zmierzamy na południe, gdy tak długo parłam na północ, ale już wkrótce rzeka zakręca, toczy się przez Tennessee i Kentucky, zmierza do rzeki Ohio. Na barce jest zimno i mokro. W porze posiłków tłoczmy się przy piecu i obserwujemy, jak pani Joyner uczy się gotować. Udaje, że nas nie widzi, ale nasza obecność chyba działa jej na nerwy, bo za każdym razem serwuje nam przypalone podpłomyki i wodnistą owsiankę.

Czasami przybijamy do brzegu – po zapasy i żeby rozprostować końskie nogi. Korzystam wtedy z okazji, żeby zadbać o swoją higienę, ale z ulgą oddycham dopiero na rzece. Często nie zatrzymujemy się przez kilka dni i wtedy muszę załatwiać te sprawy w boksie Peonii, do kubła. Nie śmiem zdjąć ubrań, żeby je przeprać. Moja koszula jest sztywna i poplamiona.

Ilekcio na noc dobijamy do brzegu, pan Joyner szuka partnerów do kart, choć żona zaklina go, by tego nie robił. Myślę o przeklętych braciach, o tym, jak okradają podróżnych nad rzeką, o wuju Hiramie i Ablu Topperze i siedzę na dachu barki, czuwając, zamiast spać. Nie uspakaja mnie fakt, że nikogo nie widzę. Braci też nie widziałam.

Co rano wyrzucam gnój z boksów. Po południu Joe uczy mnie posługiwać się drągiem. Wyciął mi go z wysokiego świerku. Praca jest pod wieloma względami lżejsza niż to, co robiłam do tej pory. Peonia dużo je i mało się rusza, więc tyje w oczach, ma też gęstą, lśniąca sierść. Nie żałuję jej tego – musi mieć dużo siły na to, co przed nami.

Po tygodniu zdobywam się na odwagę, podchodzę do kapitana Chisholma, który stoi na rufie. Jedną ręką trzyma ster, drugą osłania oczy.

– Panie kapitanie?

– Tak, synu?

– To już tydzień.

Przez chwilę przygląda mi się ze zdumieniem.

– Och. No tak. Cóż, dam ci jeszcze jeden tydzień.

Grymas wokół ust zdradza, że chyba się bawi moim kosztem, ale wolę tego

nie sprawdzać.

– Dziękuję panu – mamroczę i wracam do pracy.

Jedno z najdziwniejszych doznań na barce to kompletny brak złota. Ja jedna mam złote monety. Lustro w toalecie, którą załadowaliśmy, jest zdobione mosiądzem, może nawet tylko malowane, i mam nadzieję, że Joynerowie nie dali za nie dużo pieniędzy. Kapitan zapewne ma jakieś pieniądze, a już na pewno ma je ktoś tak zamożny jak pan Joyner, ale są chyba w małych nominałach – dolarówkach, dwudziestopięciocentówkach i dziesięciocentówkach, na które nawet nie reaguję. W domu, ba, nawet w drodze, zmysł złota nie usypiał ani na chwilę, nie tak, jak teraz. Czuję w sobie pustkę, jakby brakowało mi części mnie samej.

Łapię się na tym, że coraz częściej dotykam medalionu mamy, bawię się nim, ściskam między palcem wskazującym i kciukiem, obrysowuję opuszkami palców delikatne zdobienia, aż złotowidzenie mnie wypełnia i znowu jestem sobą.

Mijają tygodnie. Kapitan Chisholm ciągle nie wysadza mnie na brzeg. Barka płynie wśród błękitnych wzgórz i dolin głębszych, niż kiedykolwiek widziałam. Za każdym zakrętem czekają małe miasteczka i samotne farmy. Mijamy barki zmierzające w dół rzeki i łodzie wiosłowe pnące się w górę Tennessee. Już tutaj, taki kawał na zachód, rzeka to najbardziej ruchliwy, tłoczny gościniec, jaki w życiu widziałam.

Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi przez Kentucky. Pewnego słonecznego ranka sprzątam boksy. Od kilku godzin boli mnie brzuch; mam nadzieję, że nie bierze mnie choroba. Nagle między moimi nogami wykwita gorąca wilgoć.

Nieruchomieję z widłami w garści.

Nie muszę zaglądać w spodnie, żeby wiedzieć, że mam nie lada kłopot. Mama mi wszystko powiedziała, kiedyś nawet kazała mi wyprać swoje podkładki, żebym wszystko zrozumiała. Mówiła, że na mnie przyjdzie czas, gdy będę miała mniej więcej siedemnaście lat, i że skoro na razie nie planuję dzieci, to będzie regularne zjawisko. I zaraz kolejne zdumienie: zdaję sobie sprawę, że to już koniec lutego, a więc w ciągu ostatnich tygodni skończyłam szesnaście lat.

– Za wcześnie, mamó – szepczę, dotykając medalionu pod koszulą.

Jestem już kobietą. Kobietą z dużym problemem.

Biegnę do boksu Peonii, kucam, ściągam spodnie tatka, oglądam dokładnie

i oddycham z ulgą – nie ma na nich żadnych plam. Ale moje pantalony są do niczego. Ściągam je, obmywam się trochę i zakładam zapasowe. Zębami odrywam kawałek tkaniny z koca od Joego, składam i używam jako wkładki. Zakładam spodnie, poplamione pantalony ukrywam pod sianem. Wieczorem, po ciemku, upiorę je w rzece i wysuszę tam, gdzie nikt ich nie znajdzie. Posłużą jako podpaski, choć to za mało, bym była spokojna.

Nie mam wątpliwości, że załoga widzi we mnie chłopca: Joe, Rudy i kapitan załatwiają swoje potrzeby przy mnie bez chwili namysłu, choć zawsze dyskretnie odwracam wzrok. Kiedy Rudy kiedyś z tego zażartował, odparłam, że mama mnie tak wychowała.

Poplamione szmatki to jednak zupełnie inna sprawa. Nie wykręcę się z nich. Muszę być bardzo ostrożna i przebiegła.

Wieczorem, po kolacji, proponuję pani Joyner, że jej pomogę w zmywaniu. Szorujemy talerze i płuczemy je w rzece, i wtedy pytam:

– Przepraszam panią, nie ma pani zbędnego koca, który mógłbym odkupić?

Zastyga z garnkiem w dłoniach.

– Nie masz koca?

– Mam. Stary i podarty.

– Poszukam czegoś.

– Dziękuję.

W milczeniu kończymy zmywanie. Pani Joyner unika mnie przez cały wieczór, nie patrzy mi w oczy. Może się obraziła. Ale kiedy wieczorem po cichu wracam do boksu Peonii, widzę kołdrę na przepierzeniu. Jest cerowana i sprana, jeden koniec trochę się strzępi, ale i tak o niebo lepsza niż koc od Joego.

Nieczęsto się modlę, teraz jednak zerkam z wdzięcznością w niebo, a potem rwę koc od Joego na wąskie paski. Chowam je w sakwie. Teraz mam wreszcie dość szmatek na podkłady.

Następnego wieczora, gdy Joe pastwi się nad skrzypkami, Rudy stroi gitarę, a kapitan śpiewa do gwiazd, usiłuję dyskretnie wcisnąć jej dziesięć centów. Zaciska pięść i odpycha moją dłoń, odwraca się na pięcie, sadza sobie Andy'ego na kolanach i kołysze w rytm muzyki.

Oddalam się. Pani Joyner wyrządziła mi przysługę i nie pojmuję, czemu nie chce przyjąć moich pieniędzy, czemu nawet na mnie nie patrzy, ale i tak jestem jej bardzo wdzięczna.

Właściwie wszyscy Joynerowie ignorują mnie po mistrzowsku, nawet

na naszej małej barce. Nie dalej jak tego ranka przyłapałam ich córeczkę, małą Olive, jak mi się przyglądała, gdy manewrowałam drągiem, ale ledwie poczuła na sobie wzrok matki, odwróciła głowę. Może tak i lepiej. Dobrze, że maluchy nie kręcą się koło mnie i nie zasypują pytaniami, na które nie umiałabym odpowiedzieć.

Nigdy nie stanę się pełnoprawnym członkiem załogi. Wszyscy są dla mnie mili, ale wiedzą, że w Missouri zejść z pokładu, a ich łączy wspólna historia, której częścią nigdy się nie stanę.

Muzykują w najlepsze, gdy układam się do snu w boksie Peonii, pod kocem pani Joyner, z medalionem mamy w dłoni. Napięcie z podbrzusza rozlewa się na dół pleców, przechodzi w tępy ból. Powtarzam sobie, że w Independence czeka na mnie Jefferson. Teraz to mój jedyny substytut rodziny.

* * *

Poranne słońce jeszcze nie wzeszło nad górami, wszystko spowija mokra mgła. Odpychamy się od brzegu. Jestem z siebie dumna, że teraz posługuję się drągiem jak stary wyga. Przepływamy obok cichego, sennego miasteczka Cairo i nagle, nieoczekiwanie, rzeka rozlewa się szeroko.

Gapię się zdumiona, zapominam o drągu. Jesteśmy u zbiegu Ohio i Missisipi. Nigdy w życiu nie widziałam tyle wody jednocześnie. We mgle, spowijającej przeciwległy brzeg, mogę sobie właściwie wyobrazić, że żeglujemy po najspokojniejszym oceanie świata.

Z tyłu rozlega się dzwonek i bulgot spienianej wody. Kapitan Chisholm każe nam chwytać za drągi, sam staje za sterami. Razem zmierzamy w stronę kanału.

Z mgły wynurza się ogromny parowiec. Ma dobre dwieście stóp długości, dwa wielkie kominy, z których bucha czarny dym, a nazywa się „Zachodnia Nadzieja” – co napisano złotymi literami na burcie i zilustrowano promieniami wschodzącego słońca. Nigdy nie byłam przesądna, i to mimo moich nietypowych zdolności, ale taki zbieg okoliczności mógłby skłonić mnie do zmiany przekonań.

– Dobry omen – twierdzi smutnym głosem pani Joyner.

Może marzy jej się podróż takim parowcem. Wcale się jej nie dziwię. Wzdłuż pokładów ciągną się czyste białe burty. Na górnych poziomach setki ludzi tłoczą się jak bydło na barce. Ściągam kapelusz z głowy i macham do nich radośnie. Odmachują, kilku krzyczy coś wesoło. Ich kapitan stoi

na mostku, który przypomina domek z piernika. Obok wisi dzwon. Szarpie za sznurek i rozlega się donośny dźwięk. Olive uśmiecha się, co u niej rzadkie, Andy biega w kółko i krzyczy: „dzyń, dzyń, dzyń, a potem jak długi rzuca się na ziemię”.

Pan Joyner obserwuje to wszystko spod zmarszczonych brwi. Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie. W życiu nie widziałam takich luksusów – ten parowiec jest elegancki jak najlepszy hotel w Savannah i jeśli człowiek się tym nie ekscytuje, to już sama nie wiem, co robi na nim wrażenie.

Przemyka koło nas równie szybko, jak się pojawił. My tymczasem wypływamy naszą skromną barką na środek rzek. Cały czas wypatruję przeciwnego brzegu.

– Pa? Bardzo chciałabym kiedyś popłynąć taką łodzią – mówi Olive.

Pan Joyner wyjmuje cygaro z ust, wydmuchuje kłęb dymu.

– Wspaniały widok, czyż nie, moja droga?

Jego żona się rozmarza.

– Mój drogi, może rzeczywiście powinniśmy odbyć kolejny etap podróży parowcem? Pomyśl, jakie to wspaniałe wspomnienia dla dzieci.

Andy i Olive wpatrują się w rodziców wielkimi oczami pewnymi nadziei.

– Nie radzę – wtrąca się kapitan. – Zakwaterowanie jest w porządku, jak kogoś na to stać, ale na parowcach jest tłok i często sprzedają jedną kajutę kilku osobom.

– Ale kajuty są eleganckie? – upewnia się pani Joyner.

– Niektóre owszem, tak. I jeszcze jedno: na tych statkach kwitnie hazard. Jeśli się pan zdecyduje, proszę bacznie pilnować sakiewki.

Na słowo „hazard” panu Joynerowi błyszczą oczy, ale kiedy widzi na sobie wzrok wszystkich, ponownie marszczy brwi, pyka cygaro i odpowiada:

– Czytałem o tym. To oszustwo. Wywożą człowieka hen, w górę rzeki Missouri i koniec końców trzeba podróżować na południe, żeby wrócić na trasę. Nie, lepiej zostaniemy na lądzie.

Pani Joyner przygląda mu się bez słowa.

– Jednak będziemy się trzymać naszego pierwotnego planu – powtarza zdecydowanie pan Joyner. – Nie widzę powodu, by zmieniać trasę, zanim jeszcze stanęliśmy na linii startowej. Nie, jedziemy do Independence lądem, tak jak planowaliśmy. – Jednak odprowadza parowiec tęsknym wzrokiem.

Przeprawiamy się na drugi brzeg. Wschodzące słońce przebija się przez miękkie chmury, w końcu oświetla przeciwny brzeg. Na rzece tłok jak

na najruchliwszej ulicy. Widzę jeszcze trzy parowce, a zza zakrętu rzeki biją kolejne kłęby pary. Przepływamy między barkami – zbyt ich wiele, by zliczyć – i małutkimi łódkami, które uwijają się między nimi jak muchy. Mijamy nawet małą tratwę, a na niej dwóch chłopców w słomkowych kapeluszach z wędkami w dłoniach.

Zbliżamy się do ubłoconego nabrzeża. Kapitan Chisholm radzi:

– Trzymajcie się rzeki aż do Girardeau. Stamtąd możecie odbić na zachód albo, jak większość, jechać dalej, do St. Louis, i dopiero tam ruszyć na zachód.

Wyobrażam to sobie jako mapę Wolnego Jima i staram się wszystko zapamiętać, ale nie wiem, czy coś mi to da. Rzeka Missisipi jest o wiele większa i bardziej mroczna niż kręta niebieska linia na papierze. Jak się okazuje, wielki świat ma niewiele wspólnego z małą, płaską mapą.

Sięgam pod koszulę, dotykam medalionu, ale tym razem, zamiast jak zawsze o mamie, myślę o Jeffersonie. Boli łatwość, z jaką przypominam sobie jego bystre ciemne oczy i szerokie, poważne usta. Chciałabym jak dawniej się z nim drażnić i wywołać uśmiech na jego twarzy. Opowiedzieć o dotychczasowej podróży i usłyszeć, jak sam dotarł aż tutaj.

Zapytać, o co mu właściwie chodziło z tymi głupimi oświadczeniami. Wtedy małżeństwo ze względu na ułatwienia w podróży wydawało mi się głupim pomysłem, ale teraz nie mogę przestać o tym myśleć.

Zaufaj komuś. Nie można być tak samotnym, jak my byliśmy. Nie mieliśmy z tatkiem racji.

Podróż rzeką dała mi mnóstwo czasu do przemyśleń i nie jestem już taka pewna, że mama miała rację. Nie byłabym w tej sytuacji, gdyby tatko nie był tak ufny. Ale i tak nie mogę przestać myśleć o Jeffersonie, o tym, jak w Kalifornii moglibyśmy zacząć wszystko od nowa, może nawet stworzyć coś wspaniałego.

A jeśli mu się nie udało? A jeśli wcale na mnie nie czeka w Independence? Nagle wydaje mi się, że wpadam w bezdenny szyb, bez odrobiny złota, pełen jedynie mroku.

* * *

W południe plecy pękają mi z bólu od rozładowywania dobytku Joynerów. Wóz trzeba złożyć i załadować, ale umowa z kapitanem Chisholmem już

dobiegła końca i pan Joyner chce wynająć porządnych pomocników na dalszą część podróży do Independence. Tymczasem Skrzypek Joe woła z dachu barki:

– Kto głodny, niech spieszy do stołu!

Burczy mi w brzuchu. Moczę ścierkę w rzece i zmywam. Joe ugotował gulasz z wielkiego suma, którego rano złowił, solonej wieprzowiny i cebuli, a do tego gorąca pajda chleba kukurydzianego. Dobrze, że nie piekła go pani Joyner, bo zapewne spaliłaby go na wiór.

My, członkowie załogi, chwytamy talerze i biegniemy do niego. Pani Joyner wyjmuje z kufra obrus w kratę i nakrywa nim polerowany stół z orzechowego drewna. To dziwaczny widok, takie eleganckie meble na brzegu rzeki, w morzu trawy i błota, wody i drzew. Ludzie gapią się ciekawie, ale pani Joyner uparcie wygładza wszystkie zagniecenia, jakby nakrywała do stołu w niedzielę, po nabożeństwie, spodziewając się gości.

Siadam na skraju dachu naszej barki, macham nogami i obserwuję Joynerów, spożywających razem uroczysty posiłek. Czyli tak wygląda cywilizacja na zachodzie, myślę sobie. Jak okrągły nit w kwadratowej dziurze. Wycieram chlebem kukurydzianym resztki gulaszu z talerza i łapię się na tym, że nie mogę się już doczekać, kiedy te eleganckie meble na dobre znikną mi z oczu.

– Na pewno nie chcesz popłynąć z nami aż do Nowego Orleanu? – pyta mnie kapitan Chisholm.

Zaskoczył mnie.

– Nie, proszę pana. Muszę na zachód. – Gdyby tak jak ja, miał zmysł złotowidzenia, też parłby na zachód. Jak każdy.

– Tak też sobie myślałem. – Wyciąga do mnie rękę i wsuwa mi w dłoń kilka monet. – Powodzenia w drodze.

Zanim zdołam wykrztusić słowa podziękowania, widzę, jak Joe pakuje resztki chleba kukurydzianego do mojej sakwy.

– Zepsuje się, jak nikt go nie zje – mówi.

– Zostań – prosi Rudy Jack. – Bo jak sobie pójdiesz, znowu ja będę od czarnej roboty.

– Opróżniliśmy całą barkę – zauważam. – Nie ma boksów do sprzątnięcia. Wreszcie, stary leniu, będziesz się wylegiwał, jak lubisz.

Łypie na mnie groźnie, jak wtedy, pierwszego dnia, ale wiem, że życzy mi jak najlepiej.

Więcej pożegnań nie zniosę, więc naciągam kapelusz nisko na oczy, żeby

nie było widać w nich łez, i schodzę na brzeg. Peonia przebiera nogami, chce rozprostować kości, ale ja jeszcze zwlekam, udaję, że sprawdzam popręg. Pan Joyner tymczasem targuje się z tragarzami o zapłatę.

– Pomóc w załadunku? – pytam.

– Nie zapłacę ci – uprzedza.

– Nie prosiłem o pieniądze.

Po chwili wahania kiwa głową.

– Będę zobowiązany.

Kiedy taszczę kufer do wozu, proponuje:

– Możesz jechać z nami na północ, co najmniej do Girardeau.

Niedługo się tym cieszę. Pani Joyner, siedząca na koźle koło męża, zerka na niego z ukosa.

– Mój drogi, nie narzucaj się temu młodzieńcowi. Na pewno ma już swoje plany.

Gniewnie stawiam kufer, tak energicznie, że aż się przewraca.

– Jest tylko jedna droga – odpowiada pan Joyner. – Równie dobrze może podróżować z nami. Za późno, by wysyłać go przodem na zwiady, nie ma sensu kazać mu zostać, skoro nie ma bagażu – bo i tak nas wyprzedzi. Może pomóc przy załadunku i rozładunku. Nie muszę mu nawet płacić.

– Jak dla mnie może być – wtrącam szybko. Nieprawda, to rozbój w biały dzień, ot co. Ale też lepsze to niż samotność.

Pani Joyner spleta dłonie na podołku i milczy.

Czekamy chwilę. Pan Joyner zgadza dwóch parobków, w miarę czystych, z referencjami. I tak mija kolejna godzina, zanim wszystko z powrotem znajduje się na wozie. Pan Joyner zasiada na koźle, strzela z bata i woły ruszają z miejsca. Peonia i ja jedziemy za nimi. Coney kręci się nam pod nogami.

* * *

W przerwach między drzewami miga nam rzeka Missisipi. Trzymamy się z Peonią z dala od pani Joyner, więc otacza nas zapach gnoju i błota. Andy i Olive wyglądają spod plandeki. Ich anielskie buźki podskakują na każdym wyboju.

Pokonujemy niecałe pięć mil, gdy zapada zmrok. Wóz zwalnia, zjeżdża na pobocze. Podjeżdżam bliżej i widzę, że stajemy przy małej farmie.

Mała niewolnica, na oko dziesięcioletnia, otwiera drzwi i biegnie po pana. Jest to stary mężczyzna o ogorzałej twarzy.

– Dzień dobry panu – zaczyna pan Joyner. – Razem z rodziną...

– Skąd pan jesteś? – przerywa staruszek.

– Z Tennessee – odpowiada pan Joyner.

Staruszek prychnął pod nosem.

– Dobrze, że nie z tych wszystkich Ohio czy Illinois i tak dalej.

Otwieram usta z wrażenia, bo dociera do mnie, że ma na myśli stany zakazujące niewolnictwa. Może tu, bliżej pogranicza, sprawy mają się inaczej, ale u nas, w Georgii, nikt nigdy nie odmówił tatkowi pomocy ze względu na jego jankeskie poglądy.

Staruszek znika w domu, konferuje chwilę z żoną i dochodzą do porozumienia.

– Damy wam dach nad głową i jedzenie, kolację i śniadanie, tylko łóżek mamy mało.

Pan Joyner dziękuje mu wylewnie i wciska kilka monet w dłoń. Prowadzimy zwierzęta do obory i wchodzimy do przytulnej, ciepłej chatki, pachnącej suszonymi jabłkami i wilgotną sadzą. Siadamy przy drewnianym stole koło paleniska. Pośrodku stoi drewniany wazon pełen kwiatów z żółtego papieru pakowego i nagle coś ściska mnie za gardło.

Drobniutka niewolnica wnosi tacę, a na niej – soloną wieprzowinę i cebulę; gorsze to niż dania Skrzyпка Joego, ale przynajmniej zabija głód. Mężczyźni wymieniają się wiadomościami; dotyczą głównie złota w Kalifornii i osad w Oregonie. Potem, gdy ze stołu znikają naczynia, staruszek i niewolnica wynoszą z sypialni puchowy materac i kładą przy palenisku.

– Pan z rodziną prześpisz się tutaj, parobki na ganku, a wasz chłopak w stajni.

– To nie jest nasz chłopak, tylko chwilowo z nami podróżuje. – Pani Joyner najeża się.

Nie pojmuję, jak może być tak miła i zarazem tak oschła, serdeczna w jednej chwili i wyniosła w kolejnej. Wiem za to, że nie ma sensu być tam, gdzie cię nie chcą, więc żegnam się i idę do stajni.

– Wygląda na to, że dzisiaj śpimy razem – mówię do Peonii. – Jak zawsze.

Jestem tak zmęczona, że natychmiast zasypiam. Ze snu wyrывa mnie szept.

– Panie McCauley? – Pani Joyner.

Oślepia mnie blask lampy. Nieruchomieję na posłaniu z siana, ale nie

odwracam się.

– Co? – Może chce odzyskać koc.

– Ja... Bo ja... – Urywa.

– Niechże pani mówi. Padam z nóg.

Sapie głośno i wyrzuca z siebie jednym tchem:

– Pan Joyner mówi, że rano ma cię tu już nie być.

– Co takiego? – Odwracam się gwałtownie. – Przecież nie sprawiam żadnych kłopotów. Ciężko pracuję.

W blasku lampy ma jeszcze bardziej niewinną minę i zarazem ostre, surowe rysy.

– Czeka nas wielkie wyzwanie, panie McCauley, bo zmierzamy do dzikiej, bezbożnej krainy. Muszę chronić moje dzieci, dać im szansę na dobre życie. A to oznacza, że muszę chronić je przed... – I znowu milknie. Na jej policzku nerwowo drga mięsień.

– Przed takimi jak ja?

– Posłuchaj, jestem matką, a matka zawsze wyczuje uciekiniera, kiedy tylko go zobaczy. Na pewno mnie zrozumiesz. Może gdybyś miał referencje...

– Pan Joyner naprawdę wie, że pani tu jest?

Zaciska usta w wąską linię.

– Pozwolę sobie zauważyć, że to raczej nie jest po chrześcijańsku.

– Dałam ci koc!

– I co, dzięki temu czuje się pani lepiej? Proszę bardzo. – Ściągam go z ramion.

Chwila wahania, a potem:

– Nie, jest twój, ale proszę...

Jej błagalny głos wisi w zimnym nocnym powietrzu, aż porusza się i opuszcza wzrok. W końcu odpowiadam:

– Dobrze. Rano już mnie tu nie będzie.

Oddycha z ulgą.

– Życzę pani i pani rodzinie jak najlepiej – zapewniam. – Może się spotkamy w Kalifornii. – Nie miałam nic złego na myśli, ale odczuwam mściwą satysfakcję, kiedy wzdryga się, słysząc moje słowa.

– Szerokiej drogi, panie McCauley. – Odwraca się i odchodzi szybkim krokiem. Lampa kołysze się przy każdym kroku.

Wtulam twarz w kark Peonii.

– Co powiesz na to, żebyśmy wyruszyły już teraz? – szepczę. W odpowiedzi

muska mi włosy. Po czymś takim i tak nie zasnę.

Zakładam buty tatki. Moje stopy już do nich przywykły, nie szkodzi, że za duże. Już mnie nawet nie obcierają.

Drżącymi rękami siodłam Peonię i dopiero wtedy czuję łyzy na policzkach. Ocieram je wierzchem ręki. Zaciskam dłoń na medalionie mamy, czerpię z niego siłę i determinację.

Zaciskam popręg, mocuję sakwę i wsiadam na konia. Na zewnątrz wilgotna mgła spowija świat zimny i mokry, jak wanna nieszczęścia. Joynerowie zmierzają na północ, do Port Girardeau albo St. Louis, więc skręcę w lewo, a na północ odbiję później.

Coney śpi na ganku. Ciekawie unosi łeb. Wstaje, otrząsa się i towarzyszy nam kawałek, ale potem z piskiem zawraca. Z całej rodziny Joynerów jego będzie mi brakowało najbardziej.

Trącam Peonię piętami.

– Teraz jesteśmy tylko we dwie, kochana.

Znowu. Znowu jesteśmy tylko we dwie, to powinnam powiedzieć. Ale ona wie i tak.

Rozdział 15

Pierwszą osobą, którą spotykam na drodze po wschodzie słońca, jest obwoźny handlarz z brodą sztywną jak wiklinowa miotła. Ma łąty na łokciach i pióro zawadiacko zatknięte za opaskę kapelusza. Muł ciągnie wóz, pełen sit i szpadli, bel materiału, woskowych lalek i różdżek, które jak twierdzi, doprowadzą każdego do złota.

– Dziękuję bardzo – odpowiadam. Gdyby takie różdżki działały, mój wuj nie musiałby przelewać krwi, żeby położyć łapę na moim darze.

Uśmiecha się uparcie.

– Wiem z najpewniejszego źródła, że za pomocą tych różdżek...

– Nie mam pieniędzy.

Jego uśmiech znika jak mgła po wschodzie słońca.

– A, to miłego dnia życzę.

Trzaska z bata, muły protestują, wóz rusza dalej. Zawracam Peonię i idę koło niego.

– Którędy do Independence? – pytam.

Zbrywa mnie machnięciem ręki.

– Każda droga prowadzi do Independence, jeśli wybierzesz właściwy kierunek i nie zboczysz na manowce.

– Ale który kierunek jest właściwy?

Wskazuje przed siebie.

– Jeśli dojdiesz do rzeki i skręcisz na północ...

– Nie chcę tędy.

– Gdybym miał mapy, to bym ci sprzedał. Hm. – Drapie się w podbródek. – Może powinienem kupić mapy.

– A tamtędy? – Wskazuję kierunek, z którego przyjechał.

Ściąga wodze, odwraca się na koźle.

– Idź na zachód i pytaj ludzi na drodze do Charlestonu. Dotrzesz tam koło południa. Jeśli nie masz gdzie się zatrzymać, idź do zajazdu pani Moore i powiedz jej, że...

– A potem?

Wzdycha głośno.

– Stamtąd kieruj się na Sikeston, Poplar Bluff i Springfield. Po drodze jest wiele miast, ale jak zapamiętasz te nazwy, dotrzesz do celu.

– Sikeston, Poplar Bluff, Springfield.

– W Springfield skręcisz na prawo i ruszysz na północ. I tak dotrzesz do Independence.

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję za pomoc. – Charleston, Sikeston, Poplar Bluff, Springfield, Independence. Uchyłam runda kapelusza, zawracam Peonię i niemal odzyskuję nadzieję.

– To ponad czterysta mil! – woła za mną.

– Więc na mnie już czas – odkrzykuję.

– Powodzenia!

– Wzajemnie!

Czterysta mil to nic. Pokonałam już większy kawał drogi. Na początku marca dotrę do Independence, odnajdę Jeffersona i razem ruszymy z jednym z pierwszych wiosennych konwojów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pod koniec lata będziemy w Kalifornii.

* * *

Godzinę później nadciągają chmury, zaczyna padać, przemakam do skóry. Peonia człapie ciężko po błocie. Dojeżdżamy do Charleston. Mam zawroty głowy, gardło boli przy przełykaniu. Jestem już daleko od Georgii i gotowa wydać dwadzieścia centów, na co mnie nie stać, na nocleg w zajeździe pani Moore, ale nie ma w nim miejsca, bo wszyscy jadą na zachód.

Jadę do zmiernych, aż pewien farmer pozwala mi przenocować w izbie przy palenisku.

Jestem już w Sikeston, gdy dopada mnie gorączka, i przez cały tydzień majacząc na farmie niedaleko Gray's Ridge. Mimo troskliwej opieki całej rodziny farmera, płonę z gorączki i odpycham rozpaczliwie pomocne dłonie – najpierw, bo boję się, że poznają moją tajemnicę, potem, bo w malignie biorę ojca rodziny za wuja Hirama. Nawet później, kiedy gorączka opada, nie mogę na niego patrzeć, bo przypomina mi znenawidzonego krewniaka, ma ten sam wąski długi nos i bystre spojrzenie. Wyruszam w drogę, gdy tylko mój stan na to pozwala. Żegnają mnie z ulgą – ale nie tak wielką jak moja, że ich opuszczam. Daję im dwa cenne dolary za opiekę.

Nadeszła zimna, mokra wiosna, codziennie zanoszą się na śnieg, to na

deszcz. Drogi zamieniają się w mokradła, więzną w nich koła wozów, które z kolei blokują innym przejazd. Posuwam się powoli i nic nie mogę na to poradzić.

Na wzgórzach każdy chce zarobić na osadnikach zmierzających na zachód. Niemal co noc czeka na mnie ciepłe posłanie, posiłek albo niechciane rady, w zamian za posprzątanie stajni, rąbanie drwa, czy w ostateczności, kilka centów. Kiedy wyruszam w dalszą drogę, czasami w sakwie znajduję ciasto w chusteczce albo owies dla Peonii. Raz dostaję nawet kawałek lawendowego mydła.

Mimo dobroci otaczającej mnie ze wszystkich stron, niskie chmury ciąży mi jak jarzmo, a niekończąca się mżawka psuje mi humor, gdy pochylam się nad grzbietem Peonii. Coraz trudniej przychodzi mi uśmiechać się do nieznajomych, rano coraz mniej starannie pakuję swój dobytek i wyruszam w drogę. Pewnej nocy, gdy biwakuję na małej polance i jem wiewiórkę, którą upolowałam, dochodzę wreszcie do sedna problemu.

Tęsknię za tatkiem.

Z tą myślą nadciąga fala wspomnień. Tamtej zimy, gdy miałam dziewięć lat, tatko oznajmił, że nauczy mnie polować. Mama opatuliła nas ciepło, zapakowała tyle suszonego mięsa i sucharów, ile mogliśmy udźwignąć, i wysłała nas w drogę bez słowa sprzeciwu, a my wyruszyliśmy do lasu i zniknęliśmy na sześć dni.

Uczył mnie, jak ustalić kierunek wiatru, jak czytać tropy, jak być cierpliwą i niewidzialną jak sama zima. Uczył mnie rozbierać zwierzynę zbyt ciężką, żeby zabrać całość, jak strzelać, nie upadając, jak w śniegu szukać suchego drewna. Nocami skrobaliśmy skóry przed namiotem, ogień strzelał wesoło, a nasze ubrania wędziły się w dymie. Zabawiał mnie opowieściami o swoim ojcu, który wyruszył na zachód i spędził wiele lat na pograniczu Ohio, szukając przygód i szczęścia.

Pewnie, byłam wtedy mała, ale dość mądra, by wyczuć tęsknotę w jego głosie, i dlatego mama nie protestowała, kiedy wymyślał takie szaleństwa jak wyprawa na polowanie z dziewięcioletnią córką. Bo mężczyzna, który ucieka z Bostonu, żeby na pograniczu zacząć nowe życie, zawsze czegoś szuka. I może, gdyby mama nie dawała mu się wyszumieć, zrobiłby coś bardziej radykalnego. Na przykład wyruszyłby na zachód.

I dlatego właśnie teraz, przy trzaskającym ogniu, z ustami tłustymi po zjedzeniu wiewiórki, w nocy, gdy gdzieś w oddali wyją kojoty, najbardziej

mi go brakuje. Powinien być tu teraz, ze mną. To powinna być nasza wspólna przygoda.

* * *

1 kwietnia 1849 roku dojeżdżam do Independence. Wjeżdżam na wzgórze i oto jest, to miasto, obce, rozległe.

Pierwsze, co widzę, to błoto. Pryska spod końskich kopyt, spod kół wozów, plami fundamenty budynków i nogawki spodni, a zmieszane z topniejącym śniegiem tworzy burą maź. Budynki w centrum pomalowano dwoma kolorami – na brudnobiały albo brudnoczerwony. Przed jednym z nich dumnie trzepocze jedyny kolorowy akcent – amerykańska flaga, nowa, z wszystkimi trzydziestoma gwiazdami.

Wokół miasta rozsiadł się pierścień namiotów i wozów, tysiące wołów i koni, a wśród nich kilka naprędcie skleconych domów. To wszystko ścieli się na płaskiej równinie błota i śniegu, a dalej jest rzeka, leniwa, błotnista, wije się powoli, znika za horyzontem, mieni się jak szary jedwab we wczesnowiosennym słońcu.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam. Schludnego placu, jak w centrum Dahlonega, i przede wszystkim pustki, żadnych ludzi, poza Jeffersonem McCauleyem, który stoi na rogu z rękami w kieszeniach i radosnym uśmiechem na twarzy.

Włóczę się przez cały dzień, zapoznaję się z terenem. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu ludzi w jednym miejscu. Co chwila ktoś mnie trąca i szturcha. Dziwne uczucie – jestem jednocześnie bardzo samotna i otoczona ludźmi.

Sklep jest mały i ciasny. Byle jak zbite deski podłogi są zdeptane błotem. Otwieram usta, żeby zapytać sprzedawcę, czy zna może niejakiego Jeffersona McCauleya, ale nie pada z nich żadne słowo.

Na ścianie za sklepikarzem wisi lśniący hawken. Strzelba tatka. A zatem ci przekłęci bracia są tutaj, w Independence. Nagle moje nozdrza wypełnia zapach zbutwiałych liści, jakbym nadal leżała u stóp zbrocza.

– Czym mogę służyć?

Mam zimne, spocone dłonie, chcę rzucić się do ucieczki.

Nie panikuj, Lee. Może przekłęci bracia sprzedali strzelbę komuś, kto zmierzał do Independence. Pewnie nadal grasują na drogach Georgii albo łupią podróżnych nad rzeką.

– Proszę pana?

– Ja... Ile za tę strzelbę? – Pokazuję palcem. Może to jednak nie broń tatka. Inne drewno, inne wytarcie przy cynglu.

– Sześćdziesiąt dolarów.

Głośno nabieram tchu.

– Czemu tak drogo?

Wzrusza ramionami.

– Ci, co się wybierają na zachód, potrzebują broni i chcą za nią sporo zapłacić. Ale zrobimy tak; jeśli za tydzień jeszcze u mnie będzie, sprzedam ci ją za pięćdziesiąt.

– Dobrze. Dziękuję. – Wpatruję się w nią i myślę o moich dwudziestu czterech dolarach w kieszeni. To nie jest strzelba tatki, teraz to widzę. Straciłam rozum ze strachu.

I tak czuję, że nie wytrzymam w tym sklepie ani chwili dłużej. Powinnam kupić suchary i ostrzałkę do noża, ale zakładam kapelusz i idę do wyjścia.

– Znałem kogoś, kto miał taką strzelbę – słyszę nagle za plecami. Znajomy głos.

Odwracam się z dłonią na rękojeści rewolweru.

Uśmiecha się do mnie wysoki Murzyn. Choć w jego brodzie pojawiły się srebrne nitki, a wokół oczu – nowe zmarszczki, rozpoznaję go od razu.

– Wolny Jim!

– Co za spotkanie, panie...? – Mierzy mnie wzrokiem.

– McCauley – podpowiadam szeptem.

– Panie McCauley! Ależ widok dla zmęczonych oczu!

Jakby pan Bóg dał mi kawałek domu. Z trudem się powstrzymuję, by nie rzucić mu się na szyję. Wyciągam tylko rękę. Ujmuje ją od razu.

– Uszanowanie, panie Boisclair.

– Kawał drogi od Dahlonga – zauważa. Przygląda mi się uważnie.

– Nie tylko ja go pokonałem. – Choć minęło tylko kilka miesięcy, Wolny Jim postarzał się o ładnych parę lat. Mam w głowie setki pytań. Dlaczego wyjechał? Gdzie Jefferson? Czy wuj mnie szuka? Czy jest tutaj? Ale wyduszam tylko: – Ciężko było?

Z jego twarzy znika uśmiech, zostaje tylko zmęczenie.

– Może kiedyś ci opowiem.

– Może wymienimy się historiami.

– Ej, wy tam – przerywa nam sklepikarz. – Kupujecie coś czy nie? Bo jak

nie, to wolałbym, żebyście nie blokowali mi drzwi.

Stoimy daleko od drzwi.

– Odrobinę szacunku! – warczę. – Pan Boisclair to wolny Murzyn i szanowany przedsiębiorca, jego sklep jest z dziesięć razy większy i czystszy niż ten!

– Daj spokój, Lee. – Wolny Jim chwytą mnie za ramię. Pozwalam, żeby wyprowadził mnie na zewnątrz, choć nadal jestem wściekła. Na ulicy panuje ruch. Przejeżdżający powóz opryskuje mnie błotem.

– Zrobię zakupy gdzie indziej – zaklinam się, gdy idziemy po Peonię. – Załedwie kilka ulic dalej jest inny sklep i...

– Nie musiałaś mnie tam bronić.

– Nie chciałam cię bronić. Tylko że... Nie miał prawa tak się do ciebie zwracać.

– Cieszę się, że klacz Reubena jest w dobrej formie – zmienia temat. – Tak mi się wydawało, że to ona, ale nabrałam pewności dopiero, kiedy zobaczyłem cię w sklepie.

– Jim, muszę cię o coś zapytać. – Zwieszam głowę, niepewnie szuram stopami, zbieram się na odwagę, aż w końcu wypalam – Jechałeś na zachód sam? To znaczy... Czy towarzyszy ci ktoś z Dahlonega?

– Sam.

– Och. – Znowu mogę oddychać. – To dobrze.

– Twój wuj Hiram wyjechał kilka tygodni po tobie – dodaje. – Kiedy było już jasne, że uciekłaś.

Rozglądam się po ruchliwej ulicy, chwytam wodze Peonii.

– Jest tutaj? Czy...

– Sprzedał ziemię Westfallów panu Gilmore'owi i pojechał do Charleston, na statek. Wybiera się do Kalifornii przez Panamę.

Ulga jest tak wielka, że uginają się pode mną kolana. Opieram się o Peonię, żeby nie upaść.

– Na wszelki wypadek wysłał za tobą kilku mężczyzn, na zachód, ale nikt cię nie widział. – Ma w oczach łobuzerski błysk. – Bo przecież szukali młodej damy.

Mój plan zadziałał. Nie mogę w to uwierzyć.

– Wszyscy poza Ablem Topperem – uzupełnia. – Ponad tydzień po twoim zniknięciu wrócił do miasta i zaklinał się, że widział twoją klacz, ale było już za późno, miałaś za dużą przewagę.

– I gdzie Topper teraz jest?

– Wyruszył do Kalifornii z twoim wujem, kiedy stało się jasne, że nikt go nie zatrudni do pracy przy kolei. – Ściszył głos i dodał: – Chcą przed tobą dotrzeć na złotodajne pola.

Kiwam głową. Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia przyjdzie mi zmierzyć się z Hiramem.

– Przynajmniej nie spotkam go na trasie. Czy ktoś nadal mnie szuka? Wyznaczył nagrodę czy coś takiego?

– Nie, o ile mi wiadomo.

Ale jest wyraźnie poruszony. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i znowu je zamyka. Przeczesuje brodę palcami, chrząka, próbuje jeszcze raz. W końcu wyrzuca z siebie:

– Czy to Hiram zabił Reubena i Elizabeth?

– Tak. – To słowo z trudem przechodzi mi przez gardło.

Kiwa głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Wiedziałem, że pewnego dnia zrobi coś głupiego.

– Ale dlaczego? – Łzy pieką mnie pod powiekami, zaciskam dłonie tak mocno, że paznokcie boleśnie wpijają się w skórę. – O czym ty mówisz? Nic z tego nie rozumiem!

Wolny Jim kładzie mi potężną dłoń na ramieniu.

– Masz gdzie spać?

– Oczywiście – kłamię. Nie jestem w stanie mu powiedzieć, że straciłam prawie wszystkie pieniądze i koszule, które od niego dostałam.

– Muszę coś załatwić. Spotkajmy się jutro w zajeździe Hawthorn, dwie przecznice na północ od placu. W południe. Wtedy porozmawiamy.

– Dobrze. – Z trudem się powstrzymuję, żeby go nie błagać. Nie chcę być znowu sama.

Dotyka róna kapelusza.

– A zatem do jutra.

Odprowadzam go wzrokiem. Dopiero kiedy odwiązuję Peonię, przypominam sobie, że wcale nie zapytałam o Jeffersona.

Nie mogę się doczekać jutra. Godzinami włóczę się po mieście, zaglądam w każdą nieznaną twarz, liczę, że znajdę Jeffersona, obawiam się, że trafię na przeklętych braci. Nadciąga wieczór. Chmury ustępują i gdy wyjeżdżam z miasta, na zachodzie ścieli się koralowa łuna.

Pierwszy wolny skrawek na biwak znajduje się prawie milę od miasta.

Wszędzie potykam się o pieńki drzew, wystające z błotnistej podłogi jak nagrobki, ale drzew nigdzie nie ma, wszystkie ścięto, na opał i do budowy wozów. Zасыpiam przy akompaniamencie świerszczy i zapachu setek ognisk.

Następnego ranka objeżdżam wszystkie konwoje szykujące się do wyjazdu. Jest ich co najmniej tuzin, jeden większy od drugiego.

Mijam kobietę pochyloną nad najprawdziwszym piecykiem i coś w niej każe mi się zatrzymać. Odwraca się po drewnianą chochlę i wtedy widzę jej twarz. To pani Joyner!

Jakimś cudem namówiła kogoś, żeby wypakował jej piec. Na pewno nie pana Joynera, bo nigdy nie widziałam, żeby dźwigał coś cięższego niż cygaro. Podnoszę rękę, żeby pomachać na powitanie, zaskoczona, jak bardzo się cieszę, że dotarli tu szczęśliwie, ale nagle przypominam sobie jej zaciśnięte usta i ostre spojrzenie, gdy kazała mi odejść. Opuszczam rękę i wycofuję się chyłkiem, zanim mnie zobaczyła. Do tego konwoju na pewno mnie nie przyjmą.

Nadal szukam Jeffersona. Co chwila wydaje mi się, że widzę jego szczupłą sylwetkę i ciemne włosy, ale potem zauważam inne ruchy, słyszę inny głos.

W końcu słońce jest na tyle wysoko na niebie, że mogę się wybrać na spotkanie z Wolnym Jimem. Bez trudu znajduję zajazd Hawthorn, choć słowo „zajazd” to pewna przesada. To po prostu wielka szopa, z woskowanym papierem w oknach, z przepierzeniami oddzielającymi sienniki i wielkim płótnem rozpiętym nad dziedzińcem, na którym serwują posiłki.

Wolny Jim siedzi już przy jednym z długich stołów. Przed nim stoi kubek. Choć w zajazdzie roi się od ludzi, wokół niego jest wianuszek wolnych miejsc, więc zajmuję jedno z nich.

– Zamówiłem smażonego suma – oznajmia Jim na powitanie. – Mam nadzieję, że zjesz.

Ślinka napływa mu do ust.

– Wielkie dzięki, Wolny Jim!

– Teraz już tylko Jim.

Zerkam na niego z ukosa.

– Ale w Missouri niewolnictwo jest legalne. Chyba lepiej, żebyś...

– Czy ty przedstawiasz się wszystkim jako: Wolny Lee?

– Nie, skądże.

– Więc czemu ja mam to robić?

Bo nie zniosłabym, gdyby coś mu się stało, ale rozumiem, o co mu chodzi.

Służąca niewiele starsza ode mnie stawia przed nami dwa talerze.

– Jedz – zachęca Jim.

Ryba jest trochę gumista, jakby dzień czy dwa czekała na usmażenie, ale nie stać mnie na kręcenie nosem. Zjadłam już połowę mojej porcji, gdy Jim pyta:

– Jakie masz plany?

Przełykam kęs ryby.

– Znaleźć Jeffersona. Obiecał, że tu będzie na mnie czekał. A potem razem wymyślimy, jak dotrzeć do Kalifornii.

Kiwa głową.

– Niektórzy myśleli, że uciekliście razem.

– I szkoda, że tego nie zrobiliśmy. – Gdybym podróżowała z Jeffersonem, przekłęci bracia daliby nam spokój. Z drugiej strony, może, ze względu na domieszkę indiańskiej krwi, byłby łakomym kąskiem. Na samą myśl robi mi się niedobrze. – Widziałeś go może? Wyruszył kilka dni przede mną, więc powinien już tu być.

– Nie, nie widziałem – mruczy, a widząc moją minę, dodaje: – Przykro mi. Część konwojów już wyruszyła, choć trawa się jeszcze nie zazieleniła.

Straszna jest perspektywa, że pokonałam taki kawał, a wcale go nie znajduję.

– Pytałem, co zamierzasz – zaczyna Jim – bo sam jutro wyruszam. Znalazłem porządny konwój, w którym zgodzili się zabrać czarnego. Możesz jechać ze mną.

Wpatruję się w niego.

– Ale... Jeff...

Uśmiecha się ze współczuciem.

– Wiedziałem, że tak powiesz, ale przez pamięć twojego ojca musiałem zapytać.

– Mógłbyś poczekać! Chociaż kilka dni! Moglibyśmy razem szukać Jeffersona.

Wbija widelec w sumę, odkłada po chwili.

– Drugi raz taka okazja może mi się nie trafić. Mam dwa wozy towarów, mnóstwo pieniędzy po sprzedaży sklepu, ale to wszystko wydaje się bez znaczenia. Tylko jeden konwój pozwolił mi się dołączyć. Muszę jechać.

Grzebię widelcem w kawałku ryby na talerzu; apetyt przeszedł mi bez śladu. Nie dziwię się Wolnemu Jimowi – przepraszam, Jimowi – że woli podróżować w dużym konwoju; gdyby nie Jefferson, zrobiłabym to samo.

– W takim razie powodzenia, Jim – mówię smutno. – Mam nadzieję, że

znajdziesz złote góry.

– Ja też. – Widzę błysk w jego oczach.

Gorączka złota. Dopada każdego, nawet bogatych.

– Jim, wspomniałeś coś w sklepie. O wuju Hiramie.

Wyciera usta chusteczką i patrzy na mnie.

– Co właściwie o nim wiesz?

– Niewiele. – Wzruszam ramionami. – Że to starszy brat tatki, że kształcił się na uniwersytecie. Przyjechał na południe z Bostonu, z mamą i tatkiem; wszyscy bardzo się przyjaźnili, ale kiedy tatko wygrał ziemię na loterii, a Hiram nie, wyjechał do miasta, żeby praktykować prawo. Rzadko go widywaliśmy, całymi latami się nie pokazywał.

– Wiedziałaś, że Hiram i Elizabeth byli w sobie zakochani?

Ryba staje mi w gardle.

– Nie, mama nigdy mi nie mówiła.

– Mieli się pobrać.

Wytrzeszczam oczy.

– Uciekała przed czymś strasznym, co wydarzyło się w Bostonie. Więc kiedy bracia Westfallowie ruszyli na południe wraz z innymi poszukiwaczami złota, zapytała, czy ją zabiorą. Zakochali się w sobie z Hiramem. Mieli się pobrać po przyjeździe do Georgii.

Jedzenie podchodzi mi do gardła.

– Ale wyszła za tatka.

– No. – Jim kiwa głową. – W ostatniej chwili zmieniła zdanie. Mniej więcej w tym czasie zaprzyjaźniliśmy się z twoim tatkiem. Pewnego dnia Reuben przyszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj, Jim, żenię się z Elizabeth, Hiram będzie wściekły. Nie wiem, czy ona mnie kiedykolwiek pokocha, czy Hiram mi wybaczy, ale muszę to zrobić”.

Wbijam wzrok w talerz. Staram się to wszystko pojąć. Wokół nas szum rozmów przypomina monotonne brzęczenie owadów. Powiew wiatru trzepocze płótnem rozpiętym nad dziedzińcem.

– Nigdy mi nie powiedział, dlaczego – dodaje Jim. – Ale co do jednego się mylił, choć w drugiej sprawie miał rację. Bo Elizabeth go kochała, a Hiram mu wcale nie wybaczył. Zwłaszcza po loterii, kiedy twojemu tatkowi trafił się spory kawałek dobrej ziemi, a on odszedł z gołymi rękami. A kiedy kilka lat później Reubenowi i Elizabeth urodziła się córka, śliczna mała dziewczynka imieniem Leah, Hiram na dobre wyjechał z Dahlonga i od tego czasu

widziałem go tylko raz czy dwa.

– Czyli zamordował ich z zemsty?

– Nie wiem, co miał w głowie, ale tak sobie myślę.

Służąca zabiera nasze talerze. Łapię się na tym, że ściskam w dłoni złoty medalion, że szarpię, szarpię, szarpię za łańcuszek. Zmuszam się, by rozluźnić palce.

– Hiram odwiedzał nas, kiedy jeszcze byłam mała. A tatko kilka razy jeździł do Milledgeville, zanim zachorował.

– Tak, Reuben mi mówił, że się pogodzili, wiele lat później. Ale twój wuj ma twarz polityka, nigdy nie wiadomo, co sobie naprawdę myśli, a kłamie lepiej niż obwoźny handlarz.

Nadal nie jestem pewna, czy Hiramowi naprawdę chodziło o zemstę. Pragnął raczej mnie, tego, co potrafię.

Język mnie świerzbi, żeby wszystko mu opowiedzieć – o złotym piasku w skrytce pod podłogą, o tym, jak Hiram podstępem wyłudził naszą ziemię od tatka, ba, kusi mnie nawet, żeby wspomnieć o złotych monetach w kieszeni Jima, które śpiewają w moich uszach hymn, więc wiem, że ma przy sobie co najmniej siedemdziesiąt dolarów.

Ale milczę.

– Słyszałaś kiedyś może, czemu twoja mama wyjechała z Bostonu? – pyta.

– Nie. Sugerowała tylko, że kiedy była młodą dziewczyną, stało się coś złego. A ty wiesz?

– Nie. – Jim marszczy brwi. – Myślałem, że może ty wiesz.

– Tatko nigdy ci nie mówił?

– Nie sądzę, żeby Reuben wiedział.

– Och.

Nagła myśl sprawia, że mam ochotę zerwać się z miejsca. Może mama też miała ukryte moce. Może dlatego tak się niepokoiła, ilekroć znalazłam złoto. I dlatego nie pozwalała mówić w domu o czarach.

Wzdycham głośno. Mam już dosyć cierpienia, gniewu, frustracji i niewiedzy i dlatego zaczynam snuć pobożne życzenia.

– Na pewno nie chcesz ze mną jechać? – Jim wstaje powoli.

Ja też się podnoszę, choć nie chcę się jeszcze żegnać.

– Na pewno.

– Poradzisz sobie, jeśli Hiram znajdzie cię w Kalifornii?

Przełykam ślinę.

– Zobaczymy, jak to będzie.

Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Szkoda, że nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Łzy palą mnie pod powiekami, wzruszenie sznuruje gardło.

– To i tak więcej, niż wiedziałam do tej pory. – „Nie odchodź”, chcę za nim zawołać. „Na całym świecie mam tylko ciebie i Jeffa”.

Uśmiecha się do mnie smutno i wyciąga rękę. Moja dłoń niknie w niej. Przeciagam uścisk.

– Mam jeszcze mnóstwo roboty, a ruszamy jutro o wschodzie słońca, więc na mnie czas – mówi i delikatnie wyzwala dłoń z mojego uścisku. – Uważaj na siebie, Lee. Mam szczerą nadzieję, że spotkamy się na złotodajnych polach.

Zaciskam zęby, żeby się nie rozpłakać.

– Ja też mam taką nadzieję, Jim. Dziękuję za kolację. Za wszystko.

Odprowadzam go wzrokiem i wydaje mi się, że kolejny raz tracę tatka, przyjaciół, wszystko. Nie mam siły na rozmowy, nie dzisiaj, nawet w poszukiwaniu Jeffersona. Odwiązuję Peonię od słupa i wyjeżdżamy za miasto, do naszego błotnistego obozowiska.

Siedzę jeszcze długo, obejmując kolana, z medalionem w dłoni, patrzę, jak w Independence wre życie, choć już zapada zmrok, myślę o mamie, tatku, Hiramie, o złotowidzeniu, o pytaniach, na które nie poznam odpowiedzi, bo ci, co je znali, już odeszli.

Rozdział 16

Ranek oznacza nowy dzień. Podejmuję moje poszukiwania z nową determinacją. Muszę odnaleźć Jeffersona. Jeśli to mi się nie uda, nie mam nic. I nikogo.

Działam metodycznie, wyobrażam sobie miasto, okolicę jak kwadraty na obrusie pani Joyner. Przeszukuję kwadrat za kwadratem i ruszam dalej. Poznaję Independence jak własną kieszeń – znam każdy zaułek, każdy budynek, każdy wóz. Rozróżniam coraz więcej twarzy. Niektórzy nawet wołają na mój widok:

– Jak tam, Lee? Znalazłeś swojego przyjaciela?

I tak dzień za dniem, przez ponad dwa tygodnie, przez pełnię księżyca i święta Wielkanocy. Włóczę się po mieście i okolicach jak duch, szukam tej jednej, jedynej znajomej twarzy w morzu innych, które nic dla mnie nie znaczą.

W połowie kwietnia przez błoto prerii przebija się młoda trawa. Co kilka dni, zazwyczaj w pogodny poranek, kolejny tabor wyrusza na zachód. A ledwie jeden znika za horyzontem, inny zajmuje jego miejsce. Kończą mi się zapasy. Jajko, za które w Georgii płaciłam pensa, tu kosztuje dziesięć. Nie ma gdzie paść koni, ziarno dla Peonii jest jeszcze droższe. Godzinami szukam królika czy wiewiórki, których jakimś cudem nikt jeszcze nie upolował, ale w końcu tylko marnuję amunicję. Noce spędzam w najsuchszym miejscu, jakie udaje mi się znaleźć, najczęściej na wzgórzu mniej więcej milę za miastem. Zazwyczaj wystarcza mi, gdy jest tam „prawie sucho”.

Wraz z pieniędzmi kończy mi się nadzieja.

W trzecim tygodniu kwietnia zaczynam rozważać wyprawę do Kalifornii bez Jeffersona. Z ciężkim sercem robię kolejną rundkę wokół miasta. Przechadzam się między konwojami, których zostaje coraz mniej, zerkam nawet na ten, przy którym widziałam państwa Joynerów. Jeffa ani śladu. W końcu zawracam do miasta. Nie mam pojęcia, co dalej.

– Ej, Lee!

Głos niesie się po błotnistych polach. Mężczyzna na koniu macha do mnie kapeluszem – jeden z kowbojów. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale mijalam go ze dwadzieścia razy, obserwowałam, jak jego stado maleje, jak z setek

sztuk robią się dziesiątki. Pierwszy raz czegoś ode mnie chce. Spinam Peonię i jedziemy w jego stronę. Może sobie przypomniał, że kogoś szukam.

– Znalazłeś tego przyjaciela? – pyta.

Z trudem ukrywam zawód.

– Nadal nie. Chyba dam mu jeszcze dzień czy dwa.

– Ale nie więcej. – Wsuwa kawałek tytoniu pod policzek. Brązowy sok plami jego siwą brodę. – Wkrótce wyruszam z resztką stada.

Powtarzam po raz setny w ciągu minionych tygodni:

– W takim razie powodzenia. Może się spotkamy w Kalifornii.

– Słuchaj, przydałaby mi się dodatkowa para rąk do pracy. Moi pomocnicy wyruszyli już na zachód z innymi taborami, kiedy tylko poprawiła się pogoda. Mam sześćdziesiąt sztuk bydła, za dużo jak na jednego człowieka, za mało na dwóch, idealnie dla półtora. Widziałem cię nieraz na tym twoim kucyku. Dobrze sobie radzisz w siodle, a taka mała, silna klaczka powinna dotrzeć do Kalifornii. Co ty na to?

Kręci mi się w głowie. Nie zastanawiałam się nad tym, że mogłabym dotrzeć na zachód, pracując. Kiedy jeszcze miałam hawkena, wymyśliłam sobie, że część zapasów kupię, resztę upoluję.

– A ile pan płacisz?

Odwraca głowę, pluje tytoniem, mruży oczy pod słońce.

– Pracujesz za utrzymanie, stąd aż do samej Kalifornii, chyba że wcześniej zechcesz odbić w bok. Oczywiście wołowina będzie stanowiła sporą tego część.

Dobra propozycja. Mimo tego się waham.

– I dwa dolary dwa pensy tygodniowo, które ci wypłacę, gdy nasze drogi się rozejdą – dorzucą, gdy milczę. – Jeśli część stada dotrze do San Francisco, sprzedam je za pięć– dziesięć razy więcej niż tutaj, więc może będzie jeszcze premia.

Liczę w głowie i liczę, i wychodzi mi pięćdziesiąt dolarów. Aż nadto, by kupić oskard, drewno, jedzenie – i zacząć.

– Proszę pana...

– Jones, Jacob Jones.

– Proszę pana, to uczciwa propozycja, ale cały czas szukam mojego przyjaciela. Mieliśmy się tutaj spotkać i razem wyruszyć na zachód.

– Być może wyruszył z wcześniejszym taborom. Być może będzie na ciebie czekał już na miejscu.

– Być może. – Boję się, że bez względu na to, co zdecyduję, popełnię błąd.
– A pytałeś na poczcie? – rzuca Jacob.
– Przecież nie napisze mi listu.
– List nie, ale wszyscy zostawiają sobie wiadomości na poczcie. Może tak zrobił i napisał ci, gdzie jest.

Serce staje mi w gardle. Dlaczego o tym nie pomyślałam? Oczywiście, ludzie muszą sobie gdzieś zostawiać wiadomości. Zawracam Peonię, unoszę się w siodle i wołam:

– Wielkie dzięki, panie Jones!
– I zostaw mu wiadomość, na wypadek gdyby i on cię szukał.
– Dobrze.
– A potem jedź ze mną na zachód! – woła. – Wyruszam jutro albo pojutrze. Powodzenia!

Mam na końcu języka pytanie, czy nie zatrudniłby dwóch pomocników. Może znajdę Jeffersona i zabiorę go ze sobą. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuję coś na kształt nadziei.

* * *

Czekam w kolejce na poczmistrza. Rusza się ospale, jak mucha na lepie. Jego złoty zegarek przyprawia mnie o lekkie łaskotanie w gardle. Pewnie uważa, że jest bardzo cenny. Niekończące się czekanie tak bardzo mnie denerwuje, że mam ochotę mu powiedzieć, że to złoto kiepskiej próby, najwyżej czterdzieści procent.

Kiedy w końcu przychodzi moja kolej, pochylam się nad ladą i pytam:
– Czy Jefferson McCauley zostawił coś dla mnie?
– Nie wiem. Do kogo miałyby być te listy?
– Lee Westfall. Albo może Leah Westfall.
Zerka na mnie pytająco.
– Moja siostra – dodaję szybko.
– Zaraz sprawdzę. – Przechodzi na bok, przegląda pudło z listami. Ilekroć wyjmuję kopertę, żeby dokładniej przeczytać nazwisko, serce bije mi szybciej. Po chwili wraca do kontuaru z pustymi rękami.

– Przykro mi, panie Westfall, nie mam nic ani dla pana, ani pańskiej siostry.
– Och. – Byłam pewna, że to właśnie ten łut szczęścia, na który czekałam. – A jak mogę zostawić wiadomość, na wypadek, gdyby nasz... przyjaciel się

pojawił?

– Pisze pan list, uiszcza opłatę i zostawia u mnie, a ja go przechowuję.

– Dobrze. – Sięgam do kieszeni po monety. – Ma pan papier i pióro?

– Ale to też kosztuje. – Już po nie sięga.

To jasne, ale i tak chętnie płacę.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio coś pisałam, ponad rok, odkąd korzystałam z artykułów papierniczych, i nie najlepiej sobie z tym radzę. Najlepiej trzymać się prostoty.

20 kwietnia

Drogi Jeffie,

mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Czekam na ciebie tutaj, w Independence. Znajdziesz mnie przy tej kępie Zagajniku Klonowym, mniej więcej milę na północ od Miasta. Jeśli się szybko nie zjawisz Poczekam tak długo, jak się da. Zostaw wiadomość u Poczmistrza. Gdzie możemy się spotkać? Adresuj do Lee McCauleya. Później ci wszystko wyjaśnię.

Pozdrawiam serdecznie

Lee

Dmucham na kartkę, żeby atrament wysechł, składam i oddaję poczmistrzowi, który tymczasem obsłużył innych klientów. Obserwuję, jak wkłada mój liścik do pudła, a kiedy Jefferson nie zjawia się od razu, żeby go odebrać, wychodzę na zewnątrz.

Jak ćmę do ognia ciągnie mnie do sklepu, bo na wystawie wiszą dwie śliczne niebieskie sukienki. Im dłużej na nie patrzę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że sukienek brakuje mi jeszcze bardziej niż strzelby tatka. Nie wiadomo dlaczego dziwnie się czuję na myśl, że odnajdę Jeffersona przebrana za chłopaka.

I wtedy widzę ich cenę. Dwadzieścia dolarów za sztukę!

Pewnego dnia będę bogata. Posłużę się moim darem i znajdę w Kalifornii tyle złota, że kupię wszystkie suknie i strzelby, o jakich zamarzę. A Peonii kupię mnóstwo cukru i marchewek. Białego cukru, tylko dlatego, że będzie mnie na to stać. Zamieszkać w schludnym domku z dębową poręczą i nasłonecznionym piętrem i...

– Hiram! – woła ktoś.

Rozpłaszczam się na ścianie, jak szczur przyłapany w spiżarni na gorącym

uczynku. Gorączkowo przeszukuję wzrokiem tłum. Może Jim się pomylił, może Hiram wcale nie wyruszył do Kalifornii drogą morską. Dogonił mnie, wykorzystał czas, który zmarnowałam, chorując.

– Hej, Hiram, tutaj!

Mężczyzna macha do kogoś obcego. Ma kręconą brodę i wojskową kurtkę. Podążam wzrokiem za jego spojrzaniem i...

– Lemuel!

Z moich ust wyrywa się cichy jęk. To nie mój wuj, tylko jego imiennik.

Ale wuj Hiram na pewno będzie na mnie czekał w Kalifornii. To ogromny obszar, powtarzam sobie. Może nawet tak wielki, że uda mi się tam zniknąć. Zwłaszcza że będzie szukał dziewczyny.

Lecz moje ręce tego wszystkiego nie rozumieją, dygoczą jeszcze, kiedy odwiązuję Peonię od słupa. Gryzie mnie w palec, szuka smakołyków.

– Przykro mi, kochana. Nie stać nas na...

– Lee McCauley!

Nie mam siły już na nic. Odwracam się gwałtownie, jednocześnie spinam do ucieczki, i widzę za sobą pana Joynera. Ma na sobie nieskazitelnie czysty garnitur, jak zawsze. Nie mam pojęcia, jakim cudem udaje mu się unikać wszechobecnego błota, które jest zmorą nas wszystkich.

– Co za miła niespodzianka! – odpowiadam i ku własnemu zdziwieniu, naprawdę tak uważam. Dobrze jest zobaczyć znajomą twarz, nawet jeśli jest to ktoś, za kim nie przepadam.

– Ależ ze mnie szczęściarz! Zgłosiłeś się już do konwoju?

– Nie, proszę pana – odpowiadam i zaraz tego żałuję. Nie uśmiecha mi się myśl, że jego żona znowu mnie wyrzuci.

– Nasi parobcy uciekli. Uznali, że więcej zarobią z innym konwojem. Ale jeszcze tego pożąłują.

– Bardzo mi przykro. – Choć wcale mnie to nie zaskoczyło. – Pewnie pani Joyner jest bardzo ciężko.

– To prawda. Ale posłuchaj, potrzebuję rąk do pomocy, przy wozie i bydło. Mam już jednego pomocnika, ale przydałby mi się ktoś jeszcze.

– Proponuje mi pan robotę?

– Udowodniłeś, że umiesz ciężko pracować i że masz uczciwy charakter.

– Nie sądzę, żeby szanowna małżonka podzielała pańskie zdanie, że tak sobie pozwolę powiedzieć.

Ma dość przyzwoitości, by się spieszyć.

– Pani Joyner zdaje się w takich sprawach na mój osąd. McCauley, pamiętam tamten dzień, gdy nam pomogłeś załadować wóz i nie chciałeś za to pieniędzy. Następnego ranka chciałem zaproponować ci pracę, ale już cię z nami nie było.

Nie lubię i pewnie nigdy nie polubię państwa Joyner. Ale to być może moja jedyna okazja, by wyruszyć w większej grupie. Być może ostania okazja, by w tym roku wyruszyć na zachód.

Zrobiłam, co mogłam. Przyjechałam tu, żeby spotkać się z Jeffersonem, tak jak obiecałam. Szukałam go. Zostawiłam dla niego wiadomość. Jeśli będę jeszcze dłużej czekać, będzie za późno. Czas dać sobie spokój z poszukiwaniami. I mieć nadzieję, że nasze drogi skrzyżują się gdzie indziej.

Z kamienną miną i kamiennym sercem odpowiadam:

– Wyżywienie, póki dla pana pracuję. I dwa dolary pięćdziesiąt centów tygodniowo, póki nie dojedziemy do Kalifornii albo się nie rozstaniemy.

Waha się.

– Mam inną ofertę – dodaję. – Mogę wyruszyć już jutro. – Nie musi wiedzieć, że to propozycja przejazdu z jednym człowiekiem, a wolę jednak większą grupę.

– Umowa stoi.

Pluje w dłoń i wyciąga ją do mnie. Wbijam w nią wzrok.

Jeszcze nigdy nie zawierałam umowy. Nie oficjalnie, jak teraz. I nadal nie byłoby o tym mowy, gdyby wiedział, że jestem dziewczyną.

Powtarzam jego gest i podajemy sobie dłonie.

Rozdział 17

Pan Joyner papla bezustannie, gdy jedziemy w stronę wozów, i dobrze, bo nie mam ochoty się odzywać. Wiem, że podjęłam słuszną decyzję, ale czuję się jak strzęp człowieka, cierpię na myśl, że na dobre straciłam Jeffersona. A jeśli już nigdy go nie zobaczę?

Joynerowie napotkali wiele przeszkód w podróży, opowiada pan Joyner, jak choćby niefortunny postój w St. Louis, gdzie miał miejsce incydent z hazardem na parowcu. Pan Joyner chciał powiększyć zasoby rodziny i udałoby mu się to, zapewnia mnie, gdyby nie szuler z Ohio. Jednak Pan Bóg nad nim czuwał i wyszedł z opresji obronną ręką, mniej więcej. Z jego tonu wnioskuję, że jednak mniej. Za to rodzina wzbogaciła się o nowe wspomnienia i teraz są tutaj, gotowi do drogi, bo wszystko dobre, co się dobrze kończy, i tak dalej. Wylicza wszystkie banalne powiedzonka, mające przedstawić ponurą rzeczywistość w lepszym świetle.

– Za to przy doborze konwoju los się do nas uśmiechnął – kończy.

– Tak? – Peonia nerwowo strzyże uszami; wałach pana Joynera podszedł niebezpiecznie blisko. Kojąco klepię ją po szyi.

– Wielu tak zwanych przewodników to zwykłe marionetki – tłumaczy. – Bezbożnicy, którym się wydaje, że skoro zjechali kawał świata, mają prawo dyrygować innymi.

– No tak.

– Przejrzałem ich na wylot, ma się rozumieć, oczywiście mieli mi za złe, że ujawniłem ich knowania.

– Oczywiście. – Od tygodni włóczę się po okolicy i wiem, że nikt nie chce zabierać nadmiernie obciążonego wozu.

– Ale wreszcie trafiłem na grupę prawdziwych chrześcijan. Część jest z Missouri, towarzyszy im też kilka rodzin. Przewodnikiem jest szlachetny żołnierz, major Wally Craven, weteran wojen z Indianami. Wie, jak sobie z nimi radzić.

Dojeżdżamy do obozowiska. Jest to skupisko wozów, ognisk i małych namiotów.

– Idę porozmawiać z majorem Cravenem. Chce już wyruszyć.

– A co ja mam robić?

– Zapoznaj się z towarzyszami podróży i przyjdź do mojego wozu. To ten wielki...

– Pamiętam pana wóz.

– Zatrudniłem jeszcze jednego młodzieńca. Przyjechał z niemiecką rodziną z Ohio. Oni też z nami wyruszą, jednak on teraz pracuje u mnie. Jest porządny i pracowity, więc nie przejmuj się jego niepełnosprawnością.

Nie mam pojęcia, jaką niepełnosprawność ma na myśli, i zastanawiam się, czy wypada zapytać, i wtedy pan Joyner mówi:

– O wilku mowa! – Wskazuje jeździec zbliżającego się przez równinę. – Oto i on. Idź, przedstaw się i poproś, żeby cię oprowadził po obozowisku i zapoznał ze współtowarzyszami podróży, a także ze wszystkimi procedurami, których mamy przestrzegać. Później spotkamy się przy naszym wozie.

Pan Joyner oddała się, tajemniczy jeździec jest za to coraz bliżej. Dwa psy biegną mi na powitanie, radośnie machając ogonami. Jeden to mój stary kumpel Coney, myśliwski pies Joynerów z oklapniętymi uszami.

Drugi to Nugget.

Spinam konia. Peonia przyspiesza.

– Jefferson! – wołam.

– Witaj! – odkrzykuje. – Ty jesteś pewnie ten nowy... Lee?

Stajemy naprzeciwko siebie, strzemię w strzemię. Mam łzy w oczach, ale nie zwracam na to uwagi. Gdybyśmy nie byli na końskich grzbietach, rzuciłabym mu się na szyję na oczach całego obozowiska.

Jest wyższy, niż pamiętam, jeszcze chudszy niż dawniej, ma skórę ogorzałą od słońca i bliznę na policzku, przez którą wydaje się starszy. Przygląda mi się z powagą, bez słowa. Niemal czarne oczy wypełnia coś, czego nie rozumiem.

Dłoń w rękawicy unosi mój podbródek. Jego kciuk jest tak blisko moich ust, że mogłabym go pocałować.

– Leah – szepcze w końcu.

– Witaj, Jeff – odpowiadam.

Przygląda mi się uważnie, opuszcza rękę.

– Co się stało z twoimi włosami?

– Ściąłam je.

– Czemu, na Boga... Och.

– Będę wdzięczna, jeśli zachowasz mój sekret dla siebie.

Marszczy brwi.

– Nie pojmuję, jak ktoś z odrobiną oleju w głowie mógłby wziąć cię za chłopca.

– Do tej pory mi się udawało. Jestem silna, pracowita i dobrze trzymam się w siodle.

– I plujesz najdalej ze wszystkich.

– I lepiej strzelam!

Z powagą kiwa głową.

– I masz najbardziej radykalne poglądy.

Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Jak ja się cieszę, że cię widzę, Jeff. Bałam się, że już wyruszyłeś z Independence. I jeszcze bardziej, że w ogóle tu nie dotarłeś.

Nugget trąca mnie w nogę. Jefferson też ma buty, stare jak świat, ale w jego oczach pewnie nowiutkie.

– Ciebie też dobrze widzieć – mówię do Nugget.

Przeszywa mnie dreszcz, gdy Jefferson mierzy mnie wzrokiem, od stóp do głów, raz za razem. W końcu wyznaje ściszym głosem:

– Ja też mam tajemnicę.

– Tak? – Nachylam się.

– Odkąd przekroczyłem rzekę, posługuję się nazwiskiem matki – Kingfisher.

– Och. – Nie wiadomo dlaczego robi mi się smutno, gdy to słyszę. – Jefferson Kingfisher – mówię na próbę. – Dlaczego?

– Nie chcę mieć nic wspólnego z ojcem.

– Wcale ci się nie dziwię.

Za obopólnym, acz milczącym porozumieniem oddalamy się na skraj obozowiska, z dala od ciekawskich uszu.

– Z tych okolic pochodzi moja matka – zaczyna. – Indianie Cherokee nieraz przekraczali granicę w tym miejscu i jechali aż do St. Louis, żeby handlować. Pomyślałem sobie, że jeśli ktoś usłyszy moje nazwisko i ją zna, może się o mnie dowie.

Otwieram usta, żeby mu przypomnieć, że to było ponad dziesięć lat temu, ale wyraz jego twarzy sprawia, że zmieniam zdanie i mówię tylko:

– Dobry pomysł. I jak?

– Na razie nic.

– Ja też podróżuję pod innym nazwiskiem. Założyłam to na siebie i.... – Wskazuję mój strój. – I kiedy zapytali mnie o nazwisko, nie chciałam przedstawiać się jako Westfall, więc... więc powiedziałam „McCauley”.

– Podałaś moje nazwisko!

– O ile dobrze pamiętam, ktoś coś wspominał o ślubie. – Przypominam to żartobliwie, ale uważnie obserwuję jego reakcję.

– Ja... No cóż... – Policzek mu drga.

– Wuj Hiram zabił moich rodziców! – wyrzucam z siebie.

Otwiera usta z wrażenia. Przerazenie na jego twarzy sprawia mi dziwną satysfakcję. Szybko bierze się w garść.

– Jesteś pewna, że to on?

– Równie pewna jak tego, że słońce wstaje na wschodzie. – Nie mogę oderwać od niego wzroku. Jest znajomy, co niesie otuchę. Ale też się zmienił i ta świadomość boleśnie ściska mnie za serce. – Hiram przyjechał zaraz po tym, jak uciekłeś – opowiadam. – Cały w złotym pyłe. W kółko powtarzał, że to wszystko teraz należy do niego. I ja też.

– To... Bardzo mi przykro, Lee. Dlaczego to zrobił? – Przeczesuje wzrokiem horyzont, jakby spodziewał się go tam zobaczyć. – Gdzie teraz jest? I gdzie twoja strzelba? Powinnaś mieć ją pod ręką. Ja będę miał swoją przy sobie, żeby w drodze...

– Możemy porozmawiać o tym później?

Zerka na mnie z ukosa.

– Oczywiście. Kiedy tylko zechcesz.

Czuję na sobie jego wzrok, gdy zawracamy do obozowiska i mijamy grupki wozów. Kiedy ruszymy w drogę, będą jechać gęsiego, długim wijącym się sznurem. Wiele razy już to widziałam.

– W każdym razie musiałam uciekać – szepczę. – Zmienić tożsamość. I twoje nazwisko jako pierwsze przyszło mi do głowy.

– No to je sobie weź, Lee McCauley. Ja już go nie potrzebuję.

– To prawda, panie Jeffersonie Kingfisher. – Ściąga lejce karej klaczy w stronę wielkiego stada owiec. Ruszam za nim. – Nazwałeś już jakoś tego konia?

– A co ci się nie podoba w „karej klaczy”?

– Chyba raczej „starej klaczy”.

– Nie słuchaj jej, kochana. – Klepie ją po szyi.

Ale cały czas zerka na mnie, tak samo jak ja na niego, jakbym nie do końca wierzyła, że naprawdę tu jest. Po długiej chwili ciszy nagle uśmiechamy się jednocześnie.

– Naprawdę się cieszę, że cię widzę, Lee – mówi cicho.

Nie chcąc, żeby widział mój rumieniec, wskazuję skupisko wozów.

– Z kim przyjechałeś? Pan Joyner wspominał, że z niemiecką rodziną z Ohio.

– Z Hoffmanami. To dobrzy ludzie.

– Jak do nich trafiłeś?

– To krótka historia – odpowiada. – Przekroczyłem rzekę Ohio, dołączyłem do ludzi podróżujących wśród Missisipi. Głównie rodzin. Hoffmanowie byli wśród nich. Kiedy przyszło do przeprawy, wszyscy wykupili miejsca na parowcu, a ja już nie miałem prawie żadnych pieniędzy.

Doskonale to rozumiem.

– Więc jechałem w górę rzeki, aż znalazłem starą tratwę, porzuconą na brzegu, i zepchnąłem ją na rzekę. Spływałem w dół rzeki. Ciągnąłem karą kłacz za sobą. Nie byłem pewien, czy da radę, ale dobra z niej pływaczka. Wylądowaliśmy niedaleko St. Louis i tam znowu spotkałem Hoffmanów. Uznaliśmy, że to zrządzenie losu.

Nadal wędrujemy bez celu. Nie zapamiętuję wszystkiego tak dokładnie, jakby sobie tego życzył pan Joyner.

– Więc postanowiliście z tymi Hoffmanami jechać razem? – dopytuję.

– Pomagałem im trochę w zamian za wyżywienie. To duża rodzina: rodzice i sześcioro dzieci, a najstarsza ma tylko piętnaście lat. Maluchy czasami dwoją się w oczach. Odkąd tu przyjechaliśmy, chcieliśmy dołączyć do jakiegoś konwoju, ale nikt nas nie chciał.

Urywa, marszczy brwi, a po chwili podejmuje przerwany wątek:

– Hoffmanowie mają trochę dziwny akcent, a ja najwyraźniej za bardzo przypominam lud mojej matki. W końcu major Craven pozwolił Hoffmanom dołączyć do swojego konwoju. A wtedy pan Joyner zaproponował mi pracę, major nie miał nic przeciwko temu, no i zostałem. A jak ty tu dotarłaś?

Miesiącami wyobrażałam sobie, jak opowiem Jeffersonowi o wszystkim, co mnie spotkało, wyobrażałam sobie współczucie na jego twarzy, może też szybki, przyjacielski uścisk. Teraz jednak chcę jak najszybciej mieć to za sobą, więc wyrzucam z siebie jednym tchem:

– Wyruszyłam z Dhlonega kilka dni po tobie. Sprzedałam Siwka i Akację, żeby opłacić podróż, ale okradli mnie w drodze. W Chattanooga zaciągnęłam się na barkę i spływałam aż do Missouri, tam zachorowałam, co mnie trochę spowolniło. Dotarłam do Independence kilka tygodni temu.

– Chwileczkę. Okradli cię?

Jeśli mu teraz powiem, że straciłam strzelbę tatka, ból będzie nie do zniesienia, więc puszczam to pytanie mimo uszu.

– Wszędzie cię szukałam.

– Uznałem, że w jednym miejscu będzie mnie łatwiej znaleźć.

– Mam największego pecha na świecie. – Kręcę głową ze zdumieniem. Jedyne miejsce, którego nie sprawdziłam, to miejsce, w którym przebywał cały ten czas, obozowisko konwoju.

– Ale teraz pech zmieni się w szczęście, prawda? W Kalifornii. – Uśmiecha się beztrąsko, jakby nie miał żadnych zmartwień. Może dzięki temu, że uciekł od ojca.

– Tak jest, Jeff.

– Pan Joyner kazał mi opowiedzieć ci o naszym konwoju. – Wskazuje grupkę mniej więcej dwudziestu wozów i czterdziestu mężczyzn, nieco na uboczu. – Są z południowego Missouri i w ostatniej chwili postanowili wyruszyć na zachód. Czekamy, aż zgromadzą zapasy.

– Wyglądają groźnie.

– Może i tak. Ale jest ich za mało, by nie bali się Indian, więc musieli dołączyć do większego konwoju. Sami mężczyźni, bez kobiet i dzieci. I wiesz co, Lee? Nie mają pojęcia o poszukiwaniu złota. Ty i ja wiemy więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

Jefferson nie ma pojęcia, co potrafię.

– To dobrzy ludzie?

– Wręcz przeciwnie. Ich przywódca to niejaki Frank Dilley. Lepiej nie wchodzić mu w drogę.

– Zapamiętam to sobie. Czy major Craven również przyjechał z nimi?

– Nie, Craven to przewodnik. Zatrudnił go pan Bledsoe, farmer z Arkansas. Hoduje owce. – Jefferson wskazuje mniejszą grupę wozów, załadowanych po plandeki, aż zapadają się w błocie. – Wszystkie dziesięć wozów należy do niego. On też przybył późno, jak Missouri. Pozostałe wozy to rodziny. Rodziny nie ufają samotnym mężczyznom, ci z kolei nie przepadają za rodzinami, ale wszyscy szanują majora.

– Rodziny?

– Zobaczysz. Widzisz tamten wóz? To Hoffmanowie.

Wokół wozu gania się troje dzieci. Pilnuje ich starsza dziewczyna, o jasnych włosach wysypujących się spod czepka. Siedzi na stołku, robi skarpetę na drutach, szybko, machinalnie, nie patrząc na wełnę. Na widok

Jeffersona uśmiecha się szeroko.

– Kto to? – pytam. Jest śliczna, ma malutki zadarty nos, lekko zarumienione policzki i oczy koloru nieba w pogodny dzień. Nawet Annabelle Smith, tam u nas, w Dahlonega, nie mogłaby się z nią równać.

– Therese. – Jefferson uchyła kapelusza. – Jest bardzo miła. Polubisz ją.

– Rozumiem.

Nagle mój żołądek ściska się boleśnie. To przez Therese jechał z Niemcami z Ohio. Ma to wypisane na twarzy. Może Jefferson wcale nie czekał w Independence w jednym miejscu, żebym mogła go znaleźć. Może wcale mnie nie szukał.

– Dzień dobry – mówi, gdy podjeżdżamy bliżej. – Therese, to mój stary przyjaciel, Lee. Lee, to moja przyjaciółka, Therese.

– Bardzo mi miło. – Bardzo zmiękcza spółgłoski, kiedy mówi.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Mówię szczerze. Skoro Jefferson twierdzi, że to dobrzy ludzie, wierzę mu. W ostatniej chwili przypominam sobie, żeby uchylić kapelusza, jak dobrze wychowany młody mężczyzna.

– Lee pomaga Joynerom przy wozie. – Jeff unosi się w siodle. Zatacza łuk ręką. – Mam pokazać jej... – Łypię na niego groźnie, ale sam się zreflektowałam. – To znaczy, mam pokazać mu cały konwój, powiedzieć, co jest do zrobienia i...

Jefferson nigdy nie umiał kłamać.

– Lepiej bierzmy się do roboty – rzucam. – Do zobaczenia, panienko.

– Do zobaczenia – odpowiada, perfekcyjnie naśladowując moją intonację. – Zajrzyj do nas po kolacji, coś ci zostawię – dodaje do Jeffersona.

– Tak jest. – Uśmiecha się. Odprowadza Therese wzrokiem, gdy woła młodsze rodzeństwo i zagania do wozu.

– A więc to z nimi jechałeś na zachód. – Ciekawe, czy zaproszenie Therese dotyczyło też mnie. Zapewne nie.

– Nie wiem, czy tak potrafię, Lee.

– O co ci chodzi?

– No wiesz, udawać, że jesteś kimś innym niż naprawdę.

– A ty niby co robisz, panie Jeffersonie Kingfisher?

– To co innego.

– Wcale nie. Wiesz, nie wszyscy jadą na zachód po bogactwo. To też okazja, by zacząć wszystko od nowa. Być tym, kim tylko zapragniesz.

Uśmiecha się pod nosem.

– No co?

– Brakowało mi twoich... opinii.

– Musisz mi obiecać, że nie zdradzisz mojej tajemnicy, Jeff. Aż do samej Kalifornii. Bo jeśli prawda wyjdzie na jaw, zostawią mnie po drodze albo każą mi wracać, a ja nie mogę wrócić. Nie mam do kogo, chyba że do wuja, który zabił moich rodziców i odebrał mi wszystko, co miałam.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Hiram mówił, że ma wobec mnie pewne plany. Nie mam pojęcia, co za plany, ale na pewno nie było to nic dobrego. Jefferson, tylko tobie mogę zaufać. Musisz mi obiecać, że mnie nie zdradzisz. Musisz.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Oddycham z ulgą. – Na początek możesz mi obciąć włosy. Są już za długie.

– Krótkie włosy nie wystarczą, żebyś wyglądała jak chłopak. Przynajmniej nie w moich oczach.

– Proszę.

Marszczy brwi.

– Jeśli tego chcesz.

Zapach fasoli w melasie drażni mi nozdrza, przypomina, że jestem bardzo głodna.

– Pokażę ci całą resztę – mówi. – To jest wóz państwa Joynerów...

– Aż za dobrze ich znam. – I z dobrej, i ze złej strony. – Płynęliśmy jedną barką.

– Nie chcieli ich w innych konwojach. Mają za dużo rzeczy. Major Craven powtarza, że muszą część zostawić, na przykład ten stół.

– Ale pani Joyner nie chce o tym słyszeć.

– No właśnie. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale co wieczór nakrywa do tego nieszczęsnego stołu. Rozkłada na nim obrus w kratę. Jakbyśmy nadal byli w Chattanooga.

– Coś takiego.

– Nie wyobrażam sobie, że uda im się przewieźć to wszystko przez góry. Chyba że na naszych plecach.

– Pewnie dlatego nas zatrudnili.

Wskazuje pojedynczy, schludny wóz.

– To państwo Robichaud z Kanady. – Na burcie wozu wisi kolorowa, niebiesko-czerwona kołdra, jakby na pokaz. – Przyjechali w zeszłym tygodniu.

Ona mówi głównie po francusku, ale codziennie ćwiczy angielski. Mają bliźniaki, dwóch chłopców, w wieku pięciu, może sześciu lat. To porządny, mocny wóz, a pan Robichaud zna się trochę na kowalstwie, więc są mile widziani.

Przesuwa wzrok dalej, na trzech młodych mężczyzn nad ogniskiem. Śmieją się bez troski.

– Tamci to studenci – Jasper Clapp, Thomas Bigler i Henry Meek. Z Illinois. Jasper wspominał, że rzucili studia przed końcem nauki.

Wjeżdżamy w stado owiec. Rozstępują się, becząc głośno. Nugget i Coney biegną na spotkanie psów pasterskich – trzeba się starannie obwąchać. Niski Murzyn z ramionami potężnymi jak konary drzewa macha do Jeffersona, gdy go mijamy.

– Owce pana Bledsoe. A to Hampton, jego pasterz.

– Pan Bledsoe to ten z Arkansas? Z wozami?

– Tak jest. Jest tu mniej więcej tysiąc sztuk owiec. Twierdzi, że są mniejsze i bardziej wytrzymałe od krów, więc mają większe szanse przejść cało przez góry. Liczy, że się wzbogaci, hodując owce wśród złotodajnych pól. Strasznie działa na nerwy tym z Missouri, bo owce paskudzą trawę i bydło nie chce jej jeść. W tej chwili plan jest taki, żeby bydło szło przodem, a owce zamykały pochód. – Wskazuje kolejny wóz. – A to pastor Lowrey i jego żona.

– Jest ich tylko dwoje?

– A trzecie w drodze.

Chyba widzi po mojej minie, że dziwi mnie, iż o tym mówi, bo zaraz się tłumaczy:

– Też się zorientujesz, gdy tylko ją zobaczysz. Pastor mówi, że Bóg wzywa go na zachód, by niósł Słowo Boże poszukiwaczom złota. Szczerze mówiąc, Lee, ten konwój to banda nieudaczników, przypadkowa zbieranina tych, których nie chcieli w innych konwojach, plus kilku spóźnialskich, którzy nie zdążyli zabrać się wcześniej.

Chce dodać coś jeszcze, ale dojechaliśmy do końca konwoju.

– A to major Craven – mówi. Wskazany namiot ma wojskowy styl – jest prosty i skromny.

– Podobno walczył z Indianami.

Jefferson poważnieje.

– Tak, z wodzem Czarnym Sokołem. To była rzeź, zginęło ponad tysiąc Indian. Craven był sierżantem. Nazywamy go majorem ze względu na pana

Joynera.

– Jak to?

– Inne konwoje mają kapitanów, ale pan Joyner zdecydował, że skoro nasz zabiera tak ważne osobistości, musi go prowadzić ktoś wyższy rangą.

– Przecież to...

– Tak, wiem.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Gdyby pan Joyner był dowódcą, nie mielibyśmy szans dotrzeć do Kalifornii. Nie rozróżnia królika od szopa!

– Nie musi nic wiedzieć. Nie czytasz gazet, Lee?

– Ale dlaczego?

W jego oczach pojawia się szelmowski błysk.

– Dotrzeć do Kalifornii to najprostsza rzecz na świecie – po prostu ruszasz na zachód i jedziesz.

Rozdział 18

Słońce chyli się ku zachodowi. Czy to wróżba, że tak złociście znika za horyzontem? Major Craven obchodzi obóz. To mężczyzna w średnim wieku, z wielką blizną na ustach, która jednak niemal zupełnie znika, kiedy się uśmiecha. Ogłasza, że mamy już wszystkich, na których czekaliśmy, i jutro wyruszamy.

Kiedy pani Joyner dowiaduje się, że jej mąż mnie zatrudnił, otwiera szeroko oczy i gwałtownie nabiera tchu. Szykuję się na sprzeciwy, ale z jej ust nie pada żadne słowo, nawet gdy jej mąż oznajmia, że możemy z Jeffersonem spać pod kolebką ich wozu. Po raz pierwszy nie wyjeżdżam na noc za miasto.

Rozkładamy pościela, blisko siebie, ale tak, że się nie dotykają. Tak długo go szukałam, że cieszę się, leżąc koło niego, widząc go w ciemności. Wcale nie jestem zmęczona. Chciałabym przegadać całą noc, nacieszyć się tym, że w końcu jest przy mnie.

– Opowiedz o tym twoim wuju – prosi szeptem.

Łatwo się z nim rozmawia. W ciemności nie mam oporów.

– Hiram. Brat tatka. On... Wiesz, w Independence spotkałam Wolnego Jima.

– Coś takiego! Co tu robi?

– Sprzedał sklep i teraz jest już w drodze do Kalifornii. Wiesz, że się przyjaźnił z moim tatkiem, prawda?

– Oczywiście. Zawsze mi się wydawało, że twój tatko przestał chodzić do kościoła po rozłamie u metodystów.

– No właśnie. W każdym razie Jim co nieco wiedział. – Najciszej jak umiem, opowiadam mu wszystko: o tym, że Hiram kochał się w mamie, że stracił i ją, i ziemię na rzecz brata, że nikt, nawet tatko, nie wiedział, co kazało mamie uciekać z Bostonu, od bogatej rodziny i dobrego życia, aż hen, na pogranicze. Opowiadam Jeffersonowi wszystko, poza jedną, jedyną rzeczą, o której nigdy nie pisnę słowa: że Hiram największy żal do losu ma o to, że pozbawił go złotowidzącej dziewczyny.

– To jak, myślisz, że da ci spokój? – pyta Jefferson po dłuższej chwili.

– Może. – Robi mi się niedobrze ze strachu. – Nie. Nie da mi spokoju. Ale nie sądzę, żeby chciał mnie zabić. Chodzi mu o... O coś innego. Nie

powiedział, o co. Kiedy uciekłam, sam wyruszył na zachód drogą morską. Może się okazać, że dotrze do Kalifornii przed nami.

– Myślisz, że będzie cię szukał?

– Jestem tego pewna.

– Hm. – Chwila ciszy. A potem: – Nie podoba mi się to wszystko.

– Mnie też nie.

– I nie mieści mi się w głowie, jak mógł zabić własnego brata. I to Szczęściarza Westfalla! Wszyscy go lubili. Nawet mój ojciec.

Z trudem nabieram tchu.

– Lee?

– Bardzo mi go brakuje, Jeff.

– Wiem.

Kolebka wozu nad nami skrzypi, gdy jedno z Joynerów wierci się na posłaniu.

– Jutro czeka nas długi dzień – mówi Jeff. Czuję jego ręce na barku. Ścisną mnie za ramię i ten gest rozgrzewa mnie bardziej niż źle ugotowana fasola pani Joyner. – Cieszę się, że uciekłaś, Lee, i że tu dotarłaś.

Uśmiecham się w ciemności.

– Ja też.

– Ten twój paskudny wuj nie zrobi ci już krzywdy, obiecuję.

– Dziękuję, Jeff.

Mówimy sobie „dobranoc”, a potem Jeff odwraca się i od razu zasypia. Ja jeszcze trochę czuwam, nasłuchuję odgłosów z naszego obozowiska – trzasku ognia i zgrzytu wozów, beczenia owiec, porykiwania wołów i oddechu najlepszego przyjaciela u mego boku.

* * *

Budzi mnie poranny harmider. Jeffersona już nie ma. Naciągam buty tatka, wpełzam spod wozu i widzę zamieszanie w obozie. Wszystkie wozy już w połowie załadowane, większość wołów już zaprzężona. W nocy chyba padało, bo ziemia jest rozmokła i rozdeptana. W powietrzu unosi się wilgoć, niebo jest szare, ale wszyscy machają i cieszą się, jakby to był czwarty lipca. I może, w pewnym sensie, tak właśnie jest. Dzisiaj wielu z nas zaczyna nowe życie.

Pani Joyner pieczołowicie przypala podpłomyki na ognisku. Handlarz

w czapce z szopa ciągnie swój wózek między zaprzęgami. Nawołuje monotonie:

– Oskardy, szpadle, sita i przetwory dla argonautów! – Sprzedaje dwa kilofy ludziom z sąsiedniego wozu i zagaduje panią Joyner: – Oskardy, szpadle, sita i przetwory dla argonautów! Może pikle dla szanownej pani? Argonauci słyną z apetytu!

Wzdryga się oburzona.

– Nie jestem żadną argonautką, tylko metodystką!

Mężczyzna natychmiast poważnieje.

– Oczywiście, szanowna pani. Bardzo szanowną panią przepraszam. – Uchyła kapelusza i idzie dalej.

Major Craven obchodzi obozowisko, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, i wyznaczyć każdemu miejsce w szeregu. Jefferson wraca z okruszkami na koszuli – domyślam się, że zjadł śniadanie z Hoffmanami, i razem ładujemy dobytek Joynerów na wóz, zanim major do nas dojdzie.

Niecałą godzinę później major Craven daje znak. Serce staje mi w gardle. A więc nadeszła ta chwila. Jadę do Kalifornii.

Pierwszy wóz rusza z miejsca. Uśmiecham się jak kot do śmietanki. Kolejne wozy dołączają do konwoju, aż rozciągamy się długim sznurem przez równinę. Joynerowie są bliżej końca. Pan Joyner powozi wołami, jego żona i dzieci idą obok. My z Jeffersonem jesteśmy z tyłu, po lewej stronie, żeby uniknąć błota spod tylnych kół.

Kiedy opuszczamy Independence, słońce przebija się przez chmury, wysyła złote promienie, by przecięły mgłę. Zdejmuję kapelusz i unoszę twarz do słońca, czując jego ciepło na skórze.

* * *

Pierwsze dni upływają nam całkiem przyjemnie, choć pracuję ciężiej niż kiedykolwiek. Wstajemy z Jeffersonem jako pierwsi, jeszcze przed wschodem słońca, rozpalamy ogień i karmimy woły. Kiedy niebo się przejaśnia, z wozu wychodzi rodzina Joynerów. Pani Joyner szykuje śniadanie, ignorując mnie starannie, a my z Jeffersonem pakujemy wszystko z powrotem na wóz – toaletkę, krzesła, worki z mąką, bekon, kufry podróżne – poza stołem, przy którym rodzina zasiądzie do posiłku. Kiedy meble są już na wozie, schodzimy z beczką nad wodę i napełniamy ją. Czasami Jeff robi to sam, a ja odchodzę

na bok i w miarę możliwości dbam o higienę osobistą.

Wracam i razem z Jeffersonem wstawiamy ciężką beczkę na wóz. Jeśli mamy odrobinę szczęścia, czekają już śniadanie i gorący napój. Rankami jeszcze zdarzają się przymrozki, chłód przenika do szpiku kości, więc jest mi wszystko jedno, czy to prawdziwa kawa, napar z cykorii, czy herbata, choć zawsze liczę na kawę. Kawa to jedyna rzecz, która się pani Joyner udaje.

Mamy tylko kilka minut na jedzenie, więc szybko pochłaniam moje podpłomyki, choć są spalone z zewnątrz i niedopieczone w środku. Zawsze dziękuję pani Joyner i zapewniam, że są pyszne. Trzeciego dnia kiwa mi głową w podziękowaniu, więc uważam, że robimy postępy.

Po śniadaniu pakujemy stół na wóz, zaprzęgamy woły, co jak się okazuje, jest o wiele prostsze niż walka z mułami; Frank Dilley przeklina, na czym świat stoi, swoje muły i swoich ludzi, aż krew napływa mu do twarzy. Cieszę się, że mamy woły, choć są bardzo powolne.

Potem jest kolej Jeffersona, żeby załatwił swoje sprawy, co o ile mi wiadomo, ogranicza się do wizyty w wozie Hoffmanów, żeby przywitać się z Therese i załapać na drugie śniadanie. Je najwięcej z nas wszystkich.

Podczas jego nieobecności dbam o wóz – natłuszczam osie, przybijam obłuzowane deski, upewniam się, że wszystkie części są porządnie umocowane, a potem chowam narzędzia w skrzyni w przedniej części wozu, zamykam zasuwkę i oznajmiam, że możemy jechać.

Wtedy czekamy. Dbam o to, żebyśmy byli szybko gotowi, bo nikt nie chce być tym, na którego czekają. Zazwyczaj najbardziej guzdrze się wielebny Lowrey. Sam sobie ze wszystkim nie radzi. Liczy, że mu pomożemy za dobre słowo i modlitwę. Robimy to na zmianę, nawet ja. Niektórzy robią to z dobroci serca, ja po to, żebyśmy w końcu ruszyli w drogę.

Kiedy konwój wreszcie rusza, wraca Jefferson. Jedziemy strzemię w strzemię. Droga to koleiny w ziemi. Wije się po niekończącej się błotnistej równinie, na której powoli wyrasta żółtozielona trawa. Wschodzące słońce osusza błoto, ptaki umilają nam drogę swoimi trelami. To najprzyjemniejsza część dnia.

Czasami pan Joyner dosiada wałacha, a my z Jeffersonem na zmianę powozimy wołami. Jest to najgorsze, najbardziej niewdzięczne, niewygodne zadanie, jakie można sobie wyobrazić. Każdy wybój odbija się na moim siedzeniu; czasami podskakuję na koźle od świtu do zmierzchu. Pani Joyner i dzieci idą obok, gdy jedno z nas powozi. Trzymają się na uboczu.

W południe zatrzymujemy się na mniej więcej godzinę, żeby dać zwierzętom odpocząć i coś zjeść. Zdejmujemy z wozu stół i nakrywamy obrusem w kratę. Pani Joyner wyrównuje go i wygładza, żeby kanty były idealnie ostre. Na miłość boską, czasami nawet wypakowuje porcelanę i sztucce. Ja najchętniej zabieram mój cynowy talerz i siadam gdzieś w kącie.

Pan Joyner ma przemyślnie urządzenie o nazwie milomierz. Zamocował je na tylnym kole wozu. Za pomocą skomplikowanego systemu kół zębatach i dźwigni mierzy pokonane mile. Codziennie po południowym posiłku sprawdza, ile przejechaliśmy – zazwyczaj jest to pięć-sześć mil.

Do moich obowiązków należy sprzątanie po posiłku – co dotyczy także porcelany, którą starannie owijam papierem i chowam, żeby się nie potłukła. Pewnego dnia, wiem to na pewno, wpakujemy się na wyjątkowo wyboisty odcinek drogi, porcelana rozbije się na tysiąc kawałków i wiadomo, do kogo pani Joyner będzie miała pretensje.

Po południu jedziemy tak długo, aż znajdziemy miejsce spełniające trzy podstawowe warunki – jest tam drewno, woda i trawa. Banda Franka Dilleya z Missouri i pan Bledsoe, farmer z Arkansas, zawsze docierają na miejsce jako pierwsi, bo ich konie i muły są najszybsze. Zanim zaprzężone w woły wozy dojadą do obozowiska, Dilley i jego ludzie zdążą zająć najlepsze miejsca – z najzieleńszą trawą, najczystsza wodą i najsuchszą ziemią.

Bydło się pasie, konie zajadają owies, jeśli trawa im nie wystarczy, rozbijamy obóz na noc. Potem kolacja, a później ludzie gromadzą się przy ogniskach, opowiadają sobie historie, śpiewają, snują marzenia o tym, jak to będzie, gdy już wszyscy zbijemy fortuny na kalifornijskim złocie. Nie dosiadam się, bo podczas śpiewów mój sekret na pewno wyszedłby na jaw, a poza tym to idealna okazja, żeby niepostrzeżenie oddaliła się na stronę i zajęła swoimi sprawami.

Studenci mają krowę mleczną imieniem Atena. W życiu nie widziałam krowy z takimi długimi rzęsami. Co rano doją ją i wstawiają mleko do ubijaka z boku wozu. Wyboista droga załatwia resztę i pod wieczór mają osełkę pysznego masła, którym chętnie się dzielą każdego dnia.

W oczach Jaspera pojawia się szelmowski błysk, ilekroć mnie widzi. Któregoś wieczora unosi mi brodę do góry. Wyrrywam się.

– Okropna fryzura – stwierdza wesoło.

– Dzieło Jeffersona – prychem.

Przeczesuje ciemne włosy palcami.

– Następnym razem zgłoś się do nas. – Jego przyjaciel Henry ma starannie przyszyzoną brodę, bladą i cienką, jak cały on, a Tom ma zawsze idealnie nawoskowane koniuszki wąsów. Jakby ukradkiem wieźli ze sobą fryzjera.

– I tak zrobię – zapewniam. – Ktoś tu musi dbać chociaż o pozory cywilizacji.

– Mówisz jak pani Joyner – śmieje się. – Masz tu trochę świeżego masła dla ciebie i Jeffersona. Na więcej cywilizacji nie możesz dzisiaj liczyć.

Pani Joyner upiekła chleb w żeliwnym garnku. Odrywam kawałek, patrzę, jak masło topi się na gorącym, prawie upieczonym mięszu. Z masłem Jaspera nawet chleb pani Joyner jest pyszny.

– Jest trudniej, niż myślałem – wyznaje wieczorem Jefferson, gdy układamy się do snu pod wozem.

Od dawna przywykliśmy do ciężkiej pracy, więc chyba nie to ma na myśli. Może chodzi mu o to, że za dnia harujemy, a wieczorem nie mamy domu, do którego można by wrócić. Żadnej rodziny, która by na nas czekała, choćby schorowanej, jak mój tatko, czy w sztok pijanej, jak jego ojciec. Brakuje mi bliskich – tak bliskich, że łatwo się z nimi mieszkało. Brakuje mi pewności, że nie muszę się martwić, co sobie pomyślą, co zrobią, kiedy się dowiedzą, kim naprawdę jestem.

– Kiedy dotrzemy do Kalifornii, będzie lepiej – pocieszam go.

– Ależ już jest! – zapewnia. – Ale spanie na mokrej ziemi, pobudka w zimnie, to, że musimy skakać na każde skinienie pana Joynera...

– Ciszej tam! – huczy pan Joyner z wozu nad naszymi głowami. – Niektórzy muszą odpocząć.

– Słyszałaś? – szepcze Jefferson. Jego oddech łaskocze mi policzki. – Niektórzy muszą odpocząć.

Podciąga koc pod brodę, obraca się na bok, plecami do mnie, i już po chwili oddycha wolno i lekko, jak ktoś, kto pozbył się wielkiego ciężaru.

Ja nie. Kręci mi się w głowie. Leżę, jak mi się wydaje, jeszcze długo, wsłuchana w oddech Jeffersona i monotonne bębnienie deszczu o plandekę wozu, wdycham zapach żywej ziemi. I nagle ze zdumieniem stwierdzam, że tam gdzie do tej pory były we mnie tylko samotność i smutek, pojawia się szczęście. Odnalazłam Jeffersona. Zarabiam pieniądze. Zmierzam do ziemi obiecanej, pełnej złota.

Z tą myślą zasypiam i wydaje mi się, że dopiero co zamknęłam oczy, gdy Jefferson budzi mnie szarpnięciem. Jest wcześniej i zimno.

- Mamy nowy dzień – mówi.
- Nie masz się z czego tak cieszyć – burczę pod nosem.
- Wiem, ale to działa ci na nerwy – odpowiada.

* * *

Przez tydzień pokonujemy dwanaście-czternaście mil dziennie, przez okolice tak piękne, że ich uroda chwyta mnie za serce. Jednocześnie myśli o wuju Hiramie dają mi się we znaki, jak nieczysta grudka w dalekim strumieniu – ledwie wyczuwalne, ale wiecznie obecne. Każdy dzień to zarazem błogosławieństwo i przekleństwo, bo przybliżył mnie – do niego, ale i do złota, które mam odnaleźć, bo tak jest mi pisane.

Odsuwam więc od siebie wszelkie myśli o Hiramie. Na razie będę się rozkoszować ciężką pracą, towarzystwem najlepszego przyjaciela, najpiękniejszym niebem, jakie w życiu widziałam. Hiram odebrał mi już tak wiele, że nie oddam mu jeszcze i tego.

Pewnego ranka zaczyna lać – i nie przestaje. Pokonujemy jeden strumień, potem kolejny. Po południu mijamy następny. Woda zdążyła już wezbrać, płynie szybko. Trakt jest błotnisty, brzegi strome.

Wozy brną przez błocko w takim tempie, że żółw przy nas to zając. Kiedy w końcu i my przejeżdżamy bród, przednie koła zapadają się w zagłębienie i woły nie są w stanie ruszyć z miejsca, choćby pan Joyner nie wiadomo jak głośno krzyczał i strzelał z bata.

Rozładowujemy z Jeffersonem wóz, studenci i pan Robichaud pomagają go wydostać. Wielebny Lowrey stoi z boku i modli się za nas.

Kiedy wóz stoi już na drugim brzegu, ładujemy go ponownie. Pan Joyner pogania woły, one jednak nie zwracają na niego uwagi. Kiedy w końcu dołączamy do reszty, pierścień wozów już stoi, a w obozowisku płoną ogniska.

Ruszamy dalej. Jefferson nachyla mi się do ucha.

– Te muły są szybkie. Zapamiętaj moje słowa, pewnego dnia panowie z Missouri zostawią nas na pastwę losu.

Obawiam się, że ma rację.

* * *

W sobotę, po kilku tygodniach w drodze, wielebny Lowrey wciska żonie lejce wołów, a sam jedzie wzdłuż konwoju i upomina wszystkich, by potraktowali szabat jako dzień odpoczynku. „Zapominamy o naszym Stwórcy”, powtarza, „ale jeśli wrócimy na właściwą drogę, nasza podróż na pewno okaże się łatwiejsza”. Mało kto odnosi się entuzjastycznie do jego pomysłu, ale major Craven uznaje, że bydło przyda się porządny posiłek, zanim przekroczymy rzekę Kansas. Mówi, że między Kansas i Platte zwierzęta sobie nie pojedzą.

Następnego ranka wszyscy ściągają z wozów krzesła. Studenci klecą naprędce ławę z dwóch kozłów i pnia. Ja zajmuję miejsce na kozle wozu Joynerów, więc wygląda, jakbym brała udział w nabożeństwie. Wielebny Lowrey grzmi o ogniu piekielnym i bojaźni bożej. Zamykam oczy, zapadam w drzemkę, głowa opada mi na pierś, ale skoro to ma być dzień odpoczynku, to właśnie odpocznę. Kiedy nabożeństwo dobiega końca, dochodzę do wniosku, że bardzo mi odpowiada szabat.

Następnego ranka wyruszamy wypoczęci. Rozglądam się wokół, podziwiam dzikie zielone równiny i lasy ciągnące się jak okiem sięgnąć. Wszystko wokół eksploduje wiosennymi kwiatami. Słońce leniwie układa się na niebie, spowijając świat złocistą poświatą.

Ładniej tu nawet niż w Georgii. Rodzice byliby zachwyceni.

* * *

Rzeka Kansas rozlewa się szeroko, gdy docieramy do miejsca, w którym wpływa do Big Blue – to dziwna nazwa, bo i ta rzeka jest równie bura i błotnista, jak wszystkie inne. Major Craven tłumaczy, że przeprawimy się przez Kansas na promach i dalej pojedziemy na północ wzdłuż Big Blue.

Wspominam tęsknie barkę kapitana Chisholma, bo tutejsze promy to zwykłe tratwy zbite ze sfatygowanych bali. Wyglądają, jakby lada chwila miały rozpaść się na kawałki. Nie wyobrażam sobie na nich naszych wozów i wołów.

Jak wówczas, gdy ładowaliśmy dobytek państwa Joynerów na barkę, tak i teraz trzeba ściągnąć wszystko z wozów, zdjęć kołyskę, schować do niej koła. We dwójkę z Jeffersonem nie dalibyśmy rady, więc wszyscy pomagają sobie wzajemnie – studenci i pan Robichaud nam, potem my im, co kończy się, w moim wypadku, bólem pleców i rozkrwawionym kciukiem.

Atena, krowa mleczna, płynie promem razem z nami. Ryczy żałościwie. Ma rozszerzone strachem źrenice, mięśnie jej drgają, jakby obsiadły ją muchy. Dwukrotnie opróżnia pęcherz na pokład.

Pan Joyner prowadzi Andy'ego i Olive na najdalszy skraj promu.

– Co z nią? – pytam Jaspera.

– Nie wiem. – Chce ją pocałować w pysk, ale Atena odwraca łeb. – Mam tylko nadzieję, że nie zjadła nic trującego.

Przewoźnik podnosi głowę znad rumpla.

– A nie nazwała się takiego cuchnącego zielska? Takiego, o, dotąd? – Trzyma dłoń w połowie uda. – Postrzępione liście, ciemnozielone z wierzchu, od spodu jaśniejsze?

– Może – odpowiada Jasper. – Nie zwracałem na to uwagi. Panowie?

Henry wraca wzrokiem do niknącego w oddali brzegu.

– Było coś takiego na ostatnim postoju.

– Zżarła takie zielsko, fakt – wtóruje Tom. – Nie było nic innego. Wszystko zeżarło bydlę argonautów przed nami.

Przewoźnik chichocze pod nosem.

– Bieluniu się nazwała, ot co. Czarciego ziela. Dajcie jej świeżej trawy i za kilka dni będzie dobrze.

– Biedaczka. – Idę w jej stronę. Mam w kieszeni trochę trawy, którą zerwałam dla Peonii, zwyczaj, który mi został z podróży barką, ale teraz chętnie oddam ją Atenie. Tom i Henry też zmierzają w jej stronę i biedaczka wpada w panikę, gdy zbliżamy się do niej jednocześnie. Macha łbem i ryczy żałościwie, i nagle, w ułamku sekundy, spada z promu, i ciężko wali się w wodę.

Zataczamy się, gdy fala kołysze promem. Atena wynurza się i parska głośno.

Pan Joyner parska śmiechem.

– Utonie, jeśli nie popłynie do brzegu – prychna.

– A dzieciom tak smakowało jej masło – wzdycha pani Joyner.

Patrzę na nich ze zdumieniem.

– Musimy jej pomóc! – Ale sama nie mam pojęcia, co robić.

Prom płynie, Atena zostaje w tyle. Studenci tłoczą się na rufie.

– Tędy, Ateno! – woła Jasper. – Dasz radę, kochana! Płyn, płyn!

– Przepraszam, przepraszam bardzo! – Pan Robichaud przepycha się, mija mnie, podchodzi do Jaspera. Ma w ręku sznur z pętlą na końcu.

Kręci nim nad głową, rzuca. Pętla leci nienaturalnie i opada na krowią szyję. Pan Robichaud ciągnie delikatnie, żeby się zacisnęła, szarpie mocniej

i oto Atena płynie we właściwym kierunku, do promu.

– Ależ sztuczka! – woła Jasper. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego na wodzie. Bardzo panu dziękuję.

– Gdzie się pan tego nauczył? – pytam.

– Niedaleko Ottawy, pracowałem na ranczo.

– Przeprowadzał pan bydło czy tylko hodował?

– Mam dla ciebie propozycję: opowiem ci, jeśli w zamian będziesz ćwiczyć angielski z moją Lucie.

Jefferson mnie uprzedzał, że żona pana Robichaud to straszna gaduła, ale miło byłoby porozmawiać z inną kobietą. Nie wolno mi tego robić bez zaproszenia, nie teraz, w chłopięcym przebraniu.

Zgadzam się.

Kiedy prom dobija do brzegu, Jasper i Henry wskazują do wody, żeby pomóc Atenie. Biedaczka chwieje się na nogach, dygocze z wyczerpania i przerażenia, ale przy odrobinie pomocy i słowach wsparcia udaje jej się wygramolić na brzeg.

To tylko krowa, ale i tak się cieszę, że się jej udało, i szukam wzrokiem Jeffersona, chcąc się z kimś podzielić tym uczuciem. On jednak jest już przy wozie Hoffmanów i pomaga im doczepić koła.

Biegnę z pomocą; będzie łatwiej, gdy wszyscy weźmiemy się do pracy. Pomagam wstawić kufer na wóz, gdy nagle zastygam w bezruchu. Mało brakowało, a upuściłabym go sobie na nogi.

Kolana się pode mną uginają, łaskocze mnie w gardle. Gdzieś tu jest złoto. Dużo złota. Być może w jednej ze skrzyń Hoffmanów.

– Lee? Wszystko w porządku? – Jefferson zagląda mi w oczy. Dźwiga worek z mąką na barkach.

Otrząsam się.

– Tak, przepraszam. Ja... – Therese i Doreen, jej młodsza siostra, przyglądają mi się dziwnie. Serce wali mi jak oszalałe. – Wydawało mi się, że słyszałem kojota – kończę głupio. – Ale tylko mi się tak zdawało.

Odwracam się i biorę do roboty, jak gdyby nigdy nic. Bliskość złota traci na sile – najpierw dlatego, że się do niej przyzwyczajam, potem wraz z oddaleniem, gdy zaprzęgamy kolejne wozy, doczepiamy do nich koła. Pracujemy wszyscy razem i prom szybko pustoszeje. Ruszamy w drogę, szczęśliwi, że mamy stały grunt pod nogami. Jefferson zostawia mnie i jedzie do przodu, do Hoffmanów. Odprowadzam go wzrokiem i uczucie pustki

po złocie przybiera na sile.

Nie uśmiecha mi się jazda z Joynerami, którzy z trudem tolerują moją obecność, więc podjeżdżam na Peonii do studentów. Atena leży na boku, dyszy ciężko. Tom przechadza się nerwowo z rękami w kieszeniach, Henry gryzie źdźbło trawy. Jasper kuca przy krowie i wyciera ją kocem.

– Nic jej nie będzie?

– Mam nadzieję.

– Mógłbym...

– Nie zwracaj sobie głowy – mówi.

– Lepiej dokończ rodzinę – dodaje Henry.

Otwieram usta, żeby warknąć, że Joynerowie to nie moja rodzina, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. On tylko chce pomóc.

– No, jedź – pogania mnie, więc zwracam Peonię i ruszam w ślad za wozami. W miarę jak się oddalam, studenci i prom maleją, ale wcale nie mam wrażenia, że bliżej mi do konwoju przede mną.

Rozdział 19

Na północ od rzeki Kansas czeka nas płaska, bezdrzewna równina. Gdzieś tam widzimy pnie po ściętych drzewach – dowód, że szły tędy inne konwoje. Za miesiąc czy dwa preria zmieni się w morze trawy, teraz jednak to głównie pusta ziemia po zjedzonej trawie i niezliczone krowie placki. Najlepsze sadzawki wyglądają najczęściej tak samo – zmaczone, zanieczyszczone odpadami po tych, którzy szli przed nami. Często musimy zbaczać ze szlaku, żeby rozbić obóz.

Przynajmniej jest tu mniej błota. Pada coraz rzadziej, powietrze jest przyjemnie ciepłe.

Pewnego ranka, gdy wracam z wycieczki poza obóz, żeby się oporządzić, major Craven wita mnie z ponurą miną.

– Nie musisz tak daleko odchodzić. Jesteśmy na terytorium Indian, a z dzikimi nigdy nie wiadomo.

Będę w nie lada opałach, jeśli zabroni mi wychodzić poza obóz.

– Może chcę tylko handlować – podsuwam. Jak przez mgłę pamiętam, że tatko handlował z Cherokee, zanim wygnano ich z Georgii.

– Może – przyznaje. – Ale uważaj. Bierz ze sobą psa.

– Tak jest, proszę pana. Dziękuję. – Uśmiecham się z ulgą. Mogłam się spodziewać, że mi niczego nie zabroni; przecież teraz jestem chłopcem.

Kiedy oddalam się następnym razem, Coney z radością biegnie ze mną. Często głaszczę go po brzuchu – domaga się tego od pana Joynera, ale zawsze bezskutecznie. Od początku dobrze się dogadywał z Peonią, a teraz zaprzyjaźnili się na dobre; codziennie biegnie koło niej, a nocami zwija się w kłębek przy jej nogach.

Dotrzymuję słowa danego panu Robichaud i codziennie przez chwilę jadę koło ich wozu. Jest mniejszy i lżejszy niż inne, i tak sprytnie załadowany, że jest nawet miejsce dla bliźniaków, żeby mieli gdzie się bawić, jeśli droga na to pozwala. To pogodne dzieci, które często zwracają się do siebie per „frère”, co ich mama zaraz poprawia na: „bracie”.

– Zamieszkamy w Ameryce, więc musimy mówić po amerykańskim – tłumaczy.

– Po amerykańsku – poprawiam, bo sama mnie o to prosiła. Jej mąż siedzi na koźle, patrzy przed siebie, udaje, że nas nie słyszy. – A pani i tak mówi bardzo dobrze.

– Pani Lowrey mówi, że mówię dobry – odpowiada.

– Źle. Nie mówi się: „mówię dobry”, tylko: „dobrze”.

– Mówię bardzo dobrze – zapewnia i uśmiecha się tryumfalnie. Jej angielski jest naprawdę niezły, lepszy niż jej się wydaje. To młoda kobieta, młodsza od pani Joyner, pogodna i gadatliwa, o wesołych piwnych oczach i z kilkoma piegami na nosie. Często siedzi do późna przy ognisku, rozmawia i śpiewa, chyba dzięki temu szybko się uczy.

Państwo Robichaud mają takie same złote obrączki – zapewne ich największy skarb. Obrączki zawsze są blisko siebie, a im mniejsza odległość je dzieli, tym głośniej mnie wzywają.

Nie tylko oni mają odrobinę złota. Rzadko podchodzę do wozu Hoffmanów, ale ilekroć tam jestem, wyczuwam jego sporą ilość i za żadne skarby świata nie mogę odgadnąć, co wiozą. Może kuferek monet albo ze sto takich medalionów jak mój. Jeśli staną za blisko wozu Joynerów, mam wrażenie, że przez całą noc płonie ognisko. Któregoś wieczora zabieram koc i odchodzę trochę dalej, żeby w ogóle zasnąć.

Major Craven też coś ma. Wyczuwam złoto, ilekroć podejdzie na pogawędkę. W końcu to widzę – złote guziki przy mankietach koszuli.

Pan Joyner z kolei ostentacyjnie wpina spinki w swoje mankiety. Spinki są błyszczące, wysadzone perłami – o perłach nic nie wiem, ale złoto w tych spinkach to cieniuseńka warstewka, która ledwie zauważalnie muska moją skórę. Nie ma nawet zapasu monet. Mam szczerą nadzieję, że wymyśli, jak zapłaci Jeffersonowi i mnie, kiedy dotrzemy na miejsce.

Podejrzewam, że wbrew pozorom wcale nie jest bogaty, a przynajmniej nie on sam. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tę wyprawę sfinansował jego ojciec. Może pan Joyner też udaje kogoś innego, niż jest naprawdę. Udaje, że ma pieniądze. Udaje, że wie, co robi, choć na prerii nie znalazłby czubka własnego nosa.

Udawanie jest męczące, ja wiem to najlepiej. Ale mam nadzieję, że nigdy nie będę oszukiwała samej siebie, jak pan Joyner.

Pewnego wieczora, po rekordowym dniu, w którym pokonaliśmy dziewiętnaście mil, major Craven podchodzi do Joynerów podczas kolacji. Jak zwykle zasiedli do eleganckiego stołu przykrytego obrusem w kratę,

zastawionego porcelaną. Dzisiaj pośrodku króluje wazon polnych kwiatów, które pani Joyner zerwała w ciągu dnia. Cała rodzina siedzi przy stole, my z Jeffem – na koźle.

Pani Joyner proponuje majorowi wieprzowinę i fasolę. Na jego twarzy przez moment maluje się panika, ale zaraz delikatnie zmienia temat.

– Proszę uważać – ostrzega. – Jeśli rozlegnie się alarm, mężczyźni chwytają za broń i stają do obrony.

Pan Joyner gładzi lufę swojej strzelby.

– Jestem zwarty i gotowy.

– Kobiety i dzieci powinny zostać wewnątrz wozów, póki niebezpieczeństwo nie minie, jasne?

Andrew i Olive poważnie kiwają głowami, ale pani Joyner nie jest przekonana.

– Czy to rozsądne? Może powinniśmy raczej uciekać do środka pierścienia?

– Jeśli konie i bydło się spłoszą, zdeptają was – tłumaczy Craven. – Lepiej siedzieć w wozie.

– Lepsze to niż narażać się na porwanie! Wolałabym, żeby mnie stratowało bydło niż pozwolić, by moje dzieci czy ja wpadły w ręce dzikusów i żyły z dala od cywilizacji!

Andy i Olive patrzą na nią wielkimi oczami.

– Tego bym się raczej nie obawiał – ucina major. – Bardziej ich interesują konie i bydło, i wszystko, co da się unieść.

– No, to mnie pan uspokoił, majorze.

Uśmiecha się i uchyla kapelusza.

– Bardzo mnie to cieszy, szanowna pani.

– Co za stek bzdur – mamrocze pan Joyner, gdy major jest poza zasięgiem słuchu.

– Słucham, mój drogi?

– To, co mówił o nieporywaniu kobiet i dzieci. Chciał cię tylko uspokoić. Te dzikusy porwałyby taką damę jak ty bez mrugnięcia okiem i zmusiły cię do życia w niewoli. A dzieci kradną tak samo jak Cyganie. – Udaje, że chwytą coś małego. Olive cofa się z piskiem, zaraz jednak podbiega do ojca i wtula mu się w ramiona. – Właśnie tacy są – kończy pan Joyner. – Jak Cyganie. Cyganie równin. Najlepiej by było wszystkich wystrzelać, co do jednego.

Jefferson u mego boku zastyga w bezruchu, z łyżką fasoli w połowie drogi

do ust.

– Chyba że porzucą bezbożny tryb życia – uzupełnia pani Joyner lekko speszona.

– Oczywiście – zgadza się pan Joyner.

– Wszystko w porządku? – szepczę do Jeffersona.

– Joynerowie nie mają o niczym pojęcia – warczy i odwraca się.

Nie chce mi pomóc przy sprzątanii po kolacji. Nie naciskam. Ogniska przygasają. Zapędzamy zwierzęta w krąg wozów. Jest na tyle ciepło, że bierzmy z Jeffem nasze koce i szukamy suchego skrawka ziemi za pierścieniem wozów.

Cały czas milczy. Zastanawiam się, co mogę powiedzieć, żeby skłonić go do mówienia. W końcu zaczynam:

– Pan Joyner to głupiec. Niech Bóg mi wybaczy te słowa, ale taka jest prawda.

– Nie o niego chodzi – mamrocze Jefferson. – To znaczy fakt, jest źle. Ale wszyscy tak mówią o Indianach. Albo prawie wszyscy.

Jest ciepła, bezchmurna noc. Gwiazdy na niebie lśnią jak iskry z ogniska, otacza nas ożywczy, świeży zapach trawy.

– Popatrz. – Wskazuję. – Siedmiu Braci.

Milczy. Brnę dalej:

– Wiesz co? Tutaj chyba nawet gwiazdy są jaśniejsze. Nie ma tu drzew, lamp, a czasem nawet chmur.

– Już nie jestem ósmym bratem – mówi cicho.

– Co?

– Nie zostałem.

– Och. To chyba dobrze, co?

– Chyba. – Odwraca się na bok i otula kocem.

Wpatruję się w jego plecy. Powiedziałam coś nie tak? Zasypiam z trudem, jak zawsze. Właśnie zapadam w sen, kiedy zmysł złota chwyta mnie za gardło.

Major Craven. Zawsze trzyma wartę, czyli obchodzi pierścień wozów, ale tym razem idzie cicho, skrada się jak spłoszony jeleni.

Zagłąda pod wszystkie plandeki po kolei, choć nie bardzo wiem, czego w nich szuka. Po inspekcji naszego wozu cofa się o krok i wrzeszczy na całe gardło:

– Indianie! Indianie! – Wymachuje rękami na wszystkie strony i puszcza się biegiem.

Może to tylko próba; major obserwuje wozy, a nie prerieę za nimi, ale i tak zrywam się na równe nogi, chwytam rewolwer i zaczynam go ładować.

Jefferson, wyrwany z głębokiego snu, gramoli się ospale. Podskakuje na jednej nodze, usiłuje naciągnąć but.

– Co się dzieje? Co to?

– Bierz broń i sprzęt i między wozy. – Mam tylko koc i sakwę, która służy mi za poduszkę. Zarzucam ją na ramię i przeciskam się między wozami Joynerów i Robichaudów.

W obozowisku wrze jak w ulu – i o to właśnie chodziło majorowi. Zwierzęta porykują niespokojnie. Missouri formują rozsądną linię obrony, od wewnętrznej strony pierścienia wozów. Mają strzelby w pogotowiu. Podobnie pan Bledsoe i jego farmerzy z Arkansas. Nawet Hampton, jego niewolnik, ściska kostur pasterski, gotów dzielić nim napastnika.

Od naszej strony wygląda to o wiele gorzej. Studenci stoją przed wozem w długich nocnych koszulach, ziewają głośno i drapią się w głowy. Wielebny błąka się bez celu z Biblią w garści, jakby szukał kogoś do nawracania. Dzieci Hoffmanów tłoczą się wokół matki i Therese, czepiają się ich spódnic.

Joynerowie są najgorsi. Mały Andy zawodzi rozpaczliwie, aż łzy płyną mu po policzkach. Olive szłocha cichutko w ramionach matki. Pani Joyner upomina męża, żeby poszedł po broń, a ten z kolei warczy na majora i chce się upewnić, czy doliczyliśmy się wszystkich kobiet i dzieci.

Major puszcza jego słowa mimo uszu, wchodzi na kufer, dzwoni głośno. W końcu stopniowo zapada cisza. Nawet Andy przestaje chlupać.

– Coś takiego nazywa się dryl – oznajmia major. Ci z Missouri znacząco kiwają głowami.

Jefferson kuszyka do mnie w jednym bucie. W jednej dłoni ma strzelbę, w drugiej koc.

– Chwileczkę! Więc to wszystko tylko na niby?

– Nie tylko – mruczę i myślę o bezpowrotnie straconym śnie.

– Ale następnym razem może być naprawdę – zauważa major. – Więc musimy być przygotowani na wszystko.

– Zgubiłem gdzieś but – szepcze Jefferson i rozgląda się niespokojnie. – Do diabła, po ciemku nigdy go nie znajdę.

– Jesteśmy już na terytorium Indian – ciągnie Craven. – I zagłębiamy się w nie coraz bardziej, i tak będzie aż do samej Kalifornii. Z mojego doświadczenia wynika, że za dnia nie mamy się czego obawiać. Podjadą

do nas, żeby handlować, zaoferują nam jedzenie i cenne informacje, a my uzupełnimy zapasy i pozbedziemy się części niepotrzebnych gratów. – Zerka znacząco na wóz Joynerów, ale ja mam czyste sumienie. Wszystko, co posiadam, mieści się garści.

– Jeśli jednak nadejdą w nocy, to po to, żeby nas okraść. Kradną konie i bydło, jeśli tylko im się na to pozwoli. Musimy więc być czujni i gotowi do obrony!

– Ej, Wally! – krzyczy ktoś. Jeden z Missouri. – Iluś czerwonych załatwił w walkach z Czarnym Sokołem?

Major blednie.

– No, ilu? Dziesięciu? Stu? – dopytuje mężczyzna.

– Zbyt wielu – odpowiada major nienaturalnie niskim głosem. – I mam nadzieję, że nie zabiję ani jednego więcej. A teraz wszyscy spać. – Zeskakuje z kufra.

– Akurat, po takim zamieszaniu nikt już nie zmruży oka – mamrocze pani Joyner.

– Robi tylko to, do czego go zatrudnił – zauważa pan Joyner. – No już, do wozu.

Jefferson łypie gniewnie na majora.

– Tyle hałasu o nic – burczy.

– Chyba powinniśmy spać wewnątrz kręgu wozów. Albo pod nimi – zauważam.

– Nieprawda, co mówił.

– Nie miał na myśli Cherokee.

– Ale u nas w domu tak się mówiło o Cherokee, że to złodzieje i jeszcze gorzej, a to nieprawda. Pamiętasz, jak Dan Hutchings zabił swojego szwagra?

– Pewnie. – To był wielki skandal w Dahlonaga. Kłócili się o ziemię, która jak twierdził Daniel, była jego, po żonie. Powiesili go za to.

Jefferson patrzy w dal.

– Dan był biały, biały jak mąka – mruczy. – Nikt jednak nigdy nie powiedział, że wszyscy biali są źli ze względu na to, co on zrobił. Ale wystarczy, by jeden Indianin złamał prawo, a już wszyscy są dzikusami.

W blasku księżyca jego profil wydaje się jeszcze bardziej indiański. Mama zwykła powtarzać, że Jefferson ma w sobie szlachetność i godność – w ten sposób podkreślała jego indiańską krew, zachowując pozory uprzejmości. Moim zdaniem nie jest szlachetny. To po prostu Jeff.

– Nikt nie uważa cię za dzikusa – mówię cicho.

Odwraca się do mnie z błyskiem w oczach.

– Nie o to... To znaczy...

– Kiedy byłam małą, znałam wielu Indian i żaden nie był zły. Znam też ciebie, a ty jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. Mam iść do majora i plunąć mu w twarz?

– Oczywiście, że nie – odpowiada, ale widzę, że się uśmiecha.

– Trafiłabym z odległości pięciu kroków.

Milczy, ale kiedy na mnie patrzy, ma dziwną minę.

Rumienię się.

– Chodźmy. – Wsuwam sakwę i koc pod wóz Joynerów. – Poszukajmy twojego buta.

Rozdział 20

Następnego ranka widzimy pagórek błota obłożony kamieniami, wysoko na wzgórzu. Czuwa nad nim prowizoryczny krzyż z nie do końca prostych gałęzi. Grób ma najwyżej tydzień, a krzyż już chyli się na bok. Nie widzę nagrobka, nie wiemy więc, kto tam leży, kto go pochował, kto dalej podążył sam.

Major Craven i ci z Missouri wchodzą na wzgórze, żeby wszystko obejrzeć. Chwilę później krzyczą coś gniewnie. Wiatr niesie ich podniesione głosy.

Pani Joyner wychyla się z kozła.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, proszę pani.

– Więc się dowiedz.

Tak więc jedziemy z Peonią na wzgórze. Okazuje się, że grób rozkopano. Dostrzegam skrawek bladoszarej skóry, zanim major Craven i jego ludzie przysypią go ziemią.

– Co tu się dzieje? – pytam.

– Zbezczeszczono grób. – Major posępnie kręci głową.

Chcę zapytać o tego, kto w nim spoczywał, ale pan Joyner podnosi głowę.

– Wracaj do wozu i pilnuj, żeby pani Joyner jechała dalej.

– Tak jest, psze pana. – Zawracam Peonię i wracam do konwoju.

– No i co? – dopytuje pani Joyner.

– Rozkopano grób – wyjaśniam. – Może wilki albo zdziczałe psy. Zасыpują go na nowo.

– Kto tam leżał?

– Nie wiem, psze pani. – Kręcę głową.

Ściąga brwi.

Jedziemy dalej. Co chwila odwracam się za siebie, póki się da, obserwuję pagórek.

Nie mogę zapomnieć o tamtym skrawku ciała. Może to była dziewczyna, taka jak ja. Nie mam rodziny ani przyjaciół, poza Jeffersonem. Jeśli umrę, skończę w takim samym grobie, płytkim, anonimowym, zapomnianym.

Mniej więcej godzinę później wozy stają na krótki postój. Pan Joyner

podjeżdża do nas.

– Indianie – oznajmia.

– To straszne. – Pani Joyner unosi dłoń do ust.

– Indianie go zabili? – upewnia się Jefferson. Siedzi na karej klaczy spięty jak błyskawica na niebie.

– Ją, nie jego. Nie, chyba zmarła z przyczyn naturalnych – odpowiada pan Joyner. – Ale Indianie rozkopali grób. Zabrali jej ubranie. Nawet koc, którym ją owinięto.

Pani Joyner kręci głową z niedowierzaniem.

Mam na końcu języka uwagę, że nie wiemy, co ukradli, bo przecież nie wiemy, w czym biedaczkę pochowano, ale dochodzę do wniosku, że i tak niczego tym nie wskóram.

– W tych dzikusach naprawdę trudno szukać czy to bojaźni bożej, czy sympatii do białego człowieka.

Jefferson oddała się na karej klaczy.

Chcę ruszyć za nim, ale nie jestem pewna, czy w tej chwili potrzebuje towarzystwa. I on, i ja.

Nie wiem sama, co myśleć o Indianach. Wydaje mi się, że nie chcemy w ogóle ich poznać. Sami nie wiemy, co już wiemy.

Zatrzymujemy się na obiad. Unikam Joynerów. I tak straciłam apetyt. Cały czas myślę o tej biedaczce, samej, bez rodziny, z dala od domu, a teraz jeszcze rozkopano jej grób.

Ruszamy w drogę. Zaczynam żałować, że zrezygnowałam z obiadu, bo z głodu burczy mi w brzuchu i przez to staję się jeszcze bardziej opryskliwa. Kiedy widzę, że Jefferson jedzie w moją stronę, mam ochotę skierować Peonię w przeciwnym kierunku, ale jego dziwna mina każe mi ściągnąć lejce.

– Co jest? – pytam.

– Mówią, że cholera – odpowiada szeptem.

Przeszywa mnie dreszcz. Mama opowiadała, co to za choroba.

– Gdzie? Tutaj?

– Dlatego umarła ta dziewczyna. Taki był napis na grobie. Cholera morbus.

Nic takiego nie widziałam. Pewnie go usunęli, zanim tam dotarłam.

– Morbus? Co to znaczy?

– Pewnie to, że nie żyjesz.

Epidemie cholery zdarzają się najczęściej w wielkich miastach. Konwój wozów to nie miasto, ale i tak panuje tu brud. Tłoczmy się na małej

przeestrzeni, kręcimy po tej samej ziemi, razem gotujemy i śpimy, godzina po godzinie, dzień za dniem, dokładnie tam, gdzie konwoje przed nami. To nie stajnia, w której mogę posprzątać. Tu wszędzie jest brudno.

– Jesteś pewien?

– Starają się utrzymać to w tajemnicy, ale ci z Arkansas już zachorowali. Stoją nieco na uboczu, ale nie za daleko, bo boją się Indian.

– I chyba są osłabieni.

– Chyba.

Nie wiem, kto spoczywa w tamtym grobie, ale już wiem, czemu ciało leżało wysoko, na widoku. Nie ku pamięci, ku przestrodze.

* * *

Pan Bledsoe, farmer z Arkansas, właściciel stada owiec, zaraził się cholerą i choruje. Tak ciężko, że Jasper podejrzewa, że już przedtem był chory – może nawet we wczesnym stadium suchot. W każdym razie po zaledwie jednym dniu leży bezwładnie w wozie, zdany na pomoc towarzyszy.

Obawiam się, że pan Joyner także zachorował. Kiedy następnego dnia ruszamy w drogę, jest bardziej rozdrażniony niż zwykle, co chwila oddala się za potrzebą i dogania nas pospiesznie.

Żołądek ściska mi się boleśnie, po pierwsze dlatego, że każdy, naprawdę każdy, może zarazić się cholerą. A po drugie, bo dla mnie nadeszły te dni w miesiącu. Muszę co jakiś czas wymykać się dyskretnie i płukać szmatki, i wymieniać je na czyste. Do wieczora Jefferson zdążył się już zorientować, że coś się święci.

– Chyba nie jesteś chora? – Mierzy mnie wzrokiem, jakby szukał kleszczy na skórze.

– Nie tak, jak myślisz – rzucam wymijająco.

– Ale powiesz mi, jeśli zachorujesz?

– Oczywiście.

– Nie powinnaś sama się oddalać.

– Muszę.

– Przynajmniej zabierz mnie ze sobą.

– Nie.

– Nie chodzi mi o Indian, ale bardzo łatwo jest się zgubić i...

– Jeff! – szepczę histerycznie. – Przyszedł mój miesięczny czas!

Patrzy na mnie pustym wzrokiem, a potem nagle do niego dociera, co chcę powiedzieć.

– Och. – Przysięgam, że gdyby nie jego śniada cera, zaczerwieniłby się do nasady czarnych włosów.

Gdy tylko rozbijamy wieczorny obóz, odjeżdżam na Peonii w odludne miejsce, żeby się sobą zająć. Za późno; mam krwawą plamę na spodniach. Znajduję błotnisty strumyk i zapieram, jak mogę. Mogło być gorzej.

Już z oddali słyszę jęki. To pan Joyner, ale kiedy podjeżdżam bliżej, orientuję się, że nie tylko on daje wyraz swojemu cierpieniu. Mężczyźni z Arkansas jęczą, wymiotują, stękają i błagają o czystą wodę. Powietrze wypełnia nieprzyjemny odór.

Pani Joyner wsuwa kubek wody pod rozchyloną plandekę i opiera się ciężko o burtę pojazdu. Jest blada, pasma jasnych włosów kleją się do spoconego czoła. Mam nadzieję, że przynajmniej ona nie choruje, bo jeśli tak, opieka nad dziećmi spadnie na mnie. Wiem dobrze, że tego w takiej chwili oczekiwałaby ode mnie mama.

– Przepraszam panią – zaczynam. Chcę zaproponować swoją pomoc.

– Gdzie ty się podziewasz? – warczy.

– Musiałem coś załatwić.

– Od tej pory załatwiasz tylko sprawy pana Joynera, rozumiemy się?

Łypię na nią gniewnie.

– Zadałam ci pytanie, ty...

– Proszę pani! – Wpadam jej w słowo, bo jeśli zacznie mnie wyzywać, sprawy zajdą za daleko, by dało się to naprawić. – Robię, co do mnie należy. Jeśli to pani nie odpowiada, proszę mi wypłacić należne siedem dolarów, za pracę od Independence do dzisiaj, i nasze drogi się rozejdą.

Otwiera usta i zamyka. I w końcu:

– Nie możesz tego zrobić.

– Jeśli zamierza mnie pani obrażać, nie mam innego wyjścia. Jeśli będzie trzeba, zawrócę do Independence.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, a już wiem, że to nieprawda. Albo dojadę do Kalifornii, albo zgine, co tam wyniosli pracodawcy czy wyrachowany krewniak. Mogłabym przyspieszyć, dogonić inny konwój, postarać się tam zatrudnić. Może Jefferson wyruszy ze mną. Zresztą może się okazać, że i tak będziemy musieli odejść, jeśli panu Joynerowi się nie polepszy.

Groźba podziałała; waleczność opuszcza ją tak nagle, że aż zapada się w sobie.

– To nie będzie konieczne. Ja tylko... Ponieważ pan Joyner nie domaga, przydałaby mi się dodatkowa pomoc.

– Czasami muszę zająć się sobą, ale poza tym zrobię, co w mojej mocy.

– Pan Kingfisher oddała się o wiele rzadziej – wytyka.

– Ja... cenię sobie prywatność. Tak mnie mama wychowała.

Mruży oczy, ale kiwa głową.

– Nakryjesz do stołu. Jak najbliżej wozu – jeśli pan Joyner poczuje się lepiej, może zechce do nas dołączyć.

– Dobrze, psze pani.

– Obrus ma leżeć idealnie równo. Pan Joyner bardzo sobie ceni elegancko nakryty stół.

– Tak, psze pani.

– I zerwij trochę kwiatów do wazonu. W trudnych chwilach najważniejsze to trzymać się ram cywilizacji.

Wzdycham.

– Tak, psze pani.

Kiedy ustawiam go sama, stół jest cięższy, niż się spodziewałam. Przydałaby się pomoc Jeffersona, ale nigdzie go nie widać. Cóż, nie mogę narzekać, skoro przed chwilą sama zniknęłam.

Stół wreszcie stoi, rozłożony, porządnie umocowany. Rozkładałam kraciasty obrus, rozpakowuję porcelanową zastawę i srebrne sztucce, układam cztery nakrycia. Odchodzę na bok, zbieram fioletową koniczynę, najładniejsze kwiaty stawiam w wazonie na środku stołu.

Wracam i zastaję panią Joyner przy ognisku. Żeliwny garnek tkwi w żarze. Pokrywka podskakuje trochę, wypuszczając parę.

– Co to będzie? – zagajam.

Zaskoczona podnosi głowę. Ma łzy w oczach i czerwone plamy na policzkach. Wydaje się bezradna jak małe dziecko i nagle robi mi się jej bardzo żal, i jestem na siebie wściekła o wszystkie złe myśli, które na jej temat chodziły mi po głowie.

Pociąga nosem, unosi pokrywkę przez ścierkę.

– Chyba woda.

– Wody jeszcze nikt nie zepsuł – zauważam i łapię się na tym, że brzmi to jak obelga, ale ona tylko się uśmiecha.

– Gdzie Andy i Olive? – pyta nagle.

Widziałam ich wcześniej, jak bawili się z bliźniakami Robichaudów.

– Całe i zdrowe, z naszymi kanadyjskimi przyjaciółmi.

Chce wstać, ale chyba nie ma na to siły. Osuwa się z powrotem na kolana, zasłania brzuch ręką.

– Powinnam po nie iść. Robichaudowie są bardzo uprzejmi, ale nie możemy zwracać im głowy.

– Na pewno nie.

– Wiesz, nie jestem nawet pewna, czy to chrześcijanie. Pani Robichaud mówi, że nigdy nie przywiązywali specjalnej wagi do religii, wyobrażasz sobie?

– Może ja po nie pójde? A jakby pani wrzuciła trochę owsa do tej wody, owsianka będzie gotowa, zanim wyruszymy w drogę. Pan Joyner powinien zjeść coś lekkiego. – Mój tatko zawsze jadł lekkie, proste potrawy, kiedy gorzej się czuł.

– Dobrze. Już się za to biorę.

Odwracam się, żeby iść po dzieci, kiedy woła za mną:

– McCauley? Lee?

Staję w pół kroku.

– Tak, psze pani.

– Nie chcę cię stąd wyrzucać.

– Wszystko w porządku, psze pani.

– Na pewno?

– W idealnym porządku.

Tutaj nic nie jest idealne. Tutaj musimy cieszyć się tym, co mamy.

* * *

Pani Robichaud widzi mnie i macha na powitanie.

Siedzi na pieńku i pije herbatę. Ma na sobie suknię z lekkiego żółtego płócienka, z koronkowymi wykończeniami. Mądrze postąpiła, zabierając letnie ubrania.

– Już teraz jest tu gorąco jak w Kandzie w lecie – mówi. – Nie wiem, co zrobię, jak przyjdzie gorącość.

– Jak przyjdą upały – podpowiadam.

– Jak przyjdą upały – poprawia się.

– Na pewno sobie pani poradzi – stwierdzam. – Dziękuję, że zajęła się pani Andrew i Olive. – Nigdzie ich nie widać. Może bawią się gdzieś w pobliżu.

Zbrywa mnie machnięciem ręki.

– Jak tam państwo Joyner?

– Będzie dobrze – odpowiadam, zupełnie jak mama, kiedy mówiła o zdrowiu tatka. – Wyzdrowieją.

– Biedna pani Joyner – wzdycha. – Ona i pani Lowrey.

– Ale że co? – Nie bardzo sobie wyobrażam, co pani Joyner i żona pastora mają ze sobą wspólnego. Może wielebny też zachorował. A potem sobie przypominam, że pani Lowrey jest w zaawansowanej ciąży.

– Och. – Nagle uświadamiam sobie, że pani Joyner często kładzie sobie rękę na brzuchu. Nic dziwnego, że jest ciągle zmęczona i zła.

Pani Robichaud uśmiecha się smutno.

– I bez tego ma dużo zmartwień, prawda? Będzie bardzo źle, jeśli zachoruje.

– Pomogę jej.

– Wiem. Dałam obiad jej enfants – dodaje. – To chyba dobrze?

– Bardzo dobrze – zapewniam. – Dzieci pani Joyner bardzo dziękują.

– Za to moje dzieci są w złej formie. Mają chyba... Nie wiem, jak to jest po angielsku, la rougeole.

Nie mam pojęcia, co to jest, ale widzę jej zmartwioną minę.

– Bardzo mi przykro.

– Mam nadzieję, że Andy i Olive się nie zarażą. Odesłałam ich do mamy, na wszelki wypadek.

– Dziękuję – odpowiadam. Pewnie po drodze zajrzały do hojnych Hoffmanów, licząc na smakołyk. – Mam nadzieję, że bliźniaki szybko wyzdrowieją.

Żegnam się i odchodzę. Cały czas myślę o ciąży pani Joyner.

Pani Lowrey, żona pastora, siedzi sama na koźle i obszywa czepek.

– Przepraszam bardzo szanowną panią – zaczynam.

Podskakuje nerwowo. To drobna osóbką, mysia i nijaka, z brzuchem wielkim jak obora. Prawie nie schodzi z wozu; mąż trzyma ją krótko. Byłby oburzony tym, co chcę zaproponować.

– Wiem, że ma pani pełne ręce roboty, ale teraz, kiedy pan Joyner zachorował, jego żonie przydałaby się... może nie tyle pomoc, co dobre słowo. Byłoby cudownie, gdyby zechciała pani do niej zajrzeć i może się z nią

pomodlić?

Moje słowa sprawiają cuda.

– Czemuś takiemu nikt nie może się sprzeciwić! – mówi.

No, nie może. Gramoli się z wozu, a ja mam nadzieję, że obu wyjdzie to na dobre.

* * *

Zaglądam do majora i informuję go, że mamy kilku chorych – pana Joynera i dzieci Robichaudów. Nie wspominam o stanie pani Joyner, bo teraz jestem mężczyzną. Już wkrótce wszyscy to zobaczą. Nie ma sensu o tym mówić.

Jem suszone mięso i chleb ze studentami, którzy jak zawsze dzielą się masłem i cieszą towarzystwem. Długo rozmawiamy. Dowiaduję się od Jaspera, że kilku Missouri też zachorowało.

– Trzymaj się od nich z daleka – ostrzega. – I w miarę możliwości, od pana Joynera. Obawiam się, że kilka osób umrze na tę chorobę.

Wzdrygam się.

– Kto na przykład?

Wzrusza ramionami.

– Może ci, którzy jedzą niedojrzałe owoce. Albo nadużywają alkoholu.

Muszę uprzedzić Jeffersona. Dziękuję studentom za kolację i wracam do wozu Joynerów. Jeffa nie ma, za to humor pani Joyner znacznie się poprawił.

– Miło z twojej strony, że przysłałeś do mnie panią Lowrey – mówi.

– Wydawało mi się, że towarzystwo dobrze jej robi.

– Modliłyśmy się razem – opowiada pani Joyner. – Jak na prezbiteriankę, pani Lowrey modli się szczerze i z przejęciem. Może pewnego wieczora zaprosimy Lowreyów na kolację do naszego wozu. – Po chwili milczenia dodaje: – Ona lada dzień zacznie chorować.

– Każdego z nas może to spotkać. Ale chyba nie złapała cholery – zapewniam.

Pani Joyner odwraca głowę.

– Nie, kobiece dolegliwości. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam. I tak nie zrozumiesz.

Frustracja podchodzi mi do gardła, bo przecież rozumiem. Pani Lowrey lada chwila zacznie rodzić, a to za każdym razem jest jak gra w kości z Panem

Bogiem. Nigdy nie wiadomo, czy urodzisz szybko, czy umrzesz w boleściach. Albo czy twój mały braciszek pożyje na tyle długo, żeby dostać imię.

Ale mężczyźni nie rozmawiają o takich sprawach, a już na pewno nie parobcy z damami. Odchodzę, wbijając obcasy w błoto, i wspominam wieczory na naszej werandzie z mamą, gdy obserwowałyśmy świetliki, piłyśmy słodką herbatę i rozmawiałyśmy o tym wszystkim, o czym mężczyźni nie mają pojęcia.

– Idź do wagonu państwa Robichaud po Andy’ego, dobrze?

Odwracam się gwałtownie.

– Nie ma go tutaj?

– Nie. – Odpowiada spokojnie, ale widzę czujność w jej wzroku.

– A Olive?

– Wróciła ponad godzinę temu.

– Pani Robichaud odesłała oboje. Jej chłopcy nie czują się najlepiej.

Pani Joyner zrzuca chorobę jak starą skórę. Zrywa się na równe nogi, zgarnia spódnicę i biegnie przez całe obozowisko, wołając synka po imieniu. Andy nie wraca. Biegnę do Hoffmanów, po Jeffersona.

Siedzą z Therese na ławeczce. Therese skromnie trzyma ręce na kolanach. Nie dotykają się barkami.

– Mały Andy zniknął – sapię.

– Gdzie? – pyta Jefferson.

– Nie wiem. Od godziny nikt go nie widział.

Wstaje, zakłada kapelusz na głowę.

– Poszukam go.

– Ja też. – Therese też się podnosi.

– Dziękuję – mówię do niej.

Woła rodzeństwo i instruuje, jak mają szukać Andy’ego.

Mój żołądek ściska się boleśnie. Żli ludzie pokroju przeklętych braci są wszędzie. Podobnie jak ruchome piaski nad strumieniami. Niemal niezauważalne zmiany w monotonnym krajobrazie, a potem chwila moment i wóz znika. No i choć nigdy nie powiem tego przy Jeffersonie, Andy’ego mogli porwać Indianie. Może już jest daleko stąd.

Na Peonii sprawdzę większy obszar. Idę po nią i wtedy ciszę przerywa okrzyk ulgi w drugim krańcu obozowiska, tam gdzie owce pasą się z dala od bydła.

W ciemności, rozjaśnianej luną ognisk, zjawia się postać. Pasterz Hampton,

niewolnik pana Bledsoe, z chłopcem na barana.

Ktoś wyciąga do niego ręce, ale Andy odsuwa się, chwytając biednego Hamptona za głowę.

– Oddaj dzieciaka! – krzyczy ktoś.

Przeciskam się przez tłum. Pani Joyner depta mi po piętach. Andy wyje rozpaczliwie. Jest upapwany od stóp do głów, łzy spływają po brudnych policzkach. Hampton daremnie usiłuje oderwać jego dłonie od swojej twarzy.

– Cześć, Andy. – Jego matka jest kilka kroków za mną. – To ja, Lee. Pójdziemy do wozu na kolację?

Przestaje szlochać. Wyciągam ręce. Natychmiast puszcza Hamptona i osuwa się w moje ramiona. Zarzuca mi rączki na szyję, kładzie główkę na ramieniu.

– Pić mi się chce, Lee – szepcze.

– Nic mu nie jest – zapewnia Hampton. – Tylko trochę wystraszony.

– Co chciałeś mu zrobić? – krzyczy pani Joyner.

– Na miłość boską, chciał go pani odnieść! – syczę.

Pani Joyner sztywnieje, ale napięcie nagle ustępuje. Odgarnia Andy'emu jasny kosmyk z czoła.

– Jestem ci winna podziękowania – zwraca się do Hamptona.

– Nie ma za co, psze pani – odpowiada. – Muszę wracać do owiec, bo pan Bledsoe będzie zły.

– Powinnam poinformować go o twoim dobrym uczynku – zauważyła pani Joyner.

– Nie trzeba, proszę pani.

Zamieszanie ucicha równie szybko, jak się zaczęło. Hampton wraca do owiec, tłum się rozchodzi. Andy, pani Joyner i ja wracamy do naszego wozu.

– Poniosę go – mówi.

– Proszę się nie gniewać, że to powiem, ale wygląda pani na wyczerpaną.

Mruczy coś twierdząco, ale wyciąga rękę i znowu dotyka jego czoła.

Andy chwytając za łańcuszek na mojej szyi i wyciąga medalion mamy. Otwiera go i zamyka, otwiera i zamyka. Ma łagodne brązowe oczy, zupełnie inne niż jego matka. Mój braciszek miałby takie same, gdyby żył, na pewno.

Wpadam na pewien pomysł.

Nie daję sobie czasu na zmianę zdania, podaję malucha jego matce, sięgam pod koszulę, odpinam medalion, zakładam Andy'emu na szyję i zapinam. Dziwnie się czuję bez łaskotania złota na szyi. Przepelnia mnie pustka. Jakby

tam, gdzie powinna być woda, wiał tylko wiatr.

– Ten medalion dodawał mi odwagi – mówię do małego. – Możesz go na razie nosić, jeśli chcesz.

– Dobrze. – Zwinnie otwiera go pulchnymi paluszkami. – Co to?

– Kosmyk włosów.

– Ukochanej? – Pani Joyner ożywia się.

– Braciszka – odpowiadam. – Już go nie ma.

– Och. Przykro mi.

– Mnie też.

– Ale miękkie – zauważa Andy.

Nieprawda, są twarde od kleju, ale cieszę się, że mu się podobają.

– To mój skarb, Andy – mówię. – Wiesz, co to skarb?

Kiwa głową z przejściem w wielkich oczach.

Kiedy byłam w jego wieku, mama dawała mi coś do roboty – kazała mieszać coś w misce, segregować śinki materiału. Twierdziła, że dzieci są najszcześniejsze, gdy czują się potrzebne.

– Posłuchaj, jestem bardzo zajęty i mam mnóstwo pracy – mówię do niego.

– Czy mógłbyś go dla mnie pilnować? Może tobie też doda odwagi.

Ponowne skinienie głową.

– To ważne zadanie.

– Jestem już duży.

– Wiem o tym, inaczej bym cię o to nie prosił. Więc jak?

– Dobrze, Lee.

Dochodzimy do wozu. Pani Joyner tuli synka do siebie, ale Andy wrywa się z jej rąk i biegnie do beczki z wodą, żeby się umyć i napić. Olive zeskakuje z wozu. Obserwuje braciszka, podchodzi do pani Joyner i obejmuje ją w pasie. Matka odwzajemnia uścisk.

– Nie musiałeś tego robić. – Pani Joyner patrzy na mnie nad jej głową. – To pamiątka rodzinna.

– Cóż, tu nie mam żadnej rodziny – zauważam.

– Może go zgubić.

– To greczny chłopiec. Liczę na niego.

Wcale nie liczę, że upilnuje medalion, ani odrobinę. Ale medalion działa; nawet teraz wyczuwam go w pobliżu. Póki będzie go nosił, wiem, gdzie jest Andy.

– Moja droga? – rozlega się przeciągły jęk pana Joynera. – Co się dzieje? –

Wydaje się jeszcze słabszy niż wczoraj.

– Pójdę do niego – decyduje jego żona.

Patrzę, jak wspina się na wóz, i odruchowo unoszę dłoń do medalionu, tylko że jego już tam nie ma, ma się rozumieć.

Rozdział 21

Dwa dni później farmerzy z Arkansas znajdują ciało pana Bledsoe. Umarł w swoim wozie.

Major Craven opóźnia wyjazd. Ludzie pana Bledsoe kopią grób. Wszyscy czuwamy przy jego ziemskich szczątkach, a potem przyjaciele otulają go w kołdrę, na której umarł, i tak bardzo zabrudzoną, i obwiązują pasami płótna.

Choć zamieniłam z panem Bledsoe zaledwie kilka słów, ciężko mi na sercu. Nie zrobił nic złego, nie szukał śmierci. Po prostu wyruszył na zachód. Ten los może spotkać każdego z nas.

Wielebny Lowrey czyta z Biblii odpowiedni ustęp, o śmierci i zmartwychwstaniu, odmawia modlitwę. Uznajemy, że już po wszystkim, przyjaciele pana Bledsoe chcą złożyć go do grobu. Pan Joyner, który poczuł się na tyle dobrze, że bierze udział w uroczystości, oddala się szybko za potrzebą.

Ale wielebny wygłasza jeszcze długą, nudną mowę o zmarłym, wylicza jego cnoty, stawia go za przykład nam wszystkim. Nie sędzę, żeby znał go lepiej niż my, ale wydaje się szczerzy i kilka osób ma łzy w oczach.

Na pogrzebie nie ma tylko Robichaudów.

Okazuje się, że la rougeole to odra. Wczoraj wieczorem major Craven wyjaśnił, że dzieci Robichaudów zaraziły się prawdopodobnie kilka tygodni temu, w forcie handlowym. Uspokaja, że choć odra rozprzestrzenia się szybko, jest mniej groźna niż cholera. Robichaudowie zgodzili się trzymać na uboczu, póki choroba nie minie. Jeśli ktoś zobaczy u siebie objawy, ma natychmiast zgłosić się do majora.

Słońce stoi już wysoko na niebie, gdy mężczyźni układają ciało pana Bledsoe w grobie. Już mają go zasypać, gdy pan Joyner podchodzi do grobu i woła:

– Stop! Nie tak szybko.

Wszyscy patrzą wyczekująco.

– A to nie może poczekać? – pyta wielebny Lowrey. – To jest chrześcijański pochówek.

Pan Joyner przenosi wzrok na majora.

– Indianie rozgrzebią grób, prawda?
Po tych słowach rozlegają się pomruki.
– Nie zdołamy ich powstrzymać – przyznaje Craven.
– Może damy im podarunek – proponuje i zwraca się do mnie: – Biegnij do Kanadyjczyków i weź koce ich dzieci.
– Ale one mają odrę – protestuję.
– I właśnie o to chodzi. Najpierw jeszcze potrzymaj kocami o chłopców.
– Nie, proszę pana.
– Dam im nowe koce – zapewnia. Nie zrozumiał, dlaczego się sprzeciwiam.
– Dobrze, sam to zrobię. Poczekajcie z zasypaniem grobu, póki nie wrócę.
Szukam wzrokiem Jeffersona, ale nigdzie go nie ma.
Choć wycieńczony cholerą, pan Joyner oddala się szybkim korkiem.
Wreszcie znalazł sobie jakiś cel.
– Nie rób tego, Joyner! – woła ktoś za nim. Chyba Henry.
Puszcza to mimo uszu, znika za wozem Robichaudów. Wraca po chwili przy akompaniamencie krzyków pani Robichaud, która woła coś po francusku.
Wraca z naręczem koców.
Rozglądam się dokoła. Chyba ktoś położy temu kres? Niektórzy wiercą się niespokojnie. Major Craven wbija wzrok w ziemię.
– To okropny pomysł – mówię.
– Nie twoja sprawa, chłopcze – odpowiada. Ma zaczerwienione oczy, ściągniętą bladą twarz pod gęstym zarostem.
Robię krok do przodu, ale ktoś chwytą mnie za ramię. Frank Dilley.
– Zostaw.
Pan Joyner podchodzi do grobu i ciska koce na ciało pana Bledsoe.
– Teraz możecie go zakopać – mówi. – Jeśli ktoś zakłóci mu sen wieczny, dostanie to, na co zasłużył.
Nie słyszę sprzeciwu, za to pojedyncze pomruki zadowolenia.
– Podoba mi się pański tok myślenia – przyznaje Frank.
Pan Joyner garbi się, nagle zmęczony. Człapie z powrotem do wozu. Pani Joyner i dzieci idą za nim.
– Zaśpiewajmy hymn – proponuje wielebny Lowrey. Intonuje pieśń. Wszyscy dołączamy, choć ja tylko poruszam ustami.

Przyjdź, o Źródło błogosławieństw,

Wlej w me serce chwały pieśń;
Strumień łask niewyczerpanych
Niechaj wzbudzi głośny śpiew,
W ustach mych i w mojej duszy
Ogień swój rozpalić chcesz;
Na Golgocie grzech mój kruszy
Wielka moc miłości Twej!¹

Na ciało pana Bledsoe spadają ostatnie grudy ziemi. Uklepują ją, usypują kopczyk i cofają się o krok. Myślę, że największy nędzarz zasłużył na lepszy pochówek, ale nic więcej nie możemy zrobić.

– Ruszamy – zarządza major Craven i wszyscy rozchodzą się od grobu do swoich wozów.

Szykując się do wymarszu, cały czas mam w uszach słowa hymnu. Jeszcze nigdy nie czułam się równie odległa od bożej łaski. Czyli jestem obcym na ziemi, ale nie synem bożym. Ja w ogóle nie jestem niczym synem.

* * *

Nasz konwój jest teraz o wiele krótszy; jeśli spojrzeć na wschód, widać kawalkadę wozów wracających tam, skąd przybyliśmy. Major Craven tłumaczy to panu Joynerowi.

– Towarzysze pana Bledsoe doszli do wniosku, że nie chcą bez niego jechać do Kalifornii. Ponieważ jeszcze nie dotarliśmy do gór, postanowili zawrócić.

– Głupcy – orzeka pan Joyner.

– Może – mruczy Craven.

– A pan z nimi nie wraca? – pytam majora. Zatrudnili go właśnie farmerzy z Arkansas.

– Pojadę z wami do Kalifornii. Mam swój sprzęt, a towarzysze Bledsoe

spłacili mi w naturze, w zapasach. Mam to wszystko na jednym z wozów Franka Dilleya.

– Czyli sytuacja opanowana – podsumowuje pan Joyner.

– Chyba tak. – Major już ma odjechać, ale zatrzymuje się nagle. – Aha, miejcie oko na niewolnika pana Bledsoe.

– Tego pasterza? – upewnia się pan Joyner.

– Hamptona – podsuwam. – Tego, który odnalazł Andy’ego.

Major ściąga brwi.

– Uciekł tej nocy.

– Ale nie sądzi pan chyba, że miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią pana Bledsoe? – niepokoje się pan Joyner.

– Nie, chyba że zna się na czarach – ucina major.

Wzdrygam się, słysząc to słowo.

– Nie – ciągnie Craven. – Bledsoe zabiła cholera. Ale niewolnika nie było, kiedy inni dzisiaj wstali.

– Może znajdą go Indianie – mówi pan Joyner.

– Tak i zarazą odrą – rzucam i wcale tego nie żałuję, choć pan Joyner łypie na mnie groźnie.

Nie ma sensu nastawiać ludzi wrogo do siebie, mawiała zawsze mama.

Ale czasami nie ma innego wyjścia, powiedziałabym jej teraz.

– Pewnie zmierza do Iowa albo innego stanu, w którym nie ma niewolnictwa – ciągnie Craven. – Więc raczej nie stanowi dla nas problemu. – Pochmurnieje nagle. – Kilku z Missouri, dawni łowcy niewolników, rozważają, czy nie ruszyć za nim w pościg, ale uprzedzam, że nie będziemy na nikogo czekać. Kto zwleka, zostaje sam.

– Będziemy mieć oczy i uszy otwarte – mówię. Ale nie dodaję, co zrobię, jeśli coś lub kogoś zobaczę. Przy odrobinie szczęścia Hampton jest już o pół dnia drogi stąd i zmierza do Iowa. Życzę mu jak najlepiej.

* * *

Następnego dnia znowu robi się zimno i zaczyna padać. Wozy co chwila grzęzną w błocie. Tego wieczoru milomierz pana Joynera pokazuje zaledwie sześć mil. Rozbijamy obozowisko. Wszyscy rozchodzą się szybko, bo jest zbyt ponuro, by oddalać się od biwaku.

Ponieważ wszyscy trzymają się obozu, nie muszę daleko odchodzić,

by zadbać o higienę. Mimo deszczu rozkoszuję się chwilami samotności, powoli czyszczę ubranie i sprzęt, napełniam manierkę.

Ciemno już, gdy wracam do obozowiska. Jefferson rozłożył koc pod wozem i ułożył się do snu.

– Nie boisz się Indian? – pyta z drwiącą nutą w głosie.

– Nie. – Nie chcę wdawać się w kłótnię.

– Dlaczego znikasz sama na tak długo?

– Nie wiem. – Opieram głowę o sakwę. – Może dlatego, że tylko wtedy nie muszę nikogo okłamywać – odpowiadam szeptem.

– Nie musisz nikogo okłamywać.

– A właśnie że muszę.

– Cóż, mnie nie musisz – zapewnia.

Otwieram usta, żeby mu powiedzieć, że wiem, i może nawet mu podziękować, ale dwa głuche uderzenia w dno wozu wszystko psują.

Jefferson wzdycha.

Błagam, tylko nie odwracaj się do mnie plecami, zaklinam go w myślach.

Odwraca się do mnie plecami.

Jeszcze długo wpatruję się w jego barki.

* * *

Docieramy do rzeki Platte i serce podchodzi mi do gardła, bo jest równie szeroka jak Missouri. Okazuje się jednak, że jest zarazem płytka jak kałuża. To nie tyle rzeka, co płynąca powoli gigantyczna wstęga błotnistej, leniwej wody i ruchomych piasków.

– Szeroka na milę, głęboka na cal – mówi major Craven, kiedy stajemy na brzegu.

– Szkoda, że nie odwrotnie – rzucam do Jeffersona. – Moglibyśmy ją wtedy przeskoczyć, nie mocząc nawet nóg.

Uśmiecha się po raz pierwszy od dawna i od razu poprawia mi się humor.

Dwa dni później wjeżdżamy do Fort Kearny. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie fort. To tylko kilkanaście niskich ziemianek. Jednak ich dachy zielenią się świeżą trawą i na brzegu rzeki Platte wyglądają ślicznie, jak na obrazku. Stacjonujący tu żołnierze nie różnią się niczym, ani strojem, ani zachowaniem, od naszych Missouri. Pani Joyner i kilka innych osób zostawia listy do bliskich. Uzupełniamy zapasy, podkuwamy konie, naprawiamy wozy.

Podkowy Peonii zużyły się niemal całkowicie, nowe kosztują cztery dolary. Popełniam błąd i liczę, ile mi zostało: jedenaście dolarów i czterdzieści dwa centy. Długi postój w Independence sporo mnie kosztował.

– Jak kara klacz? – pytam Jeffersona w dzień przed dalszą podróżą.

Wzrusza ramionami.

Coś w jego twarzy każe mi przyjrzeć mu się uważniej.

– Jeff? Trzeba ją podkuć?

– Nic jej nie jest.

– Słuchaj, droga jest coraz bardziej stroma i kamienista i...

– Mówię przecież, że nic jej nie jest!

Sięgam do kieszeni i wydaję cztery dolary.

– Podkuj ją. Wiem, że nosi podkowy, więc nie waz się wmawiać mi, że jest inaczej. Musi być zdrowa.

Wpatruje się w monety na mojej dłoni, wzdycha ciężko, bierze je, zanim się rozmyśli.

– Dzięki, Lee.

– Zrobiłbyś to samo.

Odprawiam go wzrokiem, gdy prowadzi karą klacz do kowala. Dotkliwie czuję lekkość w pustej kieszeni.

Rano Fort Kearny zostaje za nami. Można odnieść wrażenie, że zbliżamy się do granicy cywilizacji. Droga prowadzi lekko pod górę, słońce grzeje coraz mocniej. Cały czas chce mi się pić. Mimo tego brniemy uparcie dalej, bo wszyscy w Fort Kearny mówią, że cholera wygasa za Fortem Laramie.

Mijamy kolejne płytkie groby, niektóre rozkopane. I my zostawiamy za sobą małe kopczyki – w nocy zmarło dwóch z Missouri. Nie znałam ich dobrze, ale jak wszyscy stoję przez dłuższą chwilę nad ich grobem z kapeluszem w dłoni. I tylko ja przez cały czas wpatruję się w Jeffersona i powtarzam sobie, że wygląda tak samo jak zawsze.

Pan Joyner dochodzi do siebie, ku wielkiej uldze jego rodziny, i wkrótce wstaje z łoża boleści, choć porusza się wolniej niż dawniej. Nastrój w naszym wozie poprawia się, wieczorami, gdy biwakujemy, bawię się z Andym w chowanego. Nadal nosi mój medalion jak amulet na szczęście. Ilekroć się chowa, przez kilka minut udaję, że nie wiem, gdzie jest.

* * *

– Nie masz strzelby? – upewnia się pan Joyner, mrużąc oczy od słońca. Major Craven zarządził dzisiaj wczesny postój, bo pokonaliśmy już szesnaście mil i trafiliśmy na zakątek pełen soczystej, świeżej trawy.

– Nie, proszę pana. – Tęsknie myślę o hawkenie tatki.

– Lee ma najlepsze oko w całym hrabstwie Lumpkin – wtrąca Jefferson, zdejmując krzesło z wozu.

Pan Joyner prycha z niedowierzaniem, jakby to była bzdura.

– Panowie z Missouri twierdzą, że roi się tu od bizonów. Pożyczę ci moją strzelbę, możesz jej używać, póki nie stanę z powrotem na nogi. Wyjedźcie z Jeffersonem w prerię, poszukajcie tych bestii i jeśli wam się uda, upolujcie i nam przywieźcie.

Jego strzelba to piękny springfield z pojedynczym spustem, ze lśniącego drewna kasztanowego, a przynajmniej na takie malowana. Lufa jest długa na prawie trzy stopy. Nigdy z czegoś takiego nie strzelałam, ale od razu podoba mi się jej lekkość i wyważenie.

Jefferson cieszy się jak ja, że możemy na chwilę wyrwać się z obozowiska i pracy. Ze strzelbami w dłoniach jedziemy przez prerię.

– Jeśli chodzi o to, co mówiłaś kilka dni temu... – zaczyna, gdy mamy pewność, że nikt nas nie usłyszy.

– Ale że co? Zamknij się i śpij?

– Nie, o tym, żeby nie kłamać. Mnie nie musisz okłamywać. Wiesz o tym, prawda, Lee?

– Nie chodzi mi o kłamanie słowami – tłumaczę. – Ale wszystko, co robię, to jedno wielkie kłamstwo. Moje ubranie. Moje imię, to, za kogo mnie wszyscy uważają.

– No tak, ale jest wspaniale, prawda?

– Wspaniale? – Przysuwam się bliżej. Chcę zrozumieć, o co mu chodzi.

– Jeszcze nigdy nie było nam tak dobrze. – Widząc moją minę, poprawia się szybko. – W każdym razie mnie nie było tak dobrze. Dużo jedzenia, i praca, lżejsza niż na roli i w kopalni.

– Och. No tak. Wspaniale. – Jefferson nie doświadcza tego poczucia utraty, co ja. Nawet teraz, kilka miesięcy później, myśl o rodzicach przypomina o pustce w sercu. Nie dziwię się, że Jefferson cieszy się, że nie ma przy nim ojca. A Therese patrzy na niego tak, jak nie patrzyła żadna dziewczyna w Dahlonega. Nigdy dotąd nie miał tak mocnej pozycji.

– Chciałem powiedzieć, że nikt mnie nie lubi – poprawia się. – Ani mi nie

ufa. Ale w domu było tak samo.

– Therese cię lubi.

Zamyśla się.

– To prawda. I może kilka innych osób, nie sądzisz?

Wpatruję się w grzywę Peonii.

– Sądzę, że jeśli tylko zechcesz, przekonasz do siebie każdego człowieka na całym świecie.

Jedziemy dalej, cały czas wypatrując zwierzyny. Pszczoły uwijają się wśród kwiatów, świerszcze sennie uskakują spod końskich kopyt.

– Lee, nie okłamujesz mnie, prawda? – pyta nagle z dziwną nutą w głosie.

Słowa stają mi w gardle. Co powiedzieć? Tak, Jefferson, okłamuję cię, zataiłam przed tobą fakt, że wynajduję złoto tak, jak pies lisy? Że kiedy widzę cię z Therese, robi mi się przykro. Że w drodze do Independence oswoiłam się z myślą, że wyjdę za najlepszego przyjaciela, i że czasami, kiedy wieczorem odwracasz się do mnie plecami, świat wali mi się na głowę.

Znowu mogę mówić.

– Nie, nie okłamuję cię, tylko...

Ściąga wodze karej klaczy.

– Lee?

– Może po prostu nie wszystko ci mówię.

– Och. – Wbija wzrok w swoje dłonie na łąku siodła. – Ja tobie chyba też nie.

Zaskoczył mnie tym. Peonia rusza się niespokojnie. Ale skoro ja mam przed nim tajemnice, on też może.

– To chyba w porządku – mówię.

– No.

Jedziemy dalej. Czasami z Jeffersonem milczenie jest równie kojące jak rozmowa.

Rozdział 22

Dzień w dzień wyjeżdżamy z Jeffersonem na prerię, ale ani razu nie udaje nam się wypatrzyć bizonów. Konwój prze naprzód, pokonujemy mniej więcej piętnaście mil dziennie, w niedzielę też podróżujemy do południa, żeby nadrobić straty.

Pogoda staje się przewidywalna, ciemne chmury na horyzoncie często mają zielonkawy odcień. W życiu nie widziałam równie szerokiej doliny jak ta, którą płynie rzeka Platte. Wydaje się płaska jak podpłomyk i tylko ból w nogach zdradza, że tak nie jest. Idę sporo pieszo, żeby dać Peonii odpocząć.

Kiedy pewnego ponurego ranka budzi mnie huk grzmotu, wstaję niechętnie i nastawiam się na deszczowy dzień.

Jefferson już nie śpi. Stoi wyprostowany, szelki zwisają mu wzdłuż nogawek. Patrzy na wschód, na horyzont, który dopiero się rozjaśnia.

– Niebo jest czyste – mówi. – Widzisz gwiazdy?

– Tak.

Powietrze jest suche, pełne kurzu, zupełnie nie jak przed deszczem. Ostatnio wiatr nie ustaje, dlatego rozbiliśmy obóz w tym płytkim zagłębieniu. Być może nadciąga burza, tylko jej nie widzimy.

Pierścień wozów zmniejszył się, odkąd towarzysze pana Bledsoe zawrócili, i teraz ludzie i zwierzęta tłoczą się i cisną na małej przestrzeni. Może dlatego tego ranka woły są takie niespokojne, wiercą się i prychają. Nugget i Coney biegną się przywitać. Coney liże moją dłoń.

Grzmot przybiera na sile. Ziemia drży nam pod nogami.

– Trzęsienie ziemi? – zastanawia się Jeff.

Obozowisko powoli budzi się do życia. Major Craven spieszy w naszą stronę ze strzelbą w dłoni.

– Idę zobaczyć, co się dzieje, na szczyt pagórka – mówi. – Chcecie mi towarzyszyć?

– Jasne – odpowiadamy jednocześnie. Przeciskamy się między wozami i w ślad za nim wspinamy się na łagodne zbocze.

Preria rozciąga się w nieskończoność, morze czerni, które wraz ze wschodem słońca przechodzi w zieleń. Mniej więcej pół mili od nas widzę

najdziwniejszą chmurę burzową, jaką w życiu widziałam. Sunie nisko po ziemi, gna od horyzontu.

– To nie chmura – stwierdza Jefferson.

– Bizony! – wrzeszczy major Craven. – Wracajcie i uprzedźcie wszystkich. Nie wolno wychodzić z wozów!

Jefferson słucha natychmiast, odbiega na długich nogach i krzyczy na całe gardło.

A mnie zmroziło. To niemożliwe. Jakim cudem na ziemi jest tyle zwierząt jednego gatunku? Falujące morze pochyłonych łbów, machających ogonów, błoto w powietrzu.

Craven chwyta mnie za ramię.

– Uciekaj, durniu – chyba że chcesz zginąć.

Wyrywa mnie z odrętwienia. Puszczamy się biegiem.

Krzyki Jeffersona postawiły wszystkich na nogi. Ludzie kręcą się przy wozach, zaspani i ciekawi. Jeff chwyta Henry'ego, pcha go do wozu, ciągnie za sobą Jaspera. Obaj poruszają się za wolno.

– Kryć się! – wrzeszczę, gdy zbiegamy ze wzgórza. – Kryć się!

Wiem dokładnie, w którym momencie stado osiąga szczyt wzgórza, bo ciekawość przeradza się w panikę. Mężczyźni chwytają za strzelby, matki zgarniają dzieci i szukają schronienia. Jefferson bierze Andy'ego na ręce, ciągnie za sobą Olive, biegnie do pani Joyner. Grzmi wszędzie, z każdej strony. Lada chwila spodziewam się poczuć na sobie tysiące kopyt.

Zaledwie jardy dzielą mnie od bezpiecznego schronienia, gdy potykam się na nierównej ziemi, zrytej kopytami naszego bydła. Upadam, boleśnie uderzam o ziemię. Nie jestem w stanie zaczerpnąć tchu. Kręci mi się w głowie. Usiłuję wstać, gdy czuję pierwszy cios w plecy.

Chcę krzyczeć, ale to tylko ręce Jeffersona. Chwyta mnie za szelki i pasek spodni i wciąga na kozioł wozu. Odwracam się, by podać mu rękę, ale on już znika, chowa się pod kołami wozu. Upewnia się, że jestem bezpieczna, a potem zajmuje się innymi, upomina, żeby schowali się w wozach.

Kilka kroków dalej pada strzał. Pochylam się. Bizony spływają ze wzgórza jak brązowa fala powodziowa. Kolejne strzały, ledwie słyszalne w tętnie kopyt. Kilka bizonów potyka się i upada, ale w takiej masie nie ma to znaczenia. Major Craven zdiera z siebie koszulę, staje przed pierwszym wozem, wymachuje nią w powietrzu i wrzeszczy, jakby bizony były wielkimi krowami, które da się łatwo zagonić w wybrane miejsce krzykiem

i machaniem.

Ale to nie są krowy. Ogromny rogaty potwór z wielkim czarnym łbem jest tuż przy nim. W końcu major odwraca się i ucieka.

– Majorze! – wrzeszczę.

Przebiega jeszcze trzy kroki, a potem upada i znika w tumanie kurzu i kopyt.

– Majorze!

Bizon uderza w wóz, na którym siedzę. Pojazd chwieje się niebezpiecznie. Zsuwam się z kozła, chwytam się burty, żeby nie spaść. Mokre nozdrza i lśniące ślepia są na wyciągnięcie ręki, gdy zbaczają z kursu.

Stado opływa pierścienią wozów jak rzeka wyspę. Z całej siły trzymam się desek – przez minutę, dziesięć albo dwadzieścia. Powietrze jest gęste od kurzu, ciężki zapach skóry utrudnia oddychanie. Bizony prychną i ryczą. Wozy dygoczą. Woły zawodzą żałośnie.

Ręce mi drżą od kurczowego ściskania burty. Unoszę głowę, modłę się, by zobaczyć Jeffersona, że jest bezpieczny. Nigdzie go nie widzę, za to z duszą na ramieniu patrzę, jak dwa wozy przewracają się na bok. W sznury jednego z nich zaplątują się bizony. Szarpia się i kopią, miotają łbami, aż z wozu zostają tylko kawałki, przyprószone mąką, obsypane pierzem z rozdartej poduszki.

Nie widzę, czy pod pobjowiskiem kryją się ciała.

Nagle bizonów jest coraz mniej, a potem znikają równie szybko, jak się pojawiły. Grzmot kopyt milknie, kurz opada. Jeszcze chwilę kryję się za burta, niezdolna się ruszyć.

W końcu zsuwam się z kozła. Woły i konie miotają się nerwowo. Ludzie się nawołują. Pani Joyner roztrzęsiona wychodzi z wozu z Andym w ramionach. Studenci poklepują się po plecach, jakby byli świadkami istnego cudu. Pani Hoffman tuli do siebie swoją gromadkę, jak kwoka kurczęta. Wciągam głośno powietrze, widząc wśród nich Jeffersona.

– Peonia! – wołam histerycznie. – Peo... – Jest, koło wozu Joynerów. Dyszy ciężko, ale chyba nic jej nie jest. Innym zwierzętom też nie. Nie licząc dwóch przewróconych wozów i zdeptanego paleniska, obozowisko wyszło z tego bez szwanku.

Idę tam, gdzie po raz ostatni widziałam majora Cravena. Boję się tego, co zobaczę. I wtedy słyszę słaby głos:

– Ratunku...

Drzę jak pszenica na wietrze, nogi mam tak miękkie, że z trudem biegnę.

– Boże miłosierny, ratunku...

Wół leży na boku. Ma połamane żebra. Wokół niego gromadzi się krew. Ma na szyi sznur do bielizny. Przeskakuję go.

– Majorze! Gdzie pan jest?

– Tutaj... – Kuli się w kurzu, dobre dwadzieścia jardów od miejsca, w którym upadł. Wszystko wokół jest szaro-brązowe, jak ziemia, poza nogawką jego spodni, jaskrawoczerwoną od krwi, wśród której bieleje kość.

– Niech pan się trzyma, majorze! – Odwracam się, macham rękami jak wariatka i krzyczę:

– Ratunku! Pomocy! Tutaj!

Wszyscy są zajęci sobą i sprząaniem. Krzyczę jeszcze raz. Tym razem Jasper mnie słyszy. Macham do niego rozpaczliwie. Zgarnia Toma i Henry'ego i wszyscy trzej studenci biegną do nas.

– Spokojnie, majorze – zwracam się do niego. – Pomoc już nadchodzi.

– Synu – zaczyna, ale z bólu nie może oddychać. Próbuje kolejny raz: – Na coś takiego nie ma pomocy.

Studenci osuwają się na kolana u jego boku. Henry blednie. Tom odwraca wzrok.

Jasper chwyta majora za rękę i pochyla się nad nim.

– Oberwał pan gdzieś jeszcze, Craven?

– Kilka żeber... Boli przy oddychaniu...

– Może pan ruszać palcami u nóg?

– A naprawdę muszę próbować?

Jasper zerka na mnie.

– Przynieść coś, co możemy mu wsunąć pod nogę, koc albo materac.

Biegnę do roztrzaskanego wozu, z ulgą zauważam, że nie ma tam ciała, i chwytam rulon płótna.

– Ej, a dokąd z tym? – woła ktoś za mną.

Jednak już wracam do majora.

Jasper kiwa głową z zadowoleniem.

– Kiedy uniosę nogę, wsuniesz to pod spód. – I do majora: – Będzie bolało.

– Już boli – sapie, kiedy Jasper podnosi oburącz jego nogę. Wsuwam pod nią płótno, wypełniam instrukcje Jaspera, aż jest w pełni usatysfakcjonowany i opuszcza ranną nogę.

– Czysta woda – rzuca. Podnosi wzrok na towarzyszy, ale odsunęli się, uciekają wzrokiem w inną stronę. Podrywam się znowu, widzę garnek

na palenisku. Woda w nim jest czysta i gorąca. Istny cud. Nie ma nikogo, kogo mogłabym zapytać o pozwolenie, więc biorę wszystko.

Woda chlusta na boki, gdy biegnę. Zwalniam, żeby nie stracić całej zawartości garnka.

Jasper wita mnie skinieniem głowy.

– Dobra. Majorze, muszę oczyścić ranę. Postaram się zrobić to delikatnie, ale nie ma co ukrywać, będzie bolało jak diabli.

– Rób – sapie.

– Trzymaj nogę – mówi do mnie. – Żadnych gwałtownych ruchów.

Osuwam się na kolana, chwytam majora za nogę. Jasper polewa ją wodą. Craven wrzeszczy i usiłuje ją cofnąć, ale trzymam mocno. Całym ciałem. Po pierwszym odruchu nieruchomieje.

– Teraz dobrze – mówi Jasper. Nie wiem, czy to do mnie, czy do majora. – Poluzuj, żebym mógł odwrócić.

Układa nogę na boku. Polewa ranę wodą, zmywa kurz, krew i nawet kawałki skóry. Major wierzga zdrową nogą, kopie mnie w udo, aż ból przeszywa mnie całą, ale nie puszczam.

– Tom, Henry! – woła Jasper. – Czy możecie... – Obaj czmychnęli.

– Przepraszam – sapie major. Ma łzy w oczach.

– Nic się nie stało – zapewniam, choć noga pulsuje mi bólem.

– Jak tam, Craven? – pyta Jasper.

– Doskonale, mogę iść – odpowiada major. Śmiejemy się, bo nikt się tego nie spodziewał, on także, ale ten śmiech sprawia, że ból wykrzywia mu twarz.

– A ty? – Jasper zerka na mnie kątem oka.

Będę cała w siniakach, to pewne.

– Co teraz?

– Biegnij do naszego wozu. W kufereku są łupki i czyste bandaże. Kuferek jest z przodu, po prawej stronie, za kozłem.

Tyle razy pomagałam przy załadunku i rozładunku ich wozu, że wiem, co ma na myśli. Puszczam się biegiem. Toma i Henry'ego nigdzie nie widać. Domyślam się, że po założeniu opatrunku Jasper poprosi o lekarstwa, więc biorę cały kuferek i walę się nim w obite biodro, gdy zeskakuję z wozu, i wracam do majora Cravena.

Zgromadził się mały tłumek. Pan Joyner stoi z Missouri. Henry trzyma się z boku z wielebnym Lowreyem. Jefferson i pan Hoffman kucają przy nogach majora. Jeff widzi mnie i uśmiecha się z ulgą. Cieszy się na mój widok tak

samo, jak ja na jego.

– Kara klacz? – sapię do Jeffa i stawiam kuferek koło Jaspera.

– W porządku, Nugget i Coney też. Ci z Missouri stracili parę sztuk bydła; bizony je stratowały, gdy wyszły poza pierścień. Jeden koń uciekł.

Jasper ściągnął majorowi but. Noga jest spuchnięta i niekształtna. Jeszcze chwila, a musielibyśmy go rozciąć.

– Dzięki, Lee. – Jasper unosi wieko. Kuferek po brzegi wypełniają bandaże, tynktury i narzędzia, o których wolę nie myśleć jako o przyrządach lekarskich, na przykład piły i noże.

– Aż tyle! – A ja myślałam, że Joynerowie są dobrze wyposażeni.

– Studiowałem medycynę – wyjaśnia Jasper. Chwyta wielkie nożyce i rozcina nogawkę majora. – Przepraszam, że psuję panu garderobę, Craven.

– Judaszowe spodnie... potknąłem się o nie... kiedy uciekałem... – Mówi krótkimi, urywanymi zdaniami, co chwila z trudem nabiera tchu.

– A Tom i Henry? – pytam, przede wszystkim po to, żeby się czymś zająć i nie patrzeć na zdeformowaną nogę.

– Co? – mruczy Jasper. – Nie, Tom chce być prawnikiem. A Henry to poeta.

– Chodziło mi raczej o to, że to oni powinni ci pomagać.

– Doskonale sobie radzisz. Tylko rób to, co ci każę.

Tkanina odrywa się z płaskim. Trzymam nogę majora w jednej pozycji, a Jasper zużywa resztę wody, by kolejny raz obmyć ranę. Skóra jest postrzępiona, rozdarta odłamkami kości. Obok widnieje głęboka rana. Ktoś gwizdże, głośno, przeciągle. Frank Dilley. Trzyma strzelbę.

– Wally – mówi cicho.

– Wiem, jak to wygląda – cedzi major przez zęby.

– Jesteśmy na końcu świata – zauważa Frank. – Nie możesz tu zostać, bo dzikusy cię dopadną. I nie możesz jechać dalej.

– Dam sobie radę.

– Pomożemy – zapewnia Jasper.

– Może – rzuca Frank. – Ale byłoby lepiej, gdybyś zawrócił z ludźmi Bledsoe.

– Na to już chyba trochę za późno – prycha major. Cieszę się, słysząc waleczność w jego głosie.

– Chyba tak – przyznaje Frank. – Ale jeśli chcesz, żebym ulżył twoim cierpieniom, skrócił mękę... – Unosi strzelbę.

– Idź pan stąd – syczy Jasper.

– Prawda to nie przestępstwo – oburza się Frank. – Jak wda się gangrena, sam do mnie przyjdiesz.

– Sam przyjdę – syczy major. Nie przepadałam za nim, zwłaszcza odkąd stał beczynnym i pozwolił, by pan Joyner wrzucił zarżone koce do grobu pana Bledsoe. Ale może po prostu nie dałam mu szansy. W każdym razie wolę go od Franka Dilleya, to pewne.

– No to do zobaczenia. – Frank i jego ludzie z Missouri odchodzą powoli.

Wielebny Lowrey klęka u boku majora.

– Podaj mi rękę, bracie, pomodlimy się razem. A może chcesz, żebym przekazał ostatnie słowa komuś tam, na wschodzie?

– Módl się pan gdzie indziej – syczy Jasper. – Co najmniej pięć, dziesięć stóp stąd.

Kapłan wytrzeszcza oczy, jakby sam był ranny, i otwiera usta, żeby zaprotestować, ale Jasper nie daje mu dojść do słowa.

– Zasłania mi pan światło – tłumaczy. – Muszę dokładnie widzieć, co robię.

Wielebny ani drgnie.

– Odsuń się pan! – warczy Jefferson i Lowrey odskakuje w tył. Jasper zerka na Jeffa z wdzięcznością.

– Teraz będzie najgorsze – uprzedza Jasper.

Major wygląda, jakby miał zaraz zemdleć, widzę pot na jego czole, a krew z rany bucha jak dym z komina.

– Wiesz co... najgorsze to chyba było... kiedy mnie bizon tratował...

Jasper uśmiecha się pod nosem.

– Nastawię kości.

Nagły ruch, chrzęst kości – a potem oczy uciekają majorowi pod czaszkę. Osuwa się bezładnie.

– Jasper... on nie żyje! – krzyczę.

– Nie, tylko zemdlął, i Bogu dzięki. Widzisz? Klatka piersiowa nadal się porusza. No, teraz załóż łupki.

Trzymam się dzielnie, gdy wsuwa palce do rany i majstruje przy kości, aż jest zadowolony z jej położenia. Kiedy wyjmuję dłoń z rany, jest mokra od krwi. Szuka czegoś, w co mógłby ją wytrzeć.

– Weź moją chustkę. – Wskazuję ją ruchem głowy. Wsunęłam ją za kołnierz koszuli. Nic czystsze tu i tak nie znajdziemy.

Pochyliłam głowę, żeby Jasper mógł ją ściągnąć. Wyciera ręce, wyjmuje z lekarskiego kuferka butlę z napisem „Lecznicy Ekstrakt Hawesa” i płynem

z niej obficie polewa nogę majora, który wierzga gwałtownie, choć stracił przytomność. Jasper opatruje ranę czystym bandażem, zakłada łupki. Kiedy wiąże bandaż, major otwiera oczy.

– Jezu, jak to boli – jęczy.

– To było do przewidzenia – zapewnia Jasper.

– Miałem nadzieję, że to wszystko to tylko sen – mruczy.

– Więc niech pan zamknie oczy i śni dalej.

– Dzięki, że mnie znalazłeś – szepcze. – Uratowałeś mi życie.

Nie zrobiłam nic wielkiego, tylko zawołałam Jaspiera, ale schylam głowę i mówię cicho:

– Nie ma za co.

Jasper wstaje, przeciąga się.

– Henry, idź po Toma. Musi nam pomóc przenieść majora do naszego wozu.

– Ja pomogę. – Jefferson wysuwa się naprzód.

Odnajduje mój wzrok i nagle zdaję sobie sprawę, że Jefferson się nie mylił, bycie na szlaku mu służy. Dobrze mu robi otwarta przestrzeń i nieobecność ojca, który nim pomiatał. Właściwie to jemu powinniśmy dziękować – za to, że mnie podniósł, gdy upadłam, za to, że zapewnił nam wszystkim bezpieczeństwo. Już otwieram usta, żeby mu to powiedzieć, ale Jasper staje między nami i pochyla się nad majorem.

– Nie będę zajmował waszego wozu – protestuje Craven.

– Bzdura – ucina Jasper. Po drodze klepie mnie po ramieniu. – Muszę cię mieć na oku, Craven, i tak będzie mi wygodniej.

Jefferson i studenci układają majora na posłaniu, a ja wracam do wozu Joynerów. Nogi mi się trzęsą, a przed oczami cały czas mam ciągle tę samą scenę: major Craven odgania bizona, a potem nagle znika, jakby ziemia się pod nim zapadła.

Przy zniszczonym wozie zbiera się spora grupa mężczyzn. Podchodzę do nich, ciekawa, co się tam dzieje. Ci z Missouri rozstępują się i robią mi miejsce.

– Po śmierci Wally’ego to ja mam największe doświadczenie – mówi Frank. – Już dwukrotnie byłem aż w Fort Laramie, zawoziłem zapasy. I tak dowodzę największą częścią konwoju. Równie dobrze mogę stać na czele nas wszystkich.

Ostatnie, czego nam trzeba, to nicpoń i łowca niewolników na czele. Chcę zaprotestować, ale ubiega mnie pan Robichaud:

– Dilley ma rację, jest z nas najbardziej doświadczony. – Ale mówi to ze zmarszczonymi brwiami, jakby wcale mu się to nie podobało. Kilku innych mężczyzn pomrukuje coś pod nosem.

Zaciskam usta.

– Major Craven był oficerem milicji wojskowej. Dowodził zdyscyplinowanym oddziałem. Nie zamierzam rzucać na pana kalumnii, Frank, ale powiedzmy sobie szczerze, nie dorastasz mu pan do pięt.

Frank pluje mu pod nogi przezutym tytoniem.

– I co teraz powiesz o kalumniach, co? – Mężczyźni za jego plecami rechoczą, jakby to był najlepszy kawał świata. – Ci chyba wiedzą, kogo słuchać.

Nie mogę dłużej wytrzymać.

– Jasper jest lekarzem. Oczyszczył i opatrzył ranę majora. Wyjdzie z tego.

– Jeśli z tego wyjdzie, weźmiemy się za ręce i zaśpiewamy „Alleluja” – odpowiada Frank. – A na razie, ja się wszystkim zajmę.

– Pomódlmy się razem – proponuje wielebny Lowrey. – Poprośmy Boga Najwyższego o wsparcie w godzinie próby.

Wszyscy kiwają głowami, ale nikt nie skłania jej w modlitwie.

– Chodzi mi tylko o to, że powinniśmy wybrać kogoś o skłonnościach przywódczych – tłumaczy pan Joyner. – Kogoś o odpowiedniej przeszłości i doświadczeniu w dowodzeniu.

– To, żeś pan poganiał niewolników, nie znaczy, że masz pan poganiać i mnie, Joyner – prycha Frank. Kilku mężczyzn wierci się niespokojnie.

– Panowie, panowie! – woła wielebny Lowrey. – Pomódlmy się jak chrześcijanie, poprośmy naszego Pana o światło łaski. To wszystko jest częścią Jego boskiego planu i...

Mam tego dosyć. Wracam do wozu studentów. Chcę się upewnić, że mówiłam prawdę, że major wyjdzie z tego cało.

Jefferson już poszedł, major leży wygodnie. Jasper pochyła się nad nim, poi go odrobiną wody. Plamy na bandażu już nie są wściekle czerwone, brązowieją od zaschniętej krwi. Biorę to za dobry znak.

Jasper mnie zauważa.

– Co oni tam robią?

– Nie wiem – mówię – ale mam przecucie, że nic dobrego.

– Mamy szczęście, że nikt poważnie nie ucierpiał. – Jest wyraźnie zmęczony. – Poza kilkoma sztukami bydła.

– Chyba tak. – Zerkam na jego kuferek lekarski. Kiedy go niosłam na miejsce wypadku, wydawał się bardzo ciężki, ale teraz jest w połowie pusty. Jeśli jeszcze ktoś odniesie poważne rany, Jasperowi już nic nie zostanie.

Przez chwilę jeszcze obserwuję, jak opiekuje się majorem, ale nie ma mi już nic więcej do powiedzenia. Ja jemu też nie.

Włóczę się po obozowisku, szukam Jeffersona, żeby mu podziękować za uratowanie mi życia albo po prostu żeby usiąść i chwilę porozmawiać. Ale widzę go przy wozie Hoffmanów, pomaga panu Hoffmanowi i dwóm najstarszym synom przy naprawie wozu. Pani Hoffman i Therese pakują ubrania do kufra, który się nagle otworzył. Therese co chwila ukradkiem zerka na Jeffersona.

– Pracujesz przy dwóch wozach? – pytam go.

– Tylko pomagam – zapewnia. – Pani Joyner cię szuka.

– No jasne. – Jednak nie chcę z nim rozmawiać. Odwracam się na pięcie, jestem teraz rozdrażniona, kiepskie ze mnie towarzystwo. Nie wiadomo dlaczego przed oczami mam jedną scenę – widzę trawanego majora. Gdyby nie Jefferson, ze mną byłoby to samo.

Jestem w połowie drogi do wozu Joynerów, gdy rozlega się krzyk:

– Indianie!

Rozdział 23

Indianie podążają tropem bizonów. Znaleźliśmy się na trasie ich wędrówki. Nasi mężczyźni jeszcze się kłóca, kto teraz dowodzi, gdy pierwsi Indianie wkraczają do obozu.

Frank Dilley kładzie dłoń na rękojeści rewolweru.

– Celowo wywołali popłoch wśród bizonów, ja wam to mówię.

– Powiedzmy im o męce pańskiej. – W oczach wielebnego Lowreya płonie taki sam ogień, jak w oczach tatki, gdy rozprawiał o złocie. – Odprawmy nabożeństwo, zaintrygujemy ich. Idę po Biblię i...

– Nie tak szybko. – Pan Joyner kładzie mu rękę na ramieniu. – Najpierw musimy mieć pewność, że nasz dobytek jest bezpieczny.

Obserwuję Indian kręcących się między wozami. Szukają ludzi zainteresowanych handlem wymiennym. Mężczyźni noszą skóry zdobione piórami i koralikami. Niektórzy narzucili na ramiona koce, inni – skóry bizonów. W lśniących czarnych włosach tkwią pióra. Jest ich mniej więcej tuzin. Po tym, jak szepczą między sobą, nie spuszczać z oczu Franka i pana Joynera, domyślam się, że znają angielski. Wielu z nich ma blizny na twarzach. Jeden ma niebieskie oczy, inny – piegi na nosie.

I nagle, jak deszcz z bezchmurnego nieba, pojawia się ta myśl: w innym ubraniu Jefferson mógłby być jednym z nich. Te same grube, czarne włosy, wystające kości policzkowe, szerokie usta i śniada skóra. Widzę go, jak ich obserwuje zza wozu. Czuje na sobie mój wzrok i dałabym sobie rękę obciąć, że wie, co mi chodzi po głowie. Marszczy brwi i odchodzi.

Za mężczyznami idą kobiety. Niektóre mają dzieci w koszach na plecach, umocowanych tylko opaskami na czołach. Szyja mnie boli od samego widoku. Jedno z dzieci zaczyna płakać. Matka zdejmuje koszyk z dzieckiem i przystawia maleństwo do piersi, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Dziewczynka, młodsza ode mnie o kilka lat, dostrzega medalion na szyi Andy'ego i gestem daje do zrozumienia, że chce go mieć.

Staję między malcem i Indianką.

– Nie ma mowy.

Jęczy, jakbym sprawiła jej ból, wyciąga ręce do Andy'ego. Towarzysze spieszą jej na pomoc. Biorę Andy'ego na ręce, tulę do piersi, ale wyrywa mi się, zainteresowany w równym stopniu dziewczynką i moim medalionem.

– Co tu się dzieje? – pyta pani Joyner.

– Poznajemy się, to wszystko – odpowiadam. Dziewczynka krzyczy coraz głośniejsze. Andy wyrywa się coraz bardziej. Szukam pomocy u mężczyzn, oni jednak nadal się kłócą. – Nie może im pani oddać mojego medalionu.

– Nie, skądże... – Urywa. – O to im chodzi?

– Chcą chyba handlować.

– Mam... różne rzeczy.

Biegnie do wozu i wraca ze srebrną szczotką do włosów. Tulę do siebie wiercącego się chłopca, a ona targuje się szybko – i dostaje za nią skórę bizona. Mała Indianka przestaje szlochać. Razem z innymi dotyka lśniącej srebrnej rączki, a potem rozplata jeden warkocz i zaczyna go czesać.

Inni, być może wyczuwając napiętą atmosferę w obozowisku, wskazują na południe, tam gdzie znikło stado bizonów, a po chwili Indianie odchodzą, oddalają się równie niepostrzeżenie, jak przyszli. Dziewczynka odchodzi powoli, cały czas czesze, czesze, czesze ciemne włosy.

Pani Joyner odprowadza ją rozpromienionym wzrokiem.

– Może następnym razem za soloną wieprzowinę dostaniemy świeże mięso bizona – mówi.

Rozsądniej byłoby przehandlować część tych ciężkich mebli, zanim wjedziemy w góry.

– Psze pani?

– Nie lubisz mięsa bizona?

– Nie wiem, nigdy nie jadłem. Jefferson mówił, że chciała mnie pani widzieć? Zanim zjawili się Indianie.

Pochmurnieje.

– Ach, tak, chciałam cię prosić o przysługę.

– Dobrze, psze pani.

– Chodzi o panią Lowrey.

– Ale że co?

Marszczy brwi.

– Powinna już... Wybacz, jeśli będę zbyt bezpośrednia. Mam nadzieję, że cię nie urażę.

– Nie, psze pani.

Nagle mówi szybko, wyrzuca wszystko z siebie:

– Dziecko już dawno powinno się urodzić, ale ani razu nie prosiła o pomoc. Pani Robichaud nie może do niej zaglądać, ze względu na odrę bliźniaków. Pani Hoffman już ma na głowie szóstkę swoich dzieci. Sześć porodów, pomyśl tylko! A wielebny Lowrey... Cóż, wielebny pokłada wiarę w Bogu, i dobrze. To dobry człowiek i kochający mąż i wierzę święcie, że chce dla żony jak najlepiej, poszłabym do niej sama, ale widzisz... – Pochyliła mi się do ucha. – To prezbiterianie, a to raczej wyklucza bliższą znajomość, rozumiesz? Zaprosiłam ich na kolację, ale wielebny... W każdym razie chciałabym jej jakoś pomóc.

Takie rozmowy prowadzi się z inną kobietą. Odruchowo zerkam na pierś, żeby się upewnić, że nadal mam tam maminy szal. Coraz trudniej się nim owijać. Materiał jest brudny i postrzępiony, pruje się na końcach. Ale nie, chyba wszystko jest na miejscu.

– Ja... Co mam zrobić?

Pani Joyner kładzie sobie rękę na brzuchu. Chyba sama nie wie, że to robi.

– Zajrzyj do niej, jak dawniej. Ja muszę zostać z panem Joynerem, ostatnio bardzo szybko się męczy. Zapytaj, jak się czuje. Może jeśli Lowreyowie poproszą o pomoc... – Nie kończy zdania.

Tak przerażoną widziałam ją ostatnio na rzece, gdy przeprawialiśmy się przez bystrze na barce. Nie bardzo rozumiem, czemu tak bardzo się przejęła sytuacją pani Lowrey.

– Bardzo chętnie – odpowiadam, choć zapewne żaden chłopak nie zgodziłby się na coś takiego.

– Ej, Lee! – Jefferson podjeżdża na karej kłaczy. – Nadal masz strzelbę pana Joynera? Bo jedziemy zapolować na bizony. Te tutaj, stratowane, są do niczego.

– A tabor?

– Kilka wozów jest uszkodzonych, naprawy potrważą do wieczora.

Patrzę na panią Joyner.

– Mielibyśmy to mięso, o którym rozmawialiśmy.

– Jedź – mówi. – Tamtą drugą sprawą zajmiesz się po powrocie.

* * *

Wyruszamy, w towarzystwie sporej grupy z Missouri, szerokim pasmem

zrytej ziemi, które przecina prerie jak rzeka. Trwają dyskusje, jacy Indianie u nas byli, przy czym większość sądzi, że to plemię Omaha. Które powinno się usunąć, powtarzają, żeby biali osadnicy mogli zamieszkać w Nebrasce.

Mała grupka Indian także podąża śladem bizonów. Mijamy ich mniej więcej ćwierć mili od obozowiska. Frank celuje ze strzelby do ich wodza tak długo, aż Indianie to zauważą.

– Pif paf – mówi, opuszcza broń i macha do nich przyjaźnie.

Nie reagują.

– Podejrzliwe bestie – mówi. – Moglibyśmy stąd wszystkich powystrzelać, zanim chwycą za strzały.

– Podstępni – przytakuje jeden z jego kumpli. – Zakradają się w nocy i podrzynają ludziom gardła.

– I dlatego trzeba ich od razu powystrzelać.

Kiedy to słyszę, żołądek bardzo nieprzyjemnie podchodzi mi do gardła. Zerkam na Jeffersona. Zaciska usta w wąską linię.

– Ci z Missouri są jak szczury – szepczę do niego. – Wszyscy.

– Faceci to faceci – odpowiada, wzruszając ramionami. – Problem zaczyna się, gdy jedni uważają drugich za szczury.

Ma rację. Wstyd ściska mnie za gardło.

Mniej więcej milę od obozowiska, gdzie płaska preria wznosi się łagodnymi pagórkami, bizony zwolniły. Jak okiem sięgnąć, widzę tysiące zwierząt. Nigdy w życiu nie widziałam tyle stworzeń jednego gatunku. Nawet mrówki w mrowisku przy tym bledną.

Zgodnie z poleceniem Franka rozjeżdżamy się na boki. Tłumaczy, że mamy strzelać do maruderów, tak, żeby stado znowu zbiło się w ciasną gromadę i oddaliło od Indian.

Trafiam za pierwszym razem, mimo że jeszcze nie znam strzelby. Zwierzę osuwa się na ziemię. Najbliżej stojące bizony uciekają, ale stado pasie się spokojnie.

– Nieźle, Georgia – rzuca Frank.

– Chwalipięta – mruczy Jefferson.

– Chodźmy po niego – mówię, bardzo z siebie zadowolona.

– Jeszcze nie – decyduje Frank. – Dopiero po skończonym polowaniu.

Może lepiej nie zsiadać z konia, kiedy wokół tyle bizonów. Zerkam na Jeffersona w poszukiwaniu wyjaśnień, ale on tylko wzrusza ramionami, równie skonfundowany jak ja.

Ponownie ładuję strzelbę, a pozostali zaczynają strzelać. Salwa otacza mnie ze wszystkich stron, powietrze wypełnia zapach prochu. Bizony rzucają się do ucieczki.

Mężczyźni strzelają na oślep i śmieją się, słysząc ryki bólu. Nie zwracają uwagi na ranne zwierzęta, strzelają do kolejnych. Ja i Jefferson jedziemy ich śladem i dobijamy ranne bizony.

To rzeź. Mordujemy więcej zwierząt, niż mamy radę zjeść. I jeszcze więcej. W końcu, po wielomilowym pościgu, mają dosyć. Frank nakazuje powrót.

Zatrzymujemy się przy martwym bizonie. Pierwsza zsiadam z konia. Tato kiedyś pokazał mi, jak oprawić niedźwiedzia, więc poradzę sobie z tak wielkim zwierzęciem. Przykładam czubek noża do skóry, ale Frank chwyta mnie za ramię.

– O tak – pokazuje. Odpycha mnie, otwiera pysk bizona, ciągnie za ogromny ozór, odcina go nożem. – Bierzymy tylko ozory i garby. Same smakołyki.

– A co z resztą? – pytam zdumiona.

– Niech tu leży i gnije. Jeśli o mnie chodzi, możemy wybić je wszystkie. Może kiedy czerwonoskórzy nie będą mieli co zjeść, przeniosą się gdzie indziej.

Nieważne, jak na to patrzeć, zabiliśmy zbyt wiele bizonów, żeby zabrać choćby najlepsze kęsy ze wszystkich. Słońce jest już wysoko na niebie, więc zatrzymujemy się na obiad. Ktoś odczepia kociołek przytroczony do siodła i wkłada do niego ozór. Tłumaczy, że mięso musi się trochę pogotować, więc mężczyźni układają się na trawie, snują historie, opowiadają kawały, żartują, że poczekamy tu, aż w obozowisku wszystko wróci do normy.

Siadamy z Jeffersonem nieco na uboczu. Jest pochmurny, ma smutne spojrzenie.

– To jedna z gorszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłem – mówi cicho.

– Przynajmniej niektórym z nich skróciliśmy cierpienia – zauważam.

– Nie mogę się już doczekać Kalifornii. Tam drogi nasze i bandy Franka Dilleya w końcu się rozejdą.

– Byłoby fajnie – przyznaję.

– Nie mówisz tego z przekonaniem.

Rozrywam źdźbło trawy na małe kawałeczki.

– Po prostu w drodze sporo się nauczyłam. O ludziach, tych dobrych i tych złych.

– Czego na przykład?

Kilkanaście metrów od nas ktoś klepie Franka po ramieniu i śmieje się głośno.

– Że źli są wszędzie – odpowiadam. Myślę o przeklętych braciach, którzy mnie napadli i zabrali złoto i sprzęt. Pasowaliby do niejednego z towarzyszy naszej wędrowki na zachód. – Tam, gdzie są ludzie, jest i zło.

– Dobro też.

– Pewnie. W Kalifornii będzie mnóstwo dobrych ludzi, takich jak Hoffmanowie, Robichaudowie czy studenci. Ale wszędzie są też tacy jak Frank Dilley i jemu podobni.

– Tacy jak twój wuj.

– Tacy też. – Chcę wyrzucić resztki żdźbła, ale powiew wiatru je cofa.

Jefferson obejmuje kolana rękami. Nie odrywa wzroku od bandy z Missouri.

– Boisz się? – pyta.

Milczę. Za naszymi plecami Peonia gniewnie potrząsa łbem.

– Bo ja tak – odpowiada. – Jeśli on naprawdę zabił twoich rodziców...

– Kalifornia jest ogromna – zauważam.

– Wygląda na to, że chce cię za córkę. Uważa, że do niego należysz. Więc może nie zrobi ci krzywdy?

W jego ustach brzmi to jak coś dobrego, ale na samą myśl zbiera mi się na mdłości.

– Rodzice bez przerwy krzywdzą swoje dzieci.

Sztywnieje nagle.

– Przepraszam, Jeff, nie chciałam...

– Czas na obiad. – Wstaje.

– Poczekaj, Jeff! – Chwytam go za nogawkę spodni.

Patrzy na mnie z góry.

– Ja po prostu... Dziękuję. Za to, że mnie uratowałeś. Gdyby nie ty, zginęłabym pod kopytami bizonów.

– Zrobiłabyś dla mnie to samo – odpowiada i odsuwa się ode mnie.

Wszyscy gromadzą się wokół kociołka. Zdieramy wierzchnią warstwę skóry i zjadamy mięso kryjące się pod spodem. Smakuje jak wołowina, ale jednocześnie jest delikatne jak masło. Choć w tej chwili nie mam specjalnie apetytu.

Po posiłku wracamy tą samą trasą. Mijamy po drodze dziesiątki martwych bizonów, krwawy szlak prowadzący do obozowiska. Na niebie sępy krążą jak gzy nad końskim zadem. Dawniej czułam dumę, ilekroć udało mi się upolować

coś, co trafiło na nasz rodzinny stół.

Pod koniec tego smutnego szlaku widzimy grupkę Indianek i dzieci wokół cielska bizona. Skóra zdarta ze zwierzęcia suszy się na prowizorycznym rusztowaniu. Mięso, pocięte na wąskie paski, wędzi się w dymie ogniska. Mam w duszy nadzieję, że to bizon, którego ustrześliłam.

Frank i kilku innych spinają konie do galopu, jakby chcieli stratować kobiety i dzieci.

Jefferson patrzy na mnie pytająco. Kręcę energicznie głową.

– Nie zrobię tego – mówię.

– Dobrze.

Chcę im powiedzieć, żeby się zatrzymali, ale tchórzę i milczę. Kobiety i dzieci rozpierzchają się z krzykiem. Frank i jego kumple skręcają w ostatniej chwili. Kiedy dojeżdżamy do nich z Jeffersonem, cały czas się z tego śmieją.

* * *

Kiedy wracamy do obozowiska, zapada zmierzch. Jefferson zawozi wszystko, co wyciął z upolowanych bizonów, do Hoffmanów – twierdzi, że karmili go od dawna i teraz ma okazję się odwdzińczyć.

Ja oddaję część swojej porcji Robichaudom. Są bardzo zadowoleni – ich chłopcy już pokonali odrę i najwyraźniej wraca im apetyt. Kolejną porcję wiozę do studentów i majora Cravena. Jasper twierdzi, że sytuacja wygląda nieźle, ale jego wzrok przeczy słowom. Major uśmiecha się z wysiłkiem i zapewnia, że zje wszystko co do ostatniego okruszka, żeby odzyskać siły.

Przedostatni przystanek na mojej trasie to wóz pastora. Stoję przy plandece i zbieram się na odwagę, by w imieniu pani Joyner zapytać o zdrowie pani Lowrey. Może powinnam poprosić o to Therese, tak bardziej wypada.

Kątem oka dostrzegam ruch. Wielebny Lowrey, kuli się w cieniu kołyski wozu. Klęczy, pogrążony w modlitwie.

Plandeka rozchyła się.

– Proszę pani? – zaczynam. Spodziewam się zobaczyć panią Lowrey.

A to pani Joyner. Rękawy, zakasane do łokci, odsłaniają zakrwawione ręce. Po raz pierwszy widzę ją bez czepka. Jasne włosy kleją się do spoczonej twarzy. Kiedy się prostuje, wyraźnie widzę jej brzuch. Ma bardzo ponurą minę.

– Ja... bardzo mi przykro – mamrocę, choć jeszcze nie wiem sama

dlaczego.

Mankietem ociera pot z czoła. Wędruję wzrokiem między jej zakrwawionymi rękami a cichym, spokojnym wozem.

– To nie twoja wina – mówi cicho. – Wielebny przyszedł po mnie zaraz po tym, jak ty... Pani Lowrey...

Chcę powiedzieć, że może rozmawiać ze mną szczerze, jak kobieta z kobietą. Odeszły jej wody. Zaczął się poród.

– W nocy chyba poczuła się bardzo źle. Sama męczyła się przez wiele godzin. Początkowo wielebny nie szukał pomocy, bo uznał, że taka jest wola Boża.

– Co?

Wielebny wzdryga się, słysząc mój głos. Biblia zwisa mu pod pachą, jak przejrzały owoc. Przytrzymuje palcem czytany fragment. Na jego twarzy malują się w równej mierze niepokój i nadzieja. Nie pojmuję, skąd nadzieja. Przecież chyba słyszy ciszę z wozu.

Pani Joyner kręci przecząco głową.

Wielebny otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

– Przyszłam za późno – tłumaczy pani Joyner. – Powiem wszystkim. Poszukam kogoś, żeby z pastorem posiedział.

– A dzieciątko? – pyta ochryple.

– Przykro mi.

Pastor nie reaguje, stoi jak wryty. Przez chwilę twarz wykrzywia mu grymas bólu.

Potem sięga po Biblię i odchodzi.

– Błogosławione niech będzie imię Pańskie! – krzyczy na całe gardło. – Chwała naszemu Panu i Stwórcy, Ojcu Jezusa Chrystusa Pana Naszego, który jest źródłem wszelkiej pociechy, który ociera nasze łzy w chwilach...

– Pomożesz mi zejść? – pyta cicho pani Joyner.

– Tak jest, psze pani.

Wyciągam do niej rękę. Niemal rzuca mi się w ramiona. Dobrze, że nie tracę równowagi pod jej ciężarem.

Ledwie staje na ziemi, odsuwa się ode mnie i wyciera ręce w suknię, jakby chciała zetrzeć z siebie mój dotyk.

– Muszę wracać do pana Joynera – oznajmia drżącym głosem. – Jeszcze nie w pełni odzyskał siły. Poranne zamieszanie bardzo go wyczerpało.

Zatacza się niepewnie. Podbiegam do niej, obejmuję ramieniem.

– Pomogę pani.

Sztywnieje, jakby chciała mnie odepchnąć, ale zdrowy rozsądek bierze górę.

– Dziękuję.

Po raz ostatni zerkam na wóz kaznodziei. Leży w nim martwa kobieta. Niewiele starsza ode mnie. Sama jak palec. Jej mąż włóczy się gdzieś po obozowisku. Pani Joyner musi zająć się swoją rodziną. Nikt nie posiedzi przy pani Lowrey, póki nie złożą jej do grobu. Choć akurat towarzystwa chyba w tej chwili nie potrzebuje. Nie żyje, wiem o tym. Ale ktoś powinien coś zrobić.

To był koszmarny dzień, odkąd się rano obudziłam, poczynając od obrażeń majora Cravena po śmierć pani Lowrey, a ja nie zrobiłam nic, by im pomóc. Zamarłam ze strachu, zamiast uciekać przed bizonami. Nie od razu zajrzałam do pani Lowrey, choć pani Joyner się o nią bardzo martwiła. Podczas rzezi bizonów nie pisnęłam ani słowa do Franka Dilleya i jego łotrów.

Leah Westfall nigdy taka nie była. To Lee McCauley jest bezużytecznym tchórzem.

Dochodzimy do wozu. Pan Joyner leży na materacu, blady i zmęczony. Olive siedzi u jego stóp i bawi się lalką.

Już mam odejść, gdy pani Joyner pyta:

– A gdzie Andy?

– Myślałem, że jest z tobą – odpowiada pan Joyner. – Nudził się, marudził. Nie mogłem zasnąć, więc kazałem mu iść cię poszukać.

Pani Joyner wygląda, jakby miała zaraz zemdleć.

– Ja nie... ja... Kiedy go ostatni raz widziałaś?

– Kilka godzin temu. W porze obiadowej.

Pani Joyner krzyczy tak głośno, jakby ktoś wrywał jej serce z piersi.

– Musi gdzieś tu być, psze pani – zauważam. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam się wtrącać do ich rozmowy, ale nie zniosę dzisiaj kolejnej tragedii. – Poszukam go.

Odwraca się do mnie.

– Pomóż mi zejść. Ja też pójdę.

Nie ma sensu protestować, więc robię, o co mnie prosi. Tym razem niemal skacze mi w ramiona i miękko ląduje na ziemi.

Obchodzi całe obozowisko tak szybko, że ledwo za nią nadążam. Zagląda

do każdego wozu, pyta wszystkich po kolei, czy widzieli jej synka. Idę jej śladem. Staram się wyczuć medalion mamy. Ale kiedy okrążamy cały obóz, muszę zmierzyć się z najgorszym: medalionu tu nie ma.

Wokół wielebnego Lowreya, który wychwala pod niebiosa zalety zmarłej żony, zebrał się spory tłumek, ale kiedy zbliża się pani Joyner, na nią przenoszą się spojrzenia.

– Czy ktoś widział Andy’ego?

Wielebny od razu proponuje, że się za niego pomodli.

– Przewrócimy cały obóz do góry nogami – zapewnia pani Robichaud. – Znajdziemy go, gdziekolwiek się ukrył.

Zamykam oczy, koncentruję się na złotowidzeniu. Skarb Hoffmanów jaśnieje jak ogień, złote spinki majora Cravena łaskoczą mnie w gardle. Ale nigdzie nie wyczuwam znajomego medalionu mamy.

– Musimy poszukać poza obozem – mówię. Otwieram oczy. – Może się zgubił. Wyjeżdżam na prerię.

Frank wymienia znaczące spojrzenie z jednym ze swoich ludzi.

– Już my wiemy, gdzie on jest.

– Gdzie? – krzyczy pani Joyner.

– Indianie bardzo łypali na jego śliczne jasne włoski. Mieli na niego chrapkę. Znajdziemy czerwonoskórych i pani synka razem z nimi.

– Nie wiemy tego na pewno – wtrącam. Mam dosyć milczenia.

– Cóż, szukaj sobie, gdzie chcesz – prycha Frank. – I tak to my go znajdziemy. – On i kilku innych chwytają za strzelby, nabijają je.

Indianie nie porwali Andy’ego. Mijaliśmy ich, gdy wracaliśmy z polowania na bizona, i ani przez chwilę nie czułam bliskości medalionu, ale tego oczywiście nie powiem Frankowi Dilleyowi, człowiekowi, który był gotów podnieść rękę na swojego przywódcę tylko dlatego, że ten był ranny. Strach pomyśleć, co mógłby zrobić, gdyby wiedział o moim darze.

Zaciskam zęby i patrzę, jak ci z Missouri wyruszają w bezsensowną pogoń. Jasper musi zostać, żeby zaopiekować się majorem Cravenem, tak więc do szukania Andy’ego zostajemy tylko: ja, Jefferson, pan Hoffman, pan Robichaud, Tom i Henry.

– Może Nugget albo Coney go wytropią? – zwracam się do Jeffersona.

– Kręciło się tu tyle ludzi i zwierząt, że mielibyśmy szczęście, gdyby go wytropiły, mając go w zasięgu wzroku.

Ma rację.

– Więc musimy się rozdzielić i myśleć jak mały chłopczyk, i postarać się odgadnąć, dokąd mógł pójść.

– Musimy ustalić jakiś sygnał – zauważa pan Robichaud. – Ktokolwiek go znajdzie, niech dwukrotnie wystrzeli w powietrze.

Zgadza się wszyscy, rozdzielamy i opuszczamy obozowisko.

* * *

Zapada zmierzch, ściemnia się. Spomiędzy traw wzbijają się małe insekty, ograniczają widoczność, ciszę zakłóca kumkanie żab. Tracę głos od wołania Andy'ego – na darmo. Nie mogę go znaleźć, nie mogę wyczuć złota.

Od strony obozowiska pada strzał, niesie się echem, więc nie wiem, czy wystrzelono raz, czy dwa. Zawracam Peonię i jadę z powrotem.

Wokół płoną ogniska. Zsiadam, prowadzę Peonię między wozami, w środek pierścienia. Wszyscy już tam są – Frank i jego ludzie, Tom i Henry, pan Robichaud, pan Hoffman z dwoma najstarszymi synami i Jefferson.

– Kto go znalazł? Gdzie był? – dopytuję się.

– Nikt. Nie ma go. – Jefferson przecząco kręci głową.

– Przecież padł strzał.

– Grzechotnik.

– Ukąsił kogoś? – Serce mi pęknie, jeśli ktoś jeszcze dzisiaj ucierpi.

Jefferson ma ponurą minę.

– Kogo? Mówże!

– Atenę. Krowę Jaspera. Tom najpierw zastrzelił węża, a potem Atenę, żeby oszczędzić jej cierpień.

Czuję łzy w kącikach oczu. Ocieram je wierzchem dłoni. Za wiele złego wydarzyło się od tego ranka. A teraz jeszcze słodka Atena o miękkim, łagodnym spojrzeniu i pięknych długich rzęsach.

– Zjedz coś, Lee – mówi Jefferson. – Po kolacji poczujesz się lepiej.

– Jadę go szukać. Nie pozwolę, żeby tak się skończyło.

– Lee...

– Nie.

Rozdział 24

Wszyscy na mnie patrzą.

– Ktoś chce mi pomóc? – wołam.

Nikt się nie rusza.

– Wychodząc na prerię po nocy, aż się prosisz o śmierć. Indiańcy zaraz cię odstrzelą. Nawet nie usłyszysz nadlatującej strzały – straszy Frank Dilley.

Patrzę mu prosto w oczy.

– Odważny mężczyzna nie bałby się wyruszyć na poszukiwania.

– Zabraniam. Nigdzie nie idziesz.

– To mnie powstrzymaj. – Odwracam się, idę do Peonii.

– Jeśli do rana nie wrócisz, możesz tam zostać do końca życia! – woła za mną. – Wyruszymy bez ciebie.

Drżą mi ręce, w oczach pieką niewypłakane łzy. Słyszę kroki za sobą. Spinam się w sobie, ale to tylko Jefferson.

– Lee?

– Nie zaczynaj – warczę. – I nie waż się próbować mnie odwieść od tego pomysłu.

– Jadę z tobą.

– Och.

Siodłam Peonię. Szczypie mnie w ramię, ale samymi wargami, bez zębów, więc wiem, że nie jest naprawdę zła. Przeprasza ją po szyi. Napina mięśnie pod moją dłoń. Przydałoby się jej porządne szczotkowanie. Ciężko dzisiaj pracowała.

– Dziękuję – mówię cicho. Do niej i do Jeffersona.

– Jesteś McCauley, nie? Lee McCauley. Czyli jesteśmy rodziną.

Tłumię śmiech, a potem po policzkach spływają mi łzy. Ocieram je rękawem.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli, Jeffersonie Kingfisher.

– Wiedziałem, że kiedyś mi to wypomnisz – burczy.

– Szkoda, że rodziny się nie wybiera. – Tato zawsze to powtarzał. Miał na myśli moją babcię z Bostonu, która nigdy nie odpowiadała na listy mamy, po tym, jak ta uciekła do Georgii.

– Może właśnie się wybiera.

Przyglądam mu się uważnie. Nie rozumiem, co ma na myśli, oczywiście, wybrałabym go jako członka mojej rodziny, to pewne, gdyby to było możliwe.

– Pójdę po karą klacz i psy – mówi.

Zawartość wozu Joynerów leży na zewnątrz. Cichutko jak myszka biorę trochę owsa dla Peonii i uzupełniam zapas wody w manierce. Plandeka rozsuwa się i ze środka wygląda pani Joyner. Ma zaczerwienione oczy.

– Uzupełniam zapasy – mówię. – Potem będziemy z Jeffem szukać dalej.

– Obiecuj mi, że go znajdziesz – prosi.

Spinam się cała. Tatko zawsze powtarzał, żeby nie obiecywać niczego, czego nie mogę dotrzymać.

– Będziemy go szukać do białego rana.

Wyciąga ręce, przywołuje mnie gestem. Podchodzę bliżej. Obejmuje mnie z całej siły.

– Mamy szczęście, że jesteś z nami, Lee McCauley. Dobry z ciebie człowiek.

Wyplątuję się niezdarnie z jej objęć, pochylam głowę, uchylam kapelusza. Nie wiem, co w tej chwili powiedzieć. Straciłam wszystko – rodziców, dom, złoto, strzelbę tatki i jego siodło. Straciłam nawet imię i nazwisko. Leah Westfall, dziewczyna, która pomagała Szczęściarzowi Westfallowi obrabiać ziemię i szukać złota – już nie istnieje. Ale może Lee McCauley jednak nie jest taki zły. Kilka minut temu postawiłam się Frankowi Dilleyowi, a teraz wyruszam na poszukiwanie małego chłopca – bo sama tak zdecydowałam.

– Czas na mnie – mówię.

Wsiadamy z Jeffersonem na konie. Nagle podbiega do nas Therese, ze skrajem sukni w jednej dłoni i zawiniątkiem w drugiej.

– Proszę! – Zdyszana, podaje je Jeffersonowi. – Dla was. To może być długa noc.

– Co to? – pytam.

– Chleb kukurydziany! Zużyliśmy resztkę mąki kukurydzianej. Uznaliśmy, że każdemu przyda się jakieś pocieszenie, po szarzy bawołów, wypadku majora i... – Wbija wzrok w stopy.

– Dziękujemy, Therese – mówię.

– Ja... chciałabym z wami pojechać. – Prostuje się, uśmiecha z trudem. – W każdym razie, powodzenia. – Odbiega. Jefferson odprowadza ją wzrokiem.

Pochylam się, klepię go po udzie.

– Jedźmy już.

Otrząsa się z zadumy.

– Tak jest.

Cmokam na Peonię. Wyruszamy w ciemną noc, rozjaśnianą jedynie wielkim, gwiazdzistym niebem i niskim, groźnym księżycem. Trawa tłumi końskie kroki, ale i tak noc wypełniają odgłosy – bzyczenie owadów, odległe wycie kojotów, co z kolei powoduje górne warknięcie Nugget.

– Jaki masz plan? – pyta Jefferson. – Jak go znajdziemy?

Nie mogę mu powiedzieć prawdy – że chcę jeździć po okolicy, aż poczuję bliskość złota, więc rzucam:

– Andy nas zna. Odpowie na nasze wołanie, więc przemierzmy każdą ścieżkę, każdą dróżkę, którą mógł powędrować czterolatek, i będziemy go wołać – do skutku.

– I już?

– I już. Musimy myśleć jak czterolatek.

Milczy.

– Masz w tym większe doświadczenie niż ja. W myśleniu jak mały chłopiec – dodaję.

Marszczy brwi.

– Sprawdziałaś w dole rzeki?

– Tak. – Wyczułam tam odrobinę złotego piasku, malutko, jak w każdym potoku, ale nic nawet w przybliżeniu tak dużego, jak medalion. – Jestem pewna, że tam go nie ma.

– Więc ruszamy w górę rzeki – decyduje. – To bystry chłopczyk. Jako czterolatek wiedziałbym, że muszę uważać na rzekę i ruchome piaski. Odjedziemy kawałek, potem zawrócimy w głąb łądu, aż do kolejnego szlaku albo potoku i zawrócimy do obozowiska. Jakbyśmy odcinali kawałki placka.

Rozsądne.

– Jak wielkiego placka?

– Tak wielkiego, jak daleko zdoła ujść czterolatek. Opowiadałem ci, jak postanowiłem sam iść do miasta po tym, jak moja mama odeszła?

– W życiu o tym nie słyszałam.

– Miałem wtedy tylko pięć lat, ale byłem już w połowie drogi, minąłem stary młyn. Siedziałem na poboczu, gdy znalazł mnie twój tatko i zawiózł do domu.

– Tatko cię szukał? – Coś, czego do tej pory o nim nie wiedziałam, jest jak

łyk wody na pustyni.

– Nie pamiętam, czy szukał mnie konkretnie, czy akurat tamtędy przejeżdżał. Chodzi mi o to, że zdeterminowany mały chłopiec może zawędrować dalej, niż się nam wydaje.

– Kiwam głową.

– A więc w górę rzeki.

Psy ruszają przodem, radośnie wymachując ogonami, choć wiem, że są równie zmęczone jak ja. Właśnie dlatego lubię psy. Cieszą się, ilekroć mogą pomóc swoim ludziom.

– Andy! – Krzyk Jeffa wyrywa mnie z zadumy.

– To my, Lee i Jeff! – dodaję. – Wracaj do domu!

– A jeśli jest ranny i nie może nam odpowiedzieć?

– Musimy zaglądać do wszystkich rozpadlin, pod każdy krzak.

– Jeśli się rozdzielimy, pójdzie nam szybciej.

– Nie!

Dziwi go moja stanowcza odpowiedź. Ale Jefferson mógłby przejechać kilka metrów od Andy'ego i go nie zauważyć, jeśli mały skulił się pod krzakiem. Za to ja nie. Wyczuję go w ciemności, jeśli znajdę się wystarczająco blisko.

– Dwie pary oczu są lepsze niż jedna – tłumaczę, choć wiem, że to kiepski argument. Wpadam na inny, lepszy, i nie wiem, czy chcę go użyć, ale słowa płyną same. – A poza tym, Jeff, nie zniósłabym, gdyby i tobie coś się stało. Nie spuszczę cię z oka tak daleko od obozowiska.

– Ja... dobrze.

Przez mniej więcej godzinę wędrujemy zygzakiem wzdłuż rzeki Platte. Robi się coraz zimniej. W oddali przemykają się kojoty. Dwukrotnie psy odbiegają, zaintrygowane czymś pośród traw, ale wracają na wołanie. Płoszymy stadko antylop u wodopoju. Ale Andy nie odpowiada i kiedy dojeżdżamy do odnogi zbyt głębokiej, by sam ją pokonał, zawracamy i zaczynamy kroić placek.

Pierścień wozów znowu jest w zasięgu naszego wzroku, ale nie Andy. Jedyne złoto, jakie wyczuwam, to ukryty skarb Hoffmanów. Przywykłam już do jego ciężaru. Psy mijają nas, wracają do obozowiska, ale przywołujemy je i wyruszamy na prerię.

– Tom już tędy jechał – zauważa Jefferson. Tłumi ziewanie.

– Wszędzie już jechaliśmy – odpowiadam. – Sprawdzimy jeszcze raz.

Zwiesza bezradnie ramiona, pochmurnieje. Jeśli powie teraz, że chce się

zdrzemnąć, a rano zaczniemy znowu, jestem gotowa się zgodzić.

A on tylko zjada kawałek chleba kukurydzianego od Therese, upija łyk wody, porusza barkami i prowadzi nas z powrotem w noc.

Idziemy korytem wyschniętego potoku, który przecina wzgórze. Jest na tyle głęboki, że nie widzimy ognisk w naszym obozowisku. Czuję, że to dobry trop, że to miejsce, które mogłoby zaintrygować małego chłopca. Podążamy tym korytem wiele mil, aż wiem, że jesteśmy już za daleko. Pociągam nosem i czuję zapach wilgoci. Gdyby rozpuściła się burza, lada chwila zalałaby nas woda.

– Co masz do Hoffmanów? – pyta nagle Jefferson.

– Ja? Nic.

– To jedyna rodzina, której nie odwiedzasz. Zaprzyjaźniłaś się ze wszystkimi innymi.

– Jest ich tylu, że nie potrzebują przyjaciół. – Ledwie to mówię, zdaję sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi. – Przepraszam, nie to miałam na myśli.

– Therese uważa, że jej nienawidzisz.

– Nawet jej nie znam.

– I dlatego uważa, że jej nienawidzisz. Obchodzisz łukiem ich wóz. Jest przekonana, że to ze względu na jej akcent albo dlatego, że nie lubisz Niemców. Powtarzam jej, że to bzdura. Bo to jest bzdura, prawda?

– Ja... – Nie chodzi o to, że unikam jej – unikam ich dwojga razem. Nie mogę tego znieść. – Przyjaźnię się z tym, z kim mi się żywnie podoba. Nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

Milczy przez dłuższą chwilę, a później:

– To nie w twoim stylu, Lee. Nie jesteś taka.

– Nie ma w tym nic złego czy dobrego. Ja po prostu...

– Ci z Missouri nie odzywają się do mnie, bo jestem półkrwi Indianinem. Wielbny Lowrey nie pozwalał żonie przyjaźnić się z panią Joyner, bo to metodystka. A pani Joyner nie przepadała za tobą przez dłuższy czas, bo miała cię za uciekiniera i obawiała się, że masz zły wpływ na jej dzieci. Więc jaki masz powód, żeby trzymać się z daleka od Therese?

– Ja... Ja nie... – Wzdycham. Czasami najlepszy przyjaciel, który widzi wszystko tak wyraźnie, to najgorsze, co się może zdarzyć.

– Therese jest miła. Polubiłabyś ją.

Jestem gorsza niż Frank Dilley.

– Przepraszam, Jeff. Myślałam, że... daję ci wolność, chyba o to

mi chodziło. Że pozwalałam ci z nią być. Wiem, że ci się podoba.

Milczy.

– Masz rację – dodaję. – Wiem o tym. Ona naprawdę jest miła. Przecież przyniosła nam chleb kukurydziany.

– Dzięki, Lee. Ale...

– Cicho. – Unoszę rękę. – Coś słyszę.

– Ale co? Co takiego?

Nie tyle słyszę, co wyczuwam. Łaskotanie w gardle.

– Nie wiem. Chodźmy dalej.

Tym wąwozem jechały też inne tabory. Mijamy pęknięte koło, zagrzebane w błocie. Nieco dalej pustą baryłkę. Wygaszone ogniska.

– Nic nie słyszę – zauważa Jefferson.

– Już blisko. – Zsiadam, prowadzę Peonię za lejce.

– Ale co? – Słyszę frustrację w jego głosie.

– Szukam śladów – mówię, zgięta wpół. – Kroków, czegoś, co mu wypadło.
– Złoto mruczy mi w uszach jak kot.

Przed nami leży przewrócony wóz. W nocy wydaje się biały, jak szkielet. Żebra obręczy wyrastają z kolebki. Złotowidzenie każe mi iść tam, bliżej Andy'ego...

Zatrzymuję się w odległości stu stóp.

Medalion jest już bardzo, bardzo blisko, ale nie widzę miejsca, w którym mógłby się ukryć mały chłopczyk. Zwalniam, poruszam się coraz wolniej, dziesięć stóp. Pięć.

Osuwam się na kolana.

Medalion leży na ziemi, wciśnięty w trawę. Widzę przerwany łańcuszek. Andy'ego nigdzie nie widać.

– Czy to...? – zaczyna Jefferson.

– Tak.

– Ty to masz wzrok! Nie dostrzegłbym go w tych ciemnościach, choćby mi dyndał przed nosem!

– Miałam szczęście. – Nieprawda. Nie ma tu Andy'ego. Nie wiem, co teraz. Ogarnia mnie rozpacz.

– Musi gdzieś tu być – zauważa Jefferson.

Ruch w trawie zwraca moją uwagę. Wokół zepsutego wozu pojawiają się trzy sylwetki. Kojoty. Chyba gdzieś tu mają legowisko. Psy kładą uszy po sobie i warczą gardłowo.

- Nugget, Coney, spokój.
- Coś jest pod wozem – mówi Jefferson.
- Legowisko kojotów.
- Może. Coś się tam rusza. – Podchodzi bliżej.

Pewnie tylko szczenięta z wiosennego miotu, ale na wszelki wypadek sięgam po strzelbę i w ślad za Jeffersonem zbliżam się do wozu. Kojoty nadstawiają uszu, ale nie ruszają się z miejsca.

– Andy!

Cichy szloch w odpowiedzi.

– Groszku, wystrzelę teraz. Nie bój się. – Unoszę strzelbę i strzelam w ziemię, blisko jednego z kojotów. Rozpierzchają się. Psy rzucają się za nimi. Nie odwołuję ich. Na wszelki wypadek ponownie nabijam strzelbę.

– Nie mieści mi się w głowie, że spudłowałaś – zauważa Jefferson.

– Skąd wiesz, że spudłowałam? – odpowiadam. – Na dzisiaj mam dość zabijania.

Spod wozu wystaje goła stópka. Jefferson kiwa głową i podchodzi bliżej.

Boże, oby wszystko było w porządku.

– Andy? To my, Lee i Jeff – zacynam. – Chcemy ci pomóc.

To jedyne ostrzeżenie. Jefferson chwytą Andy'ego za nogę i wyciąga spod wozu. Mały wrzeszczy, młóci piąstkami, atakuje go. Jefferson z całej siły przyciska go do piersi i szepcze kojąco, a mały wyje, drapie go paznokciami.

– Podaj mi manierkę – prosi Jefferson.

Andy jest cały ubłocony, cuchnie moczem. Podsuwam mu manierkę. Przestaje płakać. Pije chciwie, wielkimi haustami, jak zdziczały psiak. Za dużo, za szybko może wywołać mdłości, więc odsuwam manierkę.

– Lee – szepcze. Traci całą wolę walki. Wtula się w pierś Jeffersona. – Dlaczego odjechaliście beze mnie?

– Nie odjechaliśmy – zapewnia Jeff. – Jesteśmy tutaj. – Głaszcze go po główce, aż robi mi się jakoś dziwnie.

– Gdzie ma? – pyta cicho mały.

Biedaczek tak pobłądził, że uznał ten wóz za część naszego taboru. Ukrył się, bo nie wiedział, gdzie pójść.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjmuję medalion z kieszeni i podaję mu.

Oczy zachodzą mu łzami.

– Zepsułem go.

– To tylko łańcuszek. Naprawimy.

Trzepocze rzesami, patrzy na mnie, jakby perspektywa naprawienia łańcuszka wydawała mu się największym cudem świata.

– Dobrze się spisałeś, pilnując go. Rano razem go naprawimy, co ty na to? A tymczasem schowaj go do kieszonki. – Wsuwam medalion w pulchną łapkę.

– Dobrze, Lee.

Jefferson przygląda mi się zmrużonymi oczami. Patrzy to na medalion w dłoni Andy’ego, to na mnie.

– Wracajmy do mamy – mówię szybko.

Wołam psy. Wracają z wywieszonymi językami, rozbrykane, jakby to była przechadzka dla przyjemności. Wskakuję na siodło. Jefferson chce mi podać małego, ale Andy zarzuca mu ręce na szyję.

– Chciałbym pojechać z Jeffersonem – mówi.

– Nie ma sprawy, smyku – odpowiada Jeff. Udaje mu się wsiąść na karą klacz z chłopcem w ramionach.

Choć jest środek nocy, w obozowisku płoną ogniska. Połowa wędrowców zamiast spać, popija kawę. Strażnik unosi strzelbę, ale rozpoznaje nas i zaraz opuszcza broń.

– A niech mnie! – mówi. – Znaleźli go! Znaleźli dzieciaka!

Zbiega się cały obóz. Nie możemy nawet zsiąść z koni. Pani Joyner idzie przez tłum, który rozstępuje się przed nią jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Andy wyciąga do niej ręce, zsuwa się z siodła Jeffersona prosto w jej ramiona. Wczepiają się w siebie jak kleszcz w konia. Nawet pan Joyner człapie w naszą stronę, z małą Olive u boku. Ze wszystkich stron zasypują nas pytania i serdeczne gratulacje.

– Mnie nie dziękujcie – zastrzega Jefferson, bo to do niego skierowane są pytania. – To Lee go znalazł.

Nie ma pojęcia, jak bliska byłam rezygnacji, gdy w końcu znalazłam medalion z zerwanym łańcuszkiem.

– Zrobiliśmy to razem.

– To wszystko jej... – zerka na mnie – jego zasługa. Lee nie dawał za wygraną, choć ja chciałem już wracać. Uparł się, że nie spoczniemy, póki go nie znajdziemy.

Odpowiadamy na kolejne pytania, opisujemy wóz, koleinę, kojoty. Zanim dobrniemy do końca, każdy mężczyzna z naszego taboru zdążył do nas podejść, uściskać nam ręce, powiedzieć coś miłego. Każdy poza studentami, ale nie

mam czasu się nad tym zastanawiać, bo oto zbliża się Frank Dilley z marsem na czole.

– Mieliście szczęście – rzuca.

– W Biblii napisano, że szukajcie, a znajdziecie – odpowiadam, bo nie chcę, żeby miał ostatnie słowo. – Szczęście ma ten, kto się o nie stara.

Szuka riposty, ale wyprzedza go pan Joyner. Kładzie mi i Jeffowi ręce na barkach.

– Nie wiem, jak wam dziękować, za wszystko, co zrobiliście dla mojej rodziny, nie tylko dzisiaj, ale podczas całej podróży...

U jego boku pojawia się pani Joyner z Andym na rękę i Olive za spódnicą.

– Nie sposób nie dostrzec w tym boskiej interwencji, odkąd po raz pierwszy spotkaliśmy się na barce w Chattanooga. – Patrzy mi prosto w oczy. Usta jej drżą. – Chciałam cię bardzo przeprosić za...

Słowa, że już wszystko w porządku, że między nami nie ma żadnych niesnasek, nie przechodzą mi przez gardło.

– Cieszę się, że mogliśmy pomóc. Andy to dobre dziecko.

Pan Joyner otacza ramieniem barki żony. Chyba po raz pierwszy okazuje jej czułość.

– Mówcie otwarcie, jeśli możemy coś dla was zrobić.

– Oczywiście – mamroczę.

– Dziękujemy, proszę pana – dodaje Jefferson.

Odchodzą do swojego wozu, a do nas, jako ostatni, podchodzi wielebny Lowrey. Z całej siły ściska mnie za rękę. Wyczuwam odciski na jego dłoni.

– Słyszałem, co mówiłeś do pana Dilleya, Lee. Nie wiedziałem, że tak gorąco wierzysz.

Na darmo staram się oswobodzić dłoni.

– Bo tak nie jest.

– Szukajcie, a znajdziecie – mówi z bladym uśmiechem. – „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła”². Tego wieczora wszyscy cieszymy się z wami.

Ma podkrążone oczy, ziemię na butach i rękawy zakasane do łokci. Przez całą noc kopał grób żony. Moja radość z powodu odnalezienia Andy’ego znika

jak kropla wody na rozgrzanej patelni. Zamiast cofnąć dłoń, serdecznie ściskam jego rękę.

– Tak mi przykro, wielebny.

– Niepotrzebnie – zapewnia z przejęciem. – Pan odbiera, ale Pan także daje. Odnalezienie tego chłopca to istny cud.

Odwraca się i w końcu możemy z Jeffersonem rozsiodłać konie i wytrzeć je starannie. Na wschodzie już świta. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd obudziło nas rozpedzone stado bizonów. Chętnie zjadłabym coś ciepłego, choć nie wiem, czy nie zasnę, zanim jedzenie się zagrzeje.

– Widziałaś, jak wszyscy na nas patrzą? – pyta Jefferson. – Jak na bohaterów.

Widziałam co innego – jak patrzy na niego Therese. No, ale chyba na to zasłużył.

– Dzięki, że ze mną pojechałeś.

– To oczywiste. Zrobiłabyś dla mnie to samo, gdybym cię o to poprosił.

To prawda.

Kładzie siodło pod wozem, myśli nad czymś intensywnie.

– Pan Joyner twierdzi, że możemy go prosić o wszystko, czego tylko zechcemy. Pewnie do jutra już o tym zapomni.

– Pewnie tak.

Zadajemy koniom owsa, poimy je świeżą wodą i rozkładamy posłania. Po raz pierwszy, odkąd wyjechaliśmy z Independence, zasypiam tak szybko, że nie wiem nawet, kiedy Jefferson kładzie się obok mnie.

– Ej, Lee.

Budzę się z głębokiego snu. Serce szamocze mi się w piersi.

Henry Meek pochyla się nade mną. Ma czerwone oczy i chyba po raz pierwszy w życiu zmierzwioną brodę.

– Przepraszam, że cię budzę, Lee – zaczyna. – Ale musisz iść ze mną. Jasper potrzebuje pomocy i upiera się, że to musisz być ty.

Rozdział 25

Jefferson mamrocze coś przez sen i odwraca się na drugi bok. Wstaję z trudem, ziewam i idę za Henrym. Pozycja słońca zdradza, że to już późny ranek. Przynajmniej trochę pospałam. Nie tylko ja zarwałam większą część nocy – w obozowisku panuje nietypowa cisza, gdy idziemy z Henrym do ich wozu.

Tom stoi na zewnątrz i ściska kapelusz w dłoniach.

– Przykro mi z powodu Ateny – mówię. – To była dobra krowa.

Zaciska zęby.

– Wszyscy lubili jej masło – mruczy. Nie patrzy mi w oczy. Ruchem głowy wskazuje wóz. – Jasper potrzebuje twojej pomocy.

Odsuwam plandekę, w środku jest ciepło i jasno. Pod płóciennym sufitem kołysze się lampa, niżej płoną dwie świece. To wszystko aż się prosi o pożar i już mam to powiedzieć, ale wtedy odejmuje mi mowę.

Jasper pochyla się nad pacjentem. Z majorem jest źle. Jest blady i rozpalony od gorączki. Ściągnęli mu spodnie, we flanelowych kalesonach rozcięli nogawkę do kolana. Bandaże na chorej nodze są brązowożółte – od krwi i ropy.

Przypomina mi się, jak Frank Dilley proponował, że skróci jego cierpienia.

– Ja... Nic tu po mnie – mówię, zanim mnie o cokolwiek poprosi.

Jasper chwyta mnie za rękę.

– Muszę amputować mu nogę, jeśli ma przeżyć. I ty mi pomożesz.

– Zawołaj Toma albo Henry'ego.

– Nie ma mowy – odpowiada Henry. – Mój ojciec jeden jedyny raz zabrał mnie na świniobicie. Zemdląłem na samym początku.

Tom kręci głową.

– Próbowałem, ale wymiotuję, gdy tylko poczuję ten zapach.

Wyrywam się z uścisku Jaspera.

– Zawołajcie Jeffersona. Albo pana Robichauda. Kogoś innego.

Major Craven wyciąga w moją stronę kościstą rękę. Mówi z trudem.

– Chcę, żebyś to był... ty.

– Uważa, że przynosisz mu szczęście – tłumaczy Jasper. – Sprowadziłeś

pomoc po szarzy bizonów. Uparłeś się i odnalazłeś dzieciaka Joynerów.

– Jesteś... błogosławieństwem – szepcze major.

W tej chwili czuję, że raczej przekleństwem.

– Nie ma znaczenia, czy to prawda. Chce, żebyś tu był, a spokojny, optymistycznie nastawiony pacjent ma o wiele większe szanse na przeżycie – szepcze Jasper tak cicho, że z trudem go słyszę.

– Och. – Nie sposób odmówić komuś, kto uważa, że ocalisz mu życie.

– Musimy zrobić to szybko – zaznacza. – Żeby resztki energii majora szły w gojenie się innych jego obrażeń. W tej chwili nie ma już czucia w palcach. Z rany ciągle płynie krew, choć ją zszyłem. Do tego wdała się infekcja.

– Szok może go zabić – szepczę.

– Słyszę was...

– I tak umrze – powoli, w męczarniach. Po amputacji ma szansę.

– Zgadzam się. Lepsza mała szansa niż...

Gula strachu podchodzi mi do gardła. Przełykam ją z trudem.

– Co mam robić?

– Asystować mi. Podawać narzędzia. Robić, co ci każę.

– Dobrze.

– Dziękuję. Idź się umyć. Wyszoruj ręce mydłem i gorącą wodą. Tom ci wszystko pokaże. Masz czystą koszulę na zmianę?

– Przecież będę cały we krwi! Niby dlaczego miałbym marnować czystą koszulę?

– Doktor Liston, ten lekarz, który wynalazł takie łupki, jakie założyłem majorowi, udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że czyste ręce i czyste ubranie oznaczają czyste rany, a to z kolei zmniejsza ryzyko infekcji.

Od wielu tygodni niczego nie prałam.

– Nie mam czystej koszuli.

– Weź moją – odzywa się Henry zza wozu. – Załóż na starą. Później upiorę.

– Dziękuję – odpowiadam z ulgą, wdzięczna, że nie muszę się przy nich przebierać.

– Zagotowałem wodę do mycia – włącza się Tom. – I mam świeży kawałek mydła.

Jasper patrzy na majora.

– Nie mam eteru. Będzie bolało – uprzedza.

Major zaciska oczy.

– Zróbże to w końcu.

Waham się przez chwilę.

– Joynerowie mają laudanum – mówię. – Pomoże?

– Bardzo. – Jasper kiwa głową.

– Zaraz wracam.

Zeskakuję na ziemię i biegnę do wozu Joynerów. Jefferson pochrapuje na ziemi. Zaglądam do środka.

– Pani Joyner? – szepczę.

– Lee? – odpowiada cicho. – Wszystko w porządku? – Ktoś mamrocze u jej boku. – Śpij, skarbie – mówi.

– Będziemy amputować majorowi nogę – mówię. – Jasper twierdzi, że tylko to może mu uratować życie. Możemy mu podać odrobinę laudanum?

Waha się przez chwilę.

– Potrzebuję go dla pana Joynera.

Najwyraźniej gorzej z nim, niż myślałam.

– W tej chwili bardzo by się przydało majorowi.

Ciche westchnienie. Słyszę szelest, odgłos najpierw otwieranego i zaraz potem zamykanego kufra.

– Proszę. – Wysuwa rękę spod plandeki, podaje mi małą buteleczkę zatkaną korkiem. – Przynieś to, co zostanie.

– Bardzo dziękuję. – Chwytam buteleczkę. Na etykietce, pod czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, jest podana dawka; jedna kropla dla trzymiesięcznego dziecka. Ale chyba coś, co nadaje się dla maluchów, nie jest bardzo szkodliwe?

Wracam do studentów i podaję buteleczkę Jasperowi.

– Alleluja – mruczy i wyjmuję korek. – Dobrze, majorze, dwa łyki, ale nie więcej, bo wtedy noga będzie pana najmniejszym zmartwieniem. – Unosi ją do jego ust, tak, żeby mógł się napić. – Muszę umyć ręce. Zaraz wrócimy i ani się pan obejrzy, będzie po wszystkim.

Zeskakujemy z wozu. Tom przygotował już umywalnię, są mydło, ręczniki i gorąca woda. Zdejmuję kapelusz, obmywam twarz, żeby się obudzić. Jasper szoruje ręce. Idę w jego ślady.

– Pomyśl o San Francisco razem z nami, Lee – mówi, szorując ręce aż powyżej łokci.

– Niby dlaczego?

– Szukanie złota to ciężka harówka.

Chce mi się śmiać. Co on może o tym wiedzieć.

– Mówię poważnie. – Uśmiecha się. – Poszukiwacze złota ciężko harują, a potem bardzo łatwo wszystko przepuszczają. Równie dobrze mogą nim płacić właśnie nam. Poza tym widziałem, jak nieraz patrzysz na Jeffersona. Jesteś taki jak my. Wyszoruj dokładnie, też pod paznokciami. Tam kryje się najwięcej brudu.

– Mówisz jak moja mama – zauważam, ale starannie szoruję paznokcie, każdy po kolei, aż lśnią. – Co masz na myśli, mówiąc, że jestem taki jak wy?

– Jesteś zatwardziałym kawalerem. San Francisco to nowy świat, więcej tam pieniędzy niż prawa. I to jest nasze miejsce. Tam będziemy żyć tak, jak nam się żywnie podoba, i nikt nie będzie się wtrącał.

Obserwuje mnie bacznie, czeka na moją reakcję.

– Ja... – Tom i Henry też mi się przyglądają, czekają, co powiem.

Jasper chyba ufa mi całkowicie, skoro zdobył się na taką szczerość. Albo może już tak jest, że tajemnice sprawiają, że ludzie czują się tak samotni, że w końcu chcą komuś zaufać.

– Chcesz się kiedyś ożenić? – pyta.

I nigdy nie mieć nic własnego?

– Nie, na Boga, ale...

Zaciskam usta. Rozwazałam przecież małżeństwo z Jeffersonem. Wszystko przez te głupie oświadczenia, których pewnie teraz żałuje.

– Czyli jesteś zadeklarowanym kawalerem? – upewnia się.

Serce wali mi jak oszalałe. Jasper domyśla się, że coś ukrywam; po prostu nie wie jeszcze, co takiego. Może mogłabym mu zaufać. Może i ja jestem tak samotna, że chcę zaryzykować.

Major jęczy rozpaczliwie i nagle zdaje sobie sprawę, że Jasper chce oderwać moje myśli od tego, co nas czeka.

– Musimy działać szybko – uprzedza. – Doktor Liston potrafi amputować nogę w dwie i pół minuty. Nie uda mi się tak szybko, ale czas ma kluczowe znaczenie. Im szybciej to zrobimy, tym większe szanse powodzenia.

Dobrze, że nie jadłam jeszcze śniadania.

Henry wraca ze swoją najlepszą koszulą. Zgodnie z instrukcjami Jaspera unoszę ręce. Henry zakłada mi ją przez głowę, więc nawet jej nie dotykam. Ponieważ jest ode mnie o wiele wyższy, zwisa na mnie do kolan.

Odsuwa się, mierzy mnie wzrokiem, unosi pytająco brwi. Jasper także mi się przygląda; na jego ustach błąka się delikatny uśmiezek.

Serce nagle wali mi jak stado pędzących bizonów. Powstrzymuję odruch,

by sprawdzić, czy szal mamy się nie rozwinął i nie widać mi piersi.

– To teraz... Do wozu, tak?

– Tak, oczywiście. – Jasper wsiada pierwszy. Jestem tuż za nim. Tom pomaga nam wejść, trzyma za łokcie, żebyśmy się nie ubrudzili. W środku właściwie nie ma już miejsca – nasza trójka i major na posłaniu.

– Trzymaj się prawej strony, zostań przy głowie majora – instruuje Jasper. – Przygotowałem już narzędzia: nóż, piła, ręczniki, igła. Podawaj, o co poproszę, ale innych rzeczy nie dotykaj. Gdyby major się rzucił, trzymaj go.

– Nie będę się rzucił – mamrocze major. Dzięki laudanum nie cierpi aż tak strasznie. Oby to był dobry znak.

– Najpierw przywiążemy mu ręce. – Jasper krępuje majorowi nadgarstek i przywiązuje do nitu w podłodze. Daje mi znak, że mam zrobić to samo.

– Jak ciasno? – pytam.

– Na tyle luźno, żeby nie przerwać krążenia, ale na tyle mocno, żeby nie walnął mnie w nos, kiedy dotrę do kości. Strasznie szkoda, że nie mamy skórzanych pasów. Po wszystkim będzie miał bardzo otarte nadgarstki.

Spełniam polecenia Jaspera, a on szybko krępuje zdrową nogę majora. Chorą układa na drewnianej skrzynce. Serce wali mi jak oszalałe, jakby to mnie miał kroić.

– Zaciśnij to w zębach. – Podaje majorowi kawałek drewna owinięty skórą. Craven odwraca głowę.

– Tylko nie tnij za wysoko – burczy. – Co nieco mi się chyba jeszcze przyda.

– Poniżej kolana – obiecuje Jasper. Wsuwa drewnienko między zęby majora. – Teraz założę zacisk na nogę. Poczujesz szczypanie, ale muszę to zrobić jak najciaśniej.

Major kiwa głową.

Jasper działa szybko i sprawnie.

– Gotów?

Major zaciska powieki i kiwa ponownie.

– Niech Bóg ma ciebie – i nas wszystkich – w swojej opiece – mruczy Jasper. – Nóż.

Podaję mu nóż myśliwski, rękojeścią do niego, a potem wbijam wzrok w twarz majora, żeby nie patrzeć na to, co dzieje się poniżej. Oczywiście, oprawiałam w życiu jelenie, ale major to człowiek, i do tego żywy.

Krzywię się, słysząc, jak ostrze wchodzi w ciało. Major zaciska zęby

i sapie z bólu. Napina ramiona, chce się podnieść.

– Trzymaj go! – warczy Jasper.

Przyciskam mu barki do posłania, aż przestaje walczyć.

– Piła – mówi Jasper. Przytrzymuje zakrwawiony nóż zębami. Podaję mu piłę. Zgrzyt ostrza o kość sprawia, że włosy na karku stają mi dęba.

Major dyszy ciężko. Spod zaciśniętych powiek płyną łzy.

– Świetnie pan sobie radzi – zapewniam, choć nie mam pojęcia, czy to prawda.

Piłowanie ciągnie się w nieskończoność, kościany pył unosi się w wozie, wypełniając powietrze zapachem podobnym do woni mokrego psa. Major rzuca głową na boki, krzyczy, chce kopać chorą nogą.

– Trzymaj go! – Jasper wypluwa nóż. – Trzymaj go, bo inaczej nie skończę!

Chwytam majora za udo, przyciskam do posłania. Jasper znowu zaczyna piłować. Odwracam głowę, gdy z ust majora wydobywa się dziwny dźwięk. Jasper sięga po nóż, zostało jeszcze kilka cięć. Nie mogę na to patrzeć. Noga z głuchym łoskotem spada na posłanie.

– Igła – mówi. Jedną ręką trzymam udo, choć major już nie wierzga, drugą podaję mu igłę. Już nawleczoną katgutem, specjalną nicią z jelita. – Tnij, kiedy ci powiem.

Chwytam nożyce i czekam. Ciasne wnętrze wypełnia teraz zapach świeżej krwi – lepsze to niż gnijące ciało i kostny pył. Major leży nieruchomo jak martwy. Przyglądam się uważnie i kamień spada mi z serca, gdy widzę, jak jego pierś unosi się w oddechu.

– Tnij – rzuca Jasper.

Spełniam polecenie.

– Ręcznik.

Podaję mu czyste ręczniki. Układa je wokół kikuta. Ostatnim wyciera ręce, wyjmuję drewnienko spomiędzy zębów majora i słucho tętna.

– Cóż, na razie żyje – mówi. – Świetnie się spisałeś.

– Dzięki. – Właściwie nic nie zrobiłam, trzymałam go tylko i starałam się nie zwymiotować.

Zeskakujemy z wozu. Henry podaje nam dzbanek czystej wody. Tom stoi z boku z zegarkiem.

– Pięć minut i dwadzieścia siedem sekund – oznajmia. – O wiele dłużej niż Liston.

Henry uśmiecha się blado.

– Ale nieźle jak na pierwszy raz.
– Pierwszy raz? – powtarzam. – Zdawało mi się, że jesteś lekarzem!
– Mówiłem, że chcę być lekarzem. – Jasper kolejny raz myje ręce. Na jego twarzy maluje się tryumf. W jego wozie leży półżywy mężczyzna, a on uśmiecha się od ucha do ucha. – To właśnie jest najwspanialsze w Kalifornii – każdy może tam być, kim chce.

Ściągam białą koszulę i podaję Henry’emu.

– Cóż, jeśli przeżyje, naprawdę jesteś lekarzem.

– A ty kim chcesz być, Lee? – pyta Jasper. Euforia na jego twarzy każe mi podejrzewać, czy ukradkiem nie łyknął sobie laudanum, ale z drugiej strony patrzy na mnie znacząco, badawczo, jakby oczekiwał odpowiedzi, na którą jeszcze nie jestem gotowa.

– Teraz? Chcę się wyspać.

Wszyscy trzej parszczą śmiechem.

– Zdajesz sobie sprawę, że dzisiaj pomogłeś uratować dwoje ludzi? – mówi Jasper.

– A jeśli zaraz się nie położę, sam umrę.

Widzę, że Jasper chciałby dłużej porozmawiać, jest pobudzony tym, czego dokonał, i wcale mu się nie dziwię, ale ledwo trzymam się na nogach. Żegnam się i odchodzę.

Jefferson śpi pod wozem Joynerów. Układam się obok niego, ledwo żywa ze zmęczenia, ale nie mogę zasnąć. Myślę o żonie wielebnego, o małym Andym, który się zgubił, o moim braciszku, o majorze, o krowie Atenie. Ale wszystko to przysłania przerażająca świadomość, że studenci domyślają się, że jestem dziewczyną. I wcale nie byli z tego powodu źli.

Kiedy rano się budzę, major żyje. Nie umiera tego dnia. Ani następnego.

Rozdział 26

Wraz z latem przychodzi palące słońce i gorące wiatry. Horyzont mieni się złoto, trawy kołyszą się, suche, pełne nasion. Nad nami ciągnie się nieskończone, błękitne niebo. Ci z Missouri powtarzają, że zbliżamy się do gór, i rzeczywiście szlak unosi się, niezauważalnie, póki nie zatrzymać wozu – wtedy, jeśli nie zaciągnie się hamulca, widać, jak zaczyna staczać się w tył. Przez wiele tygodni pokonujemy codziennie spore odległości. Trzeciego lipca mamy za sobą dwadzieścia mil od rana.

Frank Dilley jest tak zadowolony, że zarządza pół dnia odpoczynku, żeby uczcić Dzień Niepodległości. Najpierw jednak wyruszamy jeszcze przed wschodem słońca.

- Pojadę z Hoffmanami – oznajmia Jefferson, gdy wsiadamy na konie.
- Och. – Taki piękny dzień, cieszyłam się, że pojedziemy razem. – Dobrze.
- Pojedziesz ze mną?
- Ja... Tak.

Żołądek ściska mi się boleśnie, gdy podjeżdżamy do ich wozu. Zdaję sobie sprawę, że niesprawiedliwie oceniłam Hoffmanów, i nie wiem, jak to teraz naprawić. Ale Therese na mój widok uśmiecha się od ucha do ucha i woła radośnie:

- Lee! – I już załatwione.

Paple bezustannie, aż nas uszy bołą, o tym, jak mały Otto wsadził rękę do nory pieska preriowego i nie mógł jej wyjąć, o tym, że jeden z Missouri ciągle gwizdże znacząco, gdy ją mija, i o tym, jak mała Doreen znalazła wczoraj myszkę w swoim pośłaniu i piszczała jak zarzynany prosiak.

Kiedy widzę ich dwoje razem, coś kłuje mnie w sercu – tak beztrósco się razem śmieją, a Therese idzie obok karej klaczy z dłonią na strzemieniu – albo na bucie Jeffersona. Ale Jeff ma rację – jest równie serdeczna, co ładna i nie daje po sobie poznać, że uważała, że jej nie lubię. I choć co chwila zerka na Jeffa, mam do siebie żal, że tak długo schodziłam jej z drogi. O przyjaciół niełatwo i zmarnowałam mnóstwo czasu przez głupi upór.

Dochodzi południe. Pokonaliśmy osiem mil i dotarliśmy do małego potoku, właściwie strumyka. Jeszcze tydzień suszy i zostanie z niego suchy rów. Błoto

na obu brzegach jest rozjechane głębokimi koleinami – dowód, że przed nami podążał tędy niejeden tabor.

Rozbijamy obóz, choć słońce świeci jeszcze wysoko na niebie. Dzisiaj będziemy ucztować i wszyscy biorą udział w przygotowaniach. Jeffersonowi udaje się złowić kilka pstrągów. Ci z Missouri dzielą się kawą – jeszcze tylko oni mają prawdziwą kawę. Pani Hoffman smaży stertę podpłomyków i podaje je z najprawdziwszym dżemem porzeczkowym, który jak mówi, trzymała na specjalną okazję. Kiedy studenci zdradzają, że ich wkładem będzie butelka whisky, spodziewam się, że wielebny Lowrey zaraz wygłosi kazanie o opłakanych skutkach pijaństwa, on jednak tylko uśmiecha się promiennie i wychwala umiar w spożyciu alkoholu, czego najlepszym przykładem jest Syn Boży, który zamienił wodę w wino.

Tylko Joynerowie trzymają się z daleka. Pani Joyner jak zwykle nakrywa do stołu, rozkłada na nim obrus w kratę i drogą porcelanę. Jest już w zaawansowanej ciąży, porusza się powoli, często odpoczywa, ale i tak pilnuje, żeby obrus leżał gładko, bez żadnego zagniecenia, jakby jedna fałdka oznaczała koniec świata.

Piecze bochenek zakalcowatego chleba, moczy groch w kociołku nad paleniskiem. Zerkamy na siebie z Jeffersonem i w milczeniu postanawiamy iść na kolację do Hoffmanów. Może dostaniemy coś za pstrąga, którego złowił Jeff.

Oddalamy się już, gdy woła za nami:

– Poczekajcie!

Znika we wnętrzu wozu, szuka czegoś, na coś wpada. Mówi coś cicho do pana Joynera, który od dwóch dni nie wychyla nosa z wozu, choć nikt nie ma pojęcia dlaczego. Oby to nie oznaczało nawrotu cholery.

Pani Joyner wyłania się spod plandeki, niosąc dwa zabezpieczone woskiem słoiki ze złotożółtą zawartością.

– Brzoskwinie – mówi. Jeden stawia na stole, drugi mi podaje. – Przekaż je, proszę, Hoffmanom, z najlepszymi życzeniami ode mnie.

Ślinka napływa mi do ust, a w oczach zbierają się łzy, bo na myśl o brzoskwiniach przypomina mi się mama i tęsknię za nią tak bardzo, że aż boli. Uchyłam kapelusza i mamroczę słowa podziękowania.

W naszym taborze nikt nie ma placków, bułeczek, mleka czy masła. Od wielu miesięcy nie jedliśmy świeżych owoców czy warzyw. Ale i tak mamy prawdziwą ucztę, wędrujemy od wozu do wozu i każdy dzieli się tym,

co ma, aż wszyscy pękamy z przejedzenia.

Kiedy zachodzi słońce, robimy miejsce w pierścieniu wozów. Dwaj z Missouri przynoszą skrzypki, ale pan Robichaud bije wszystkich na głowę, prezentując swoje – z drewna orzechowego, starannie wypolerowane, o czystym dźwięku. Gra pięknie i wszyscy śpiewamy „Hail Columbia” i „My Country 'Tis of Thee”. Ja też nucę pod nosem, ale cichutko, żeby nie zdradził mnie wysoki głos.

A potem przychodzi pora na tańce i choć nigdy za tym nie przepadałam, nagle okazuje się, że właściwie trzeba tylko kręcić się w kółko i stukać obcasami. Tańczę najpierw z Andym, potem z Olive i kiedy Jefferson prosi mnie do tańca, już mam mu odmówić, ale widzę, że ci z Missouri tańczą ze sobą i nikt nie zwraca na nich uwagi, więc ruszamy w tany.

Jefferson zna się na tańcach mniej więcej tak samo, jak ja. Wpadamy na siebie, deptamy sobie po palcach i śmiejemy się tak bardzo, że aż nas brzuchy bolą. Potem prosi do tańca Therese, a jeszcze później robię to ja. Potem prosi mnie Jasper, ale w połowie naszych wygibasów muzyka cichnie i wszyscy stajemy jak wryci.

Major Craven wygramolił się z wozu o własnych siłach. Kuśtyka w naszą stronę, opierając się na drewnianym kijku owiniętym szmatami, jak na kuli. Pusta nogawka kołysze się dziwnie, na jego czole perlą się krople potu, ale uśmiecha się szeroko, jakby to był najpiękniejszy dzień jego życia.

Od amputacji nie opuścił wozu, chyba że za potrzebą, a i wtedy zawsze towarzyszył mu Jasper. Czuje na sobie nasz wzrok, marszczy brwi, a potem ryczy na całe gardło:

– Nie do wary, żeście zaczęli świętować beze mnie!

Krzyczę z radości, inni mi wtórują i nagle wszyscy entuzjastycznie klepią go po plecach. Pan Robichaud gra „For He's a Jolly Good Fellow” i wszyscy śpiewamy na całe gardło.

Tylko Frank Dilley nie.

Major Craven widzi Franka, wyplątuje się z naszych objęć i kuśtyka do niego.

– Dobrze widzieć cię na nogach, Wally – mówi Frank, ale cały czas ma splecione ręce na piersi i zimny wzrok.

Major ciężko opiera się na kuli, podnosi rękę, chwyta Franka za bark.

– Dzięki, że objąłeś przywództwo, Frank. Dobrze się spisałeś.

Frak kiwa głową, ale milczy.

– Miałbym prośbę – ciągnie major. – Mógłbyś dalej nas prowadzić? Ja jeszcze nie jestem w formie.

Frank w końcu wyciąga do niego rękę.

– Jasna sprawa, Wally.

Wszyscy oddychamy z ulgą. Skrzypce znowu zaczynają grać.

Słońce zachodzi nad terenem, który pokonamy jutro, muzyka stopniowo cichnie, jej miejsce zajmuje szcęk szorowanych naczyń. Oddalam się w mrok, żeby zająć się sobą i myślę, że to był najpiękniejszy czwarty lipca w moim życiu. Mniej więcej ćwierć mili od obozu to czuję – łaskotanie w gardle, które narasta, aż przypomina bzyczenie komarów u nasady czaszki. Koncentruję się, szukam źródła, osuwam się na kolana pośrodku potoku. Przesiewam palcami piasek z dna. Nie bardzo widzę, co robię, ale też nie muszę zdawać się na wzrok.

Zalewa mnie ciepło, gdy w końcu ją znajduję. Pod palcami wydaje się, że to kolejny kamyczek, ale w duszy wiem, że tak nie jest. Wyjmuję ją z wody, podnoszę ku gwiazdom. Malutka bryłka złota, nie większa niż paznokieć na małym paluszku. Warta pewnie z dziesięć dolarów.

Uśmiecham się. Nie mogę się doczekać Kalifornii.

* * *

Wyjeżdżamy z Jeffersonem na prerię w nadziei, że coś upolujemy. Oczywiście bolą od słońca, choć od rana mam na głowie kapelusz.

– Widzisz tamtą górę? – Jefferson wskazuje półokrągły pagórek na horyzoncie. – To chyba to.

– Ale to ma być Independence Rock, czyli skała, a nie Independence Mountain, czyli góra – zauważam.

– Tu, na zachodzie, wszystko jest większe. Popatrz na mnie. – Prostuje się w siodle, wypycha pierś do przodu i zaraz parska śmiechem.

– Twoje ego urosło, to pewne. – Ale ma rację. Przybył mu co najmniej cal, ma teraz silniejszy kark i szersze barki. To nie ten sam chudy chłopak o kościstych kolanach, którego pamiętam z Georgii. Ja także się zmieniłam, choć nie przybyło mi wzrostu. Wiercę się niespokojnie. Z trudem powstrzymuję odruch, by sprawdzić szal pod koszulą. Coraz trudniej przychodzi mi ścisnąć piersi.

Jefferson pogania karą kłacz. Nie jestem w stanie zdobyć się na podobną

beztroskę. A przecież wszystko dobrze się układa. Major Craven jest w coraz lepszej formie. W forcie Laramie uzupełniliśmy zapasy. Handlowaliśmy z Indianami i do tej pory nie mieliśmy żadnych poważniejszych problemów, poza drobnymi kradzieżami – raz zabrano nam koc, raz trochę jedzenia czy strzelbę.

Frank Dilley prze na zachód, siedem dni w tygodniu, i dlatego zaledwie tydzień po czwartym lipca docieramy do Independence Rock. Prawie doganiamy inne tabory, choć wyruszyliśmy później.

Ja jednak cały czas nie mogę pozbyć się złego przeczucia, obawy, że coś się wydarzy i powinnam to przewidzieć.

– Oto Independence Rock, Lee – mówi Jefferson. – Jestem tego pewien. Czy nie wygląda jak kawałek Księżyca, który spadł na ziemię?

– Tak, w sumie tak.

Jest to wielka szara kopuła, tak wielka, że zmieściłoby się pod nią całe miasteczko Dahlonga. Wyrasta ze złotej równiny, jakby sam Pan Bóg upuścił wielką piłkę w błoto i zostawił ją zagrzebaną do połowy w ziemi. Tu, na zachodzie, wszystko jest większe. W związku z tym chyba powinnam poczuć się mniejsza, ale jest odwrotnie, ja też rosnę, ja i cały świat we mnie.

Dojeżdżamy do Independence Rock, zsiadamy z koni, puszczamy je luzem.

– Och! – Jefferson muska skałę opuszkami palców. W kamieniu wyryte są nazwiska i daty. Niektóre wykaligrafowano starannie, jak na lekcjach pana Andersa w naszej małej szkółce. Setki nazwisk. Nie, tysiące.

– Popatrz tylko, ile ludzi – mówi Jefferson. – Jak myślisz, jechali do Kalifornii po złoto?

– Nie. Zwróć uwagę na datę – William Shunn, 1846.

– A ten był tu dwa tygodnie temu.

– Jechali tędy też mormoni. I farmerzy w drodze do Oregonu. Ludzie od dawna mijają tę skałę.

Jefferson wyjmuję nóż i zaczyna ryc. Zaglądam mu przez ramię. Wybrał mały skrawek jak na tak długie nazwisko, między kilkoma innymi.

– Poczekaj – mówię. – Chciałabym... żeby nasze nazwiska były obok siebie.

Nieruchomieje, jak zając, który usłyszał krzyk sokoła.

– Dobrze. – Opuszcza nóż, patrzy mi w oczy, przesuwa wzrok na usta i w tej chwili oddałabym całe złoto Kalifornii, żeby wiedzieć, co mu chodzi po głowie.

Przełykam z trudem.

– Tutaj? – Wskazuję większy, nietknięty obszar.

– Jasne.

Wyjmuję własny nóż i też zaczynam ryc. Jefferson pracuje obok, ciszę przerywa jedynie zgrzyt ostrzy na kamieniu.

– Lee? Przepraszam, że wyjechałem.

– Co takiego?

– To mi nie daje spokoju. Twój rodzice dopiero co zginęli. Byłaś moją najlepszą przyjaciółką, przeżywałaś ciężkie chwile, a ja cię zostawiłem.

Przyciskam ostrze tak bardzo, że zaraz je stępię. Wieczorem będę musiała je porządnie naostrzyć.

– Sam byłeś w fatalnej formie. Nie miałam do ciebie pretensji, że wyjechałeś. Ani odrobinę.

– Naprawdę?

No cóż, może przez chwilę.

– Naprawdę.

– Tylko że... kiedyś sobie obiecałem, że nigdy czegoś takiego nie zrobię.

– Nie rozumiem. – I nagle przestaję ryc, bo przecież rozumiem. Jeffersona też ktoś kiedyś porzucił. – Obiecałeś sobie, że nigdy nikogo nie porzucisz tak, jak twoja mama... Byłeś ósmym bratem. Tym, który został.

– Byłem trochę zły. Po tym, jak prosiłem cię o... no wiesz.

– O rękę? – Milczy, a ja nie mogę powstrzymać się od złośliwości: – Czy może o to, że będziemy udawali rodzeństwo?

Krzywi się.

– Myślałem, że masz mnie dosyć.

– Wcale nie miałam ciebie dosyć. Po prostu dopiero zaczynałam poznawać samą siebie.

Prycha pod nosem.

– I co, znasz się już lepiej?

Opuszkami palca ścieram pył z wyrytych liter.

– Sama nie wiem, Jeff. Tu, w taborze, ludzie mnie lubią i szanują, i to bardzo miłe. Ale nie wiedzą, kim naprawdę jestem – i szczerze mówiąc, ja chyba też tego nie wiem. – Nie wiadomo dlaczego mój żołądek ściska się boleśnie. – Posłuchaj, jeśli chodzi o tamto, przepraszam, jeśli...

– Przestań już – przerywa mi. – Nie musisz za nic przepraszać.

– Ty też nie.

Zdażyłam wyryć LE. Waham się, co dalej.

Sięgam po medalion mamy, zanim sobie uświadomię, że już nie mam go na szyi. Przypominają mi się długie godziny, gdy razem szyłyśmy moją nową odświętną suknię. Przypomina mi się tamta chwila, gdy Jefferson mi się oświadczył, jako dziewczynie. Pochylam się i ryję: AH.

LEAH WESTFALL.

Nikt z naszego taboru nie zna tego nazwiska, ale dla mnie ma ogromne znaczenie.

Jefferson przerywa pracę i patrzy na moje dzieło. Kącik jego ust się unosi.

– A ty co napiszesz? – pytam. – Jefferson McCauley czy Jefferson Kingfisher?

– Jefferson McCauley Kingfisher – odpowiada zdecydowanie.

Wzdycham z komicznym przerażeniem.

– Będziemy tu siedzieć do nocy.

– Cóż, dobrze, że ta skała jest wielka jak góra.

* * *

Wspinamy się na szczyt i patrzymy za siebie, na szmat drogi, który pokonaliśmy. Szlak jest jak rzeka w morzu traw, ciągnie się daleko na wschód. Na południu i zachodzie wznoszą się góry. Z tej odległości to tylko błękitne cienie, niewyraźne, zamazane, niegroźne.

Zbliżają się wozy, na czele oczywiście ci z Missouri. Machamy radośnie. Odpowiadają tym samym. Robimy krótki postój, wiele osób ryje swoje nazwiska na skale, a potem ruszamy dalej.

Podjeżdżam na Peonii do wozu studentów. Jasper siedzi na koźle. Major Craven zajmuje miejsce u jego boku. Trzyma na kolanach szewskie kopyto, a w rękę ma podeszwę buta. Nie wiedziałam, że jest szewcem, nie wyobrażam sobie, jak może pracować, kiedy wozem rzuca na wszystkie strony.

– Jak tam, majorze? – zagajam.

Podnosi głowę znad kopyta.

– To był niezасłużony, krótkotrwały awans, zwłaszcza że już nie przewodzę tej ekspedycji. Mów mi Wally.

– Przepraszam, myślałem, że major to stopień wojskowy.

Śmieje się i wskazuje moje strzemiona.

– Naprawdę masz takie wielkie stopy? Bo jeśli nie, dopasuję ci te buty.

Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Do tego stopnia przyzwyczaiałam się do obtarć i odcisków, że właściwie już nie czuję dyskomfortu w butach tatki.

– Są w porządku. Nie chcę, żeby coś z nimi robiono. Ale dziękuję.

– Daj znać, jeśli kiedyś zmienisz zdanie.

– Stąd góry nie wyglądają tak strasznie – zauważam, chcąc zmienić temat.

– Około południa powinniśmy dotrzeć do Diabelskich Wrót. Kiedy je zobaczysz, zrozumiesz, o co chodzi, to wąski przesmyk między dwiema skałami, jak furka w ogrodowym murze.

– Dlaczego taka ponura nazwa?

– Dlatego że za nim zaczyna się droga przez mękę. Siarkowe źródła z wrzącą wodą. Wzniesienia tak strome, że wozy staczają się z powrotem w dół. Góry tak wysokie, że na szczycie nie ma czym oddychać. Rzeki bez wody i w każdą stronę pustynia, ciągnąca się przez trzy–cztery dni drogi.

Jefferson podjeżdża do mnie.

– Nie możemy jechać inną drogą?

– Nie. Jedyna trasa do zielonych pastwisk Oregonu i złotodajnych pól Kalifornii prowadzi przez piekło na ziemi.

Przewracam znacząco oczami. Od amputacji major posługuje się bardzo barwnym językiem, ciągle przesadza, przeklina i opowiada bajki. Przywołuje na myśl tatkę, tylko że jego opowieści nie nadają się dla kobiecych uszu.

– Możemy wspiąć się na górę i rozejrzeć po okolicy? – pytam.

– Pod warunkiem że pójdziecie beze mnie. – Major klepie się po kikutach.

– Świetny pomysł, Lee – rzuca Jefferson. Chcę się do niego uśmiechnąć, ale on już odjeżdża. – Zapytam, czy ktoś chce do nas dołączyć.

Mam ochotę zawołać, że nie, że mamy być tylko my dwoje, ale on już pyta Toma i Henry'ego, więc skręcam w stronę wozu Joynerów.

Powozu pani Joyner – rzecz nie do pomyślenia na początku podróży. Założyła fartuch na suknię, ścisła wodze między kolanami i jednocześnie poleruje ściereczką zegar z drewna orzechowego z mosiężnymi wykończeniami.

Jej męża nigdzie nie widać.

– Lee – mruczy pod nosem i poleruje ten zegar, jakby od tego zależało jej życie.

– Psze pani. – Uchylam kapelusza. – Przyszedłem zapytać, czy może pani albo pan Joyner chciecie się z nami wspiąć na Diabelskie Wrota, tu, nad rzeką.

Zapewne wspaniały stamtąd widok.

– Pan Joyner nie ma ochoty – odpowiada.

Nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałam, nie licząc rzadkich chwil, gdy dostrzegam go pod rozchyłoną plandeką wozu, kiedy razem z Jeffem pakujemy dobytek Joynerów. Obawiam się, że może wróciła cholera, ale wóz nie cuchnie tą chorobą.

– Może Olive i Andy chcą z nami iść? Nie spuszczę ich z oka. – Spodziewam się, że zaraz się zgodzi. Ostatnimi czasy stara się trzymać dzieci z dala od wozu – żeby pan Joyner mógł odpocząć, jak twierdzi – i korzysta z każdej okazji, by wysłać je do dzieci Robichaudów i Hoffmanów.

Olive idzie obok wozu ze szmacianą lalką w dłoni. Drugą trzyma brata za rączkę.

– Proszę, ma! – Włącza się.

– Ja też chcę! – wtóruje jej Andy.

Pani Joyner kładzie dłoń na wielkim brzuchu. Jeszcze trochę a będzie mogła rozkładać na nim obrus i serwować podwieczorek.

– Oczywiście. Pod warunkiem że oboje będziecie słuchać Lee.

Widzę Jeffersona pogrążonego w rozmowie z państwem Robichaud, więc idę do Hoffmanów. Olive i Andy drepczą za mną.

Państwo Hoffmanowie siedzą na koźle pierwszego wozu. Ona trzyma tamborek do wyszywania. Ku mojemu zdumieniu jej palce wcale nie wyglądają jak po bliskim spotkaniu z jeżozwierzem.

– *Guten Morgen, Herr Hoffman* – mówię.

– Dzień dobry – odpowiada z silnym niemieckim akcentem.

Therese wygląda z wnętrza wozu, wsuwa głowę między rodziców.

– Witaj, Lee!

– Chcesz wdrapać się z nami na Diabelskie Wrota? Zabieramy dzieciaki.

– Bardzo chętnie, jeśli mogę. *Bitte?*

– *Ja, ja* – odpowiada jej ojciec.

– *Danke*. – Therese całuje matkę w policzek, wspina się na kozioł, zeskakuje zwinnie.

– Zawsze zeskakuj z tyłu wozu, z dala od kół – poucza Jefferson. Podjeżdża do nas na koniu.

– Dobrze. – Therese peszy się na ułamek sekundy, ale zaraz znowu się rozpromienia. – Zapytam braci, czy chcą z nami iść.

Idzie obok Andy'ego i Olive. Zbliżamy się do drugiego wozu Hoffmanów,

którym powożą Martin i Luther, najstarsi chłopcy, dwunasto- i trzynastolatek. Już teraz są ode mnie wyżsi i podobni do ojca, jak on barczyści i jasnowłosi. Hałasy spod plandeki pozwalają się domyślać, że bawią się tam ich młodszy bracia, Carl i Otto.

Nigdzie nie widzę Doreen, która zazwyczaj idzie obok wozu. Ma pięć lat, jest najmłodsza z rodzeństwa, w tym samym wieku, co Olive. Dziewczynki się zaprzyjaźniły, choć pani Joyner uważa, że Doreen jest niewychowana.

– To nie jest mała dama – powtarza, choć nie pojmuję, jak pięciolatka może być damą.

Jadę na Peonii obok wozu, nagle dostrzegam Doreen i robi mi się słabo.

Mała siedzi na dyszlu między wołami. Czepek zsunął się jej na plecy. Luther i Martin zachęcają ją okrzykami, a ona podskakuje radośnie, jak na koniku na biegunach. Trzyma się na dyszlu tylko i wyłącznie siłą małych rączek. Wóz wjeżdża w koleinę. Chwieje się niebezpiecznie, ale zaraz odzyskuje równowagę.

– Doreen! – krzyczy Therese. – Co ty wyprawiasz?

Mała odwraca się, słysząc głos siostry. Przerzuca nogę przez dyszel, żeby zeskoczyć na ziemię, ale zaczepia kostką i przechyla się na bok.

– Ejże! – Krzykiem ponaglę Peonię.

– Zatrzymać wóz! – wrzeszczy Jefferson. – Natychmiast!

Peonia mi ufa, skacze w stronę wołów. Jesteśmy niedaleko Doreen. Wstaję w strzemionach, sięgam między wóz i woły, chwytam Doreen za sukienkę. Muskam ją opuszkami palców. Mała spada – a ja za nią. Uderzam barkiem w dyszel wozu i jednocześnie wreszcie chwytam jej sukienkę. Spadam na ziemię, tracę oddech, ale oplątam Doreen ramionami, zwijam się w kłębek, osłaniam ją własnym ciałem. Obie toczymy się na bok. Ziemia wypełnia mi usta, gdy przyciskam nas do podłoża. Dyszel przesuwa mi się nad głowę. Żelazne obramowanie koła zaczepia moją kurtkę, naciąga mi ją na głowę. Kurtka ciągnie mnie za sobą, żwir boleśnie wpija się w bok.

– Ej! – krzyczy Jefferson. Koła zwalniają i w końcu wóz staje, skrzypiąc niemiłosiernie.

Ani ja, ani Doreen nie możemy złapać tchu.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Patrzy na mnie wielkimi niebieskimi oczami i kiwa twierdząco głową.

Zamieszanie wokół nas. Ktoś biegnie, otacza mnie tuman kurzu. Jefferson woła mnie, Therese – Doreen.

– Możecie zsunąć wóz z mojego palta? – proszę. Mój głos brzmi dziwnie, jakby dobiegał z daleka.

Za wozem dostrzegam kolejne pary butów. Koła ruszają z miejsca, napięcie pod ramieniem ustępuje. Wypełzamy z Doreen spod wozu. Mała biegnie do ojca, który natychmiast bierze ją na ręce. Ma zadrapanie na policzku, ale poza tym jest cała i zdrowa.

Padają niezliczone pytania. Nie jestem w stanie ich zapamiętać.

– Nic jej nie jest – zapewniam przejęte twarze wokół mnie. – Chyba nic się jej nie stało.

– Nie chodzi o nią – mówi Jefferson z przerażeniem w oczach. – Tylko o ciebie.

Podążam za jego wzrokiem i patrzę w dół.

Wstyd wypełnia mnie jak woda parów po ulewie. Zaczęło się miesięczne krwawienie. Spodnie są czerwone od krwi zmieszanej z ziemią.

Nie, to nie to. Zataczam się. Jefferson rzuca się mnie podtrzymać. Jestem ranna. Nie pamiętam, kiedy to się stało, ale z prawą nogą coś jest nie tak i nagle wszystko spowija mgła.

– Jeff – szepczę. – Co się ze mną dzieje?

– Dawajcie Jaspera! – woła. – I to szybko!

Nie mogę oddychać, nie mogę ustać na nogach. Jefferson układa mnie na ziemi.

– Wszystko będzie dobrze, Lee – zapewnia. – Wszystko będzie dobrze, słyszysz?

Jak przez mgłę widzę tłum gromadzący się wokół mnie. Therese, pani Robichaud, Luther, kilku z Missouri. Rozstępują się, gdy zbliża się Jasper. Osuwa się na kolana i wyciąga ręce do paska moich spodni.

– Nie! – krzyczę. Nie rozbierze mnie tutaj, na oczach wszystkich.

– Muszę cię pozszywać, Lee. Masz chyba rozcięte biodro. I kostka ci puchnie. Muszę rozciąć but. Nie ruszaj się.

– Musi to zrobić, Lee – mówi Jefferson. – Musi. Bez względu na wszystko, rozumiesz?

Zobaczą, że jestem dziewczyną. Wszyscy to zobaczą. Daremnie odpycham jego dłonie.

– Proszę... – Z trudem formuję słowa. Nie zdejmuj mi spodni. Nie mów im. Nie...

Z moich ust pada tylko:

– Nie rozcinaj butów tatki.

Nagle wszystko staje się czerwone, a potem świat gaśnie, jak zdmuchnięty płomyk świecy.

Rozdział 27

Otwieram oczy. Widzę delikatne światło lampy. Leżę na miękkim pościeliu. Nad głową mam plandekę wozu.

– Obudziłaś się! – woła pani Robichaud. Pochyla się nade mną z manierką.
– Pij.

Unoszę głowę. Ledwie czuję w ustach chłodny płyn, przełykam chciwie.

– Jasper się ucieszy, że tyle pijesz. – Śmieje się.

Jasper. Ostatnie, co pamiętam, to to, że chciał mnie rozebrać przy wszystkich.

– Co się stało? – pytam niespokojnie. – Czy ja... Czy wszyscy już wiedzą...?

– Że jesteś młodą damą? – Zbywa mnie machnięciem ręki. – *Bien sûr*. Ale najważniejsze, że Jasper wszystko opatrzył. Miałaś wielką ranę, skórę rozciętą od biodra do kolana. Nigdy w życiu nie widziałam tyle krwi! To chyba przez koło wozu. I masz skręconą kostkę. Na szczęście nie złamaną.

Dotykam uda, czuję warstwę bandażu. Mam na sobie długą, białą koszulę. Chyba Henry'ego. Nie licząc opatrunku, moje nogi są gołe.

– Jak długo? – pytam.

– Jeden dzień. Jasper wlał ci w usta odrobinę laudanum, żebyś spała. I przestała marudzić o butach.

Siadam gwałtownie.

Kładzie mi rękę na piersi i pcha z powrotem na pościeliu.

– Spokojnie. Jefferson nie pozwolił Jasperowi ich rozciąć. Obstawał przy tym.

– Och. No, dobrze.

– Zajęliśmy się tobą z panem Robichaudem.

Dziwne, że akurat oni, a nie Joynerowie, dla których pracuję. Albo może wcale nie. Pewnie nie chcieli mi pomóc, kiedy prawda wyszła na jaw.

– *Merci* – mówię. *Merci. Danke*. Dziękuję. Dobrze, że jest wiele sposobów, żeby powiedzieć coś tak ważnego.

– Posłałam Therese po pantalonny. Najwyższy czas, żebyśmy w końcu zobaczyli cię w sukience.

Wybałuszam oczy.

– Wiedziała pani?

– *Bien sûr.*

Uśmiecha się ciepło, to jednak wcale mnie nie uspokaja.

– Od kiedy wiedziała pani, że jestem dziewczyną?

– Kobieta. Jesteś kobietą. – Zamyśla się. – Chyba od pierwszej chwili.

– O nie. – Ściskam nasadę nosa dwoma palcami. – I kto jeszcze?

– Mój mąż. Studenci...

– Czułam, że coś podejrzewają. – Krzywię się. – Kiedy amputowaliśmy nogę majorowi. Czy wszyscy wiedzieli?

– Nie, chyba nikt więcej. – Marszczy brwi. – Wielebny Lowrey zaklina się, że zorientował się od początku, ale moim zdaniem kłamie. – Siada naprzeciwko mnie. – No i Jefferson, oczywiście.

– Dorastaliśmy razem.

– Tak, to jasne, rozumiecie się bez słów, jak wtedy, gdy ty rzuciłaś się ratować Doreen, a on zajął się wołami. Gdyby nie on, nie skończyłoby się tylko na powierzchownej ranie. – Wyciąga rękę, czule gładzi mnie po policzku. – Biedna *chérie*.

W tylnej części wozu rozlega się głuchy odgłos, pod plandeką pojawia się głowa Therese. Wrzuca do środka kłęb miękkiej tkaniny. Widzi, że jestem przytomna, i uśmiecha się szeroko.

Pani Robichaud rozkłada zawiniątko. To pantalony, białutkie, wykończone koronką, z żółtymi jedwabnymi tasiemkami. Nie widać na nich najmniejszych śladów zużycia. Therese je pewnie chowała na specjalną okazję.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Oczywiście, że możesz. Uratowałaś życie mojej siostrze i będziesz je nosiła, inaczej się obrażę.

Waham się ciągle.

– Jasper rozciął twoje – dodaje. – Musisz je założyć.

– Ja też mam coś dla ciebie. – Pani Robichaud sięga do otwartego kufra. Wyjmuje z niej żółtą suknię, z tak obszerną spódnicą, że mogłabym w niej spokojnie dosiadać Peonii. – Niestety, nie mam do niej halki – dodaje przepraszająco.

– Idealna dla ciebie – zauważa Therese. – Podkreśla twoje złote oczy. Jak tygrysie oczko, tak zawsze mówi Jefferson.

Jefferson mówi coś o moich oczach?

– Cóż... – Z trudem przełykam ślinę. – *Danke, Therese. Merci,* pani Robichaud.

– Lucie – poprawia mnie.

Therese starannie sznuruje plandekę z tyłu wozu, mija mnie, powtarza to samo od frontu.

– Pomogę ci się przebrać – mówi. – Musimy uważać na bandażę.

Siadam i krzywię się, czując ból w udzie.

– Jasper mówi, że przez kilka dni nie powinnaś chodzić – dodaje pani Robichaud. – Musisz albo jechać wierzchem, albo na wozie.

Therese przytrzymuje pantalony, gdy wsuwam stopę w nogawkę.

– Dlaczego to robiłaś? – pyta. – Przebierałaś się za mężczyznę?

– Cóż... – Sama nie wiem, co odpowiedzieć.

Pani Robichaud – Lucie – zabiera głos.

– Moja siostra wyszła za podróżnika, trapera. Razem polowali nad Zatoką Hudsona. Nie chciała siedzieć sama w domu, kiedy wyruszał do lasu, więc czasami zakładała męski strój i szła razem z nim. A kiedy umarł na *hernie rupture*...

– Na przepuklinę?

– Tak, właśnie tak, na przepuklinę, jeszcze przez wiele lat robiła to, co on dawniej. I mieszkała z jego siostrą.

– To nie tak – tłumaczę.

– Co się stało?

Już otwieram usta, żeby wysnuć kolejną bajeczkę, ale nagle ze zdumieniem stwierdzam, że nie muszę już kłamać. Prawda jest najlepszym wytłumaczeniem. Z ulgą odpowiadam:

– Moich rodziców zamordowano.

Therese z przerażeniem nabiera tchu.

Wraz z tymi słowami powracają wspomnienia. Martwy tatko na schodach, mama oparta o stertę drewna, z trudem nabierająca tchu.

– Wuj Hiram, brat tatki, zabił moich rodziców. Właściwie sam się do tego przyznał, ale taki z niego elegancki dżentelmen, bogaty, wykształcony, przystojny. Nikt by mi nie uwierzył. Aż tu nagle okazało się, że jest moim prawnym opiekunem, nasza farma stała się jego własnością... Nie wiedziałam, co ze mną zrobi, więc...

– *Quelle horreur* – Lucie mruczy pod nosem.

Nabieram głęboko tchu i mówię już wolniej.

– Szczerze mówiąc, bardzo chciałam jechać na zachód. Mój tatko był poszukiwaczem złota. Od dziecka uczyłam się, jak go szukać. Jeff też. Tylko jemu ufałam, a on wybierał się do Kalifornii. Musiałam szybko i niezauważenie wyjechać z naszego miasteczka. Bo widzicie... mój wuj... mnie szuka. A potem mnie napadnięto i straciłam hawkena tatki, prawie wszystkie pieniądze...

– Nic dziwnego, że wolałaś podróżować w przebraniu – przyznaje Lucie.

– Nie chciałam nikogo okłamywać. – Mam łzy w oczach.

– Ja chyba umarłabym ze strachu. – Therese na chwilę przestaje zmagać się z tasiemkami moich pantalonów.

Przez mniej więcej dwie sekundy zastanawiam się, czy udawać dzielną, ale mam już dosyć kłamstw.

– Bałam się przez caluteńki czas. Bałam się, że ktoś się zorientuje, kim jestem naprawdę, bałam się tych, którzy mnie okradli, bałam się, że do końca życia będę sama jak palec. A kiedy raz zaczęłam udawać, bałam się przestać...

Nagle zaczynam szczękać zębami. Obejmuję się ramionami, ściskam z całej siły, jakby coś straszego miało się wydarzyć, jeśli przestanę to robić.

Lucie obejmuje mnie serdecznie. Kładę jej głowę na ramieniu i nagle tak bardzo tęsknię za mamą, że nie mogę zaczerpnąć tchu.

Tuli mnie do siebie.

– Naprawdę nazywasz się Lee?

Kiwam głową.

– Właściwie Leah. Leah Westfall. Ale wszyscy zawsze mówili do mnie Lee.

– Więc dla mnie nadal będziesz Lee. Ale jeśli chcesz, żebym zwracała się do ciebie inaczej, musisz mi powiedzieć.

Patrzę na nią zdumiona.

– Ale że niby jak?

– Zawsze podobało mi się imię Anneliese. Gdybym miała zmienić swoje, wybrałabym Anneliese. – Therese się rozmarza.

– A ty kim chcesz być, Lee? – pyta Lucie.

Jasper zadał mi podobne pytanie. Nie rozumiałam go wtedy i nie rozumiem teraz.

– Jak to?

– Jeśli chcesz, przyniesiemy ci czyste spodnie i kiedy stąd wyjdiesz,

wszyscy będą udawać, że nic się nie zmieniło. To, co zrobisz w Kalifornii, to twoja sprawa.

– Ci z Missouri nie będą udawać, uwierzcie mi – prycha Therese.

– Nie, ale zachowają się przyzwoicie – przyznaje Lucie.

Wymieniamy z Therese znaczące spojrzenia.

– Bardzo to optymistyczne, psze pani – mówię. – Poza tym, nie bardzo sobie wyobrażam pana Joynera...

– Akurat pan Joyner nie ma prawa nikogo osądzać – warczy Lucie.

Zaskakuje mnie ten nagły wybuch.

– Dlaczego tak pani mówi?

– Tygodniami chował się w wozie, bo miał la rougeole. Wyobrażasz to sobie?

Mrugam szybko.

– Słucham? Miał odrę?

– Twierdzi, że chował się, żeby nikogo nie zarazić. – Therese przewraca oczami.

– Cóż za wielkoduszność – dodaje zgryźliwie Lucie.

– Ma szczęście, że jego żona i dzieci się nie zaraziły – dodaje Therese. – Zwłaszcza że jego żona jest w odmiennym stanie. Ale chyba było mu wstyd.

– I bardzo dobrze – ucina Lucie. – W każdym razie nie ma prawa nikogo osądzać. Robiłaś, co musiałaś, i tyle. Harowałaś jak wszyscy, ba, ciężiej niż niektórzy. Czego ty sama chcesz?

Czego sama chcę? Przede wszystkim przestać kłamać, to pewne. Ale chcę też nadal smarować osie wozu, jeździć na Peonii, polować i zarabiać na siebie.

– Nie boję się pracy. W domu sprzątałam w stajni i znajdowałam... szukałam złota, polowałam. Ale byłam wtedy sobą. – Dziewczyną ze złotowidzeniem. – Dziewczyną.

– Kobietą – poprawia Lucie.

Therese pomaga mi wstać. Noga pulsuje boleśnie, ale utrzymuje mój ciężar. Opierając się na ramieniu Therese, zakładam spódnicę od Lucie. Męska koszula znika pod fałdami materiału. Lucie wiąże troczki z tyłu. Obracam się, wsłuchana w szelest tkaniny.

Oddycham głęboko, po raz pierwszy od bardzo dawna. Czuję, że wreszcie znowu jestem sobą, po pół roku w cudzej skórze.

– Twoje buty. – Therese przysuwa je do mnie. – Sprałam krew, ale zostało

kilka plam.

Zakładam je. Wdzięczność dławi mnie w gardle.

– Jeśli chcesz, możesz tu jeszcze trochę zostać – proponuje Lucie.

– Nie ma sensu tego odwlekać – mówię, ale na razie tylko wpatruję się w plandekę, niezdolna ją rozchylić.

Lucie robi to za mnie.

– Uważaj na nogę – mówi, gdy wewnątrz wozu zalewa światło słoneczne.

Mrugam, szykuję się na widok wymierzonych we mnie luf, wideł, wrogich spojrzeń. W pierścieniu wozów, poza Peonią, nie ma nikogo. Ogniska wygasły. W oddali, tam skąd przyjechaliśmy, unosi się obłok kurzu.

Schodzę z wozu, ostrożnie, staję na skrzynce z narzędziami jak na schodku, żeby nie nadwerężyć chorej nogi. Therese i Lucie idą w moje ślady.

– Gdzie są wszyscy?

– Mężczyźni wypatrzyli stado antylop widłorogich – wyjaśnia Lucie. Ośłania oczy dłonią i patrzy w dal.

– Antylop? – Zakładam kapelusz na głowę, powoli kuśtykam do Peonii. Chwytam za siodło. Nie ma przy nim strzelby pana Joynera.

– Dokąd się wybierasz? – Lucie się niepokoi.

– Chcę mieć pewność, że nie obejdziemy się smakiem. – Tak naprawdę chcę tylko wsiąść na Peonię, bo na jej grzbiecie zawsze jestem sobą, bez względu na to, co mam na sobie. – Od ponad tygodnia nie jedliśmy świeżego mięsa.

Siodłam ją szybko, wsiadam, układam fałdy spódnicy. Wiatr szarpie tkaninę, ale Peonii to nie przeszkadza. Widać cholewki moich butów, ale przecież i tak wszyscy oglądali je od kilku miesięcy.

– Uważaj na nogę – radzi Lucie, ale uśmiecha się od ucha do ucha.

– Powodzenia, Lee! – woła Therese i odprowadza mnie tęsknym wzrokiem, gdy odjeżdżam.

Poza pierścieniem wozów pani Joyner, pani Hoffman i major pilnują bawiących się dzieci. Macham im, przejeżdżając. Kobiety po chwili wahania odwzajemniają mój gest. Major Craven przygląda mi się przez dłuższą chwilę, ale w końcu i on unosi rękę.

Peonia widzi inne konie i skręca w ich stronę. Puszczam jej wodze i w tej chwili ciszę przerywa huk wystrzałów. Stadko antylop rzuca się do ucieczki. Mężczyźni ruszają w pościg, ale antylopy są szybsze i myśliwi szybko rezygnują.

– Mamy coś? – Podjeżdżam do nich. Zmierzę się z tym od razu, choć spódnica powiewa jak gigantyczna flaga.

– Witaj, Lee – rzuca Jeff rzeczowo, jak gdyby nigdy nic.

Studenci uchylają kapeluszy ze znaczącymi uśmiezkami na ustach. Pan Robichaud kiwa mi głową. Pan Joyner o twarzy naznaczonej bliznami i przekrwionych oczach, i marsie na czole też zaszczyca mnie lekkim skinieniem. Pan Hoffman zaczyna:

– Lee, chciałbym ci podziękować za...

– Niezła kiecka, Georgia – rzuca Jonas Waters, zastępca Franka Dilleya.

Ściągam brwi.

– To teraz nieważne. Mamy coś?

– Tom jedną zranił – odpowiada Jefferson. – I tyle. A pozostałe uciekły za szybko.

Antylopy widłorogie, raz spłoszone, uciekają jak wiatr. Stado znika za wzgórzem, zostało tylko kilku maruderów.

– Zatrzymają się nad rzeką. Jedźmy tam, z wiatrem, żeby nas nie wyczuły, może uda się spróbować jeszcze raz. – Ledwie kończę mówić, wyruszam, jak dziesiątki razy na innych polowaniach. Zerkam za siebie. Wszyscy idą za mną, poza panem Joynerem, który rusza się dopiero po chwili wahania.

Tak jak przypuszczałam, gdy pokonujemy zakręt, widzimy stadko antylop nad rzeką. Tylko połowa z nich gasi pragnienie, reszta czujnie nadstawia ucha, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Jesteśmy daleko – mówię cicho – i bliżej chyba nie uda nam się podejść. Poproszę strzelbę.

Pan Joyner kręci przecząco głową.

– Dlaczego nie?

– Jesteś... Jesteś...

– Kiedy ostatnio coś dla pana upolowałam, też byłam kobietą.

– Weź moją. – Jeff podaje mi strzelbę. Widząc groźne spojrzenie pana Joynera, tłumaczy: – Leah świetnie strzela. A ja jestem głodny.

– Załatwimy to sami – decyduje pan Joyner. Unosi broń do oka, celuje. – Niech każdy upatrzy sobie jedną antylopę i strzela na mój znak. Raz... dwa...

– Nie! – Moj krzyk zagłusza echo wystrzałów. Ani jedno zwierzę nie pada, za to wszystkie rzucają się do ucieczki.

Podnoszę strzelbę Jeffersona. Choć nie jest nawet w przybliżeniu tak dobra, jak sztucer pana Joynera, znam ją dobrze. Strzelałam z niej wiele razy, wiem,

jak się zachowuje. Celuję do ostatniej antylopy w stadzie. Nie nadąża za resztą; to pewnie ta, którą drasnął Tom. Celuję nieco na wyrost, w kierunku, w którym biegnie, biorę pod uwagę leciutki wiatr. Za daleko, za szybko.

Jestem cierpliwa. Jestem duchem.

Spust, oddech, strzał. Kolba uderza mnie w ramię. Prawie dwieście jardów dalej biedna antylopa wierzga tylnymi nogami i osuwa się na ziemię w obłoku kurzu.

Jefferson gwizdże z podziwem, gdy oddaję mu broń.

– Nieźle, jak na kobietę – przyznaje Jonas Waters.

– Nieźle, kropka – warczy Jefferson.

– Dzięki mnie była wolniejsza – zauważa Tom z szerokim uśmiechem.

– Spokojnie, podzielimy się. – Za późno zdaję sobie sprawę, że nie do mnie należy ta decyzja. – Prawda, panie Joyner?

On jednak już wraca do obozowiska, sam. Pustka w moim żołądku nie ma nic wspólnego z głodem.

Rozdział 28

Tydzień później żałosne porykiwanie spragnionych wołów niesie się po obozowisku. Pan Joyner i inni mężczyźni rozjechali się po okolicy w poszukiwaniu wody, pani Joyner szykuje śniadanie. Wszyscy w obozowisku zadawalają się prowizoryczną organizacją, ale ona, choćby się waliło i paliło, nakrywa do wielkiego stołu, rozkłada na nim obrus w kratę. Nie zważa na wiatr, starannie wygładza tkaninę i układa sztucce.

Oblizuję popękane wargi.

– Dzień doby, pani Joyner.

Zerka ukradkiem – nie na moją twarz, tylko na ubranie. Znowu owinęłam piersi szalem, ale raczej dla wygody niż żeby je ukryć, i już nie tak ciasno jak dawniej. Znowu jestem w spodniach, dostałam je od Toma w zamian za dwie kuropatwy, które ustrzeliłam z rewolweru. Uwielbiam spódnice od Lucie, ale już trzeba ją uprać i mam przeczucie, że powinnam ją oszczędzać.

– Dzień dobry, Leah.

– Jestem gotowa wracać do pracy – mówię. – Z moją nogą już o wiele lepiej. Jasper mówi, że już mogę dźwigać.

– To zależy od pana Joynera. Z nim musisz porozmawiać. – Odwraca się do mnie plecami, kuca przy palenisku, wlewa rzadkie ciasto na patelnię.

– Próbowałam, proszę pani, ale nic to nie dało. Nie chce mnie widzieć. Nie chce mi wypłacić zaległego wynagrodzenia, bo twierdzi, że nie miałam prawa zawierać z nim umowy, więc z mojego punktu widzenia nadal u niego pracuję. Ale jednocześnie nie chce, żebym cokolwiek robiła. Mówi, że tak nie można. A przecież pracuję u państwa od wielu miesięcy, tak samo jak Jefferson. Sama pani widziała.

Zwiesza ramiona.

– Nie w tym rzecz.

– A w czym?

W milczeniu przewraca podpłomyki na drugą stronę. Są przypalone, jak zwykle.

– Musisz porozmawiać z panem Joynerem. On jest głową tej rodziny i jego decyzja jest ostateczna.

– A pani nie mogłaby z nim porozmawiać? Jeszcze nie w pełni doszedł do siebie po cholery i odrze. Wykańcza się, robiąc to wszystko, co ja do tej pory.

– On wie najlepiej.

Podmuch wiatru przewraca jedno z krzeseł z wysokim oparciem. Pani Joyner wzdryga się, gdy mebel upada na ziemię. Podbiegam, podnoszę je, upewniam się, że stoi przy stole, jak pozostałe.

Odnajduje mój wzrok. Jest zmęczona i spięta.

– Nie obawiaj się, nadal będę cię żywić, tak jak się umówiliśmy. Nie po chrześcijańsku byłoby pozwolić ci umrzeć z głodu. Choć, szczerze mówiąc, sami nie mamy za dużo.– Widząc moje zdumienie, wyjaśnia: – Ktoś podkrada nam zapasy.

– Ja nigdy...

Ucisza mnie gestem.

– Wiem, że to nie ty. Zdaniem pana Joynera to Indianie. W każdym razie możesz jeść wszystko, co mamy, tylko pamiętaj, że nie ma tego za wiele.

– Dziękuję pani – odpowiadam, bardziej zaniepokojona, niż po sobie okazuję. Pani Joyner powinna teraz jeść tyle, ile zapagnie. – Szczerze mówiąc, chcę się po prostu przydać.

Zamyśla się i nagle rozpromienia.

– Kończą mi się bizonie placki – mówi. Ostatnimi czasy wysuszony gnój bizonów stanowi główne źródło naszego opału. – Ta dziewczyna Hoffmanów poszła je zbierać.

– Zobaczę, co da się zrobić.

* * *

Therese wywija blaszanym kubłem, a Carl, Otto i Doreen biegają wokół niej, zbierając bizonie placki. Doreen nawet nie udaje, że ich szuka, rozłożyła rączki na boki i biegnie co sił w nogach, aż czepek zsunął się jej na plecy.

– Guten Morgen – mówię do Therese.

– Dzień dobry – odpowiada. – Jesteśmy w Ameryce, więc mówmy po amerykańsku.

– Mówisz zupełnie jak Lucie. Właściwie zdaje się, że Ameryka została już daleko za nami. – Zaglądam do prawie pustego wiadra. – Nie udało się?

Kręci przecząco głową.

Przez to wyschnięte pustkowie przechodzi znacznie mniej bizonów, a wcześniejsze tabory wybierały najbardziej widoczne placki.

– Spróbujmy tam. – Wskazuję dół wzgórza.

– Czemu?

Pierwsze, czego człowiek uczy się na polowaniu, to jak znaleźć wodopój.

– Wyschnięty strumień prowadzi do wodopoju, przynajmniej przez pewną część roku. Bizony pewnie gromadzą się tam i robią, co trzeba.

Woła dzieci i pokazuje, gdzie mają szukać.

– Daj, ja poniosę – wyciągam rękę.

– Nie! – warczy. – Dam sobie radę.

– Nie chciałam...

– Masz konia, jeździsz, gdzie ci się żywnie podoba, strzelasz, po nocach znajdujesz zaginione dzieci, ratujesz małe dziewczynki spod kół wozów. – Ma zaciętą minę i ogień w niebieskich oczach.

– Cóż, tak było. Nie sądzę, żeby pan Joyner pozwolił mi...

Równie dobrze mogę mówić sama do siebie, bo buzia jej się nie zamyka:

– Ja wiecznie tylko pilnuję maluchów albo pomagam mutti gotować i prac. Wiesz, Lee, uprałam tyle ubrań, że straciłam rachubę. Chyba jako jedyna cieszę się, że wejdziemy na pustynię, bo brak wody oznacza koniec prania. Może wreszcie podleczę sobie rękę.

– Pranie też jest ważne.

Wzrusza ramionami.

– Może i tak, ale mało bohaterskie. I mało zabawne. – Patrzymy, jak Doreen upada, toczy się w dół z boczka i podrywa ze śmiechem. Therese wzdycha. – Brakuje mi zabawy.

– Słuchaj! – Biorę ją pod rękę. Schodzimy ramię w ramię. – W Kalifornii pokażę ci, jaka to frajda, płukać piasek w poszukiwaniu złota. Kucanie godzinami to dopiero zabawa.

Kiwa głową z powagą.

– Na pewno. Podobnie jak moczenie sukni po kolana.

– Oczywiście. A błoto i żwir pod paznokciami? Nigdy w życiu się równie dobrze nie bawiłam, na żadnym kościelnym zebraniu.

Milczy przez chwilę, patrzy na rodzeństwo daleko przed nami. A potem:

– Lee? Cieszę się, że jesteś dziewczyną.

Od stóp Przełęczy Południowej ku szczytom Gór Skalistych prowadzi kręta droga. Słuszna to nazwa, bo strome zbocza są najeżone gigantycznymi skałami, popękany, rozdarty, jakby sam Bóg założył tu kamieniołomy i nagle zmienił zdanie. Major Craven mówi, że to kręgosłup Ameryki. Jak dla mnie to raczej tortura Ameryki.

Nasze muły i woły z wysiłkiem wciągają wozy na górę – i okazuje się, że to ta łatwiejsza część zadania. Droga w dół jest tak stroma, że wyprzegamy zwierzęta i spuszcza wozy na linach. Mamy szczęście, pokonując cztery mile dziennie.

To wszystko powtarza się następnego dnia i jeszcze kolejnego. Ci z Missouri co rano wyruszają jako pierwsi – pierwsi wspinają się pod górę, pierwsi rozbijają nocne obozowisko. Ich muły poruszają się o wiele szybciej niż nasze woły. Obawiam się, że Jefferson miał rację i pewnego dnia po prostu nas zostawią.

Powtarzam sobie, że to lepiej, że idą przodem. Nie podoba mi się, jak teraz na mnie patrzą, zwłaszcza ten cały Jonas Waters.

Piątego dnia przeprawy przez Góry Skaliste ci z Missouri są hen, przed nami, gdy docieramy na pierwszy szczyt. Droga w dół jest najbardziej stromą, jaką do tej pory pokonaliśmy. Zbocze to głównie żwir, gdzieniegdzie widnieją suche krzewy i karłowate sosny. Peonia nie chce schodzić i wcale się jej nie dziwię. Nie mam pojęcia, jak nam się uda sprowadzić tędy wozy.

Pan Joyner i mężczyźni naradzają się, ustalają kolejność, w jakiej sprowadzimy wozy na dół. Stoję z boku, z kobietami, zbyt daleko, by słyszeć, co mówią. Gniewnie kopię kamyki czubkiem buta i odprowadzam je wściekłym wzrokiem, gdy toczą się w dół.

W końcu mężczyźni biorą liny i rękawice i zabierają się do pracy. Na pierwszy ogień idzie wóz Robichaudów. Mimo że jest najlżejszy, i tak wszyscy muszą się ze wszystkich sił zapierać, spuszczać go w dół zbocza. Potem przychodzi kolej na wóz wielebnego Lowreya. Mężczyźni ociekają potem, spod kół pryska żwir, ale wóz zjeżdża bezpiecznie. Psy brykają wokół dzieci, Olive bawi się w berka z Carlem i Ottonem, jakby to był zwyczajny dzień, a nie najbardziej niebezpieczna część naszej dotychczasowej podróży.

Pani Hoffman i Therese zdejmują z jednego wozu dwie beczki, z drugiego ściągają kufer. Na zboczu poniewierają się porzucone rzeczy z innych taborów, które szły tędy przed nami: popękane baryłki, zapasowe części do wozów, toaletka ze zbitym lustrem. Pani Joyner dotyka palcem obudowy

toaletki. Nagle przeraża mnie myśl, że będzie chciała to wszystko zabrać, ocalić te skarby.

– Powinna pani też to zrobić – mówię szybko. – Wyrzucić wezgielnie, stół i krzesła.

Wodzi wzrokiem od toaletki do wozu swojej rodziny.

– Ja... Nie będziemy żyć jak dzicy – oznajmia, ale w jej głosie nie ma dawnego przekonania. – Naszym zadaniem jest zawieźć cywilizację do Kalifornii.

– To tylko sprzęty.

– Tak zdecydował pan Joyner.

Gryzę się w język. Nigdy nie wiem, czy mówi tak, bo naprawdę tak uważa, czy po prostu chce położyć kres rozmowie. Odprowadzam ją wzrokiem. Zabiera dzieci i rozkołysanym krokiem schodzi na dół, żeby tam poczekać.

Wozy Hoffmanów toczą się szybciej, ale bezpiecznie zjeżdżają ze zbocza, podobnie jak wóz studentów. Z poranka robi się popołudnie. Widzę, jak Jefferson ogląda swoje dłonie. Ma głębokie otarcia od ściskania liny i potu.

– Mam pomysł! – woła Therese. Biegnie do porzuconego kufra, wyjmuje pościel i rozdaje ją wszystkim mężczyznom, którzy mają cienkie rękawice albo nie noszą ich w ogóle. Jefferson uśmiecha się z wdzięcznością.

Kobiety i dzieci zbiegają na dół. Pozwalam majorowi Cravenowi zjechać na Peonii, ale musi mi najpierw obiecać, że się nią zaopiekuje. Stoję na szczycie, gotowa w każdej chwili pomóc. Jefferson ociera pot z czoła i kiwa mi głową, ale kiedy zerkam na pana Joynera, licząc, że pozwoli mi pracować, nie zwraca na mnie uwagi.

– No, dalej! – Zaciera ręce. – Jeszcze tylko jeden wóz. Miejmy to już z głowy i ruszajmy w dalszą drogę. – Ściąga rękawice, ogląda swoje dłonie. Lina zerwała strupy i odciski, kiedy wyciera ręce o szmatkę Therese, zostawia krwawą smugę.

Ponownie zakłada rękawiczki, owija linę o dyszel wozu, bo będziemy go spuszczać tyłem. Ręce mu drżą, gdy wiąże węzeł, ale nigdy nie widziałam w jego twarzy takiej determinacji. Prawdopodobnie nigdy w życiu tak ciężko nie pracował.

Spychają wóz na skraj urwiska, czekają, aż zacznie się toczyć. Zsuwa się i zatrzymuje gwałtownie, zsuwa i zatrzymuje. Jefferson zerka na mnie niespokojnie.

Niech szlag trafi pozwolenie. Podbiegam do nich, chwytam skraj liny

za panem Hoffmanem, najsilniejszym ze wszystkich, owijam się nią w pasie, zapieram ze wszystkich sił.

Lina się ześlizguje. Mało brakowało, a straciłabym równowagę.

– Musimy zwolnić – woła pan Joyner.

Cisza. Wszyscy zaciskamy zęby i napinamy mięśnie, gdy lina znowu przesuwa się nam między palcami.

Rozlega się trzask. Coś pęka.

– Nie! – krzyczy pan Joyner. Wóz zasłania mi widok, nie śmiem puścić liny, żeby się rozejrzeć, ale domyślam się, że spadł jeden z drogocennych mebli.

– Spokojnie, spokojnie – instruuje pan Joyner. – Przesunę toaletkę tak, żebyśmy spokojnie spuścili wóz.

– Andrew, nie! – krzyczy pan Hoffman. Z całej siły ściskam linę. Nogi mi się ślizgają. Na karku pana Hoffmana nabrzmiwiają żyły.

– Szybciej! – wrzeszczy Jefferson.

– Ostrożnie, mój drogi! – woła pani Joyner z dołu, ale mogłaby sobie darować. Równie dobrze mogłaby radzić psu, żeby nie lizał się pod ogonem.

– Już prawie! – Odkrzykuje pan Joyner.

Lina znowu wysuwa nam się z rąk.

– Wszyscy z drogi! I to już! – krzyczy Jefferson.

Koła wpadają w zagłębienie. Wielebny Lowrey traci równowagę, wpada na Jaspera, obaj osuwają się na kolana. Coś mi trzaska w ramionach, jakby ciężar wyrwał mi ręce z barków, lina owinięta w pasie utrudnia przepływ powietrza. Jefferson i Martin zapierają się ze wszystkich sił, kucają, ale ciężar wozu ciągnie ich za sobą. Zsuwamy się wszyscy, powoli, nieustannie, w ślad za wozem.

– Z drogi! – wrzeszczę do pana Joynera.

– Już mam! – odpowiada.

Kolejny wybór, kolejne szarpnięcie. Lina parzy mi dłonie. Osuwam się na ziemię, na bok, zanim mnie udusi. Żwir wypełnia mi usta, ociera policzki.

Leżę na brzuchu i z przerażeniem obserwuję, jak wóz zsuwa się na dół, ciągnąc za sobą linę. Wpada na skałę, przewraca się. Wezgielnie łóżka rozpada się na kawałki.

Wstaję z trudem i szukam wzrokiem pana Joynera. Pierwsze, co widzę, to toaletka – sterta popękanych desek i brudnych koszul. A obok niej – męski but. Sam, jeden.

– Tatko? – szepczę.

Zbiegam ze wzgórza. Jasper depcze mi po piętach. Nie czuję żwiru pod skórą, nie widzę łąz ograniczających mi widoczność. Wiem, że to nie tatko, oczywiście, że wiem, ale i tak znowu nie zdążyłam. Już wiem, co tam zastanę.

Obchodzę szczątki toaletki. Pan Joyner to krwawa miazga, leży wgnieciony w żwir tam, gdzie przejechały po nim koła. Nie przypomina już nawet człowieka. Odwracam wzrok.

– Biedny głupiec – mówi Jasper. W tej chwili podbiega do nas Therese.

– *Mein Gott* – szepcze bez tchu. Chyba zaczęła biec, gdy tylko zobaczyła, co się dzieje.

Żołądek podchodzi mi do gardła, a jednak udaje mi się coś powiedzieć.

– Musimy go zabrać do pani Joyner.

– Nie musisz tego robić. – Jasper ściera pot z czoła.

– Nadal dla niego pracuję – odpowiadam.

– Pomogę wam. – Głos Therese przypomina cichy pisk.

Jasper chwyta pana Joynera za ramiona. Ja z Therese – za nogi. Powoli ni to niesiemy, ni to ciągniemy to, co z niego zostało, na sam dół, starając się zachować należyty szacunek. Starannie unikam widoku jego klatki piersiowej i brzucha, ale widzę za to krwawą smugę, jaką znaczymy górską drogę.

W końcu jesteśmy na dole. Patrzę na panią Joyner, przekonana, że zobaczę ją we łązach.

Andy i Olive gdzieś zniknęli, jakaś dobra dusza zabrała je nieco dalej. Pani Joyner stoi jak wryta, z dłońmi splecionymi na wielkim brzuchu, z twarzą niewzruszoną jak góra, na której zginął jej mąż.

W tej ziemi nie sposób wykopać grobu, ale głazów tu nie brakuje i szybko usypujemy kopiec. Jefferson obdziera z kory dwie sosnowe gałęzie i zbija z nich prowizoryczny krzyż. Wielebny Lowrey wygłasza kilka słów, intonuje psalm, ale głos mu się łamie i milknie. Stoimy wpatrzeni w stertę kamieni, nie bardzo wiedząc, co dalej.

Rozlega się cichy, czysty głos. Therese zaczyna śpiewać „All Creatures of Our God and King”.

Pozostali jej wtórują, początkowo cicho, potem z coraz większym przekonaniem. W pierwszej chwili mruczę tylko pod nosem, jak zawsze, dając się ponieść melodii, ale potem przypominam sobie, że znowu jestem dziewczyną i nie mam się czego wstydzić, więc śpiewam głośniejsz niż pozostali.

I ty, Śmierci potężna i szlachetna
Co liczysz każdy człowieczy dzień
Czcij Pana! Alleluja!

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta, zerkam na wielebnego Lowreya. Przygląda mi się ze zdumieniem na twarzy. Może śpiewałam za głośno, jak Annabelle Smith u nas w Dahlonoga.

Odwracam się do niego plecami, cały czas czując jego wzrok na karku. Wszyscy rozchodzą się do swoich wozów. Studenci pomagają Jeffersonowi i mnie postawić wóz Joynerów z powrotem na kołach.

O dziwo, nie doznał poważnych uszkodzeń. Co jeszcze dziwniejsze, na stole pani Joyner, tym, na którym rozkłada obrus w kratę i kładzie eleganckie sztuce, nie ma nawet jednego zadrapania, choć wypadł z wozu i upadł białym do ziemi.

Słaniam się na nogach z wyczerpania, jest mi słabo z głodu, ale wolę się czymś zająć, żeby nie myśleć.

– Jefferson, pomożesz mi z meblami? – Im szybciej wszystko załadujemy, tym szybciej stąd odjedziemy.

– Zostawcie je.

Pani Joyner stoi nieruchomo, trzymając dzieci za ręce. Na buzi Olive maluje się taka sama ponura determinacja, jak na jej twarzy. Andy poczerwieniał od płaczu, dolna warga drży podejrzenie. Zaciska pulchną łapkę na piersi. Ściska w niej mój medalion, jakby od tego zależało jego życie.

– Słucham? – Jefferson nie wierzy własnym uszom.

– To wszystko niepotrzebne śmieci. Weźcie tylko to, co niezbędne do dalszej podróży, resztę zostawcie.

Staram się nie okazać zaskoczenia.

– Tak, psze pani.

Odsuwa dzieci, podchodzi do wozu, koło którego piętrzy się ich dobytek. Podnosi strzelbę pana Joynera i wciska mi ją w dłonie.

– Teraz pracujesz dla mnie – mówi. Patrzy na Jeffersona i dodaje: – Oboje pracujecie dla mnie. Te same warunki co do tej pory.

– Od Independence? – Upewniam się.

– Od samego początku podróży, bez żadnej przerwy w świadczeniu usług.

– Dobrze. – Waham się. – Czy musimy... przypieczętować to...?

– Litości – prychna. – My, damy, możemy zawrzeć umowę, nie plując sobie

w dłonie. – Odwraca się i kuca przy zapłakanym Andym.

– A niech mnie – szepcze Jefferson.

– Chyba możemy zabrać ten stół, dla niej – mówię. – I obrus.

– Pomogę ci. – Jefferson kiwa głową.

Rozdział 29

Jest noc. Rozjaśnia ją jedynie rąbek księżyca. Dopiero po trzech dniach dogoniliśmy Missouri, ale w końcu nam się to udało i teraz biwakujemy w pięknej dolinie wśród mineralnych źródeł i gejzerów. Wielebny Lowrey przekonywał dzieci, że to wszystko dzieło demonów, kryjących się głęboko pod ziemią, ale moim zdaniem takie cuda to efekt anielskich wysiłków.

Źródła szumią i bulgoczą, a ja czuwam pod drzewem, wśród gałęzi, ze strzelbą wycelowaną w nasze obozowisko. Cały czas mam ochotę podrapać się w plecy, ale przynajmniej dzięki temu nie zasypiam. Leżę tak od wielu godzin i nic. Ale to nie szkodzi. Jestem cierpliwa.

Kradzieże trwają. Od śmieci pana Joynera już dwukrotnie ukradziono nam chleb, który wdowa Joyner upiekła w żeliwnym garnku. Wczoraj nastawiła kolejny, zostawiła w żarze paleniska. Nie zastrzeliłabym ani Indianina, ani innego człowieka, ale czekam, żeby zdybać złodzieja na gorącym uczynku i jak najbardziej go przestraszyć.

Jefferson śpi pod wozem Joynerów. Obiecał, że kiedy zacznę krzyczeć, wybiegnie i pomoże mi hałasować. Jeśli złodziej nie zjawi się dzisiaj, jutro zamienimy się rolami; Jefferson będzie czuwał, a ja zasnę ze strzelbą u boku.

Ziewam, odłamuję kawałek korzenia cykorii, wsuwam do ust. Kiedy go żuję, gorycz przegania senność.

Ponieważ spodziewam się złodzieja spoza pierścienia wozów, w pierwszej chwili nie zwracam uwagi na dwie postacie skradające się od strony zwierząt śpiących między wozami. Unoszę strzelbę.

To nie Indianie, od raz to widać. Są skuleni, niezdarni, jak argonauci. Jeden ma na głowie słomkowy kapelusz, zupełnie taki sam, jak Henry Meek.

Coney śpi zwinięty w kłębek, jak zawsze, między przednimi nogami Peonii. Unosi łeb, gdy postacie się zbliżają. Mężczyzna w kapeluszu kuca, drapie go za uszami, Coney radośnie macha ogonem, a potem ponownie układa łeb na łapach. No dobrze, pospiesznie skrytykowałam jego czujność. Przynajmniej rozróżnia swego od obcego.

Mężczyźni rozglądają się czujnie i podchodzą do paleniska. Ten w kapeluszu unosi pokrywkę na garnku.

Wstaję z kryjówki, gałęzie zsuwają się ze mnie jak martwa skóra.

– Przestań, Henry Meek, bo zastrzelę i ciebie, i twojego towarzysza. – Mówię cicho, ale wyraźnie; nie chcę obudzić Jeffersona ani nikogo innego, póki nie usłyszę wyjaśnień Henry’ego.

Odwracają się do mnie i wtedy to ja nie wierzę własnym oczom.

Towarzysz Henry’ego to Hampton, niewolnik pana Bledsoe’a z Arkansas.

– Myślałam, że uciekłeś – szepczę.

– Cały czas uciekam – odpowiada, także szeptem.

Henry unosi palec do ust i gestem daje nam znak, że mamy iść za nim. Bierze chleb wdowy Joyner i oddala się.

Idę czujnie, mijam źródła, schodzę ze wzgórza. W końcu znajdujemy się poza zasięgiem wzroku, w brzozowym zagajniku. Hampton otula się ukradzionym kocem.

– Co to wszystko ma znaczyć? – pytam. – Mówcie szybko, zanim obudzę całe obozowisko.

Henry daje Hamptonowi kawałek chleba, a ten zjada go chciwie, łyka, nie gryząc. Wzdycha głęboko i odpowiada:

– Chcę się dostać do Kalifornii, jak wy. Po złoto.

– Ale... – Nie kończę tego zdania. Sama nie wiem, co właściwie chciałam powiedzieć.

– Całe złoto, które znajdę, wyślę do Arkansas, co do okruszynki – ciągnie Hampton. – Wykupię się, żeby wszystko było zgodnie z prawem. Może nawet żonę też.

Nie mogę mieć mu tego za złe. Gdybym miała jeszcze kogoś w Georgii, zrobiłabym wszystko, byle ich odzyskać.

– I tak nikt nie powinien płacić za wolność – mówi Henry. – To naturalne prawo – do życia, wolności i pogoni za szczęściem. Więc pomagamy mu na tyle, na ile możemy. – Odrywa kawałek chleba, podaje mi. – No, weź – zachęca. – Niech to będzie prawdziwie chrześcijańska wieczerza.

Nie wiem, czemu biorę kawałek chleba. Jest jeszcze ciepły.

– Szkoda, że już nie macie Ateny. Z masłem nawet chleb wdowy Joyner byłby znośny. – Ale i tak mam wyrzuty sumienia. Jem kradziony chleb.

Henry się uśmiecha. Ja nie. Podaję resztkę bochenka Hamptonowi.

– To już dla ciebie.

– Przepraszam, że was okradaliśmy – tłumaczy Henry. – Ale nasze zapasy się kończą. Od amputacji karmimy też Wally’ego. Frank Dilley twierdzi, że

jego zapasy gdzieś zginęły. Staramy się przemówić mu do rozumu, ale na razie na darmo.

– Ale wdowa Joyner je teraz za dwoje i... – Nawet w ciemnościach widzę, jak bardzo Hampton schudł.

– Chciałem ci powiedzieć, naprawdę – kaja się Henry. – Ale jesteś z Georgii i bałem się, czy...

– Kocham Georgię, ale nigdy nie uznałam niewolnictwa. – Grzebię butem w ziemi. – Tato dobrze mnie wychował.

– Dobry z niego człowiek – zauważa Henry.

– Tak, to był dobry człowiek.

– Wiele razy słyszałem naszego kongresmana na uniwersytecie – opowiada Henry. – To on zrobił ze mnie abolicjonistę. Powtarzał, że jeśli chcemy utrzymać jedność kraju, musimy zlikwidować niewolnictwo. Tu, na zachodzie, niewiele jestem w stanie w tej sprawie zrobić, ale mogę przynajmniej komuś pomóc.

Hampton smętnie zwiesza głowę. Chyba źle się czuje w roli złodzieja.

– Wolałbym podbierać Frankowi Dilleyowi i jego kompanom – zapewnia. – Ale wszystko zawsze starannie chowają i mają dodatkowego strażnika.

– Masz szczęście, że nigdy cię nie przyłapali na gorącym uczynku – zauważa Henry.

Hampton kiwa głową.

– Niektórzy z nich, jak Waters, zastępca Dilleya, dawniej zajmowali się chwytaniem zbiegłych niewolników. Jeśli mnie dopadną, już po mnie.

– A tego nie chcemy – zaznacza Henry.

Hampton prostuje nogi. Krzywię się, widząc jego wysuszone, popękane stopy.

– Przed nami jeszcze daleka droga – mówię. – A według majora najgorsze dopiero przed nami. Setki mil, część przez pustynię, bez wody i opału.

– Będę podążał za wami jak duch – zapewnia Hampton. – Nawet się nie zorientujecie, że tam jestem.

– Nie, bo już to wiemy – pryham.

– Już wiecie – przyznaje Hampton. Wpatrują się we mnie z Henrym, czekają na moją decyzję.

– Źle postąpiłeś, Hampton.

Nie protestuje, ale gniewnie ściąga brwi.

– Nikt nie powinien być niewolnikiem, ale złodziejem też nie.

Wydawało mi się, że powiedziałam prawdę, ale on wpada w złość.

– Nie można przez całe życie kraść mojej pracy, a potem zarzucać mi złodziejstwa.

Już otwieram usta, żeby zaprotestować, ale w ostatniej chwili zmieniam zdanie. Czy okradłam wuja Hirama, kiedy zabierałam moje rzeczy i konie tatka? Absolutnie nie. Tylko że ja mogę przebrać się za chłopaka i pracować w drodze do Kalifornii, ale Hampton nie może udawać wolnego człowieka.

– Nigdy tak o tym nie myślałam – przyznaję w końcu.

Henry pochyła się nade mną.

– Czyli jesteście tego samego zdania?

Kiwam twierdząco głową, choć wcale mi się to nie podoba.

Po dłuższej chwili Hampton patrzy mi w oczy i też kiwa twierdząco. Więc jadę z nimi na jednym wózku, na dobre i na złe.

– Mam pomysł – mówię. – Przyślijcie majora Cravena do pomocy wdowie Joyner. Może powozić, pilnować dzieci, reperować buty...

– Gotować – podsuwa Henry.

– Gotować. W zamian będziemy go karmić, co nie będzie aż takim obciążeniem naszych zapasów. – Zerkam na Hamptona. – Była przerażona kradzieżami. Boi się, że we śnie ktoś poderżnie jej gardło i porwie dzieci. Już i tak ma dość problemów, niepotrzebny jej dodatkowy stres. – Ledwie to mówię, zdaję sobie sprawę, że to nieprawda. Stres wdowy Joyner to nic w porównaniu z tym, co przeżył i przeżywa Hampton. Szybko dodaję: – Jeśli przyłapią cię na naszym tropie, może będą litościwi, jeśli na kradzieży – nie ma na to szans, w najlepszym wypadku cię sprzedadzą, w najgorszym – powieszą. Sam dobrze o tym wiesz.

– Pogadam z Wallym – decyduje Henry.

– Dobrze. – Zdejmuję manierkę z szyi, odkręcam, upijam spory łyk, a potem podaję Hamptonowi. Na znak pokoju. – Bez wina nie ma wieczery.

Hampton unosi ją do ust, pije chciwie, aż w końcu ociera usta.

– A niech mnie. Zbawicielowi coś się pomyliło i zamienił wino w wodę.

– Niezbadane są wyroki boskie – mruczy Henry, bierze od niego manierkę, upija łyczek i podaje mi.

Kręcę głową i patrzę na Hamptona.

– Masz naczynie na wodę? – pytam go.

– Nie, psze pana.

– Nie, psze pani – poprawia Henry.

– Wiem. To znaczy, przepraszam panią. Wiem o pani sytuacji. Ale zachowuje się pani jak pan.

– Nic nie szkodzi – zapewniam. – Wolę, żebyś mnie traktował z szacunkiem niż jak damę.

Hampton zaciska usta w wąską linię, jakby znowu powiedziała coś nie tak, choć nie mam pojęcia co.

– Zatrzymaj manierkę – mówię. – Bo inaczej nie masz szans na pustyni.

Wstaję, otrzepuję spodnie z siana.

– Gdybym wiedziała, dawałabym ci coś do jedzenia – mówię.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

Henry i ja wracamy do obozowiska osobno. Jefferson nie śpi, kuca przy kociołku. Słyszając moje kroki, unosi głowę.

– Znowu im się udało!

– Wiem – odpowiadam. – Chyba przysnęłam. Może następnym razem... – Jefferson patrzy na mnie ufnie, otwarcie. Nie zasługuje na to. – Niech to szlag.

– Co?

Chwytam go za rękaw, odciągam poza pierścień wozów, z dala od ciekawskich uszu, i wtedy tłumaczę:

– Tak naprawdę to był Hampton. Ten niewolnik, który uciekł. Podąża za nami.

Jefferson szeroko otwiera oczy.

– Teraz zajmą się nim studenci, oczywiście potajemnie. A my za to musimy przekonać majora, żeby przeniósł się do nas. Przyda się pani Joyner.

Jefferson myśli intensywnie. Zerka na wschód, jakby oczekiwał, że zobaczy Hamptona na horyzoncie.

Spodziewam się, że będzie protestował, a on tylko mówi:

– Czyli już po chlebie. Więc na śniadanie znowu przypalone podpłomyki.

Uśmiecham się z wdzięcznością.

– Chyba przeżyjemy. Zobaczmy, czy nie trzeba pomóc majorowi przy gotowaniu.

* * *

W Fort Hall uzupełniamy zapasy. To nie tyle fort, co faktoria, punkt wymiany towarowej – kilka byle jak skleconych domów i stajnia. I niekończący się sznur ludzi: traperzy, Indianie, argonauci, osadnicy. Za dużo

ich. Po miesiącach w dziczy nie mogę oddychać.

W Kalifornii też pewnie będzie tłoczno. Może to i dobrze; skoro Hiram mnie szuka, nie chcę zwracać na siebie uwagi.

Na łąkach wokół faktorii stoją namioty, wozy, nawet kilka tipi, to wszystko na soczystej, zielonej trawie. Niech bydło się pasie, niech muły i woły odzyskają siły. My tymczasem robimy pranie w gorących źródłach. Znowu mam na sobie spódnice od Lucie Robichaud i piorę resztę ubrań na tarze pani Joyner.

Teraz, gdy wie, że jestem dziewczyną, bez skrupułów zleca mi pranie ubrań całej rodziny. Przez cały dzień trę, trę i trę, aż mam czerwone ręce i brak czucia w dłoniach. W domu, w Georgii, właściwie nigdy nie prałam. Kiedy pomagałam tatkowi, mama robiła mnóstwo rzeczy, które wydawały mi się oczywiste. Teraz już wiem, co Therese miała na myśli, gdy mówiła, że może wreszcie zagoją jej się ręce.

Niedaleko faktorii jest obóz wojskowy – czyli kilkadziesiąt niskich namiotów. Drugiego dnia naszego pobytu w Fort Hall dowódca, generał Loring, podjeżdża do nas, żeby porozmawiać. Jest młody jak na generała, mimo długiej brody. Jeden rękaw powiewa smętnie, pusty; chodzą plotki, że stracił rękę w wojnie meksykańskiej. Zsiada z wielkiego kasztanowego wałacha i podchodzi do nas. Jego mundur jest równie brudny jak uniformy zwykłych szeregowych żołnierzy.

– Radziłbym jechać do Oregonu – zwraca się do Franka Dilleya. – W Kalifornii roi się od łotrów, uciekinierów i złodziei. Złoto skończy się za rok lub dwa, a dobra, żyzna ziemia trwa wiecznie. Można ją przekazać dzieciom.

Ich rozmowa przykuwa uwagę innych. Banda z Missouri podchodzi bliżej, podobnie jak mormoni z innego taboru, zmierzający do Salt Lake. Nawet wielebny Lowrey i pan Robichaud nadstawiają ciekawie uszu.

– Tylko że złoto przyjmą w każdym barze – zauważa Frank. – A kiedy chcę płacić ziemią, dostaję kopniaka w zadek.

Jego kompani śmieją się głośno. Ja też się uśmiecham.

Generał zwraca się teraz do Lowreya i Robichauda.

– Co wy na to? Część z was to zapewne farmerzy. W dolinie Willamette jest żyzna ziemia. To dobre miejsce dla rodzin.

Podeszło także kilka kobiet – ja, pani Hoffman, Lucie, mormonki. Przebiega po nas wzrokiem, jakby nas nie zauważał. W porządku, jeśli o mnie chodzi.

Albo dotrę do Kalifornii, albo pęknię, niech się dzieje, co chce.

Ale Frank Dilley wskazuje mnie palcem.

– Do niej te kazania! – mówi. – W tej grupie to ona nosi portki, tak jest, właśnie Georgia.

Jonas Waters rechocze, jakby w życiu nie słyszał lepszego kawału.

– W życiu nie widziałem takich portek – dodaje.

Generał przygląda mi się ze zdumieniem. Rumienię się po uszy, lecz zachowuję spokój.

– Widzę, że podjęliście już decyzję – mówi. – Ale skoro są wśród was kobiety, słowo ostrzeżenia. Kilka tygodni temu mieliśmy tu napiętą sytuację. Indianin zaoferował pewnemu osadnikowi trzy konie w zamian za jedną z jego córek. Osadnik zażartował, że odda mu ją za sześć. Przez ten żart omal nie doszło do rozlewu krwi, gdy Indianin wrócił z szóstką koni.

– I pewnie w ten sam sposób metys do niej się dobrał – mówi Frank na tyle głośno, że wszyscy go słyszą. Jefferson chce się na niego rzucić, ale chwytam go za ramię.

– Nie zwracaj na niego uwagi – szepczę. – To szczur.

Jefferson zaciska usta w wąską linię, ponuro błyska oczami. Przez krótką chwilę wygląda zupełnie jak jego ojciec.

– Jeszcze dostanie za swoje – mówi Jasper.

– Najwyższy czas – syczy Jefferson, ale widzę, jak opuszcza go napięcie.

– Widzicie, co mówiłem o noszeniu portek? – rechocze Frank.

Generał przemawia jeszcze długo. Wszyscy słuchają go uważnie. Poza wielebnym Lowreym, który co chwila zerka na mnie.

* * *

Nadciąga wieczór. Pakujemy się, bo rano wyruszamy w drogę. Zdejmujemy z Therese pranie ze sznura rozpiętego między wozami Joynerów i Hoffmanów.

– Popatrz tylko! – woła oburzona, wymachując szarą skarpetą. – Luther znowu zrobił dziurę! Za duża, żeby ją zacerować. Gdyby co jakiś czas przycinał paznokcie u nóg, nie musiałabym tyle robić na drutach.

– Nie umiem robić na drutach – wyznaję.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, ale zaraz bierze się w garść.

– W takim razie bardzo chętnie cię nauczę. Chociaż, z drugiej strony... – Nachyla się do mojego ucha. – Gdybyś to umiała, pani Joyner nie da ci

spokoju do samej Kalifornii.

Chichocę, zerkając, czy pani Joyner nas nie słyszy.

– Pewnie tak. – Zdejmuję płócienną serwetkę ze sznura i składam starannie. Jest jeszcze ciepła od słońca. Może pani Joyner nie każe mi jej prasować. – Ale później mnie nauczysz? W Kalifornii? – Upewniam się.

Uśmiecha się.

– Oczywiście.

Ktoś chrząka głośno. Odwracam się i widzę za naszymi plecami wielebnego Lowreya.

– Panno McCollin – zaczyna. Nie wie nawet, jak się nazywam. – Czy mogę prosić na słowo?

Therese unosi brwi, odwraca się i odchodzi, ale widzę jeszcze, jak z trudem powstrzymuje śmiech. Zdumiona odprowadzam ją spojrzeniem.

– Idź, Lee – mówi pani Joyner od paleniska. Bardzo z siebie zadowolona, jakby wiedziała coś, o czym nie mam pojęcia.

– Dobrze – mówię do kaznodziei. – Ale załatwmy to szybko, bo mam mnóstwo roboty.

Oddalamy się od taboru. Słońce znika za horyzontem. Letnia bryza niesie zapach siarki, od gorących źródeł. Dochodzimy niemal do rzeki, zanim w końcu stajemy. Wielebny stoi nieruchomo w najlepszym czarnym ubraniu, jak kruk. Ścisną Biblię w dłoniach.

– Leah – zaczyna. Opuszcza wzrok. – Dzisiejsze słowa generała Loringa uświadomiły mi moje błędy i zaniedbania i bardzo chciałbym cię przeprosić.

– Że co?

– Zbyt wiele czasu poświęciłem opłakiwaniu pani Lowrey i tym samym byłem ślepy na boski plan. Przepraszam cię bardzo za krzywdę, którą ci wyrządziłem, i to w twoim stanie.

Cofam się o krok, choć ciągle nie mam pojęcia, co ma na myśli.

– A w jakim ja właściwie jestem stanie?

Patrzy na mnie z przejęciem.

– Jak to? Jesteś młodą kobietą, samą jak palec na tym świecie. Nie chroni cię żaden mężczyzna.

– Sama siebie chronię.

Wykonuje taki gest, jak nauczyciel ścierający kredę z tablicy.

– Wszyscy wiedzą, jak ciężko pracujesz. Jesteś bardzo pracowita, a kiedy z takim zaangażowaniem zajmiesz się czynnościami bardziej przystającymi

do twojej płci, jak prowadzenie domu i wychowanie dzieci, będziesz wspaniałą żoną.

– Pewnie tak.

– Chcę powiedzieć, że widzę w tym boskie działanie. Ty, sama jak palec na tym świecie...

– Nie jestem sama. – Aż do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz wiem, że to prawda. – Mam Jeffersona, Jaspera, Toma i Henry'ego. Mam wdowę Joyner i jej dzieci. Mam Robichaudów i Hoffmanów. Bóg pobłogosławił mi przyjaciółmi – stwierdzam ze zdumieniem w głosie.

Wielebny marszczy brwi. Nie przywykł do sprzeciwu.

– Bóg zabrał moją drogą Mary, bo miał ciebie na oku. Nasz ojciec niebieski i ja sam, my obaj chcemy dla ciebie jak najlepiej. Bóg wzbudził we mnie zadziwiającą słabość do twoich wybryków i pięknych oczu. Chce, żebyś wyszła za mąż za odpowiedniego mężczyznę. Za mężczyznę, który w tej chwili staje przed tobą.

Otwieram usta z wrażenia. To jeszcze gorsze niż oświadczyły Jeffersona, który na swoją obronę miał fakt, że robił to po raz pierwszy. Zadziwiającą słabość?

– Nie, do diabła. – W końcu znajduję język w gębie.

Podchodzi bliżej, góruje nade mną.

– Wiem, że... pokładasz się z Jeffersonem. Pod wozem, po nocach.

Nie daję się zastraszyć.

– Co takiego?

– Ale wybaczam ci, moja Gomer. Jestem twoim Ozeaszem, wybawię cię. Zdajesz sobie chyba sprawę, jak bardzo nieodpowiedni jest dla ciebie Jefferson...

– Jak bardzo niby?

– Cóż, nie chcę komentować jego pochodzenia, bo na to żaden człowiek nie ma wpływu.

Odchylam się, patrzę mu prosto w oczy i mocnym, stanowczym głosem mówię.

– Jeśli nie chce pan komentować, proszę tego nie robić.

Cofa się o krok.

– Przecież nie kwestionuję jego zalet, nie szkaluję jego charakteru.

– Ależ owszem, szkaluje pan i kwestionuje.

Unosi Biblię, chowa się za nią jak za tarczą.

– Zaczniemy od początku. Leah, chcę powiedzieć, że nie naszym zadaniem jest kwestionować wolę Bożą, a nasz Pan najwyraźniej pragnie, żebyśmy zostali mężem i żoną.

Niechaj o zaletach mojego charakteru świadczy fakt, że nie rozkwaszam mu nosa tą jego Biblią.

– Nie rozpoznałby pan Boga, gdyby stanął tu przed panem, uchylił kapelusza i burknął „bry”. Moja odpowiedź, dzisiaj i zawsze, brzmi „nie”. – Odwracam się, żeby odejść, ale zatrzymuję się na chwilę. – Ze względu na pastora żalobę puszcze mimo uszu to, co dzisiaj usłyszałam. Ale nigdy więcej proszę nie poruszać tego tematu. Nigdy więcej.

Odchodzę, tupiąc tak głośno, że ziemia drży.

Kiedy wracam do naszego wozu, wdowa Joyner pakuje czyste ubrania do kufra. Podnosi głowę na mój widok. Z jej twarzy znika radosny uśmiech.

– Co się stało?

– Wdałam się z wielebnym w teologiczną dysputę, która zakończyła się trwałą schizmą.

– Czyli... nie ma czego gratulować?

W odpowiedzi podnoszę skrzynkę z narzędziami i wstawiam na wóz. Mam za dużo roboty, żeby marnować czas na karnodzieję.

– Ej, Lee, może...

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać. – Wpełzam pod wóz, żeby naoliwić osie. Mężczyźni i ich głupie, bezsensowne oświadczenia.

Rozdział 30

Następnego ranka Fort Hall znika w oddali. Zwierzęta najadły się do syta po raz pierwszy od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Nasz tabor znacznie się wydłużył, bo dołączyli do nas osadnicy zmierzający do Oregonu. Przez krótki odcinek drogi będziemy jechać razem.

Major Craven uchyla kapelusza na mój widok. Siedzi na koźle wozu Joynerów. Posłuchał rady Henry'ego. Wdowa Joyner zgodziła się ochoczo. Tak więc mamy z Peonią wolną rękę. Mam na sobie spódnicę Lucie, a pod nią – spodnie, żeby jeździć konno swobodnie, nie budząc zbyt wielkiego zgorszenia. Wszyscy, których mijam, są pogodni i zadowoleni, machają radośnie, z entuzjazmem.

Wszyscy, tylko nie ja. Uśmiecham się z wysiłkiem, odjeżdżam coraz dalej od sznura wozów, chcę побыć chwilę sama.

Jefferson na karej klaczy jedzie koło mnie. Póki milczy, wszystko jest w porządku. Ale potem się odzywa:

- Posłuchaj, Lee...
- Nie chce mi się ani gadać, ani słuchać.
- Dobrze.

Jestem okropna, ale nic na to nie poradzę. Odprowadzam go wzrokiem, gdy odjeżdża na karej klaczy do wozu Hoffmanów, zbieram się w sobie, by przeprosić i wyjaśnić, ale wtedy odwraca się i wraca do mnie z twarzą ponurą jak chmura gradowa.

- Inni też nie chcą słuchać – mówi.

Milczę. Nie wiem, czy w wozie Robichaudów dokonałam właściwego wyboru, teraz gdy znowu jestem dziewczyną, ludzie ponownie traktują mnie jak powietrze. Pomiatają mną, lekceważą, uważają za osobę tak bezradną, że trzeba mnie zbawiać i ratować, jeśli to komuś pasuje. Nieważne przy tym, czy mają złe zamiary, jak wuj Hiram, czy mniej więcej dobre, jak wielebny Lowrey. Nieważne nawet, że jeden z nich to mój najlepszy przyjaciel na świecie.

Prawdopodobnie najbardziej wściekła jestem na panią Joyner. Wiedziała, że kaznodzieja mi się oświadczy. Nieważne, że jest zdana na moją pomoc.

Nieważne i to, że zawarłyśmy umowę. Była gotowa podać mnie jak na półmisku temu świętoszkowatemu capowi.

Zupełnie jak wszyscy tam u nas, w Dahlonga. Kamień spadł im z serca, kiedy zjawił się wuj Hiram i nie musieli się już o mnie martwić.

Na całym świecie wszyscy zawsze chętnie przekażą dziewczynę mężczyźnie. Nie chcę być chłopcem, nie znowu. Nienawidzę kłamstwa. Ale niewykluczone, że w Kalifornii nie będę miała innego wyjścia, jeśli chcę być panią samej siebie.

W południe przekraczamy rzekę Ford Creek. Pastwiska nadal są zielone, więc pozwalamy zwierzętom na dodatkowe pół godziny postoju. Wieczorem docieramy do urwiska nad rzeką Raft i tam rozbijamy obóz. Zajmuję się Peonią, upewniam się, że jest najedzona, dostała wody. Szczotkuję ją starannie. Odkąd major do nas dołączył, rodziny razem zasiadają do wieczornego posiłku. Nie mam dzisiaj ochoty na towarzystwo, więc zwlekam z powrotem do ogniska, aż nagle widzę, że dosiedli się do nas Robichaudowie. Zawsze byli dla mnie mili, bez względu na to, co miałam na sobie. A Lucie powiedziała, że mogę być, kim zechcę.

– Twoja porcja. – Major podaje mi blaszany kubek z wywarem z wołowiny i cebuli.

– Dziękuję – mamroczę i siadam koło Lucie.

– Dobrze, że przyszłaś – mówi.

– A niby gdzie miałam iść? – pryham.

– Chodzi mi o to, że teraz, dzisiaj, tutaj. Jutro się rozstaniemy.

– Jak to? – Krztuszę się zupą.

– Postanowiliśmy jechać do Oregonu, na północ.

– Ale dlaczego?

Pan Robichaud wyciera usta chusteczką.

– Generał Loring mądrze mówił. Szukamy lepszego świata dla naszych dzieci, a Kalifornia wydaje się niebezpieczna. Tam panuje bezprawie.

– Cały świat jest niebezpieczny – mówię piskliwie. Lucie kładzie mi dłoń na kolanie, przez co czuję się jeszcze gorzej.

– To prawda – przyznaje pan Robichaud. – A naszej rodzinie udało się, jak do tej pory, wyjść cało z różnych opresji. – Wskazuje głową majora, a może Joynerów. – Ale przed wami jeszcze ciężkie chwile, zanim będzie lepiej. Najtrudniejszy odcinek drogi dopiero nas czeka. Nie chcemy ryzykować.

– A co ze złotem?

Obejmuje żonę ramieniem.

– Rodzina jest ważniejsza od złota.

Ale to wy jesteście moją rodziną. Mam to na końcu języka. Okazali mi dobroć, jako jedyni. Bez chwili wahania strzeżli mojej tajemnicy.

Wstaję, rozpinam żółtą spódnicę Lucie. Mężczyźni odwracają wzrok. Od strony wozów Missouri dobiega przeciągły gwizd.

– Przestań – prosi Lucie.

– Mam na sobie spodnie – zapewniam.

– Nie, zachowaj ją. Ładnie w niej wyglądasz.

– Nie mogę – mówię. – Będzie mi o was przypominała i za każdym razem, gdy na nią spojrzę, robi mi się smutno. – Ściągam ją gwałtownie, podnoszę z ziemi, zwijam w kłęb, wciskam jej w ręce. – Przykro mi, że nie zdążyłam jej uprać.

– Nie szkodzi.

Lucie ma łzy w oczach. Ja też. Obejmuje mnie i ściska. Nie tak jak mama. Dla mamy zawsze byłam jej małą córeczką, obejmowała mnie delikatnie, jakby bała się mnie skrzywdzić. Lucie ściska mnie mocno, jakby wiedziała, że nic mnie nie złamie. Odpowiadam tym samym.

Puszczam mnie i wpycha spódnicę w ręce.

– Weź ją. Choćbyś już nigdy miała jej nie założyć. Na pamiątkę.

– Ja... *merci* – szepczę i mam nadzieję, że wie, że nie chodzi mi tylko o suknię.

Jej mąż wstaje.

– Na nas chyba czas.

Żegnamy się, obiecujemy, że się odwiedzimy, czy to w Kalifornii, czy w Oregonie, ale wszyscy wiemy, że nie zobaczymy się już nigdy więcej.

Rozkładam poślanie poza pierścieniem wozów i wsuwam suknię Lucie pod sakwę, która służy mi za poduszkę. Leżę na plecach. Nie reaguję, kiedy Jefferson układa się obok mnie. Patrzę w bezchmurne niebo, zimne gwiazdy i dumam o tym, jak daleko się znajdują.

– Szkoda, że odchodzą – zaczyna Jefferson.

W jego głosie jest tyle smutku, że powstrzymuję odruch, by kazać mu siedzieć cicho.

– Tak.

– Pan Hoffman zabronił mi rozmawiać z Therese.

– Co takiego? – Przewracam się na bok. – Jak to?

Jefferson leży na wznak. Patrzy na wóz Joynerów. Ja też i odruchowo czekam na głośne stuknięcie i komentarz pana Joynera na temat nocnych hałasów. Oczywiście nic takiego się nie dzieje.

– Dlaczego? – Ściszam głos na wszelki wypadek.

– Frank Dilley powiedział im, że to ja podkradałem jedzenie. I że oddawałem wszystko czerwonoskórym pobratymcom.

– Przecież nikt, kto cię zna, w to nie uwierzy.

– Pan Hoffman stwierdził, że nie może puścić tych oskarżeń mimo uszu. I że musi sobie to wszystko przemyśleć.

Przewracam się na plecy, wbijam wzrok w niebo. Serce mnie boli, gdy widzę minę Jeffersona, nawet w ciemności.

– Szkoda, że cię powstrzymałam, gdy chciałeś rozkwasić Frankowi nos – mówię.

– To tylko pogorszyłoby sprawę – zauważa.

– Ale jakie byłoby przyjemne – przekonuję.

Od namiotu majora Cravena dzieli nas zaledwie dziesięć stóp. Słyszymy, jak chrząka i wierci się na posłaniu. Koło nas trzeszczy wóz. Pani Joyner zmienia pozycję. Z dala, z wozu studentów, dobiega stłumiony śmiech.

– Co cię tak rozjuszyło, Lee? – pyta Jefferson szeptem.

Wzdycham. Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Gdzieś niedaleko gra świerszcz. Ten pogodny dźwięk nastraja mnie jeszcze bardziej bojowo.

– Wielebny Lowrey mi się oświadczył.

– Co takiego? – Teraz to on podnosi głos.

– I były to najmniej romantyczne oświadczyzny, jakie można sobie wyobrazić. To akurat dobrze, bo wcześniej myślałam, że twoje były najgorsze na świecie.

– Ja...

– „Ej, Lee, możemy udawać, że jesteśmy rodzeństwem” – wypominam.

– Tak, ale...

– Czy to źle, że chcę, żeby ktoś mnie pragnął?

– Nie, ale...

– Chciałeś, żebym pomogła ci uciec i dostać się na zachód. Wuj Hiram chciał, chce mnie, bo... Bo jest zaborczy. Wielebny Lowrey chciał się szczić dobrym uczynkiem. Jakbym ja się wcale nie liczyła, jakbym istniała tylko po to, żeby poprawiać mężczyznom samopoczucie.

Słyszę, jak odдыcha obok mnie. W końcu się odzywa.

– Nie dlatego ci się oświadczyłem.

– Teraz to już i tak bez znaczenia, prawda? – ucinam. – Teraz podoba ci się Therese, nawet jeśli nie możesz z nią rozmawiać. I wcale ci się nie dziwię. Jest cudowna.

Jefferson wierci się pod kocem. Nagle zamyka moją dłoń w swojej i mam wrażenie, że trafił mnie piorun.

– Podoba mi się – przyznaje. – Ale nie jest tobą. Żadna nie jest tobą, Leah.

Nie wiem, co chcę powiedzieć, bo słowa gubią się gdzieś między mózgiem a ustami.

Jefferson kreśli kciukiem małe kółka na wierzchu mojej dłoni. Coś ściska mnie za gardło, czuję napięcie w całym ciele, jakbym trafiła na największą, najczystsza żyłę złota. Żadne z nas się nie odsuwa.

Major pochrapuje w swoim namiocie. Zdyszane psy przebiegają obok, zmęczone psotami, którym się oddawały.

Drugą ręką szukam sukni Lucie. Dotykam tkaniny, powtarzam sobie, że rodzina pozostanie rodziną, nawet jeśli rozdzieli nas odległość. Zасыpiam z jedną dłonią w dłoni Jeffersona, drugą ściskając materiał.

Rano, kiedy tabor rozjeżdża się w dwie strony, stoję na szlaku, żeby Lucie widziała, co mam na sobie.

Rozdział 31

Pali słońce. Jest piekielnie gorąco. Znikąd cienia, chłodnej bryzy, ratunku. Pot paruje szybciej, niż się pojawia, wszystko pokrywa warstewka soli. Mam popękane usta, suchy, nabrzmiąły język. Ostre słońce pozbawia wszystko barw. Nigdy w życiu nie było tak gorąco, nawet gdy stałam w zimowej sukni przy rozpalonym piecu.

Cały czas myślę o jednym – o tamtym chłodnym styczniowym dniu, gdy Jefferson stał za budynkiem szkoły z wycinkiem z gazety z informacją o odkryciu złota w Kalifornii w dłoni.

Z artykułu wynikało, że to wielkie narodowe ruszenie, przeznaczenie, przed którym nie sposób uciec, więc trzeba pakować dobytek i ruszać przez cały kontynent. Omawiane trasy, wady i zalety przeprawy lądem i morzem sprawiały wrażenie, że są częścią większej strategii. Instrukcje, listy zapasów – wszystko dowodziło, że ktoś to dokładnie przemyślał, że będzie nad nami czuwał, że dotrzemy na miejsce cali i zdrowi.

Tylko że strategia się nie liczy, a plany nas nie uchronią.

Bo koniec końców ta wyprawa wcale nie jest skomplikowana, wielka, wspaniała. Sprowadza się do mozolnego stawiania nogi za nogą, ciągle na zachód, przez rozżarzoną pustynię, póki albo dojdziemy do celu, albo zrezygnujemy po drodze.

Albo umrzemy. Już i tak straciliśmy tylu podróżników. Rozglądam się po twarzach wokół mnie. Wszyscy prą do przodu z tą samą ponurą determinacją: Hoffmanowie, Joynerowie, studenci. Serce mi pęknie, jeśli stracimy jeszcze kogoś.

– Wół padł! – rozlega się wołanie z przodu.

Tym razem przy wozie studentów. Jefferson, Therese i ja biegniemy na ratunek. Jeff jako pierwszy dosięga wyczerpanego zwierzęcia. Wyprzęga je. Wół zatacza się. Ledwie trzyma się na nogach.

Jefferson ściąga z twarzy chustkę, mającą go chronić przed wszechobecnym pyłem.

– Co z nim? – pyta Jaspiera. – Mam go przywiązać?

– Nie. Jeśli ma dość sił, niech idzie za wozem. Jeśli nie, niech robi,

co chce.

Jefferson i Jasper mierzą się wzrokiem. W oczach Jeffa jest twardość pasująca raczej do dwukrotnie starszego mężczyzny. W końcu przerywa ciszę.

– Zarżnę go – mówi.

Jasper kiwa głową i odchodzi.

– Nie! – Therese kładzie mu rękę na ramieniu. Nigdy nie byli tak blisko siebie, odkąd pan Hoffman zabronił im rozmawiać. – Nie zjem wołu, nie przełknę ani kęsa.

Patrzy na nią gniewnie.

– Owszem, zjesz, kiedy przyjdzie co do czego. Ale to nie dla nas. Jeszcze nie.

– Więc...

– Nugget i Coney – wyjaśniam. – Nie mamy już wody, nie mamy zapasów. Jeśli nadal będziemy ukradkiem podsuwać im podpłomyki i poić z naszych manierek, Dilley je zastrzeli.

– Och. – Pobladła. Jeffersonowi zależy nie tyle na mięsie, co na krwi. Patrzy na biednego wołu. Ma wystające żebra, oddycha z trudem. – Zrób to szybko.

– Oczywiście. – Wyjmuje nóż zza paska.

Wędrujemy dalej, noga za nogą. Jefferson czeka koło wołu, aż znikniemy w oddali, zanim zada mu cios.

Wszystkie zwierzęta cierpią. Od ponad trzystu mil idą po trudnym, skalistym podłożu, aż pękają im kopyta i koślawią stawy. Jefferson i ja cały czas idziemy pieszo, żeby oszczędzać konie. On ukradkiem karmi swoją wodą psy, ja większość oddaję Peonii. Nie stracę jej, za żadne skarby świata.

Wszędzie wdziera się kurz, czasami drobny jak mąka, innym razem gruby i szorstki. Zasłaniamy twarze chustkami, ale i tak cały czas mam go w ustach. Czuję go pod powiekami, co rano budzę się z zapuchniętymi, zaskorupiałymi oczami. W gardle mam kawał pustyni. Płuca płoną żywym ogniem. Andy od kilku dni nie przestaje kasłać. A słońce pali niemiłosiernie, przez cały dzień.

Trawa zdarza się rzadko, jest sucha i ostra, zresztą i tak muły wyjadają co lepsze kępy. Ilekroć znajdę pominiętą kępkę, zrywam ją dla Peonii i karej klaczy. W ogniskach palimy bylicą, ale tak szybko obraca się w popiół, że nie da się na niej wiele ugotować. Brzuch mnie boli, bo jem właściwie tylko owoce agawy.

Szlak prowadzi wzdłuż leniwej rzeki Humboldta, początkowo przezroczystej i bystrej, teraz płynącej coraz wolniej, wątlej, aż przypomina bagno i staje się zbyt mętna, by ją pić. Moczymy w niej chustki i zasłaniamy twarze, i tyle z niej pożytku. Biedne woły piją, aż chorują. Wkrótce i my pójdziemy w ich ślady.

– Wozy przed nami – woła major Craven z kozła. Wyteżam wzrok. Ci z Missouri robią postój, zatrzymali się nad płytką sadzawką. Mężczyźni i zwierzęta stoją w wodzie po kolana, szukając ochłody. Nagle dociera do mnie, że to koniec rzeki.

– Ten przekłęty strumyk tak po prostu się kończy – mówi Therese. – Kończy się niczym.

– Wiecie, co zastaniemy, kiedy tam dojedziemy? – rzuca major.

– Ani odrobiny co lepszej trawy i czystej wody? – domyślam się.

– Poza tym.

– Nie mam pojęcia.

– Ich, gotowych do dalszej drogi. Bez nas.

Therese mamrocze pod nosem kilka słów, których zapewne nauczyła się od Franka Dilleya.

Kiedy nasza mała karawana pięciu wozów – dwa Hoffmanów, jeden wielebnego Lowreya, jeden studentów i jeden Joynerów – wjeżdża na teren obozowiska, Dilley wchodzi na zwalony pień i zwraca się do wszystkich:

– Za kwadrans ruszamy dalej! – woła do nas.

– Za kwadrans? – Nie wierzę własnym uszom. – Potrzebujemy więcej czasu.

– Ale nie możemy dłużej czekać. Przed nami pięćdziesiąt cztery mile pustyni bez kropli wody. Będziemy iść bez przerwy, dniem i nocą, aż przejdziemy na drugą stronę.

– I dlatego potrzebujemy więcej czasu niż kwadrans – zauważam.

– Nie napinaj się tak, bo ci kiecka pęknie, Georgia. Albo ruszacie z nami za kwadrans, albo nie. Ścieliśmy większość trawy, ale po drugiej stronie jeszcze trochę zostało.

Prowadzę Peonię przez wodę i klęę pod nosem tak, że moja mama umarłaby ze wstydu. Peonia wierzga, chcąc ochlapać przegrzany grzbiet. Nieco dalej dostrzegamy porzucony wóz. Deski popękały w upale. W jego cieniu rośnie jeszcze sporo trawy. Puszczam Peonię, żeby się pasła.

Major Craven daje znak, żebyśmy wszyscy się zebrali, więc wracam

do wozów.

– Musimy zdecydować, co dalej – mówi. – W tej samej chwili podchodzą Jefferson i psy. Coney i Nugget brykają radośnie, najedzone niedawnym posiłkiem, machają ogonami, strzygą uszami.

– Nasze woły są ledwo żywe – oznajmia ponuro pan Hoffman. – Przekładamy wszystko na jeden wóz, drugi zostawiamy. Powinny dać radę. Może nam wystarczy, żeby w Kalifornii zacząć od nowa.

Akurat Hoffmanowie na pewno mają dość, żeby w Kalifornii zacząć od nowa, o ile złotowidzenie mnie nie myli.

– Bardzo sprytnie – mówi major Craven i zerka na studentów, którzy z kolei patrzą na mnie. Coś planują.

– Therese poszła z chłopcami w dół strumienia poszukać trawy – ciągnie pan Hoffman. – Ale nie wszystko będzie dla nas, podzielimy się z wami.

Kiwamy głowami z wdzięcznością. Dzięki temu zaoszczędzimy trochę czasu.

– Od tej pory przez kilka dni nie natkniemy się na żadne źródło wody – mówi wielebny Lowrey. – Missouri już rozpalili ogniska. Powinniśmy zaraz zamieść ciasto z mąki, by mieć czym karmić zwierzęta w drodze.

Od dawna nie mówił tak rozsądnie.

– Damy radę w piętnaście minut? – pytam.

– Mam sodę oczyszczoną. Jeśli teraz zacznę, zdążę – odpowiada.

– Bardzo dobry plan – chwali Jasper.

Wielebny biegnie do swego wozu.

– Pozbieram nasze zapasy – mówi Henry. – Choć niewiele tego zostało.

– A wdowa Joyner? – interesuje się major.

Kręcę przecząco głową. Przecież zna odpowiedź.

– Jest wielka jak dom, który lada chwila urodzi stodołę – odpowiadam. – Od kilku dni podskakuje na wybojach. Nie da rady piec.

– To wiem – prycha major. – Ale czy, skoro jest taką damą, obrazi się, jeśli wejdę do wozu po mąkę?

Skąd mam to wiedzieć?

– Na pewno zrozumie – odpowiadam.

Nie wydaje się przekonany. Cały czas okazywał jej szacunek i troskę, ale domyślałam się, że obcowanie z kapryśną wdową jest o wiele trudniejsze, niż się spodziewałam.

– Zanioseć beczkę – rzuca Tom.

Oddalają się razem.

– Poszukam opału – mówi Jefferson.

– Pomogę ci. – Chcę iść za nim, ale Jasper chwyta mnie za ramię.

– Jak wasze woły? – pyta.

– Zostało sześć, dwa są bardzo słabe. W sumie lepiej niż myślałam. Pan Joyner miał oko do zwierząt, kupił najlepsze, jakie udało mu się znaleźć.

– Nam zostały cztery. Ledwo żywe.

Kiwam głową. Nie mówi mi niczego nowego.

– Wy macie najsilniejsze woły, my najlżejszy wóz – ciągnie. – Mamy większe szanse pokonać pustynię, jeśli połączymy siły. Dziesięć wołów, jeden lekki wóz.

Ma rację. Tylko że...

– Wdowa Joyner... lada chwila zacznie chorować.

– Jak będzie trzeba, wóz będzie do jej dyspozycji. Damy radę. Major mówi, że pójdzie o kuli. Pozostali i tak cały czas wędrują pieszo.

– Właściwie dlaczego mnie o to pytasz? – Dziwię się.

– Bo możesz z nią porozmawiać, jak kobieta z kobietą, i wszystko wytłumaczyć.

Ściągam brwi. O ile mi wiadomo, mężczyźni mówią takie rzeczy, kiedy chcą się wykręcić od nieprzyjemnego obowiązku.

– Przekażę jej, ale to jej decyzja. Do niczego nie będę jej zmuszać.

– Uczciwie – przyznaje Jasper.

Podchodzę do wozu wdowy Joyner, pukam w ścianę, jakbym szła z wizytą do eleganckiego domu.

– Tak – odzywa się.

Rozchyłam plandekę. Siedzi na materacu, zasłania rękami brzuch, jakby chciała go chronić. Jasny kok się przekrzywił, włosy kleją się do spoconej twarzy. Andy i Olive kulą się u stóp posłania, przerażeni, ale zbyt zmęczeni, by reagować.

– Jasper chce połączyć nasze siły podczas przeprawy przez pustynię. Nasze woły, ich wóz – mówię. – Powiedziałam mu, że niczego nie obiecuję, ale...

– Zróbmy to – decyduje. Nabiera głęboko tchu, zamyka oczy. – Major i Tom przyszli po mąkę. Wspominali o tym planie. Ma sens.

– Dobrze. Szybko panią przeniesiemy.

– Szybkość jest kluczowa – odpowiada z bladym uśmiechem.

– Zaraz po panią przyjdziemy. – Dziwne. Pani Lowrey wędrowała koło

wozu aż do dnia, w którym umarła w połogu. Wdowa Joyner od tygodnia nie zeszła z wozu.

Zeskakuję na ziemię, odwracam się i chce mi się krzyczeć ze strachu – Jefferson stoi tuż przede mną.

– Zdaje się, że miałeś szukać drewna na opał.

– I znalazłem. Właśnie tutaj. Deski są tak suche, że będą się świetnie palić.

Nie sposób temu zaprzeczyć.

– Zaprowadźmy woły do wody, zanim zaprzęgniemy je do wozu studentów.

Wystarczy, żebyśmy je wyprzęgli, same biegną do wody. Kosztują jej i ryczą tak żałośnie, że serce się kraje, ale i tak piją chciwie.

Therese i jej bracia wracają z naręczami trawy.

– Vati mówi, że to dla was. – Wymieniają z Jeffersonem ukradkowe spojrzenia. Dzień w dzień idziemy razem, we trójkę, co jakiś czas rozmawia z Jeffersonem, ale uważają, żeby się do siebie nie zbliżać. Na razie jej ojciec nie protestuje.

– Dziękuję – odpowiadam. – Zaniesiemy je do wozu.

– My to zrobimy – mówi. Rusza przodem, przed braćmi, i ukradkiem tęsknie zerka na Jeffersona. Wcale się jej nie dziwię; naprawdę jest na co popatrzeć. Jego gęste ciemne włosy kręcą się lekko na karku, otaczają silną, kwadratową szczękę – po ojcu Irlandczyku, która kontrastuje w wystającymi kośćmi policzkowymi. Zakasane rękawy odsłaniają silne, umięśnione ręce, spalone słońcem.

Therese odnajduje mój wzrok.

– Już – mówi ktoś.

Odwracam się powoli. Wdowa Joyner stoi na wozie. Z wielkim trudem trzyma się na nogach. Dzieci wyglądają zza niej jak pieski periwone.

Idziemy pomóc, ja i Henry Meek. Razem przenosimy ją do wozu studentów i układamy w środku. Olive gramoli się pod plandekę, żeby być z mamą. Andy wyciąga rączki, więc podnoszę go, ściskam szybko i stawiam koło siostry.

– Co zabrać z wozu? – pytam.

– Wodę i jedzenie – odpowiada. – I ten mały kuferek z moimi inicjałami. Nic więcej.

Spełniam jej polecenie, ale zabieram też obrus w kratę. Przez długą, cenną chwilę żegnam się wzrokiem z wielkim stołem.

Wióry lecą, gdy Jefferson rąbie wóz Joynerów. Major wrzuca kawałki drewna do ognia i piecze placek. Po raz ostatni sprawdzam odległość

na milomierzu pana Joynera.

- Tysiąc sześćset osiemdziesiąt siedem – mówię na głos.
- Że co? – dziwi się Jefferson.
- Tyle mil pokonał ten wóz od Independence.
- Tylko tyle? Myślałem, że więcej.
- To jeszcze nie koniec – zauważam.

Po przeciwnej stronie obozowiska Frank Dilley i jego kompani szykują swoje wozy, też zostawiają połowę z nich, ale w przeciwieństwie do naszych te, które ruszają w dalszą drogę, wiozą oskardy, łopaty i sprzęt do szukania złota. Będę musiała trochę go wyczarować, zanim nas będzie na to wszystko stać.

- Nasz kwadrans już minął? – wołam do Franka.
- Damy wam jeszcze kilka minut, jeśli chcecie jechać z nami – odkrzykuje.

Patrzę na Jaspiera.

- A ty jak sądzisz? Staramy się nadążyć za nimi?
- Woły idą lepiej, szybciej, gdy widzą wozy przed sobą. Zdaję też sobie sprawę, że pod wieloma względami różnimy się od kompanii Franka, ale chcę wierzyć, że to w gruncie rzeczy przyzwoici ludzie. Gdyby coś się stało z jednym z naszych wozów, nie zostawiliby nas na pastwę losu, tak samo, jak my ich.

Mam nadzieję, że się nie myli.

Zbliża się Tom w przepoczonej koszuli rozpiętej do połowy. Ściąga kapelusz, wachluje czerwone policzki.

– Ufasz im bardziej niż ja – mruczy pod nosem. – Ale im dłużej zwlekamy, tym bardziej słabną nasze zwierzęta.

To akurat rozumiem.

Pochodzi major Craven.

– Mam przywiązać najsłabsze z tyłu wozu? Zaprzęgać je na zmianę na postojach?

– Słabsze nie nabiorą siły, drepcząc z tyłu – zauważam.

– Czyli zaprzęgamy wszystkie i niech ciągną, póki nie padną – decyduje major. Wszyscy kiwamy twierdząco głowami. – To wbrew pozorom najmniej okrutne rozwiązanie.

– Do roboty – mówi Jefferson.

Ostatnie wozy z Missouri ruszają w drogę, gdy w końcu jesteśmy gotowi. Frank Dilley poganiał nas, powtarzając, że mamy tylko kwadrans, ale rozpiera

mnie duma na myśl, jak szybko i sprawnie pracowaliśmy. Zapach świeżego placka wypełnia nam nozdrza, gdy prostujemy się i wyruszamy w żółtobiałą pustynię.

– Aż mi się jeść chce – mówi Jefferson. Idzie koło mnie.

Therese podchodzi do nas. Pilnuje, żebym zawsze była między nią a Jeffersonem.

– Gdybym nie miała w ustach tak sucho, pewnie pociekłaby mi ślinka – przyznaje.

Prowadzimy konie. Psy truchtają obok z wywieszonymi ozorami.

– Jak myślisz, ile potrwa przeprawa? – rzuca Jefferson.

– Zdaniem majora jakieś trzy i pół dnia – odpowiadam, wpatrzona w niebo.

– Mamy poniedziałek po południu. Może o wschodzie słońca w czwartek będziemy już po drugiej stronie.

Gwiżdże pod nosem.

– Chyba wolałem tego nie wiedzieć.

– Spójrz na to z tej strony: jak pokonamy pustynię, będziemy w Kalifornii. Prawie, jeszcze tylko kilka gór i już.

– Czyli właściwie już jesteśmy na miejscu – cieszy się Therese. Nagle sztywnieje. Przed nami pan Hoffman odwrócił się na koźle i mierzy nas wzrokiem.

Mam ochotę odpowiedzieć mu równie gniewnym spojrzeniem, ale zamiast tego odsuwam się od Jeffersona i obejmuję Therese ramieniem, jakbyśmy wybrały się na przechadzkę tylko we dwie.

– Dzięki, Lee – szepcze.

– Gdyby twój ojciec pytał, prosiłam cię, żebyś się ze mną przeszła, bo jesteś jedyną kobietą w moim wieku, z którą mogę porozmawiać. Nie mogłaś mi przecież odmówić.

Z przejęciem kiwa głową.

– Nie, to byłoby bardzo niegrzeczne.

* * *

Wrześniowe dni są stanowczo za długie. Upał oblepia skórę jak koc, ciąży, wysusza mnie na wiór, aż w końcu słońce zachodzi i pustynia stygnie. Tabor staje na krótko, żeby nakarmić i napoić zwierzęta, a potem ruszamy dalej. Zjadamy po kilka kęsów majorowego chleba i popijamy gorzką wodą. Podaję

trawę Peonii, gdy słyszę swoje imię.

– Lee – zaczyna wdowa Joyner spokojnie. I po chwili, z paniką: – Lee!

Biegnę do wozu, zaglądam pod plandekę. Jej spocona twarz wydaje się w tym świetle niemal niebieska. Dyszy jak pies na pustyni. Na materacu wykwitła wielka mokra plama.

– Nie wytrzymam dłużej – mówi. – Dziecko już bardzo chce się urodzić.

Gdzieś w oddali ktoś strzela z bata, rozlega się głośny krzyk. Wyglądam spod plandeki.

Frank Dilley i jego kompani z Missouri wyruszają bez nas.

Rozdział 32

Proszę się trzymać – szepczę.

Chwyta mnie za rękę, z trudem łapie za rękaw.

– Nie zostawiaj mnie.

Wóz już wypełnia przykry zapach. Za gorąco tu, za ciasno.

– Muszę powiedzieć innym – tłumaczę.

– Proszę cię, Lee.

– Zaraz wrócę, obiecuję. – Głos mi się łamie.

Nasze trzy wozy stoją razem, w trójkącie.

– Przyszedł jej czas – mówię to, czego wszyscy i tak się już domyślali.

Przed nami wozy Missouri zwalniają, ale nie stają. Frank Dilley podchodzi do nas z kciukami za pasem. Pluje tytoniem prosto pod moje nogi.

– Nie możemy dłużej czekać – mówi. – Lepiej zostawcie ją z jednym z waszych koni. Zabierzcie dzieciaki i jedźcie bez niej.

Major Craven staje naprzeciwko niego i wymachuje kulą.

– Co, mamy może skrócić jej cierpienia? Jak wtedy, gdy chciałeś mnie odstrzelić?

– Frank, nie każemy wam czekać – wtrącam szybko. Nie mam prawa mówić za pozostałych, ale nie wytrzymam z nim ani chwili dłużej. – Zrobicie, co uważacie za stosowne, podobnie jak my.

– A więc tu się rozstajemy – mówi i mierzy mnie wzrokiem długo, nieprzyjemnie, aż przeszywa mnie dreszcz. – Choć stawiam, że nasze drogi jeszcze się skrzyżują. O ile dotrzecie do Kalifornii.

Odchodzi, podnosi rękę i woła do swoich:

– Wyruszamy!

Ostatnimi czasy wielebny Lowrey jest przy mnie bardzo małomówny, ale teraz jako pierwszy zabiera głos:

– Wyruszyłem na zachód, żeby głosić Słowo Boże, nieść poszukiwaczom złota dobrą nowinę i nadzieję na zbawienie. Bóg chce, żebym spełnił ten plan. Ale wiedzcie, że cały czas będę się modlił za wdowę Joyner.

Nie daje nam czasu na reakcję, oddala się do swego wozu, strzela z bata i rusza w ślad za Missouri.

Zostają jeszcze Hoffmanowie z dziećmi. Pan Hoffman mnie kapelusz w dłoniach.

– Tak mi przykro – zaczyna.

– *Vati, bitte* – prosi Therese. Nie pojmuję, jak ktoś może odmówić błaganiu w jej niebieskich oczach. Kładzie ręce na barkach Doreen i całuje ją w czubek głowy. – Powinniśmy pomóc tym, którzy pomogli nam – szepcze.

– *Es tut mir sehr leid* – odpowiada jej ojciec.

Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie. Jakimś cudem zostałam nagle rzeczniczką kompanii Joynerów.

Woły Hoffmanów są słabe. Zwlekając, ryzykują, że nie dojdą do celu.

– Idźcie, ze względu na dzieci.

Kiwa głową. Wiem, że i tak by odszedł, nieważne, co powiemy. Prowadzi dzieci do wozu. Therese zawraca w ostatniej chwili. Obejmuje Jeffersona, który ściska ją serdecznie. Potem rzuca mi się na szyję, aż tracę oddech. Tulę ją do siebie. Nie jestem w stanie nic powiedzieć, ani „do widzenia”, ani „szczęśliwej drogi”, bo coś boleśnie ściska mnie za gardło.

Cofa się o krok, powstrzymuje łzy.

– Będę wściekła, jeśli nie spotkamy się w Kalifornii.

Odbiega, zanim zdążymy odpowiedzieć. Widzę jeszcze, jak Therese i pani Hoffman oglądają się za siebie, zanim pochłonie je ciemność.

Z wozu dobiega jęk.

– Już idę, pani Joyner! – wołam.

Rozmawiamy szybko w szóstkę – major, studenci, Jefferson i ja.

– Ciężko mi to przyznać, ale Frank ma rację.

– Bzdura – prycha Jefferson.

– Bzdura czy nie, ale jedno wam powiem. Zostawcie namiot majora, Peonię i tyle zapasów, ile uniesie. Weźcie Andy’ego, Olive i wóz i jedźcie za nimi. Poczekać, aż dziecko się urodzi, a potem was dogonimy.

Zaskakuje mnie ich reakcja: głośne, zdecydowane „nie”.

– Może potrzebować mojej pomocy – zauważa Jasper.

– Nie zostawię cię – dodaje Jefferson. – Już nigdy więcej.

– Leah! – dobiega z wozu.

Waham się. Nie wiem, czy dalej ich przekonywać, czy biec jej na pomoc.

– Idź – decyduje Jefferson. – Zajmiemy się wszystkim.

Biegnę do wozu.

* * *

Wchodzę pod plandekę. Dzieci czepiają się matki. Olive trzyma ją za rękę, jakby chciała ją pocieszyć, ale na mój widok zaczyna płakać. Andy ma zapuchnięte oczy i mokre policzki.

– Czy ma też umrze? – pyta, zaciskając łapkę na medalionie.

– Proszę – szepcze pani Joyner. – Nie chcę, żeby widziały mnie w takim stanie.

Olive daje się bez trudu wyprowadzić, ale Andy’ego muszę oderwać siłą.

– Jefferson! – wołam. Stawia się cała piątka.

– Zajmijcie czymś dzieci – mówię. – Dajcie im jeść i połóżcie spać pod namiotem.

Major kuśtyka energicznie.

– Chodź, bracie – mówi do Andy’ego. Opiera się o wóz i bierze chłopca na ręce. – Nauczmy twoją siostrę piec placki. Mamie przyda się pomoc.

Pozostali kręcą się dokoła, jakby nie wiedzieli, co robić.

– Odejdźcie – proszę. Oddalają się niechętnie.

Pani Joyner z ulgą opada na posłanie.

– Najpierw panią umyjemy, a potem zawołam Jaspera, żeby przyjął poród.

– Wnętrze wozu przepęlnia zapach krwi, moczu i potu.

Kręci przecząco głową.

– Ty to zrobisz.

– Ja?

– Ciotka Tildy... Miała mi pomóc... Jesteś jedyną kobietą i...

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale pani Joyner zaciska oczy, gdy przychodzi fala bólu. Kiedy ostatnio przyjmowałam poród, nowo narodzona dostała na imię Gładiola i po kilku latach zaczęła dawać mleko. Chyba nie za wiele to się różni?

Pani Joyner osuwa się na posłanie, gdy ból ustępuje.

– Obiecaj mi, Lee – szepcze.

– Ale co?

– Że zaopiekujesz się moimi dziećmi. Że im powiesz, że ma bardzo je kochała.

Niecałe osiem miesięcy temu straciłam własną matkę. Pani Joyner była już wtedy przy nadziei. Tak dawno. I zarazem jakby wczoraj.

– Nic pani nie będzie, pani Joyner.

- Becky – szepcze. – Mówi mi Becky.
- Dobrze. Becky.
- Nie mogę przestać myśleć o żonie kaznodziei.
- O pani Lowrey?
- Mary. Miała na imię Mary. Taka miła dziewczyna. Niewiele od ciebie starsza.
- Nie za dobrze ją znałam – przyznaję.
- Rozmawiałam z nią kilka razy. – Ścisła moją dłoń. – Dobrze zrobiłaś, odrzucając oświadczyzny wielebnego. Odkładaj zamążpójście, jak długo się da. Mam na końcu języka pytanie dlaczego, ale chyba nie chcę wiedzieć. Ścisnę jej dłoń.
- Nie wiesz, jak to jest – dyszy. – Ilekroć... – Unosi rękę do ust, wbija zęby w kłykcie. Tym razem nie skurcz ją dręczy, coś innego, mroczniejszego. Próbuje jeszcze raz. – Moja matka umarła w połogu. Podobnie jak moja babka. A w zeszłym roku moja starsza siostra... ilekroć dzieliłam łóżko z mężem, myślałam sobie: Becky, za dziewięć miesięcy umrzesz. Wiem, że cierpienie kobiet to wola Boża, że naszym zbawieniem jest wiara i wychowanie dzieci, ale czasami...
- Wszystko będzie dobrze. – Ścisnę jej rękę, znowu, bo jedna z nas dygocze na całym ciele. Nie sposób ustalić, która.
- Nie wiesz tego – odpowiada. – Na tym polega problem z ciążą. Nigdy nie wiadomo. Mój mąż był hazardzistą. Dureń nie wiedział, że najbardziej ryzykował moim życiem.

* * *

Skurcze trwają całą noc. Długo. Za długo. Mierzę czas między nimi. W końcu zdarzają się coraz częściej. Co chwila każe mi się oglądać. Robię to w świetle świecy. Nie mam pojęcia, którą ma wyjść dziecko.

Między skurczami drzemie. Ja też usiłuję, ale ledwie przysnęłam, czyjaś ręka wsuwa się pod plandekę i mnie ciągnie. Budzę się gwałtownie.

- Dziecko już się urodziło? – pyta Jefferson.
- Nie – odpowiadam szeptem.
- Hampton wrócił!
- Och. – Ciekawi mnie, co powie dalej.
- Najzwyczajniej w świecie wszedł do obozu, taszcząc baryłkę wody, jak

gałązkę oliwną. Znalazł nad wodą pustą beczkę i ją napełnił.

– Dobrze – mówię. – Nikt nie chce go... nie wiem, skrzywdzić?

– Chodzi ci o majora? Nie, nie teraz, gdy odjechali Missouri. A dodatkowa beczka bardzo się nam przyda.

Oddycham z ulgą. Jeszcze kilka tygodni temu Hampton musiałyby się liczyć z zupełnie innym przyjęciem, nawet ze strony rodzin. Ale w drodze do Kalifornii wszystko się zmienia.

Jefferson milczy, więc sądzę, że odszedł. Znowu drzemię.

– Wiesz, major wcale nie jest taki zły. – Znowu mnie budzi.

– Tak? – Z trudem unoszę powieki. – Mimo tego, co mówił o Indianach?

– Mówił, że musiał coś zrobić, inaczej Missouri posunęliby się o wiele dalej. Dryl był tylko po to, żeby dali mu spokój.

– Hm. I ty mu wierzysz?

Kolejny skurcz budzi Becky Joyner. Jęczy z bólu. Jefferson opuszcza plandekę i znika.

* * *

Słońce wschodzi i pali bezlitośnie, a dziecka nadal nie ma. Cały czas siedzę u boku Becky, opowiadam o dzieciństwie w Dahlonga, poję ją ciepłą, mętą wodą, ściskam za rękę podczas skurczów.

– Tak samo było przy pozostałych dzieciach – mówi po jednym z nich. – Z Olive leżałam trzydzieści sześć godzin, z Andym – dwadzieścia cztery.

– Straszne – mówię.

Nie jest w stanie odpowiedzieć, bo dopada ją kolejny skurcz. Mamrocę bezsensowne słowa otuchy. Tym razem skurcz ciągnie się w nieskończoność. Zastanawiam się już, czy iść po Jaspera, kiedy jej twarz się wypogadza.

– Ponad trzy minuty – oznajmiam z wymuszoną radością. – Są coraz dłuższe.

Kiwa głową i uśmiecha się dzielnie. A potem krzyczy.

Fale przychodzą jedna po drugiej, bezlitosne, okrutne. Od początku miała rację: umrze tutaj. Po raz ostatni zaglądam między jej nogi. Jeśli nic się nie zmieniło, idę po Jaspera, niech sobie mówi, co chce.

Dostrzegam główkę dziecka.

– Och! – szepczę.

Ma panikę w oczach. Wbija palce w moją dłoń.

– Dziecko ma ciemne kręcone włoski! – mówię.

Na jej spoconej twarzy maluje się radość, jakiej nigdy nie widziałam, sprawia, że staje się niemal piękna.

– Przy następnym skurczu masz pchać, pamiętaj!

Nie odpowiada, cierpi. Na jej czole nabrzmiewa żyła. Niskie, gardłowe jęki przechodzą w niekończący się skowyt. Przez chwilę widzę ramionka dziecka, a potem małe ciało wysuwa się, niemal wyslizguje z moich rąk.

– Dziewczynka – szepczę. Taka malutka.

Zakrwawione maleństwo prycha, kaszle, a potem krzyczy, głośno i energicznie.

– Kochanie! – Pani Joyner ze szlochom wyciąga ręce. Składam w nich dziecinę i nagle z twarzy kobiety znikają ból i lęk, jakby nigdy ich tam nie było. Pępowina ciągnie się po piersi Becky, niknie w krwawej masie łożyska na posłaniu. Najpierw wieści, później sprzątanie.

Rozchyłam plandekę i widzę w cieniu namiotu, rozpiętego jak markiza, osiem znużonych postaci. Patrzą na mnie wyczekująco.

– Dziewczynka – mówię. – Cała i zdrowa. Jej mama też. – Mrugam, oślepią jasnością. Od kiedy mam mgłę przed oczami? Może to dlatego, że nie spałam od ponad doby.

Jefferson klaszcze w dłonie.

– Świetnie. Możemy wreszcie ruszać?

Ja jednak patrzę ponad jego głową, na coś, czego nie powinno tam być. Postać w oddali. Spódnica trzepocząca na wietrze. Kobieta, zataczająca się daleko, na rozedrganym z upału horyzoncie.

Therese. Po pięciu miesiącach podróży rozpoznam ją wszędzie. Potyka się, wstaje.

Zeskakuję z wozu i puszczam się biegiem.

Słyszę kroki pozostałych za sobą. Dopadam jej, osuwam się na kolana. Wymiotuje – cienką nitką żółci, ale torsje nadal nią szarpią. Zgubiła jeden but, bosa stopa jest pokryta ranami. Cała płonie. Usiłuję pomóc jej wstać, czuję bicie jej serca pod palcami. Trzepocze się szybko, panicznie, jak skrzydła kolibra.

– Therese? – woła Jefferson. – Therese! Co z nią? Jasper, co...

– Udar słoneczny – orzeka Jasper. – Szybko, zanieście ją do cienia i dajcie wody.

Jefferson chwyta ją pod pachami, ja i Hampton za nogi. Kołysze się między nami bezwładnie, gdy ni to niesiemy, ni to ciągniemy ją do obozowiska.

– Märchen von einem, der auszog das fürchten zu lernen – mamrocze.

– Nic nie rozumiem, Therese – krzyczy Jefferson. – Co się stało? Powiedz, co się stało?

– To taka baśń, głuptasie – szepcze. Odnajduje mój wzrok, nagle patrzy zupełnie przytomnie. Wyciąga rękę, jakby chciała złapać mnie za nadgarstek, ale traci siły. – Musicie im pomóc.

– Oczywiście – zapewniam. Już dochodzimy do namiotu.

– Pękła oś – tłumaczy. – Zostawili nas. Vati zdecydował, że idziemy pieszo, ale Doreen okazała się za ciężka. Upadł. Proszę... Pomocy...

Oczy uciekają jej pod czaszkę. Wpadam w panikę.

– Gdzie oni są?

– Tak bardzo chciałam zobaczyć Kalifornię.

– Therese, gdzie...

Ma konwulsje, wierzga nogą tak mocno, że wyrywa się z mojej dłoni, opada na ziemię.

– Szybciej! – krzyczy Jasper. Każe nam położyć ją na boku. Obmywa ją wodą.

– Therese – szepcze Jefferson. Wyciąga rękę, łapie moją dłoń.

Bezradnie obserwujemy, jak miota się przez kilkanaście minut. Jakbym znowu obserwowała skurcze porodowe, tylko że kiedy w końcu nieruchomieje, jej oczy są puste i martwe, a z ust nie wydobywa się oddech.

– Co się stało? – szepcze Jefferson. – Therese?

Jasper kręci przecząco głową.

– Ugotowała się we własnym ciele – mówi Henry.

Niemożliwe. Tak nie może być. Nie Therese. A jednak się nie rusza. Nie mruga. Nie mogę odciąć choroby. Nie mogę pospieszyć jej na ratunek. Złoty medalion jej nie ocali.

Jefferson rozchyła usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

– Co się dzieje? – Becky Joyner wychyla się z wozu, tuląc do piersi nowo narodzone dziecko, Olive i Andy wyglądają z za niej ciekawie.

Jeśli otworzę usta, nie zdołam się pohamować.

– Therese – mówi ponuro Hampton.

Jasper wstaje z ponurą miną.

– Jej rodzina jest w opałach. Biegła przez pustynię, żeby sprowadzić pomoc. Poświęciła się, żeby... – Usta mu drżą.

Ściskam dłoń Jeffersona. Therese jest bohaterką. Tak jak tego chciała.

– Więc chodźmy po nich – mówi stanowczo Becky. – Natychmiast.

Rozdział 33

Nie ma czasu, żeby pochować Therese jak należy, jeśli chce my ratować jej rodzinę, więc tylko owijamy ją w namiot majora i okładamy kamieniami.

Jej śmierć nie może pójść na marne. Nie może i już. Tak więc zamiast nabożeństwa, oddajemy jej cześć działaniem. Błyskawicznie zaprzęgamy woły. Wóz rusza powoli po kamienistym podłożu, ale Becky Joyner nawet nie piśnie. Tak się cieszy, że żyje, że sama sprząta poślanie.

Wędrujemy przez noc, co godzina zatrzymujemy się na chwilę, żeby dać zwierzętom kilka kropli wody i kawałek placka. Peonia zwiesza żałośnie łeb. Woły ryczą rozpaczliwie. Przed świtem pada pierwszy z nich. Wyprzegamy go z Jeffersonem i zostawiamy na szlaku.

O dziewiątej rano znajdujemy porzucony wóz. Ma pękniętą oś, a nie mieli zapasowych części – wszystko zostało po drodze, żeby ulżyć zwierzętom.

Jasper obejmuje dowództwo.

– Tu zaczniemy poszukiwania – decyduje. – Będziemy zataczać koła konno, póki nie trafimy na ślady i...

– Nie – przerywam mu zdecydowanie. Hoffmanów tu nie ma. Nie wyczuwam złota.

– Lepiej się nie rozdzielajmy – zauważa Hampton. – Tutaj nikt sam nie przeżyje.

Wszyscy kiwają głowami, poza Jeffersonem, który stoi z pochyloną głową i zwieszonymi ramionami. Nigdy nie widziałam go w takim stanie, nawet po najgorszych awanturach z ojcem.

– Therese powiedziała jasno, że jej ojciec wyruszył na pustynię na piechotę – mówię. – Idźmy szlakiem, aż trafimy na ich ślad. Albo na nich.

– Na pewno? – dopytuje Jasper.

– Na moje życie.

Jefferson gwałtownie unosi głowę.

– Nawet tak nie mów.

– Weźmy wodę i zapasy z ich wozu i idziemy – decyduje Jasper.

Błyskawicznie zabieramy to, co może się nam przydać, i ruszamy dalej. Po godzinie kolejny wół klęka i wali się na bok. Zostało nam osiem, a przed

nami jeszcze połowa drogi przez pustynię.

Mijamy wołu Hoffmanów. I kolejnego. Na niebie sępy zataczają leniwe koła. W tej przeklętej krainie tylko one jedzą do syta.

Słońce pali niemiłosiernie, dręczy nie tylko upałem, ale też światłem, które rani oczy. Do tego stopnia zatracam się w rozpaczliwej wędrówce, w kolejnych krokach, że o mały włos a zignorowałabym złotowidzenie, gdy nagle się budzi. To lekkie łaskotanie w gardle. Pierwsze nuty syreniej pieśni.

Złoto Hoffmanów jest ledwie wyczuwalne. Zamykam oczy, koncentruję się. W lewo, za wzgórzem, poza zasięgiem naszego wzroku.

– Widzę ślady! – wołam. – Zostawcie tu wóz, nakarmcie i napójcie zwierzęta. Część niech idzie ze mną.

Nie ma żadnych śladów, wszyscy to widzą i przez chwilę dociera do mnie, jak bardzo jestem nierozsądna, ale to teraz nieważne. Musimy znaleźć Hoffmanów. Muszę zrobić to dla dziewczyny, która mogła stać się moją przyjaciółką.

Nie zawracam sobie głowy sprawdzaniem, czy mnie słuchają; puszczam się biegiem, pokonuję wzgórze. Kamienista ziemia ciągnie się przez milę. Dalej jest rozedrgana przestrzeń, jak jezioro światła. A na jej skraju – siedem małych, ciemnych postaci.

Nieruchome, jak sama śmierć. Nie zdążyliśmy. Jak Therese, już nie...

Jedna z postaci porusza się, przesuwa w cień sąsiedniej. Nagle u mego boku są Jefferson, Hampton i Jasper, a po chwili – Tom i Henry. Razem zbiegamy ze wzniesienia.

Są jeszcze dalej, niż się nam wydawało. Dyszemy ciężko, gdy w końcu widzimy ich wyraźnie – pan Hoffman pod prowizoryczną markizą, Doreen skulona u jego stóp, Luther i Martin z małym Ottonem, Carl u boku matki.

Martin macha do nas energicznie. Na jego twarzy maluje się ulga. Tylko pani Hoffman wstaje. Ma plamy na twarzy, jakby płakała, ale w jej ciele nie ma już łez.

– Therese was znalazła! – Szuka córki wśród nas.

Chcę coś powiedzieć, ale słowa stają mi w gardle.

Pani Hoffman patrzy na mnie, potem na Jaspiera, który kręci przecząco głową. Stoi nieruchomo przez dłuższą chwilę, potem spleta ręce na brzuchu, zaciska powieki i mówi:

– *Gott hab sie selig.*

Pan Hoffman nie reaguje. Obok niego leży wielki wypchany plecak. Jego

zawartość przyprawia mnie o dreszcz na całym ciele.

Jasper kuca obok niego, rozchyła mu usta, wlewa w nie odrobinę wody ze swojej manierki. Pan Hoffman krztusi się, otwiera oczy.

– Musimy wracać na szlak – mówię.

– *Ja.* – Pani Hoffman pogania swoje dzieci. Starsi chłopcy idą o własnych siłach, ale najmłodszą trójkę trzeba nieść. Doreen zatacza się prosto w moje ramiona.

Stękam z wysiłku. Jest ciężka, ale muszę tylko stawiać nogę za nogą, póki nie wrócimy do obozu. Dam radę. Dla małej siostrzyczki Therese.

Tom niesie Carla, Henry dźwiga Ottona, Jasper i Hampton biorą pana Hoffmana pod rękę. Odpycha ich, kręci głową, ale nie ma siły się opierać.

– Mają zapasy – mówi Jefferson.

– Bierz wodę i jedzenie, resztę zostaw – decyduje Jasper.

Jefferson zarzuca plecak pana Hoffmana na ramię i zatacza się pod jego ciężarem.

– Nic dziwnego, że zasłabł – mówi, zaglądając do środka. Wyjmuje dwa kandelabry. – Potrzebne nam to?

– Pamiątki – odpowiada pani Hoffman. – Zostaw je.

Jefferson rzuca je na ziemię. Toczą się kawałek, aż zatrzymują na wystającym głazie. Ponownie zarzuca plecak na ramię.

– Teraz lepiej. Idziemy.

Zostaję z tyłu, gdy pozostali zacierają w kierunku wozu. Pod tandetnym mosiądzem kandelabry to czyste złoto. Istny skarb, sprytnie ukryty na podróż. A pani Hoffman nie ma o niczym pojęcia.

Kładę Doreen, idę po kandelabry. Śpiewają we mnie, łaskoczą w dłonie.

– Słyszałaś przecież – odzywa się Jefferson za moimi plecami. – Mamy je zostawić.

– Zaszły już tak daleko – odpowiadam. – A on... – Urywam. – Pan Hoffman stracił już córkę. Niech ma chociaż to.

Przygląda się, to mnie, to kandelabrom. Mruży oczy.

Nie zwracam na niego uwagi. Wsuwam je do kieszeni. Ciężą mi jak kule u nogi. Podnoszę Doreen. Stękam jeszcze głośniejsze.

Jefferson idzie obok mnie.

– Jestem lepszym tropicielem niż ty. – To prawda. On tropił, ja strzelałam. Dzięki temu upolowaliśmy mnóstwo zwierzyny. – Ale nie widziałem żadnych śladów.

- Pewnie je zdeptałam – odpowiadam.
- Taka jest twoja wersja?
- Znaleźliśmy Hoffmanów – to najważniejsze.

Mruczy coś gniewnie pod nosem.

Serce wali mi jak oszalałe, z przegrzania, ze zmęczenia, z poczucia winy. Nie mówić Jeffersonowi prawdy to jedno, ale świadomie go okłamywać – to coś o wiele gorszego. Kiedy przemilczenie staje się kłamstwem, trudno wszystko odkręcić.

Idziemy naprzód. Oddycham z trudem, bolą mnie nogi, boję się, że nie wytrzymają mojego ciężaru. Może tym razem major będzie mnie trzymał, gdy Jasper sięgnie po piłę.

Jefferson człapie koło mnie, niesie worek z zapasami cięższy niż mała Doreen. Oddycha płytko, z trudem, potyka się co chwila, jakby nie miał siły odrywać nóg od podłoża.

Myślę o Therese i idę, krok za krokiem.

Docieramy do obozu. Psy dyszą ciężko w cieniu wozu. Becky ustępuje miejsca Hoffmanom. Z ulgą kładę Doreen i wrzucam kandelabry do wozu. Woły ryczą żałośnie, gdy okładamy je batem.

Nadal czeka nas jeszcze kawał drogi. Wszyscy są osłabieni, poruszają się z trudem, ciągną nogami przez kurz. Mamy popękane usta, zapuchnięte oczy, skórę spaloną słońcem. Czekanie, aż wdowa urodzi, kosztowało nas sporo czasu, ale nie mniej niż sprint przez pustynię na ratunek Hoffmanom, w południe, gdy jest najgoręcej. Nie wiem, jak to wszystko przeżyjemy.

Po mili powolnego marszu major zarządza postój.

– Jeśli im nie ulżymy, woły padną. Może posadzimy dzieci na Peonię i Starą?

Patrzę na niego zdumiona.

– Jaką Starą?

– Nie tak się nazywa klacz Jeffersona? Stara klacz.

– Kara klacz – poprawia Jefferson.

– Cóż, moim zdaniem strasznie staro wygląda.

Mój śmiech przypomina rżenie.

– Oszczędzaliśmy konie na czarną godzinę – przyznaje Jefferson.

Nie, oszczędzałam Peonię, bo nie zniosłabym utraty jeszcze jednej części dawnego życia.

– Która teraz nadeszła – dokańczam, wpatrzona w jej wystające zębra

i zwieszony łeb. – Moja słodka Peonia.

Peonia prycha, gdy wsadzamy na nią Carla i Doreen, ale bez dzieci wóz posuwa się odrobinę szybciej.

* * *

Becky Joyner przez pewien czas idzie koło mnie, z dzieckiem w ramionach. Nie mieści mi się w głowie, jak szybko doszła do siebie po tak ciężkim porodzie. Albo może dzięki temu, że tak długo jechała w zacienionym wozie, ma więcej sił niż pozostali.

– Wiesz już, jak ją nazwiesz? – pytam, choć każde słowo sprawia ból w wyschniętych ustach.

Kręci przecząco głową.

– Najpierw niech pożyje i zasłuży na imię.

– No tak. – Niektóre rodziny mają takie podejście, zwłaszcza w trudnych czasach. Mój mały braciszek nigdy nie doczekał imienia.

– Posłuchaj, Lee, wtedy w wozie, kiedy... cierpiałam, mówiłam ci różne rzeczy. O małżeństwie, dzieciach i... – Urywa.

– Tak.

– Nie powinnam była tego wszystkiego mówić – zapewnia. – To nieprawda. – Kreśli kółka na główce małej.

– Jest śliczna. – Spoglądam na zawiniątko. Mała dzielnie się spisuje pierwszego dnia życia, patrzy ciekawie, nie płacze za dużo, co jest zbawieniem w tym upale. W przeciwieństwie do rodzeństwa ma ciemne włosy.

– Niepotrzebnie narzekałam. Powinnam znosić los z wiarą i odwagą.

We mnie nie ma już wiary ani odwagi. Został tylko upór. Może zawsze był tylko upór.

– Każdy się czegoś obawia – mówię.

– Tak? A czego ty się obawiasz, Lee?

Nawet nie zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Wuję Hirama, tego, który zamordował moich rodziców. I tego, że znowu będę sama.

– A ja tego, że moje dzieci zostaną same. – Uśmiecha się gorzko.

– Cóż, cieszę się, że jesteś z nami.

– Ja też. – Wydaje się zaskoczona tym faktem. Spogląda w niebo, gdzie

ciągle kołują sepy. – Jeszcze.

O zachodzie słońca robimy krótki postój. Ledwie się zatrzymujemy, wszyscy osuwają się na ziemię. Jefferson siada koło mnie. Opiera się plecami o wóz, krzyżuje ręce na kolanach, zwiesza głowę.

Major Craven ni to zsiada, ni to zsuwa się z kozła. Robi kilka kroków, opada na ziemię, masuje kikut.

– Została nam jedna beczułka wody – mówi.

Jedna beczułka to stanowczo za mało dla nas i zwierząt.

– Powinniśmy zawrócić – rzuca Henry Meek. Leży na plecach, wpatrzony w ciemniejące niebo. – Zanim będzie za późno.

– Oszalałeś? – odpowiada Tom. – Przeszliśmy już ponad połowę drogi, jeśli zawrócimy, umrzemy.

– Umrzemy, idąc do przodu – wtrąca się pani Hoffman. – A jeśli zawrócimy, wiemy przynajmniej, że na końcu drogi czeka woda.

Major kręci przecząco głową.

– Nie damy rady. Dzisiaj zaszliśmy za daleko, za szybko, gdy szliśmy tropem pana i pańskiej rodziny.

– Gdyby pani mąż nie wyruszył z tym całym Frankiem – zaczyna Henry, ale Becky Joyner nie daje mu dokończyć.

– Robili to, co uznali za najlepsze dla rodziny.

Dziecko zaczyna płakać. Jefferson podnosi głowę, ale zaraz ponownie wtula ją w ramiona. Nie chce mieć z nami nic wspólnego.

– Henry ma rację – zauważa Tom. – Therese żyłaby, gdyby...

– Nie waż się mówić o Therese! – krzyczy pani Hoffman. Martin, jej syn, zrywa się na równe nogi i z zaciśniętymi pięściami idzie w stronę Toma.

– Martin! Dość tego!

To pan Hoffman, który zsiadł z wozu z pomocą Jaspera. Jest błydy i wycieńczony, ma krwawe pęcherze na wysuszonych, popękanych wargach. Dziecko Becky zawodzi rozpaczliwie.

Pan Hoffman ledwo trzyma się na nogach.

– O co chodzi z Therese? – pyta. – Gdzie ona jest?

Pani Hoffman patrzy na niego, niezdolna wykrztusić słowa.

– Nie dała rady – mówi Jasper cicho.

– Co? Ona... Moja córeczka... – Pan Hoffman rozgląda się rozpaczliwie, jakby spodziewał się, że zaraz ją zobaczy. Widzę nas jego oczami: brudni, zdesperowani, osłabieni, słoczeni, jakby liczący na to, że ziemia się rozstąpi

i nas pochłonie.

Pan Hoffman więdnie jak uschnięty letni kwiat. Osuwa się na ziemię, ukrywa twarz w dłoniach. Ramiona mu drżą, gdy płaczem wtóruje dziecku pani Joyner.

– Mówię wam, zawróćmy – odzywa się Henry. Krzyczy: – Tutaj umrzemy.

– Nie! – protestuje Becky.

I znowu wszyscy zaczynają się kłócić. Tylko Hampton i ja obserwujemy to bezradnie. Jefferson nie zwraca na nic uwagi.

– Umrzemy tutaj, nie rozumiecie? – przekonuje Henry. – Proszę bardzo. Róbcie, co chcecie. Ja zawracam.

Przeszywa mnie strach. Nie możemy się rozdzielić. Nie możemy. Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, czy mam prawo mówić innym, jak umrą, w drodze przed siebie czy z powrotem.

Mały Andrew Joyner, do tej pory skulony u boku matki, wstaje powoli. Z małego noska schodzi skóra, na policzkach ma silne rumieńce. Podchodzi do pana Hoffmana, który kołysze się monotonicznie, w przód i w tył, w przód i w tył.

– *Herr Hoffman?* – Nie wiadomo dlaczego jego cichy dziecięcy głosik sprawia, że wszyscy milkną. Nie miałam pojęcia, że mały nauczył się trochę niemieckiego.

Andy sięga pod koszulę i wyjmuję mój medalion. Zdejmuje łańcuszek z szyi.

Pan Hoffman nieruchomieje.

Andy podaje mu medalion.

– Ten medalion dawał mi siłę i odwagę – mówi z powagą. – Niech teraz pan go nosi.

Wszyscy obserwujemy tę scenę. Wiatr szarpie plandeką. Gdzieś na niebie krzyczy myszołów.

Medalion zawisa między małym chłopcem a załamany mężczyzną, a do mnie powraca głos mamy. *Zaufaj komuś. Nie warto być tak samotnym, jak my.*

Z trudem dźwigam się na nogi. Czuję w całym ciele wibrację – złota i poczucia misji.

– Proszę go wziąć, panie Hoffman – mówię.

Patrzy to na mnie, to na Andy'ego. Powoli wyciąga rękę i mały składa w niej medalion.

– Idziemy! – Rozglądam się wokół. – Wszyscy w drogę.

Nikt się nie rusza.

– No, już!

Becky Joyner podnosi się pierwsza. W ślad za nią – major Craven.

– Ja zawracam – powtarza Henry. – Zabiorę jedną manierkę wody i...

– Nie ma mowy, Henry Meek – krzyczę. – Idziesz z nami, koniec kropka, bo jesteś moim przyjacielem i nie zostawię cię na pastwę losu. Ty też byś tego nie zrobił, prawda? – Znacząco zerkam na Hamptona. – Idziemy razem, wszyscy. Będziemy sobie pomagać, będziemy sobie ufać. Razem damy radę dotrzeć do Kalifornii. Damy radę. Choćbyśmy mieli się czołgać. Choćbym musiała cię ciągnąć za tę twoją fircykowatą bródkę.

Pani Hoffman też wstała, ona i jej synowie. Ku mojemu zdumieniu Jefferson nagle wypełnia pustkę u mego boku.

– Koniec postoj! – woła. – Wyruszamy!

Becky układa sobie dziecko na ramieniu i wyrusza na zachód. Olive drepcze za nią. Martin Hoffman podąża za nimi.

– Chce pan pojechać na Peonii? – zwracam się do majora.

Opiera się na kuli.

– Wy macie dwie nogi, ja jedną, czyli mogę iść dwa razy tyle. – Kuśtyka za Becky i nie mogę mu powiedzieć, że w życiu nie słyszałam tak pokrętej logiki.

I tak jeden za drugim wszyscy kierują się na zachód, nawet Henry Meek. Nawet pan Hoffman, wsparty na ramieniu żony i syna.

– Mój plecak – mruczy do żony. – Został na pustyni, tak?

Kandelabry są tak blisko, że słyszę ich złoty pomruk. Podchodzę do wozu, odchylam plandekę.

Pan Hoffman wybałusza oczy, kiedy je widzi.

– Skąd...?

– Wiem, czemu panu na nich zależy – odpowiadam. – Zorientowałam się po wadze. Mój tato kiedyś posłużył się podobną sztuczką. – Może to za sprawą głodu i pragnienia, może dlatego, że straciłam wszystko inne, ale złoto zdaje się mrużyć w mojej dłoni jak żywa istota.

Pani Hoffman patrzy na męża ze zdumieniem.

– Te paskudztwa?

Nie oddam im Therese, ale może zdołam choć trochę pomóc. Odkładam kandelabr i zostaję z tyłu, zostawiam ich ze sobą. Złotowidzenie słabnie, ale jest we mnie cały czas. Może tak samo będzie w Kalifornii, będzie mnie

grzało jak moje własne słońce.

Jestem ostatnia. Obserwuję wszystkich przede mną, gdy wędrujemy przez pustynię. Wraz z nadejściem nocy powietrze ochładza się gwałtownie, gwiazdy na niebie lśnią jak pochodnie, prowadzą nas. Po raz pierwszy od wielu dni nabieram nadziei, że może nam się uda.

Rozdział 34

W poniedziałek wieczorem weszliśmy do Humboldt Sink, wyschniętego jeziora. W piątek o świcie widzimy soczyście zielone łąki i czyste wody rzeki Truckee. To prawdziwa woda, bystra, zimna, a nie miraż, który zwiódł Hoffmanów na manowce. Jest czternasty wrzesnia tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku. Jesteśmy w Kalifornii.

Wyprzęgamy woły, puszczamy konie luzem. I zdarza się cud, zwierzęta znajdują w sobie dość siły, by pobiec do rzeki. Stają w niej po szyje. Woły ryczą radośnie. Peonia i Stara kopią jak żrebaki, ochlapują się ogonami. Psy brykają na płyciźnie, opryskując uszczęśliwionego Andy'ego. Pijemy czystą, przejrzystą wodę, jakiej nie widzieliśmy od wielu tygodni. Jeśli cała Kalifornia taka jest, czekają nas piękne chwile.

Jednogłównie dochodzimy do wniosku, że zima nie zastanie nas w górach, jeśli zatrzymamy się tu na kilka dni, żeby odzyskać siły. I tak zwierzęta pasą się do woli, a major i Jefferson łowią roby.

Bezczynność kusi, chciałabym odpocząć, ale nie śmiem. Z bezczynnością przychodzą złe myśli, czyli rozważania o wuju Hiramie. Pewnie już tu jest. Niewykluczone, że czeka za najbliższym zakrętem. To wielka kraina, powtarzam sobie. Zmieściłyby się tu ze trzy Georgie. Być może nie spotkam go do końca życia.

Ilekcroć pojawia się ta nadzieja, wiem, że to tylko mrzonka. Więc wolę o tym nie rozmyślać, tylko polować. O tej porze roku trudno o zwierzynę, ale i tak udaje mi się ustrzelić dwa małe jelenie, kilka zajęcy i pięć wiewiórek. Becky robi z nich gulasz. Jest okropny, wodnisty, przesolony, z gąbczastą cebulą i jedną jedyną pokurczoną rzepą dla smaku. Zjadamy wszystko, do ostatniej kropelki.

– Wymyśliłaś już imię dla małej? – pytam któregoś wieczora, gdy razem myjemy naczynia.

– Jeszcze nie.

Następnego dnia idę na polowanie i myślę o wszystkich, których straciliśmy, jak Therese i pan Joyner. I tych, którzy odeszli w inny sposób, jak Lucie. Ostatniego dnia postoju zbieram kamienie, układam je, aż wyrasta mały

kopczyk.

– Co robisz? – pyta Jefferson.

Myślę o drewnianych krzyżach na grobach rodziców. Wkrótce nic z nich nie zostanie, pokonają je słońce, deszcz, wiatr i śnieg.

– Nie mogliśmy porządnie pochować Therese – odpowiadam. – Ale możemy wznieść jej nagrobek.

– Nawet jej nie znałaś! – warczy.

Mam ripostę na końcu języka, ale widząc jego smutek, mówię tylko:

– Jeff, nie mam nic złego na myśli, ja po prostu... Miała mnie nauczyć robić na drutach.

Mars na jego czole pogłębia się.

Tłumaczę się szybko:

– Widzisz, ja nigdy nie miałam wielu przyjaciół, właściwie tylko ciebie. Mam wrażenie, że straciłam przyjaciółkę, zanim na dobre się zaprzyjaźniłyśmy.

Przygląda mi się uważnie.

– Nie chcę znowu wszystkiego zepsuć – ciągnę, żeby zapełnić czymś tę straszną ciszę. – Bo na każdego napotkanego Hirama przypada zarazem jakaś Therese i Becky Joyner, ktoś, kogo naprawdę lubię, jeśli dam mu szansę. A jeśli nie daje się ludziom szansy, człowiek zostaje sam jak palec.

Rozpacz w jego oczach ustępuje czemuś innemu, delikatniejszemu.

– Lee. – Przygląda mi się bacznie.

Niewidzialna siła przyciąga mnie do niego, jakby wypełniało mnie płynne złoto.

– Ja... pomogę – mówi tylko i odchodzi, zanim zdążę zareagować. Też zbiera kamienie.

Hampton widzi, co robimy, i przynosi kilka głazów od siebie. I stopniowo wszyscy zaczynają pomagać. Kopczyk rośnie, aż powstał prawdziwy kopiec, którego nie sposób przeoczyć. Pan Hoffman zbija sosnowy krzyż. Wbijamy go w ziemię i okładamy kamieniami.

Jefferson chwyta za nóż. Zaczyna ryć na drewnianym krzyżu, ale potem zmienia zdanie. Rękawem poleruje powierzchnię jednego z większych głazów i pisze na nim: Therese Hoffman. Przygląda się przez moment, a potem dodaje kolejno: Andrew Joyner. Mary Lowrey. Josiah Bledsoe. Krowa Atena.

Następnego ranka wyruszamy, gotowi zmierzyć się z górami Sierra Nevada.

* * *

Tym razem spodziewam się najgorszego, a jest zupełnie inaczej. Góry są jeszcze bardziej strome niż Skaliste, tak, i nie mamy już zapasowych części, gdyby coś się stało z wozem, ale ziemia jest żyzna i piękna, a nasza kompania liczy teraz osiemnaście dusz, włączając dziecko, i tylko jeden wóz. Pada nam jeszcze jeden wół, ale pozostałe zwierzęta w górach odżywają, mając pod dostatkiem wody i paszy.

Wśród sosen uwijają się modrosójki, w krystalicznie czystych strumieniach przemykają pstrągi, na łąkach kwitną późnoletnie kwiaty w otoczeniu granitowych skał, na widok których serce staje w piersi. Przeprowadzenie jednego wozu okazuje się dziecinnie łatwe w tak licznej grupie.

A mimo tego odczuwam niepokój. Trzymam się na uboczu, korzystam z każdej okazji, by uciec na polowanie.

Becky czasami idzie koło mnie i towarzyszy mi w milczeniu. Jest teraz zupełnie inna. Idzie lekkim krokiem, z uśmiechem na ustach. Czasami daje mi potrzytać maleństwo, które patrzy na mnie błękitnymi oczami i puszcza buzią banieczki śliny.

– O co chodzi, Lee? – pyta któregoś dnia, gdy przecinamy ukwieconą łąkę. Idąc, gładzi dziecko po plecach.

– Jak to?

– Bardzo ucichłaś. Nie rozmawiasz nawet z Jeffersonem.

Pochyliłam się, podnoszę szyszkę, która spadła z drzewa. Idealna, nietknięta przez ptaki czy wiewiórki.

– Ciągłe myślisz o wuju?

– Tak. – Wsuwam palce między łuski, wydaję nasionko. – Hiram mnie znajdzie. Wiem to. Czuję.

– Mężczyźni bywają bezwzględni – przyznaje. – Zwłaszcza kiedy im się wydaje, że kobieta do nich należy.

Nie mogę zapytać, co ma na myśli, bo woła ją Olive i Becky odchodzi. Odprowadzam ją wzrokiem. Chciałabym móc powiedzieć jej więcej. Komukolwiek. Okazuje się, że nawet wśród przyjaciół doskwiera ci samotność, jeśli masz przed nimi tajemnice.

Po wschodniej stronie złotowidzenie jest słabe, ledwie wyczuwalne, ale kiedy schodzimy po zachodniej stronie gór, przybiera na sile, nie opuszcza mnie, budzi pewien dyskomfort. Staram się nie zwracać na nie uwagi,

powtarzam sobie, że na złoto przyjdzie czas później. Ale co jakiś czas, kiedy nikt nie patrzy, ulegam mu, kucam w strumieniu i szukam, aż znajduję to, co mnie przyzywa tak jasnym głosem. Kiedy góry ustępują złotym wzgórzom porośniętym dębami, mam w kieszeniach bryłki warte ponad siedemdziesiąt dolarów.

Któregoś popołudnia, gdy dajemy wołom odpocząć, czuję na sobie gniewny wzrok Jeffersona. Ma prawo być na mnie zły. Unikam go od jakiegoś czasu, bo przypomina mi, że coś przed nim ukrywam, że choć niemal codziennie zakładam spódnicę Lucie, nadal kłamię.

Kiedy widzi, że na niego patrzę, ciemnieje na twarzy. Smutnieje. Ja także, bo nagle do mnie dociera, że sprawiam mu przykrość.

Biegnę ku niemu, zanim do końca zdaję sobie sprawę, co chcę zrobić. Chwytam go za rękę i ciągnę na bok, pod wielki, rozłożysty dąb. Już czas. Najwyższy czas.

– Lee?

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. To sekret.

Jego twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Słucham.

Zaufaj komuś, powiedziała mama.

Moje serce galopuje jak szalone. W całym moim życiu nie powiedziałam absolutnie nikomu. Jefferson jest odpowiednią osobą, żeby spróbować to zrobić. Najodpowiedniejszą.

– Lee?

Nabieram głęboko tchu i zaczynam:

– Pamiętasz, jak zabrałam te paskudne kandelabry?

– Pewnie.

Sięgam do kieszeni spodni i wyjmuję z niej garść małych grudek i piasku, który znalazłam.

– Są ze złota, takiego jak to, a ja...

– Wiem. – Kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

– Wiesz? Pan Hoffman ci...

– Wiem, że masz... magiczną moc.

Otwieram usta ze zdumienia.

Patrzy na mnie, jakby mógł przejrzeć mnie na wylot.

– Lee, znamy się całe życie, a i tak trochę trwało, zanim to zrozumiałem. Ale kiedy znalazłaś medalion w błocie, pomyślałem, że chyba umiesz wywęszyć

złoto, jak Nugget wiewiórki.

– Ach... tak.

– A potem pomyślałem o Dahlonega, o tym, jak wasza farma się rozrastała, te wszystkie plotki o skarbie Szczęściarza Westfalla. W plemienu mojej matki są różdżkarze, którzy znajdują wodę i zaginione przedmioty. Ojciec nigdy w to nie wierzył, ale ja – tak. I pomyślałem, że pewnie tak jest z tobą i złotem.

Mógłby sobie już darować tę zadowoloną minę.

– Nie jesteś zły?

Zamyśla się.

– Skoro już mi powiedziałaś, nie będę zły. Za jakiś czas. – Podnosi rękę, odgarnia mi z oczu odrastające włosy. – Dziwna sprawa. Ludzie kłamią bez przerwy i to nie robi na mnie wrażenia. Ale jedno małe kłamstewko z twoich ust kompletnie zwała mnie z nóg.

– Ja... przepraszam, Jeff.

– Dziękuję, że mi wreszcie powiedziałaś.

Kiwam głową i z trudem przełykam ślinę.

Mruży oczy.

– Twój wuj wie, prawda?

– Tak.

– Cóż, Kalifornia jest wielka. – Jest równie nieprzekonany jak ja.

– Też to sobie powtarzam.

– Poradzimy sobie z Hiramem Westfallem, kiedy przyjdzie co do czego – mówi Jefferson.

Uśmiecham się. Powiedział: my.

Rzut kamieniem od nas złotoruda wiewiórka myszkuje wśród dębowych liści. Ma policzki wypchane żołądziami. Fascynuje mnie, że tutaj wszystko jest złote – wiewiórki, tłusciutkie świstaki, które obserwowały nas w górach Sierra Nevada, te łagodne wzgórza.

– Masz najpiękniejsze oczy na świecie – mówi cicho Jefferson.

Serce wali mi jak oszalałe.

– Wiesz, że czasami przypominają stare złoto? Ciemniej, jak słońce o zachodzie. Chyba wtedy, gdy coś wyczuwasz.

– Ja... Nie, nie wiedziałam.

Jest tak blisko i nagle cały świat traci znaczenie, jest tylko Jefferson i jego znajoma, idealna twarz, mądre spojrzenie i to, jak się pochyla, żeby mnie pocałować. Drzę na całym ciele, jakbym nurzała się w złocie.

Po sekundzie wahania muska ustami mój policzek. Jest cudownie, wspaniale i zdecydowanie za krótko.

Cofa się szybko.

– No dobrze. Musisz zdecydować, czy jeszcze komuś zdradzisz swój sekret. To są dobrzy ludzie i chyba cię zaskoczą.

– Może.

– Lee? Wiesz co? – Oczy mu się śmieją. – Będziesz bogata.

* * *

Dziesiątego października docieramy do Fort Sutter. Jest mniejszy niż Fort Laramie, ale panuje tu o wiele większy ruch. Mury wzbijają się na prawie dwadzieścia stóp, a zza nich wystaje jeszcze wyższy budynek, zwieńczony amerykańską flagą. Przy wejściu trzy małe dziewczynki bawią się lalkami uplecionymi z trawy. Ludzie kucają przy ogniskach. Między wozami suszy się pranie. Psy uganiają się wśród taborów i czyhają na odpadki.

Co chwila słychać strzały – mężczyźni nie mogą wchodzić do fortu z nabitymi strzelbami. Podjeżdżamy bliżej i widzimy ślady zniszczenia na forcie – popękane cegły, przechylony mur, krzywe wrota.

– Widziałaś gdzieś Franka Dilleya? – pyta Jefferson, gdy zsiadamy z koni.

– Nie. – Przeczესuję tłum wzrokiem. – I nie zmartwię się, jeśli już nigdy go nie zobaczę.

– Prawda – wtóruje mi pan Hoffman. Idzie koło wozu. – Choć chciałbym, żeby on zobaczył mnie. Żeby się przekonał, że daliśmy radę. Prawie wszyscy w każdym razie – dodaje ciszej.

Zatrzymujemy się przed wejściem i odbywamy krótką naradę.

– Zostanę z dziećmi – proponuje pani Hoffman. – A wy załatwcie wszystkie sprawy w środku. – Luther i Martin zostają, żeby jej pomóc, a my kierujemy się do fortu.

Nie zrobiliśmy jeszcze nawet trzech kroków, gdy ktoś woła:

– Mój koń!

Jak cios w żołądek. Nie mogę zaczerpnąć tchu. Dłonie na strzelbie drżą mi niepohamowanie.

Odwracam się, powoli. Nie mam wyjścia.

Wuj Hiram stoi wyprostowany, nienagannie ubrany, w lśniącym cylindrze i czarnym surducie ze srebrnymi guzikami. Po jego prawej stronie stoi Abel

Topper, po lewej – wysoki Murzyn. Hiram, zgodnie ze słowami Jima, wybrał drogę morską i przybył tu na długo przede mną. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że przebywa w Fort Sutter od kilku tygodni i zdążył już wszystkich oczarować, wiedząc, że prędzej czy później się zjawię. A teraz cała Kalifornia uważa go za dobrze wychowanego dżentelmena.

Cały czas się zastanawiałam, co zrobię, kiedy znowu go zobaczę. Rzucę się do ucieczki? Chwycę za broń? Zaleję się łzami?

Teraz odpowiadam z lodowatym spokojem w głosie:

– Witaj, wuju Hiramie.

To imię zwraca uwagę moich towarzyszy. Becky staje koło mnie. Jefferson spokojnie nabija strzelbę. Przez chwilę słysząc jedynie tarcie stempla w lufie.

Wuj pojednawczo rozkłada ręce.

– Ależ spokojnie, przecież nie chcemy kłopotów. Ale jest wśród was moja dziewczyna. Pokonałem kawał drogi, żeby ją odzyskać, więc teraz ją zabieram.

– Nie, proszę pana. – Henry Meek robi krok do przodu. Wsuwa kciuki do kieszonek marynarki, jakby wiedział, o czym mówi.

– Tu, w Kalifornii, nie ma pan nad nią władzy – dodaje Tom. – Co chętnie udowodnię w najbliższym sądzie.

– Nie musimy mieszać w to sądu. – W uśmiechu wuja nie ma ani odrobiny humoru.

– Nie musimy – odzywa się pan Hoffman, stając koło mnie, i nagle wuj Hiram już wcale nie jest taki imponujący.

– To byłby błąd strategiczny – dorzuca major Craven.

Jefferson odwodzi spust.

Mierzymy się wzrokiem; Hiram i jego dwóch mężczyzn oraz ja i moi towarzysze. Kilku przechodni przygląda się ciekawie, nie wiedząc, o co chodzi.

Ciszę przerywa Becky.

– Bo widzi pan, panie Westfall – zaczyna, kołysząc w ramionach bezimienną córeczkę. – Teraz Leah jest nasza.

Hiram myśli intensywnie, przygląda się nam, zatrzymuje wzrok na każdej twarzy.

– Widzę – mówi przeciągle, powoli, z fałszywym południowym akcentem. – Wicie oczywiście, że chronicie uciekinię? Jej miejsce jest przy rodzinie.

Becky się śmieje.

– Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam, wiedziałam, że uciekła z domu! Ale i tak prosimy, żeby dał nam pan spokój.

– Już jest przy rodzinie – dodaje Jasper.

Hiram patrzy mi w oczy. Odwzajemniam jego spojrzenie. Jego widok sprawia mi ból; jest bardzo podobny do tatka, tylko że silny, wyprostowany i zdrowy. Ale nie dorasta tatkowi do pięt. O nie.

Podejmuje decyzję. Twarz mu ciemnieje. W końcu uchyla przede mną kapelusza.

– Jeszcze się zobaczymy, moja Leah. I to niedługo.

Chce mnie przestraszyć, a tymczasem oddecham spokojnie, dziękuję bardzo, a strzelbę trzymam tak pewnie, że trafiłabym go nawet z odległości dwustu kroków.

– Na pewno – odpowiadam.

Odwraca się i odchodzi, jego towarzysze podążają za nim. Cały czas pragnie tego, co potrafię, i nie spocznie, póki nie postawi na swoim. Rodzice nie mieli o tym pojęcia, ale moja nowa rodzina wie, z kim mamy do czynienia. Będziemy gotowi.

Chcę im podziękować, uściskać, ale już zajęli się innymi sprawami, jakby mój wuj nie był wart naszej uwagi.

– Moim zdaniem Therese – mówi Olive do matki, gdy idziemy do fortu. To ostatnio nasza ulubiona rozrywka – wszyscy wymyślają imiona dla malutkiej Joyner.

– Albo Lee. – Andy zerka na mnie nieśmiało.

– Może Kalifornia? W skrócie Cali – podsuwa Hampton.

– Elizabeth to piękne imię. Po mojej matce – odzywam się.

I tak aż do wrót. Zatrzymujemy się na moment.

Jefferson obejmuje mnie ramieniem.

– Udało nam się – mówi, patrząc na wysokie mury. – Udało nam się.

Uśmiecham się od ucha do ucha. Czuję się już teraz bogata jak królowa, gdy rzucam:

– Chodźmy poszukać złota.

Od autorki

Osiem lat przed tym, jak niniejsza książka ukazała się na rynku, przeprowadziłam się z Kalifornii do Ohio, żeby wyjść za mąż za mężczyznę moich marzeń. Pokonałam odwrotną trasę, można powiedzieć. Zapakowaliśmy mój dobytek do samochodu i jechaliśmy przez Stany przez sześć dni – jeden na każdy miesiąc tej samej podróży krytym wozem. Mijane krajobrazy były czasami nudne, czasami imponujące, zawsze – nieskończone. Godzinami gapiłam się w okno, już stęskniona za Kalifornią, choć zarazem podekscytowana wizją nowego życia w nowym stanie.

Już wtedy zrodził się pomysł tej książki, ale musiało minąć wiele lat, zanim dojrzałam do tego, by ją napisać. Oczywiście taki splót prawdy i fikcji to zawsze ryzykowne przedsięwzięcie. Chcąc jak najlepiej przedstawić historię Lee, pozwoliłam sobie na pewne odstępstwa od kronikarskiej wierności. Na przykład M. F. Stephenson wygłosił swoje słynne przemówienie na głównym palcu Dahlenega latem 1849 roku, a nie na początku zimy, jak to opisałam. Prawdopodobnie też mieszkańcy Dahlenega dowiedzieli się o odkryciu złota w Kalifornii kilka miesięcy wcześniej niż Lee i Jefferson. Czasami wkładałam im w usta słowa, które wówczas rzadko się słyszało na wschodzie USA.

Co ważniejsze, pozwoliłam Jeffersonowi oświadczyć się Lee, zanim skończyła szesnaście lat, choć w tamtych czasach średni wiek zamążpójścia wynosił dwadzieścia–dwadzieścia dwa lata. Zdecydowałam się na ten krok, bo ze źródeł wynika, że na szlaku kalifornijskim kobiety nieraz wychodziły za mąż wcześniej – często z konieczności. Uznałam, że okoliczności Lee to usprawiedliwiają.

Ponieważ chciałam sama kierować losem swoich bohaterów, w tej książce niewiele jest postaci historycznych, a i to tylko w rolach drugoplanowych. Jednej postaci jednak nie mogłam sobie odmówić – to James „Wolny Jim” Boisclair, przedsiębiorca z Dahlenega w Georgii. Niewiele o nim wiadomo, poza tym, że wyruszył do Kalifornii bliżej roku 1850, nie w 1849, jak napisałam. Z nielicznych źródeł wyłania się człowiek szanowany, ambitny, bardzo przekonujący. Mam nadzieję, że sportretowałam go godnie.

Lee, Jefferson i ich współcześni określają Jima i innych Afroamerykanów

mianem Murzyna, co w tamtych czasach uchodziło za grzeczne, kulturalne określenie. Podobnie o rdzennych mieszkańcach Ameryki mówią: Indianie. Na co dzień posługuję się terminami Afroamerykanie i rdzenni mieszkańcy Ameryki, ale zawsze staram się dostosować do preferencji rozmówcy, jeśli tylko o nich wiem.

Nie wiadomo do końca, czy w czasach wiktoriańskich określenie „zatwardziały kawaler” dotyczyło gejów, być może nie było to jedyne znaczenie tego wyrażenia, ale w literaturze fachowej i źródłach społeczności LGBTQ jest dość odniesień, bym posłużyła się nim świadomie, to właśnie mając na myśli. Zainteresowanych terminologią tamtych lat, a także ciekawymi, cudownie subiektywnymi komentarzami, odsyłam do *Dictionary of Americanisms* Johna Russella Bartletta (New York: Bartlett and Welford, 1848).

Książki nie sposób napisać w oderwaniu od rzeczywistości. Następujące osoby dzieliły się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniem: Angela Thornton z American Indian Library Association czytała pierwszą wersję; Marlena Montagna, miłośniczka jeździectwa, która służyła informacjami o koniach i jeździe konnej; Jaime Lee Moyer, znana autorka powieści historycznych, dzięki której zdołałam przebrnąć przez zalew materiałów źródłowych: pamiętników, litografii, artykułów prasowych, dagerotypów.

Czytelników zainteresowanych przebiegiem podróży do Kalifornii oczami samych imigrantów zapraszam do lektury pozycji, które były mi niezbędne:

Covered Wagon Women: Diaries & Letters from the Western Trails, 1840–1849, zredagował i wybrał Kenneth L. Holmes, wstęp pióra Anne M. Butler (Lincoln, Nebraska: Bison Books, University of Nebraska Press, 1995); *Women's Diaries of the Westward Journey*, pod redakcją Lillian Schlissel, ze wstępem Mary Clearman Blew (New York: Schocken Books, 2004 edition)

Przede wszystkim chciałam podziękować mojemu mężowi, C. C. Finlayowi, który przeczytał tę książkę wielokrotnie, dzieląc się swoją wiedzą zarówno historyczną, jak i redaktorską, i cierpliwie słuchał, jak sprowadzona z Kalifornii żona wspomina nieustannie ojczysty stan, jego liczne cuda i gorączkę złota, która go ukształtowała.

Dzięki nim ta powieść stała się o wiele lepsza; wszelkie usterki biorę na siebie.

We współczesnej Kalifornii na każdym kroku widać ślady gorączki złota. Spływałam rzeką Tuolumne, wśród stromych wielowarstwowych skał –

i widziałam skutki bagrowania. Znajdowałam wiekowe koła od wozów, zagrzebane w błocie, podczas wędrówek po Pustkowiu Emigrantów. Podczas niezliczonych rozgrywek Super Bowl kibicowałam drużynie 49ers, zwiedzałam z przyjaciółmi kopalnie i sady u stóp gór Sierra Nevada, całymi dniami włóczyłam się po Golden Gate. Choć ta książka koncentruje się na podróży przez kontynent w 1849 roku, sporo jeszcze zostało do powiedzenia o Lee – i o Kalifornii.

Przypisy

¹ *Przyjdź, o źródło błogosławieństw*, sł. Robert Robinson, muz. John Wyeth, tłum. KK / RŚ, źródło: <http://polskawersja.tumblr.com>

² *Biblia Tysiąclecia*, Łk 15, 4-6